

MIESIĘCZNIK LITERACKI

AKANT

ISSN-1429-9054 PKWiU 22.13 Nr Rej. 295 Nr Indeksu 344141 NR 10(75) Rok VI październik 2003 cena 4,00 zł (VAT 0)

www.akant.telvnet.pl ✉ e-mail: akant@akant.telvnet.pl

75. numer AKANTU



1. Mieczysław Czajkowski – autor
2. Krzysztof Niewrzęda – autor
3. Liliana Zubińska – redaktor (1998-1999)
4. Ks. Tadeusz Kielczewski – przyjaciel
5. Alicja Mazan-Mazurkiewicz – autorka
6. Eucja Danielewska – autorka
7. Janina Drażek – autorka
8. Artur Kubasik – redaktor
9. Kazimierz Burnat – autor
10. Grzegorz Misiewicz – członek Rady Redakcyjnej
11. Elżbieta Elwertowska – przyjaciel
12. Beata Anna Pokorska – redaktor
13. Jadwiga Badowska-Muszyńska – autorka
14. Anna Thiesler – autorka
15. Zofia Maciejewska – przyjaciel
16. Anna Maria Mickiewicz – autorka
17. Ariana Nagórska – autorka
18. Anna Błachucka – autorka
19. Waldemar Zamlewski – autor
20. Karol Maliszewski – autor
21. Tadeusz Zawadowski – autor
22. Christian Manteuffel – autor
23. Marek Czuku – autor
24. Ryszard Rozwadowski – przyjaciel
25. Zygfryd Żurawski – przyjaciel
26. Mirosław Makowski – przyjaciel
27. Marian Brzezicki – przyjaciel
28. Tadeusz Zubiński – sekretarz redakcji (1998-1999)
29. Marek Pietrzak – przewodniczący Rady Redakcyjnej
30. Józef Baran – autor
31. Piotr Baranowski (1962-2003) – autor
32. Miłosz Heliasz – przyjaciel
33. Mieczysław Wojtasik – członek Rady Redakcyjnej
34. Wojciech Reszka – członek Rady Redakcyjnej
35. Szczepan Warmijak – przyjaciel
36. Michał Krzemkowski – członek Rady Redakcyjnej
37. Andrzej Orylski – redaktor techniczny
38. Stefan Pastuszewski – wydawca
39. Jolanta Baziak – redaktor naczelny
40. Włodzimierz Zieliński – członek Rady Redakcyjnej
41. Stanisław Chyczyński – autor
42. Ryszard Kwiatkowski – przyjaciel
43. Marek Rona – karykaturzysta
44. Ireneusz Wieczorek – autor
45. Andrzej Krzysztof Waśkiewicz – autor
46. Jolanta Szwarc – autorka
47. s. Anna Mika – autorka
48. Katarzyna Michalewska – autorka

Mariusz Trynkiewicz**W górę!**

Błękitna tutumotywa
gości na pokład wzywa.
Jubel dziś „Akantowy”
Stary „Akant” jak nowy.
Biegną panny wzorowe
i panny kolorowe.
Biegnie facet w czapeczce,
tytoń ubija w fajeczce.
I pani z pieskiem pudelkiem,
malarz z farby kubelkiem,
różowe podłotki,
wesołe trzpiotki,
panie w poważnych kreacjach,
panowie na wiecznych wakacjach –
z Poezją. Pod rękę prowadzą.
A laszą się do niej i kadzą.
I umizgują się do niej,
cmokają jej ciepłe dłonie.
A ona – kapryśna kobieta,
mówi: „Poeta, poeta...”
Do piersi przytuli, pogłaszczce.
Potem po gębie wychlaszczce.
Dziurkę wyskubie w treści,
swój pocałunek tam zmieści,
albo kwiatek posadzi...
Poeta nic nie poradzi –
śmieje się, płacze, stęka,
przed Muzą co chwila klęka.
A ona nogami fajta
i mówi, że niedorajda,
że gdyby „Akant” czytał,
to o nic już by nie pytał,
wiedziałby co i jak,
chodzilby wprost, a nie wspanak...
Już na pokładzie impreza.
Panowie dostają zeza –
Proza z Poezją harcują –
zatańczą z kimś, pofiglują.
A rano motyl „Akantu”
skrzydła złożone do kantu
otwiera
i leci, i pyłek zbiera.
„Siedemdziesiąty piąty” – do góry!
Przełoń te kreatury,
co pyszną się w swoich nagłówkach,
bo wkrótce już trzycyfrowka!

Elżbieta Bąkowska**Żywe liście akantu**

Gdy tajemnicza dłoń
kreśli dziwnie
esy-floresy
na rozgrzanym
horyzoncie
a fale
bezkresnego morza
lśnią
purpurowym atlasem –
od gór Atlasu
płomiennym blaskiem
czerwienią się laury sekwoje
krzewy akantu –
jego liście – kwiaty
łagodnie
wygięte w łuk
pulsują życiem
niby dziecko w łonie
Al. 'immoralite –
W tym wysokim ogrodzie
szepcze
moje drżące wzruszenie...

wyciągnij do mnie
Twoje
magiczne dłonie

Jacek Tabisz**Sonet katedry**

Stefanowi Pastuszewskiemu

Mój dzień rośnie w ciszy zmienionego świata
Ogarnia powoli nieba przepelnione
Trwaniem które jest wieczne zielenią liścia
Gdy życie trzyma jasną płamę słońca

Wciąż kładę kamienie w katedrze wieczności
Widzę konnych pędzących przed wezbranym
pyłem

Gdy gonią mnie ślady własnego istnienia
Otwieram podwoje skalistego lasu

Gdy kuję kamienie zimnego akantu
Moje oczy żeglują jak dalekie gwiazdy
Wśród gałęzi drzewa kwitnącego w dali

Mój dzień rośnie w ciszy zmienionego świata
Gdy witraże pustki gasną w cieniu spojrzeń
Opadam powoli pośród świetlnych drgnień

Wojciech Sobiecki**The Show Must Go On**

DESSOUS AKANTU jest magnetyczne
najbardziej przyjazny biały oraz
wyjątkowo elegancki czarny
a wewnątrz poraża koneserów
(już siedemdziesiąt pięć razy oby
dobre przedstawienie trwało nadal)

Anna Błachucka**Kuracja ziołowa**

Z pożywnych suszy karteł „Akantu”
sporządzam różne mikstury:

wywary z kwiatostanu słów
- dobre na chandrę

napary z pnączy myśli
- dobre na otepienie

odwary z owoców historii
- dobre na pamięć

maści z lodgy filozofii
- dobre na kręgosłup

kadzidla z liści krytyki
- dobre na wszystko

Tadeusz Lira-Sliwa**W Salonie Prasowym**

- Podwójny (opasły)
Numer warszawski

Na szczęście – aktualny
Numer* „Akantu”

2003

*Już siedemdziesiąty piąty

Mariusz Trynkiewicz

czytała „Akant”
strona po stronie,
aż pocily się dłonie.
Aż błyszczaly oczęta –
taka była przejęta.
I zaplotła warkocze,
nie wiedząc nic o tem.
I rumieńców dostała
Cała wypiękniła...
Tak to brzydkie kaczątko,
niepozorne dziewczętko
„Akant” zmienił w kobietkę –
nielichą poetkę.

**Postania
jubileuszowe**

Jego Dostojnej Inflanckości
Stefanowi I
ku łaskawej uwadze

Encyklopedia pwn pl (162 650 haseł) definiuje znaczenie wyrazu logogryf następująco:

LOGOGRYF [gr.], zagadka, łamigłówka, polegająca na takim przedstawieniu lub usunięciu głosek w wyrazach, że początkowe, środkowe lub końcowe litery nowo powstałych wyrazów czytane w ciągu dają rozwiązanie.

Gryf – jak powszechnie wszystkim mieszkańcom Gryflandii wiadomo – jest skrzydlatym lwem znanym z waleczności, więc przytoczona definicja logogryfu wydała mi się błędna. Logogryf, to moim zdaniem gryf walczący o słowo. Z takiego założenia wyszedłem wszczynając żmudne prace badawcze, które mogłyby potwierdzić przyjęte założenie lub mu zaprzeczyć. Nie będę opisywał krętej i stromej drogi dociekań, powiem tylko, że zdołałem zakończyć ją sukcesem: Badając heraldykę inflancką natknąłem się wreszcie na logogryfa – skrzydlatego i upierzonego lwa z mieczem w łapie, z ludzką głową o twarzy – przypominającej kogoś znanego. Nie mogę sobie przypomnieć kogo, może Wasza Inflanckość raczy mi pomóc w tym względzie. Wizerunek tarczy herbowej z logogryfem – załączam:



Sługa Waszej Dostojności, w pokorze na odpowiedź najłaskawszą i rozjaśniającą mroki jego niewiedzy, oczekujący.

Andrzej Piotrowicz

Bydgoszcz, 2003-08-05

Mariusz Trynkiewicz

Czyta „Akant”,
gdy zasnąć nie może
I w południe
i o każdej innej porze.
Zabiera do pracy –
czyta przy maszynie,
na nartach i w kinie,
przy winie, przy dziewczynie.
Niczego mu do szczęścia
więcej nie brakuje.
Mówi, że z „Akantem”
wszystko lepiej smakuje.

Anna Błachucka

Nowa wersja Alfabetu „Akantu”

Po uważnym i wielokrotnym czytaniu „Alfabetu „Akantu” (red. Stefan Pastuszewski, Antologia „Akantu”, Bydgoszcz 1993, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, s. 7-23) przesyłam swoją wersję.

Mariusz Trynkiewicz

Siedem pięć

Czyta Pan Stefan listy
po nocach.
Wiersze z listów wybiera –
te na trochę później
i te na teraz.
Nie chce wypchać się kitem –
Każdy numer „Akantu” ma być hitem.
Ma błyszczeć jak złota obrączka
I być żywy –
Kto się nie kręci nie ma bączka.
Nagle, w mroku za szafą skrobanie,
jakiś chichot, szepty, zamieszanie.
Jakiś koncert wiatru w popielniku,
a w szufladzie – fiku trochę,
trochę miku.
Oto nowik zaszczebiotał na niebie
coś o winie dla poetów
i o chlebie – o „Akancie”,
że numer „siedem pięć” –
to nie starość,
bo „Akant” wciąż ma chęć.

Anna Błachucka

Akanty, a kantyleny

I
Próbuję techniką belcanto
oddać, wyśpiewać cześć akantom,
ale nie zawsze kiedy ja chcę,
wychodzi mi czysto górne „c”
złecę więc sygnał olifantom,
pieśń zaś na wieki dam kurantom.

II

Na festiwalach i parnasy
myśl „Akantowa” niech przenika.
Zachwyca już od pierwszej klasy
jak pierwszy zapis – jak muzyka.
Na festiwalach i parnasy
myśl „Akantowa” niech przenika

Zaakantować!

Od lat przyglądam się! Stefan ty
jesteś wpuszczony już w „Akanty”!
A mógłbyś się weselej miewać,
gdyby ktoś umiał tam zaśpiewać!
Może więc zechce sławny Kanty
z muzyką wybrać się w akanty?

A gdyby tak...

Gdyby Cię „Akancie” zachwycić pieczonym
bażantem,
zakropić alkantem,
a potem zasycić cudownym, cukrowym
dragantem,
skołować trabantem,
to może zostałbyś chętnie kulturalnym żyran-
tem
- porażonych Kantem.

Potrzebny rym

Ze wszystkich rymów
do – „Akant”,
potrzebny bardzo
jest nam grant!

A – jak „Akant”

Na czym sławę oparli akanty?
Na anagramie słowa – antyk!

B – jak bogactwo

B – jak Bydgoszcz, jak Baziak, dodam,
bo mi alfabetu szkoda.

C – jak ciągłość

„Myśl cła nie płaci”,
myśleniem – bogaci
ćmiąc wiedzy skręty,
są żdźbłem przynęty
czasu, tłem, urobkiem
i wielokropkiem...

Ch – jak Chińczycy

Szarości były i są w cenie,
ale ostrożnie z zażółceniem!

D – jak dzieła

Próżno pytać skąd tyle dzieł na świecie się wzięło.
dzieło – to rzecz umowna, jak umowa o dzieło...

E – jak ekskluzywność

„... I com pisać zamierzył,
składało się w wiersze.”

Owidiusz

„Ars amandi” – jako pierwsze

pisane było – wierszem...
Cóż – „Sztuka kochania” dziś – o zgrozo!
podawana jest młodym – prozą!

F – jak felietony

Odwrotnie proporcjonalny

Zdzisławowi Antolskiemu

To nowy gatunek jeża;
im mniej mu włosów kielkuje,
to tym bardziej na jeża:
kto mu podpadnie – ukłuje!

G – jak gazeta

Nieposolone śledzie z naszego morza Bałtyk,
Obmyślały swej popularności warianty...
W śmietanie, w sosie koreczki
Płaty w occie, całe z becзки.
Najsławniejsze są jednak słone, zawijane
w „Akanty”!

H – jak hotel

Literaci
- niebogaci,
- więc kto tu płaci?

I – jak internet

Niepojęty
jak święty,
swych idoli
- niewoli

J – jak jubileusze

Uroczystości, rocznice, jubileusze...
Okazje do spotkań, rozliczeń i wzruszeń
A ja ciekawa Waszego sposobu na trwanie
widzę, że sztuką jest - mieć wciąż własne zdanie.

K – jak Katyń

Nit lepiej od portiera
nie umie – otwierać!

L – jak literatura

Dziewczyna jest piękna z natury – więc kusi,
literatura wtedy piękna – gdy skusi,
dziewczyna omota zmysły oraz ciało,
a literatura wszelką pozostałość

Ł – jak Łotwa

To bardzo dobrze mieć sąsiada!
... by wpaść na chwilę historyczną,
wyzwolić przodków z szaf pamięci,
odczuć serdeczność – bezjęzyczną.

M – jak miejsce

W dobrym humorze
z gawry – na dworzec.

N – jak nowość

Widocznie słowo
- to ciągła nowość

O – jak odwaga

Pomimo literackich mód
nie wystawia zer na przód!

Ó – jak ósemka

Nie wiem gdzie
- jest ówdzie!
Ów – może
pomoże...

P – jak publicystyka

U Polaka często duchowa ochota
nie przetrzymuje próby – złota.

R – jak ranking

„Test nieomylny” – Ariany
jest czytelnikom znany.

S – jak spotkania

Jeden widz, to prawie nic!
To dużo – powiem, przyszedł człowiek!

Ś – jak świat

Pozrywane wszelkie więzy
„Ostał nam się ino” – język!
Nie wykupi go bogaty,
Bo ten język jest – rogaty!

T – jak trzynastka

Tuccia się wybroniła
więc i ja tak czuję,
że się przy „Akancie”
- rehabilituję.

U – jak uczciwość

Nierytmiczne czasopisma
są jak spóźnione życzenia,
najważniejsze już przepadło
w nieważnych wytłumaczeniach!

W – jak wartości

Nie utrzyma swych racji poeta, który
nie przetrzyma krytycznej akupunktury.

Z – jak zainspirowanie

Cofnij się kiedyś do – słowa
i spróbuj zacząć – od nowa

Ż – jak żeglowanie

Na szlakach Brana
i Brendana
Redakcja będzie
wciąż wspierana
przez Czytelników...

„Akant” w lustrze

Z okazji jubileuszowego 75. numeru „Akantu” redakcja pisma zadała parę pytań kilku pisarzom: „Jaki jest? W końcu jeśli występuje się publicznie trzeba od czasu do czasu spoglądać w lustro.

1. Czy „AKANT” ma swój charakter?

Teresa Januchta: Tak, „Akant” to pismo z charakterem. Bo trzeba mieć charakter, żeby pisać nie tylko o tym, co dobre, ale i o tym co boli, co złe lub przynajmniej kontrowersyjne. „Akant” nie unika trudnych problemów, lecz wychodzi im naprzeciw, aranżuje dyskusje, dokonuje podsumowań. Stara się być na bieżąco z aktualnymi wydarzeniami kulturalnymi, społecznymi oraz politycznymi (choć to nie pismo polityczne!).

Arkadiusz Mika: „Akant” niewątpliwie ma charakter, powiem więcej: *Ma swój charakter*. Podobny do kwietnia lub do pogody w górach, która zmienia się zależnie od wysokości, bywa nieprzewidywalny. Gdyby stał się oklepaną formułą w tej samej tonacji, to umarłby pod ciężarem własnej jednolitości.

Sternicy czasopisma kierują je na znane i nieznanie nikomu wody, czasem w same oko cyklonu.

Teresa Kowalska: Na specyfikę „Akantu” składają się co najmniej kilka składników. Na pewno nie najmniej ważnym z nich, chociaż pozornie najbardziej powierzchownym, jest jego charakterystyczna szata zewnętrzna; spokojna, stonowana plastycznie, nie przenosząca formy graficznej ponad treść literacką i jednocześnie obiecującą obfitą lekturę.

Dla mnie osobiście bardzo cenna i ważna w „Akancie” jest jego wrażliwość na tematykę kresów wschodnich, przede wszystkim tych z czasów Drugiej, a nawet Pierwszej Rzeczypospolitej. „Akant” z uporem stara się przywracać tamte tereny, w tym przede wszystkim Inflanty, naszej współczesnej, zbiorowej świadomości historycznej, ratując od zapomnienia te często kalekie okrucy ich starożytnej tożsamości, które na przekór nowożytnemu barbarzyństwu uparcie grawitują ku swoim zachodnim, żeby nie rzec łacińskim korzeniom.

Wreszcie trzecią, cenną cechą „Akantu” jest jego szeroka otwartość na różnorodne opinie, światopoglądy oraz gatunki literackie. Stawiając programowy odpór literackiej monokulturze, „Akant” stał się agorą i jednocześnie magnesem dla tych wszystkich, których cechuje większa od przeciętnej wrażliwość na Słowo.

Piotr Rakowski: „Akant” jest miesięcznikiem literackim mającym formułę tematycznego magazynu z „wkładką” z wierszami i opowiadaniem. Jednak charakter miesięcznika wyznaczają nie wiersze czy opowiadania, lecz artykuły publicystyczne-literackie oraz recenzje, a także teksty o „szczątkowym”, zabarwieniu eseistycznym, którymi raz są polemiki, raz relacje.

„Akant” nie stoi esejem, a szkoda, tylko publicystyką literacką i... literaturą, tworzoną *in gremio* przez młodych i najmłodszych. Charakter „Akantu” jest więc czysto literacki, pogłębiony zadziornością dyskusji i polemik. Ambicje „Akantu” są wysokie i zmierzają do stworzenia miesięcznika wysoce opiniotwórczego. Aby tak mogło się stać w przyszłości, potrzebne są racje i oceny, których nie sposób podważyć.

2. Co jest dobre a co złe w „AKANCIE”?

Teresa Januchta: Dużo dobrego można by powiedzieć o „Akancie”.

Teresa Kowalska: Dobre jest m.in. to, co zostało wymienione w punkcie 1.

Według mnie złem, może koniecznym i nieuniknionym, lecz niewątpliwie starającym się służyć dobrej sprawie jest mnogość reklam, stale goszczących na łamach pisma. Osobiście mocno wątpię, iżby darczyńcy i sponsorzy zyskiwali jakąkolwiek mierzalną, a chociażby tylko cząstkową rekompensatę poprzez reklamy w nim pomieszczane. Nie sądzę bowiem, iż kategoria czytelników pism literackich choćby w najmniejszej mierze pokrywa się z kategorią inwestorów, czy też jakichkolwiek innych, poważniejszych konsumentów dóbr prostych. Skądinąd jest rzeczą jasną, że wielkoduszna hojność ze wszech miar zasługuje na wyróżnienie, a to z dwóch powodów. Po pierwsze cnotę należy bez wątplenia wyróżniać i nagradzać dla niej samej. Po wtóre cnotę, czynimy ją jak gdyby trochę zakaźną. Niemniej ja na miejscu Szanownej Redakcji starałabym się wymyślić taką formułę podziękowania

dla fundatorów, która mniej trąciłaby płaską komercją i nie stanowiła dysonansu z dalece nie komercyjnymi treściami „Akantu”.

Drugą, nie do końca fortuną moim zdaniem praktyką „Akantu”, jest pomieszczanie w jednym i tym samym numerze pisma licznych prac literackich tego samego autora. Osobiście ani przez chwilę nie podejrzewam „Akantu” o posuchę w przepastnej, redakcyjnej szufladzie, widząc natomiast trzy, cztery czy nawet więcej prac podpisanych wciąż tym samym nazwiskiem mimo woli przypominam sobie pewien rzeczownik abstrakcyjny, któremu na imię *klikierstwo*.

Piotr Rakowski: Dobre w „Akancie” jest wszystko to, co tworzy system wyraźnych czytelniczych preferencji i służy budowaniu autorytetu miesięcznika.

Złe w „Akancie” jest to, co przypadkowe nieprze-myślane, łącznie z „karuzelą” nazwisk w stopce redakcyjnej.

Arkadiusz Mika: Jak wcześniej napisałem „Akant” to przede wszystkim ludzie. Wierzę, że więcej jest w nich dobra niż zła. „Akant” dla mnie i – jak sądzę dla wielu innych Czytelników – stał się niezbędni-kiem, pomostem między sferą życia a sferą ducha.

„Akant” jest opisem swego czasu i ten opis pozostanie, gdy te czasy znikną. Co jest w nim złego? Po co doszukiwać się zła w tak pięknej idei?

3. Jaki procent treści średnio czytam w „AKANCIE”?

Co na pewno? Co najczęściej? Co od czasu do czasu?

Teresa Januchta: Czekam niecierpliwie na każdy nowy numer. Zaczynam czytanie od spisu autorów. Potem czytam poezję (dzieląc ją na „porcje”), szukam konkursów – niekoniecznie dla siebie, ale po to, by podzielić się informacją o nich z innymi osobami piszącymi. Przeglądam nowe tytuły. A kiedy mam trochę więcej wolnego czasu czytam dłuższe teksty: recenzje, opowiadania, eseje, głosy w dyskusjach. Jaki procent czytam? Trudno powiedzieć. Na pewno nie 100%, ale trochę ponad 50%. Choć często bywa, że wracam do dawnych numerów i „doczytuję”.

Teresa Kowalska: Z braku czasu nie jestem na ogół w stanie przeczytać pełnego numeru „Akantu”. Zależnie od możliwości czytam średnio od 33 do 40 procent artykułów zawartych w tym piśmie.

Nie ukrywam, że jako tłumaczka poezji języka niemieckiego największą skłonność odczuwam do czytania poezji właśnie, a to ze względów – jeżeli to można tak ująć – „treningowych”. W ten sposób staram się na coraz to nowych tekstach, biernie „trenować”, czy też „szlifować” swoją własną wrażliwość, wyobraźnię, leksykę.

W następnej kolejności pragnę wymienić opracowania krytycznoliterackie, odnoszące się do poezji. Wśród nich nie od rzeczy będzie tu wspomnieć wszelkiego rodzaju wzmianki o „mniejszoświetlonej stronie Parnasu”. Analiza warsztatu poetyckiego, dokonywana przez krytyka zawsze ma dla mnie nieoceniony walor poznawczy, nawet jeśli głównie jego tezy nie wydają mi się tak całkiem słuszne. W dalszej kolejności lubię sięgać po teksty krytycznoliterackie, odnoszące się do prozy, a także po eseje o szeroko rozumianej tematyce egzystencjalnej.

Piotr Rakowski: Osobiście czytam sto procent treści „Akantu”, ponieważ miesięcznik ciągle nie wyszedł z fazy prezentacji w fazę analiz literackich pogłębionych ocenami etycznymi i moralnymi. Brak też rezonującego eseju.

Arkadiusz Mika: „Akant” nosi podtytuł „miesięcznik literacki”, spełniając przy tym trudną rolę jednego z ostatnich ogólnopolskich. Treść, którą niesie to dobra lektura. Wymaga ona od swego Czytelnika, by na chwilę odłożył świat i wszedł w przestrzeń, której tak naprawdę nie ma.

„Akant” to poezja zarówno tych, co mówią, że piszą i tych, co piszą naprawdę.

Prozę w „Akancie” czytam chętnie pod warunkiem, że jest prozą życia. Abstrakcje i wynurzenia odrzucam. „Akant” to szansa dla młodych (często jedyna). Dodatek „Cudne Manowce” to często cudne wiersze, to dobra wróżba. Bardzo lubię czytać w „Akancie” opowieści o ciekawych ludziach czy pięknych uroczyskach ziemi, czytać wspomnienia o tych, których nie ma. A odchodząc zostawili ślad odcisnięty za pomocą słów w ludziach, czasach, ksiązkach.

Nie czytam zmagających z polityką, media tak bardzo od nich nabrzmiały, że strach włączyć telewizor, by ktoś nie mówił jak bardzo jest źle, i że nie ma jutra. Wierzę, że jutro będzie po co, więc poprzez „Akant” udowodniać innym winy, zmagając z siebie jej ślady.

„Akant” to także krytyka, w której często piszący krytycy chcą pokazać swój nienaganny warsztat, którego nie mają. Krytyki więc nie czytam wcale!

4. „AKANT” a inne czasopisma literackie. Podobieństwa i różnice.

Teresa Januchta: Jest w „Akancie” duża różnorodność tematyczna i formalna:

- stanowi źródło informacji o nowych tytułach literackich, konkursach i innych wydarzeniach kulturalnych,

- jest otwarty na nowych autorów, promuje młode talenty,

- włącza Czytelników do aktywnego kreowania wizerunku pisma (dowodem m.in. aktualna ankieta oraz plebiscyt „Tulipan” i „Mniejszoświetlona strona Parnasu”, a także dyskusje o literaturze).

Plusy i plusiki można by jeszcze wyliczać.

A co złego? Na pewno też można by to i owo ulepszyć, poprawić, ale i tak nie wszystkim się dogodzi. Osobiście wolę np. mniejszy format pisma (taki, który mieści się w damskiej torebce), ale ostatecznie „Akant” można złożyć jak gazetę. Tylko w przypadku dłuższych tekstów, zwłaszcza z drobną czcionką, zdecydowanie łatwiej czyta się np. „Topos”, „Studium”, „Literacką Polskę” czy nawet „Akcent”.

Pięknie wydawana była „Metafora” wzbogacona kolorowymi reprodukcjami malarstwa i grafiki. Co z tego, skoro jako kwartalnik ukazywała się, podobnie jak wiele innych pism literackich dość nieregularnie, a od jakiegoś czasu mówi się o niej w czasie przeszłym.

A „Akant” jest punktualnie co miesiąc.

Piotr Rakowski: „Akant” jest miesięcznikiem ciągle w fazie „Sturm und Drang Periode” i trudno niestabilną jego zawartość porównywać z innymi czasopismami literackimi.

5. Czym dla mnie jest „AKANT”?

Piotr Rakowski: „Akant” jest dla mnie ciekawą platformą wymiany poglądów, preferencji i ocen – w myśli deklaracji redakcji, iż *miesięcznik jest otwarty na wszystkie opinie*.

Teresa Januchta: „Akant” to moje ulubione piśmo. Najważniejsze, że jest i żeby było – coraz lepsze, coraz ciekawsze, coraz ładniejsze. Tego właśnie życzę jego Redaktorom, i sobie, i Czytelnikom.

Arkadiusz Mika: „Akant” to dla mnie przede wszystkim ludzie, którzy go tworzą, zapracowana redakcja w bramie ulicy Dworcowej, to tam się zbierają. Nie mogę więc podejść do „Akantu” przedmiotowo, lecz poprzez przyzmat wszystkich znanych i nieznanymi mi ludzi, którzy żyją w jego cieniu. Czym więc jest dla mnie? Bywa przyjacielem, czasami wynosi na „cudne manowce”, a gdy wracam nie szczędzi krytyki.

Życzenia jubileuszowe

„Akant” jest piśmem coraz lepszym i chyba jedynym, który lubi literaturę, ceni pisarzy, poświęca sporo miejsca uzdolnionej młodzieży literackiej, a o dojrzałych twórcach też pięknie pamięta. Redakcja „Akantu” staje bardzo mądrze w obronie literatury polskiej i życia literackiego, które – niestety – jest u nas w zamku.

Cieszę się z każdego nowego numeru „Akantu” – gdyż przynosi dobrą lekturę, pięknej wrażliwości, przynosi nadzieję poprzez sztukę a także bogaci nasz umysł, a serce czyni jeszcze bardziej dobrym na bliskość człowieka. Dziękuję Wam za to wszystko, co robicie dla kultury, już nie tylko polskiej, ale i europejskiej.

Z najlepszymi życzeniami z okazji 75. numeru.

Zdzisław Tadeusz Łączkowski
Warszawa

Proszę przyjąć najlepsze życzenia z okazji jubileuszu 75. numeru „Akantu”.

Mam nadzieję, że kolejne numery podtrzymują bardzo wysoką pozycję „Akantu” na rynku czasopism.

Bardzo serdecznie pozdrawiam całe kolegium Redakcyjne.

Tadeusz Lira-Słiwa
Wrocław

Jolanta Stelmasiak

JESIEŃ

Tao jesieni

1.
drzewo za oknem
kapie od złota

złoty mam ogród

szczęśliwe serce
takie bogate

2.
na grobie
mych dziadków
tłusta dżdżownica

wieczne
odpoczywanie

3.
deszcz zmył
ostatnie liście
z kurtyny drzew

zjawia się
kościółek
stary cmentarz

to chiński teatr
polskich cieni
jesiennych

4.
droga mej ucieczki

drżąca ścieżka

krzywych liter

27 października 1998 r.



Fot. Grzegorz Korba

Katarzyna Sarnowska

Pożegnanie

Jesień krwawe
palce rozkłada
Nagie szkielety brzóz
marzną na pustym tle
Sosny wiją się
w psychodelicznym
transie

Po bezlistnej łodydze
róża
skapuje
ostatnią
kroplą

L

A

T

A

Katarzyna Pilarczyk

przemknął liść
październikową zawieruchą
rozdarł serce na rdzawych
zadziórach przydrożnej rynnny

niesie uśpiony zgielek
wystygłego lata
z okrasą ptasich oddechów
rozprutych wytartą rutyną

suchy jak spuszczone oczy
jego godności
tętniącej resztki żalu

jak kwiaty z pąków
rozwiną się świeże
kłęby nerwów
zielonych nadzieją
jednego sezonu

październikową zawieruchą
w kałużę zdeptanego marzenia
upada liść

Roman Gorzelski

Kwiaty jesieni

Moje konie, czarne konie, biegną po tej ziemi,
Szare zboża, suche trawy stoją uciszone.
Owinięte w biel promieni zamarły strumienie,
A pod jesień rozkwitają czarne kwiaty – wrony...

Przeleciały w trzaskach skrzydeł pożegnalne ptaki,
Wiatr otwarty jak spadochron echo krzyków niesie...
Tylko morza szum daleki, tylko czerwień maków,
Pogubione ludzkie ślady błakają się po lesie.

Leżą liście, lecą deszcze i grozi wichura,
Twoje okna pojaśniały, a kontury ciemne
Wyciąga spod krajobrazu wielka śniegu chmura...

I dwa konie, czarne konie już biegiem zmęczone,
Szare zboża, suche trawy zaraz biel obejmie.
A pod jesień kwitną wszędzie czarne kwiaty – wrony...

Bogumiła Klak

Czas by potrząsnąć drzewem
Czas by liśćmi zaścielić drogę
Czas by Jesieni wyjść naprzeciw
naprzeciw Czasowi który nam siebie ścieli

Czas by głowę unieść górom
Zetknąć się chmurą
Czas by się dowiedzieć, że w drodze jesteśmy.

Andrzej Dębowski

Inna jesień

Wreszcie postanowiłem zobaczyć,
jak wyglądają wyspy szczęśliwe.
Kiedy zacząłem je smakować,
okazało się, że wrażliwość
nie jest dziś w cenie
na poetyckiej giełdzie.

Najlepsze wiersze wypłukują
z kamiennych płyt
kwaśne deszcze nienasyconej niezgody,
która bez jednego słowa
odchodzi – doprowadza
do szaleństwa biednego Apollina,
bo kruk już nie jest ani biały,
ani czarny.

Przez nagie otchłanie
błędnych ogni,
niewyspane tęsknoty
spijają z czarnych liści
porozwieszane promienie zorzy.
Norwidowe miłowanie –
gdzie okruczeństwo, jak opłatek –
jest dzisiaj mniej ważne,
niż niepewność, która nie pozwala
podać ręki obcemu człowiekowi
i wyrzuca go na bruk,
bez jednego słowa.

Ci, którzy nas kochali,
tracą zmysł równowagi
i sprzedają nas
za resztę z trzydziestu srebrników.

Boję się umierać,
bo nie wiem, czy ziemia, po której chodzę,
jest jeszcze moja
i tylko z przekładów dowiaduję się, że
poetom cmentarne bramy,
co truchleją na słońcu,
wyszarpnąwszy wprzód
lejce złego konia...

... i znowu
nie jest istotne,
że ten wiersz
nie poderwie z gruzów żdźbła oziminy,
nie wskrzesi spróchniałego kościotrupa,
ani szmacianych kukieł,
którymi bawiliśmy się
w dzieciństwie.

Nagle chciałoby się wykrzyknąć:
– Zaczekaj, świecie pastelowych promieni!...
Ale dookoła smutek –
pachnie naparem jesiennych pomruków...
Henri Michaux twierdził,
że poezja jest podarunkiem natury...
a ja przestaję w to wierzyć.

Sonia Langowska

Z Sieroszewskim do Europy

„*Oloncho są to heroiczne podania o czynach bohaterów – pierwszych mieszkańców Środkowego Świata, o protoplastach rodów i obrońców ludzi – Uraangchaj Sacha. Uraangchaj Sacha to także pradawna nazwa etniczna Jakutów(...)*”¹

Dla młodego pokolenia czytelników nazwisko WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO – rzecz przykra – z niczym się nie kojarzy. Dzieł pisarza i etnografa nie widać wśród lektur szkolnych, a uczeni filolodzy łączą go z osobą autora kilku powieści o Syberii, piastującego przed wojną lukratywne stanowisko prezesa Polskiej Akademii Literatury.

W czytelni naukowej miasta, w którym autor licznych o nim reportaży postawił sobie przed wojną dom letniskowy, nie ma żadnej jego książki. W położonej opodal bibliotece naukowej znajdują się tylko dwa spośród kilkunastu tomów dzieł wydanych w latach sześćdziesiątych przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. Jedną z najlepszych, bo najpełniejszych za istniejących dziś na świecie – monografią Sieroszewskiego o Jakutach, faktycznie niedostępna nawet w antykwariatach, została bezpowrotnie „zesłana” do magazynu bibliotecznego...

O Wacławie Sieroszewskim powoli się zapomina, choć pozostawił po sobie spuściznę wielką – łączącą dwa światy: europejski i azjatycki; prozę mocno nasyconą pierwiastkami naturalistycznymi, baśnie, powieści przygodowe i publicystykę, w tym cykl reportaży z podróży po Dalekim Wschodzie, w których przedstawił piękno unikatowej architektury m.in. Chin i Japonii; delikatne i kruche w swej urodzie pagody, ulice, domy i ich mieszkańców.

Ale nie o walory poznawcze tylko tu chodzi. Styl Sieroszewskiego utkany z najszlachetniejszego tworzywa, w pierwie – z racji rozłąki – nieco chropawy, z czasem zaczął obfitować w słowa i tropy semantyczne, które czerpał ze źródeł najbardziej krystalicznych: Mickiewicza i Słowackiego. Jeszcze dziś styl ten urzeka swoją odrębnością, a na tle innych jest nie do podrobienia. Czytając np. „*Pana Twardosta Twardowskiego*” – baśń uplecioną z wątków wędrownych, zachwy-

camy się znajomością realiów epoki Odrodzenia, ówczesnych obyczajów, charakterystyką plejady postaci odwiedzających ówczesną stolicę Polski, a także zręczną stylizacją polszczyzny renesansowej. Podziwiamy bogactwo opisu ulic Krakowa, z perfekcyjną wręcz dbałością o każdy detal; precyzję w oddaniu szczegółów kamienic, strojów i sprzętów domowego użytku. I tym, co nie tylko dla baśniowego nurtu twórczości Wacława Sieroszewskiego symptomatyczne – paletą barw. A jest to gama kolorów zrodzona – zapewne z euforii syberyjskiego „ślepcy” – na widok napotkanych po kilkudziesięcioletniej rozłące szafirów, srebrzystości, odcieni kwitnącego bzu, lecz także paletą głęboko tkwiącą w bogatym wnętrzu autora „*Pana Twardowskiego*”.

Sieroszewskiego przywołuje się obecnie przy okazji prowadzonych w Polsce i Jakucji badań etnograficznych. Czasem (również z przyczyn etnograficznych) wspomni się tę barwną postać z powodu rzadkiej wizyty cesarza Japonii. O dorobku prozatorskim i publicystycznym, a także biografii, którą mógłby obdzielić kilkunastu bohaterów, przypominają tylko autorzy pięknie wydanych encyklopedii. Trzeba więc wiele szczęścia, by otworzywszy leksykon, trafić na nazwisko tego pisarza...

Dwa lata temu Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego wydał, pod redakcją naukową prof. Antoniego Kuczyńskiego, niezbyt obszerną, choć cenną dla historyków literatury, etnografów i etymologów książeczkę zatytułowaną: „*Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś*”. Dla badaczy folkloru to szczególnie rarytas. Teoretycy literatury, specjalizujący się w analizie formalnej epiki bohaterstwa, znajdują tu analizę eposów jakuckich. Badacze muzyki, będącej ilustracją oloncho, trafią na unikatowy artykuł Anny S. Łarionowej: „*Muzyka jakuckich Oloncho*” ilustrowany nutami, zawierający badania rytmiki rapśodów czy opis pozatonalnego sposobu intonowania, a także analizę krztaniowych przydźwięków, które wytwarzają efekt niezwykle dwugłosowości, co dla współczesnych badaczy fonetyki akustycznej może stanowić nie lada gratkę!

W jednym z bardziej interesujących szkiców zawartych we wspomnianej książce pt.: „*Folklor ludów Jakucji w utworach beletrystycznych Wacława Sieroszewskiego*” – Igor S. Jemielianow pisze, jak istotne miejsce w historii rosyjsko-polskich i polsko-rosyjskich powiązań literackich zajmuje dorobek prozatorski tego autora:

„*Wśród pisarzy tworzących swoje dzieła o Jakucji (...) Sieroszewski wyróżnia się przede wszystkim tym, że w jego twórczości warstwa folklorystyczna i etnograficzna jest najbardziej wyrazista (...) Materiał etnograficzny i folklorystyczny jest (...) wykorzystywany nie tylko do opisów miejsca akcji, odzieży, obyczajów i tradycji, lecz służy także do tworzenia postaci czy typów charakteru (...)*”²

W książce, którą wydano na pamiątkę wzniesienia w Jakucku pomnika poświęconego pamięci Polaków, ofiar zesłań XIX wieku i masowych represji XX wieku oraz wybitnych badaczy ziemi jakuckiej – pośród wielu wspomnianych tu szkiców literackich poświęconych badaniom muzykologicznym, literaturoznawczym czy etnograficznym – zamieszczony został także artykuł pt. „*Słowo i czyn – życie i twórczość Wacława Sieroszewskiego*” pióra wnuka pisarza, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, historyka literatury i tłumacza literatury węgierskiej – Andrzeja Sieroszewskiego.

Być może o urodzie tego tekstu zdecydowało to, że piszący ma wsmieniony warsztat translatorski i pisarski. Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że do tekstu weszły także treści naddane, wynikające z łączących go z pisarzem więzów krwi i wspomnień z dzieciństwa, skupionych

wokół dużej biblioteki, w której ważne miejsce zajmowały książki o Maurycym Beniowskim, postaci utraconej na kartach powieści przez Wacława – a później omówionej przez autora szkicu w kontekście tradycji literackiej na stronach własnej dysertacji doktorskiej.

Jest tekst Andrzeja Sieroszewskiego piękna i spójna prezentacja życia i twórczości człowieka, którego pisarstwo wyrosło z chęci przekazania bliżnim tego, co widział i przeżył podczas zsyłki na Syberię: „*Choć umrę, nie zginę bez śladu. Powiększę ogrom świata przez atom mojej wiedzy i mego współczucia*”³ – Przywołując z kart wspomnień pisarza te słowa, autor szkicu kreśli jego sylwetkę, jego czyny, jego obfitujące w pierw w niepomysłne, później w piękne wydarzenia, losy...

Wacław Sieroszewski, potomek rodu szlacheckiego o zawołaniu „*Sreniawa*” przyszedł na świat 145 lat temu, 24 sierpnia. Wczesne dzieciństwo spędził w majątku położonym w Wólce Kozłowskiej pod opieką ojca i matki, Walerii z Ciemnowskich, kobiety starannie wykształconej, która miała niewątpliwie największy wpływ na kształtowanie się osobowości młodego Wacława. Ona bowiem, sama wiele czytając, zaszczepliła synowi miłość do książek. Miłość, która miała mu po latach uratować życie...

Po śmierci rodziców młody Wacław trafił pod opiekę krewnych i rozpoczął naukę w warszawskim Gimnazjum nr III. Niebawem, naraziwszy się władzom carskim za mówienie po polsku, został ze szkoły wyrzucony. Trafił do warsztatu ślusarskiego, a później do Technicznej Szkoły Kolejowej. „*Po dwuletnim terminowaniu u ślusarza (...) nie porzucając szkoły, został robotnikiem w warsztatach Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej (...)*. W 1877 roku przystąpił do działającego na terenie szkoły tajnego stowarzyszenia, które miało na celu wyzwolenie Polski spod jarzma rosyjskiego”⁴.

Pierwsze fascynacje polityczne Sieroszewskiego sięgały lektur, które wyrosły z nadziei na poprawę ludzkiego losu: Lassalle’a, utopii Saint-Simona i Fouriera. Stąd pewnie także wynikło zaangażowanie się Sieroszewskiego w ruch robotniczych kółek i kas oporu. Ale aktywność, przewożenie bibuły rewolucyjnej i broni skierowały na postać młodego pracownika kolei baczne oczy carskiej Ochrany. Bardzo szybko został aresztowany i na przełomie lipca i sierpnia 1878 roku trafił do X Pawilonu Cytadeli. „*Tak rozpoczął się w jego życiu rozdział więźnia i zesłańca, droga na północno – wschodnie kresy Syberii, skąd wrócić miał do Warszawy za lat dopiero dwadzieścia*”⁵.

Gdy w 1879 zastrzelono jednego z młodych więźniów, w Cytadeli wybuchł bunt.

Któregoś dnia na widok wkraczającego do celi – w obstawie żołnierzy i żandarmów – komendanta twierdzy, gen. Ulrycha, Sieroszewski rzucił w jego stronę ramą wyrwaną z okna. Natychmiast został postawiony przed sądem i oskarżony o zamach na życie komendanta więzienia. Przed utratą życia uratowało go niezwykle oświadczenie gen. Ulrycha, który stwierdził, że więźniowi rama sama wypadła z rąk...

Sieroszewskiego skazano na osiem lat twierdzy, jednak wyrok został później zmieniony na zesłanie i osiedlenie na najdalszych krańcach wschodniej Syberii wraz z pozbawieniem praw. 22 sierpnia 1879 roku więzień wyjechał pociągiem do Wierchojańska, do którego dotarł po ośmiu miesiącach podróży! Do Niżnego Nowgorodu podróżował przez Moskwę i Wyżnij Wołoczok pociągiem, potem barką do Topska, pieszo do Krasnojarska i Irkucka, saniami po Lenie do Kiereńska i Jakucka, a do celu podróży – Wierchojańska dojechał konno.

Utrzymując się z myślistwa, wyrobu bizerii, a przede wszystkim z prowadzenia warsztatu kowalskiego, mieszkał w Wierchojańsku bez mała trzy lata. W tym czasie zauważył, że minerały, które przynosili do niego tubylcy zawierają ołów z domieszką srebra. Badając te próbki, odkrył również istnienie rud żelaza w okręgu kolymskim i wierchojańskim.⁶ Powoli w umyśle przyszłego etnografa zaczęły się krystalizować pierwsze zainteresowania naukowe, które urzeczywistniły się w książce wybitnej – monografii

Stowarzyszenie Archiwistów Polskich

Zarząd Główny

ul. Bonifraterska 6 lok. 21,
00-213 Warszawa, tel. (22) 635 87 68,
tel./fax (22) 831 31 71
www.sap.waw.pl, sap@sap.waw.pl

Jesteśmy najstarszą, największą i najbardziej profesjonalną firmą archiwistyczną w Polsce. Działamy na polskim rynku już od 37 lat.

Zakres naszych usług obejmuje, m.in.: Archiwizacja od @ do z

- tworzenie planów organizacji i zarządzania dokumentacją
- przechowywanie dokumentacji
- prowadzenie działalności szkoleniowej w ramach Centrum Edukacji Archiwalnej
- archiwizowanie, porządkowanie dokumentacji
- tworzenie archiwów elektronicznych
- opracowywanie przepisów kancelaryjno-archiwalnych.



Archiwizacja od @ do z

Archiwizacja od @ do z

Jakutów, wydanej w Polsce w 1900 r. pod tytułem „12 lat w kraju Jakutów”.

Bez złudzeń na powrót do Polski, Sieroszewski podjął próbę normalnej egzystencji w piekle syberyjskich mrozów. Pracował, udzielał rad okolicznym mieszkańcom, przyjaźnił się z tamtejszymi zesłańcami. W domu Jana Zaborowskiego, który na Syberii znalazł się za udział w powstaniu styczniowym, poznał Sieroszewski siostrę jego żony, Jakutkę, Arinę Czelba-Kysa, z którą postanowił związać swe losy i ożenić się. Rok lub półtora po zaślubinach, przysłała na świat ich córka, Maria. Żona pomagała Waclawowi w nauce języka jakuckiego, w spisywaniu informacji o Jakutach; z pełnym poświęceniem wspierała w przygotowaniach Sieroszewskiego do ucieczek, pierwszej w 1881 r. i drugiej zaplanowanej rok później, obu, niestety, nieudanych. Świadcstwo tamtych dni zawarł zesłaniec w napisanej w jakiś czas potem powieści pt.: „Ucieczka”. Za próbę oddalenia się, uznany za prowodyrą ucieczki, zesłaniec został skazany na wieczyste osiedlenie się w miejscowości oddalonej przynajmniej o sto wiorst od rzeki, drogi handlowej i miasta.

W 1883 roku Sieroszewski zamieszkał u książy Andrieja i Apollona Slepcowych. Andrzej Sieroszewski pisze o tym tak: „To tam na „kresach lasów” dojrzała w nim myśl, że zostanie pisarzem. (...) jesienią 1883 roku w dalekiej tajdze północno-wschodniej Syberii narodził się pisarz Waclaw Sieroszewski”⁷ Pierwsze swoje opowiadanie pt. „Chajlach” napisał atramentem z wywaru z kory wierzby na skrawkach gazet i tekturkach.

Debiutanckie tomiki opowiadań zostały wydane nielegalnie do Polski i wydrukowane w warszawskim „Głosie” pod pseudonimem Sirko.

Kolejne lata, dzięki staraniom siostry pisarz spędził w bajagantajskim ułusie. Tam, popadł w większą niż dotychczas biedę; utrzymywał się ze sprzedaży zębów niedźwiedzi i kłów mamucich wydobywanych z ziemi, łowił ryby, które sprzedawał.

Los nadal nie był łaskawy dla młodego zesłańca. W 1887 roku zmarła na gruźlicę jego towarzyszka życia, Arina, zwana przez męża Anuszką. Waclaw wraz z córką przenieśli się bliżej Jakucka, do namskiego ułusu. Ale nie były to pod względem materialnym lata łatwe, choć w miejscu, w którym się znalazł, mieszkało wielu zesłańców, a samotność łagodziły spotkania organizowane zwłaszcza w domu Aleksandra Sipowicza, studenta medycyny z Polski. (Szerzej o pobycie zesłańca w namskim ułusie czytelnik może przeczytać we wspomnieniach Waclawa Sieroszewskiego oraz w listach do siostry Pauliny, z których zachowało się osiemnaście).

W tym czasie Sieroszewski pracował na utrzymanie siebie i córki, i pisał, również pierwsze artykuły etnograficzne o Jakutach i innych ludach zamieszkujących Syberię, m.in. w 1890 roku zamieścić w czasopiśmie „Sybirskij Sbornik” szkic pt. „W co i jak wierzą Jakuci”.

Dzięki nieustannej nadziei na powrót do ojczyzny i staraniom autor „Ucieczki” w 1890 roku doczekał się uchwały gromady Tiuchtur o przyjęciu go do tej gminy. A w 1892 roku przyznano mu paszport osiedleńczy i prawo poruszania się po Syberii Wschodniej. O trwającej dwa miesiące podróży do Irkucka napisał w wydanej w 1903 roku powieści „Powrót”.

Autor szkicu zamieszczonego w książce „Z kraju nad Leną (...)” pisze również, czym Waclaw Sieroszewski zajmował się w Irkucku: (...) zamiatat ulice, wypisywał blankiety podatkowe w magistracie (...) został pomocnikiem sekretarza miejscowej Dumy. Gdy tę pracę utracił, miał nawet zostać nauczycielem tańca w żeńskim gimnazjum, ale temu sprzeciwiła się żandarmeria”⁸.

Na szczęście powoli zła passa zaczęła się odwracać. Sieroszewskiemu pomógł niedysydniejszy współwzięcie X Pawilonu, Stanisław Landy, rekomendując go Annie Gromowej i etnografowi Mitrofanowi Pichtinowi, członkowi irkuckiego oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Pichtin, zaznajomiony się z notatkami Waclawa o Jakutach, skłonił Gromową, wła-

ścicielkę firmy futrzarskiej, by wspomogła finansowo badania etnograficzne młodego zesłańca. Przed Sieroszewskimi otwarły się drzwi miejscowego muzeum oraz biblioteki irkuckiego oddziału Towarzystwa Geograficznego:

„Uzyskałem dostęp do muzeum i biblioteki Irkuckiego Wydziału Towarzystwa geograficznego i wziąłem się do pracy. Znalazłem tam moc książek, broszur, rękopisów traktujących o kraju i mieszkańcach ziemi Jakutów, ale wszystko to były przyczynki niezmiernie nieraz cenne, przeważnie przyrodnicze, nie obejmujące jednak ani całości kraju, ani całości życia jego mieszkańców. Aby więc napisać studium etnograficzne Jakutów, musiałem zacząć od podstaw, od samego początku.”⁹ Kolejne lata zeszyły pisarzowi na pisanie monografii Jakucji, pracy bardzo żmudnej, zważywszy rozpiętość zagadnień, którym poświęcił karty książki.

W 1894 roku Sieroszewski znalazł się w Petersburgu, a po ukazaniu się książki „Na kresach lasów” na dobre zaistniał w tamtejszym środowisku literackim. Nawiązał nowe, serdeczne przyjaźnie z przedstawicielami rosyjskiej inteligencji. Rok później spotkał się po raz pierwszy z Józefem Piłsudskim, krótko po tym przyjechał nielegalnie do Warszawy. Będąc w Grodnie, złożył wizytę Elizie Orzeszkowej, wielkiej orędownicze jego talentu.

W 1896 roku ukazała się w Petersburgu książka pt. „Jakuty. Opyt etnograficznego issledowanija” tom I, książka, która nie tylko otrzymała doskonale recenzje i „namaszczenie” rosyjskich etnografów, lecz dzięki wnioskowi profesora Katedry Historii Wschodu Uniwersytetu Petersburskiego, Nikołaja Wieselowskiego została uhonorowana złotym medalem. Waclaw Sieroszewski otrzymał pozwolenie na powrót z żyłki do ziemi ojczystej.

W przedmowie do II polskiego wydania I tomu monografii Waclaw Sieroszewski pisze: „(...) Spędziłem wśród Jakutów przeszło dwanaście lat, poznałem ich język i obyczaje, przecięłem kraj ich parękroć wzdłuż i w poprzek (...). W czasie pobytu w ułusach bajagantajskim i namskim zwiedziłem: siolo Amgę, ułusy baragoński, baturuski, megerński, wschodnio – i zachodnio-kangalaskie; odbyłem oprócz tego podróż rzeką Leną do ujścia Aldanu. Te podróże zapoznały mnie z konfiguracją kraju i bardzo wzbogaciły moje notatki etnograficzne. Zaczęłem je robić od pierwszych dni mego pobytu w kraju Jakutów, z początku w celach powieściowych, następnie, przeczytawszy kilka dzieł o Jakutach, zaciekawiłem się tym plemieniem i zacząłem notować wiadomości już według programów ludoznawczych. (...) Szkiełowałem rysunki, odbitki wzorów, gromadziłem przedmioty dla muzeum, lecz przesładowania policyjne, rewizje nagłe przenoszenia z miejsca na miejsce ogromnie mi w tym przeszkadzały i dużo zbiorów i rękopisów zniszczyły.”¹⁰

Pierwsza część I tomu „Jakutów” składa się z trzynastu rozdziałów. Przedstawiają one po kolei: ukształtowanie terenu Jakucji: góry, rzeki, lody podziemne i zarys ogólny z lotu ptaka; precyzyjny opis warunków klimatycznych, temperatury poszczególnych pór roku, analizę wiatrów i opadów; opisują roślinność oraz faunę.

Ta część monografii poświęcona jest również pochodzeniu Jakutów, ich dawnej ojczyźnie, przypuszczalnym drogom wędrówki, walekom o ziemię z Tunguzami, a także danym antropologicznym, być może zweryfikowanym przez późniejszych badaczy: „Z powierzchni Jakuci rozpadają się na trzy wyraźne odłamy; 1. Metysow, powstałych przez skrzyżowanie z Rosjanami; 2. Monogoto-Turańczyków, do których należą i Metysi tunguscy, i 3. Odłamy – właściwie turańskie. Ostatnia grupa ma smukłe członki, małą suchą głowę, nos z lekka garbaty, usta wąskie jaskrawomalinowe, oczy podłużne, blyszczące. (...)”

Jakutów zaliczyć wypada do ludów niewysokich; 67% z nich należy do ludzi mniej niż średniego wzrostu. Przeciętna ich wysokość waha się między 1601mm i 1625 mm. (...)

Kobiety są o 156 mm niższe od mężczyzn. Rosną Jakuci do lat 26–30 (!). Są zwięzli i krępi.

(...) Ręce mają długie i cienkie; nogi krótkie, krzywe, tatarskie; miednicę wąską, poślądki małe.

Żołądek mają umiarkowany, choć u osób źle odżywianych, dendrofaagów, karmiących się tykiem sosny lub modrzewiu, rozpycha się on do potwornych rozmiarów. (...)

Ze zmysłów najlepiej mają rozwinięty słuch, potem wzrok, smak i powonienie. Słyszają wybornie i daleko (...).¹¹

Karty monografii zawierają również informacje dotyczące rozmaitych chorób, które dręczyły społeczność jakucką: „(...) na północy w błotnistych miejscowościach, gdzie mieszkańcy karmią się przeważnie najgorszego gatunku rybami, tai się po kątach – trąd. Mieszkańcy strasznie się boją tej choroby, zwą ją «chorobą wielką» (...) chorych wydalają ze swych gmin i osadzają w osobnych koloniach.”¹²

Jest też w pierwszej części „Jakutów” sporo wiadomości o pokarmie, o mlecznej wódce i kumysie oraz sposobach jego wyrobienia, a także jego właściwościach: „Stary, skwaśniały kumys podobny jest w smaku do kwasu ogórkowego; świeży z lekka syczy z nadmiaru kwasu węglanego; wypity w większej ilości – upaja. W drodze jest wybornym napojem, który szybko wraca utracone siły i wzbudza krążenie krwi.”¹³

Z właściwa sobie starannością Sieroszewski opisuje jakuckie odzienie: „(...) ze starych jakuckich ubiorów ocalały dotychczas bez zmiany tylko futrzane kołpaki, króciutkie spodnie skórzane i siatkowa opaska z czarnego włosienia na oczy, chroniąca wzrok od blasku śniegowego i wiatru. Czapek rozmaitych kształtów noszą Jakuci kilka odmian, ale najpowszechniejszym jest kaptur aksamitny, niegdys zamkowy, podbity i obszyty futrem. (...) Kobięcą czapkę jakucką szyje się z drogich futer rysich, bobrowych z czarnych ogonów wiewiórczych (...) Czubek ma z czarnego sukna, z czerwonymi lub zielonymi wzorzystymi wszywkami, z przodu do czubka bogaci przypinają okrągłą blaszkę srebrną. (...) Z odzieży zasługuje na uwagę długi do kolan kaftan, zwany po jakucku son. Letni son robi się na cienkiej podszewce z cienkiego sukna, welwetu lub innego materiału – zimowy z zamsku, sukna lub aksamitu.”¹⁴

Ciekawostki dotyczące utrzymywania higieny wskazują również na role kobiet i mężczyzn w społeczności jakuckiej: „Obudzony ze snu mężczyzna przede wszystkim sięga po fajkę i kapciuch, a kobieta biegnie do komina i rozpala ogień. Oboje są zupełnie nadzy. Najpierw nawlekają koszule, którą kobieta bez względu na porę roku przynosi zaraz z dworu i ogrzewa u ognia. Mężczyzna też zuleka się z łóżka i siada na stołeczku przed ogniem, gdzie zwykle się ubierają wszyscy mieszkańcy jurty. (...) młode kobiety i dziewczęta szczególnie starannie obuwają nogi, zawiązują rzemienie, co służy za miarę ich smaku i zręczności. Rozwiązane obuwie przy pracy lub zabawie naraża na śmieszność i bardzo psuje reputację.”¹⁵

Przedstawiona została w tej wybitnej książce struktura rodu jakuckiego: „W rzeczywistości rody nie dzielą się według stopni pokrewieństwa swych członków i nie łączy ich często prócz gluchego, niepewnego podania o wspólnym przodku (...) O organizacji starożytnych rodów jakuckich można snuć tylko domysły na podstawie badań, pieśni bohaterów, obyczajów jakuckich oraz analogii z urzędzeniami innych pasterskich narodów turańskich (...) Prócz zwykłej rodziny istnieje u Jakutów rodzina rozgałęziona (...) liczy się pokrewieństwo tylko w linii ojcowskiej (natomiast, wbrew nazwie, usuwa ze swego grona całkowicie krewnych matki)”¹⁶

O weselu pisze Sieroszewski z pozycji bezpośredniego świadka: „Jesień 1884 roku spędziłem na Jąży w kołymskim ułusie, u starego Jana Slepowa, niedawno wybranego na księcia. W połowie października, z miejscowości o 70 wiorst od nas odległej, przysłano nam zaproszenie na wesele. Bogaty gospodarz Dymitr wydawał za mąż córkę i wyprawiał pierwszą główną ucztę weselną. (...) Ceremonia zaślubin Jakutów została przez autora monografii przedstawiona z fotograficzną dokładnością: są więc opisy strojów i pary młodej, i weselników, wszelkie rytuały poprzedzające moment uczy, kulinarne specjalności szczególnie na ten dzień wyszykowane, a tak-

dokończenie ze str. 7

ze część artystyczna: „W czasie kolacji ślepy śpiewak skandował oloncho (jakucki rapsod), za co ten i ów obdarzył go kawalem tłustego mięsa, zupełnie jak to opisane w *Odysei*”¹⁷

Wacław Sieroszewski, pisząc monografię Jakutów, badał również strukturę języka jakuckiego, posiłkując się gramatyką Böhtlinka i jego słownikami, i choć był klasycznym samoukiem, w mistrzowski sposób dokonał analizy języka, wywodzącego się z innej przecież niż słowiańska rodziny językowej. Swą rzetelną metodologią Sieroszewski dziś jeszcze zdumiewa współczesnych językoznawców. W badaniach nad językiem jakuckim nie mało miejsca zajmuje analiza leksyki oloncho.

„Mają jednak Jakuci śpiewaków z powołania i pieśni o stałej melodii i treści. Aby poznać je, trzeba długo wśród Jakutów przemieszczać, zbadać ich byt, zrozumieć ducha, przyzwyczaić słuch do dźwięków obcych, początkowo niemiłych i odrażających. Z początku wszystkie pieśni wydają się podobnymi do siebie, jak podobnymi wydają się z początku i wszystkie twarze jakuckie. Powoli wypływają różnice i wyłania się tubylcze poczucie piękna (...)”¹⁸

Są i w monografii Sieroszewskiego podania, piękne baśnie, nieco inne od europejskich, zwłaszcza w opisie magicznych atrybutów bohaterów i, co oczywiste, różnej scenarii wydarzeń, dla czytelnika nie-Azjaty zupełnie niepojętej. W utworach tych, gdzie dobro zmagają się ze złem, ponure duchy i okrutni bogowie pomagają często złym bohaterom. „Ale chociaż te złe istoty często chętniej się swym pokrewieństwem z Ulu – Tononem, bóstwem potężnym i ciemnym mitologii jakuckiej, jednak nie są one właściwie złymi duchami w naszym europejskim lub szamańskim znaczeniu tego słowa (...)”¹⁹

Również wierzenia Jakutów zostały przez autora monografii potraktowane z właściwą mu skrupulatnością: „Większość Jakutów wcale sobie nie wobraża życia pozagrobowego, nie myśli o nim. Niektórzy mówili mi, że to jest „wieczna podróż przez niezmierną pustynię piechotą lub na pogrzebowym bydłcu (...) Inni odpowiadali, że „jest, zdaje się, pod ziemią świat zupełnie podobny do naszego” (...) Żadnych okropności, ale i żadnych szczególnych nadziei (...) Człowiek los swój zabiera sobą wraz z narzędziami, odzieżą, pokarmem, jakie mu włożą do trumny. Stąd starożytny zwyczaj wśród Jakutów zabijania koni wierzchowych i nalożnic na grobie ich panów(...) Byłem świadkiem dziwnie tragicznej sceny. Umierała 22-letnia piękna i żyć pragnąca kobieta. Wciąż ją szarpała na przemian to nadzieja, to rozpacz, aż postanowiła rozwiązać wątpliwość, wezwła swe czteroletnie dziecko i spytała, czy umrze? Mały Jakut patrzył zdziwiony na matkę(...) Oczy chorej gorączkowo płonęły, ręce jej drżały, dziecko ociągało się, wreszcie wyrzekło: „Ty umrzesz”. I od razu chora zbladła i uspokoiła się. Kazała się umyć, uczesać, ubrać do trumny w najlepsze suknie i łagodnie, zyczliwie, prawie wesoło, rozmawiała z otaczającymi (...)”²⁰

To zaledwie część monografii o Jakutach, której drugi tom wciąż jeszcze czeka na swą publikację. I choć cytowane fragmenty książki nie odnoszą się do plemienia potężnego, którego dobrobek w znaczny sposób wzbogacił kulturę ludzkości, to jednak demonstrują metodę, jaką posłużył się pisarz, tworząc, by użyć słów Witolda Armonowa, najlepszy i najbardziej wszechstronny obraz folkloru Jakutów.

Drogę do literatury polskiej otworzyły Sieroszewskiemu powieści „Na kresach lasów” i „W matni” szczerze chwalone przez admiratora jego talentu – Elżbę Orzeszkową oraz Aleksandra Świętochowskiego. W 1898 roku pisarz wrócił do Warszawy. Dość szybko wszedł do kręgu literackiego skupionego wokół osoby Stefana Żeromskiego. Nie przestał zajmować się polityką, choć wrócił do kraju pod tym warunkiem, że właśnie polityką zajmować się nie będzie. Niepokorny nawiązał współpracę z Józefem Piłsudskim, założył spółkę, która nabyła od Aleksandra Świętochowskiego „Prawdę”. W rok po przyjeździe ożenił się.

Nie minęło wiele czasu od jego powrotu z Syberii, a bacznie obserwowany przez Rosjan Sieroszewski znów został poświadczony o działalności wyrotowej (zorganizowanie pochodu robotników z okazji odsłonięcia pomnika Mickiewicza). Został aresztowany i osadzony na powrót w X Pawilonie. Wypuszczony za kaucją po kilku miesiącach odsiadki, o mało co ponownie nie wyruszył do Irkucka (był nadal członkiem tamtejszej gminy mieszczkańskiej), lecz z odsieczą przyszedł przychylny mu senator Siemionow, który zaproponował udział w ekspedycji naukowej na wyspy japońskie zamieszkałe przez plemię Ajnów. I znów, wieczny tułacz, Wacław Sieroszewski wyruszył na Daleki Wschód. Spotkawszy się z bratem późniejszego marszałka, Bronisławem Piłsudskim, przystąpił do badań nad plemieniem Ajnów. Nie trwało to jednak zbyt długo, bowiem z powodu zbliżającego się konfliktu rosyjsko-japońskiego, władze japońskie nakazały obu etnografom opuścić Japonię. Sieroszewski udał się w drogę powrotną do domu przez Tokio, Koreę, Chiny, Cejlon, Egipt i Włochy. Podróż tę opisał w książkach „Na Daleki Wschód” (1904) i „Korea” (1905). Ślady pobytu na Dalekim Wchodzie odnaleźć można również w opowieści „Ol – Soni – Kisańi” (1906) oraz w powieści historycznej „Miłość samuraja” (1926).

Po powrocie do kraju, znów znalazł się blisko Józefa Piłsudskiego. Mocno zaangażował się w sprawy polityczne: brał udział w zebraniach konspiracyjnych niepodległościowych grup PPS. W 1905 roku zajął redakcję „Kurieru Powszechnego” i po raz trzeci został osadzony w X Pawilonie Cytadeli. Wypuszczony z więzienia, musiał się jednak salwować ucieczką z Warszawy, bowiem władze carskie wystosowały za nim list gończy. I znów, jak poprzednio, groziło mu zesłanie na Syberię. Dzięki pomocy ludzi dobrej woli znalazł się w Krakowie, do którego sprowadził żonę i trzech synów.

Andrzej Sieroszewski podkreśla, że to w tym czasie siostra Wacława, Paulina, zaprzęgnęła sprowadzić do Polski córkę Sieroszewskiego – Marię. Wacław wysłał córce pieniądze na podróż, ale Maria na przyjazd do Polski się nie zdecydowała. Antoni Kuczyński w zawartym w książce „W kraju nad Leną (...)” artykule pt. „Chciałem się pana zapytać, czy Wacław Sieroszewski żyje jeszcze?” pisze: „(...) przychodzi mi na myśl kwestia ustalenia losów córki Wacława Sieroszewskiego i jej ewentualnej rodziny. Maria Sieroszevska w okresie międzywojennym mieszkała w Moskwie, gdzie pracowała jako nauczycielka. Znany jest jej adres z lat 30. – Moskwa 6, Bolszaj Tujinkowskij Pierieutek 7 m.13. Jakże były jej późniejsze losy, nie wiadomo. Prawdopodobnie podczas wojny, kiedy wojska niemieckie zbliżyły się do stolicy ZSRR, została ewakuowana na wschód. Gdzie mieszkała, nie wiadomo. Jest to więc jedna z ważniejszych zagadek z obszaru związków polsko-jakuckich. Czy badacze (...) podejmą się jej rozwiązania?”²¹

Wacław Sieroszewski w 1906 roku zamieszkał w Zakopanem, które w tych latach było ośrodkiem tętniącym życiem i kulturalnym, i politycznym. To tam przebywało wielu pisarzy i poetów. Tam również znalazł swoją przyszań Żeromski ze swoją pierwszą żoną Oktawią i synem Adasiem. Niestety, pod względem materialnym lata te nie należały dla Sieroszewskiego do najłatwiejszych. Honoraria, które otrzymywał za książki, nie były płacone regularnie, choć obdarzony talentem i chęcią łatwości pisania, tworzył wiele. Znów w twórczości pojawiają się motywy japońskie, jak choćby w wydanym w 1909 roku zbiorze nowel „Z fali na fale”. Z tego okresu pochodzi również słynna polemika Sieroszewskiego z Sienkiewiczem...

Zakopane było tylko krótkim etapem w życiu pisarza. Namówiony przez Żeromskiego wyjechał wraz z rodziną do Paryża i jako człowiek bardzo aktywny szybko zaistniał w życiu kolonii polskiej zgromadzonej we Francji. „Razem z Żeromskim, Reymontem, Stanisławem Ostrowskim, Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, Strugiem i Olgą Boznańską należał do członków założycieli (...) powstałego w 1911 roku Towarzystwa Artystów Polskich, które zajmowało się szerzeniem polskiej kultury, organizowało wiele interesujących imprez Zo-

stał także prezesem Polsko-Tureckiego Towarzystwa Studiów, Sztuki i Literatury, powołanego z inicjatywą działaczy Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (...)”²²

Działając na niwie kulturalnej i politycznej, Sieroszewski stałe pisał. To w tym okresie powstały książki wyrosłe z fascynacji sylwetką Maurycego Beniowskiego, człowieka czynu, bohatera, któremu udało się zrzucić okowy i uciec z Syberii.

W 1913 roku Sieroszewski wstąpił do Paryskiego Oddziału Związku Strzeleckiego, namawiając w ten sposób polską młodzież, mieszkającą we Francji do udziału w ruchu niepodległościowym, tworzonemu w kraju przez Piłsudskiego. I znów, jak poprzednio, był obserwowany przez tajników carskiej Ochrany, będąc nawet podejrzewany o wspólny z Piłsudskim zamach na życie cesarza. O powrocie do Polski zdecydował dosłownie na kilka dni przed wybuchem wojny.

„Niebawem jako żołnierz drugiej kompanii kawalerii 1 pułku piechoty przeszedł chrzest bojowy w Kielcach, po czym został przeniesiony do oddziału ułanów Władysława Beliny Prażmowskiego. Służba była ciężka, bo Belina nie oszczędzał swoich żołnierzy, ale blisko sześćdziesięcioletni Sieroszewski przez rok pozostawał na froncie.”²³ Za męstwo w służbie wojskowej został już po wojnie odznaczony Krzyżem Walecznych i krzyżem Virtuti Militari V klasy (1922) W sierpniu 1915 roku Sieroszewski wraz z innymi działaczami zaczął budować zaplecze ideowe i organizacyjne dla Piłsudskiego. Jesienią tego samego roku znów wyjechał na front, by walczyć nad Stochodem, m.in. w bitwie nad Kolkami. Po powrocie z placu boju został wybrany do Warszawskiej Rady Miejskiej, która mimo niewielkich uprawnień była przecież symbolem polskiej władzy państwowej.

W 1917 roku – w czasie, gdy Piłsudski przebywał w Magdeburgu – powstała ściśle zakonspirowana tzw. Organizacja A oraz jej Konwent stojący „na stanowisku, że jedyną szansą dla sprawy polskiej jest jednoznaczne wystąpienie przeciw okupantom”²⁴ Sieroszewski będąc w składzie Konwentu musiał się ukrywać, po kraju poruszał się nielegalnie, był aresztowany, ale udało mu się uciec.

Kiedy z 6 na 7 listopada 1918 roku powołano w Lublinie, Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, ze stojącym na czele Ignacym Daszyńskim, Wacław Sieroszewski został ministrem propagandy. 10 listopada został wysłany do Warszawy w celu zmobilizowania Polskiej Organizacji Wojskowej, do wystąpienia przeciwko Niemcom. W Warszawie Rada Regencyjna przekazała Piłsudskiemu pełnię władzy, ale do rządu Jędrzeja Moraczewskiego Sieroszewski już nie wszedł.

Wacław Sieroszewski był człowiekiem czynu. W okresie międzywojennym brał aktywny udział w życiu publicznym nowonarodzonego państwa polskiego. W latach 1920-1921 i 1927-1930 pełnił funkcję prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich. W charakterze delegata Polskiego PEN-klubu uczestniczył w spotkaniach w Londynie (1927), Oslo (1928) i Dubrowniku (1933). Był członkiem Straży Piśmiennictwa Polskiego i prezesem Towarzystwa Polsko-Chińskiego. W 1929 roku reprezentował Polskę w Stanach Zjednoczonych podczas uroczystości zorganizowanych z okazji 150. rocznicy śmierci Kazimierza Puławskiego. W 1930 roku otrzymał w Paryżu order Legii Honorowej.

Nie ustawał w pracy literackiej. Pisał reportaże, beletrystykę, m.in. w 1930 roku wspomnianą na początku tego artykułu powieść pt.: „Pan Twardost Twardowski”. Spod pióra Sieroszewskiego wyszło także kilka scenariuszy filmowych oraz dramat „Bolszewicy”.

Ukoronowaniem działalności literackiej pisarza było z pewnością powierzenie mu funkcji prezesa Polskiej Akademii Literatury, którą kierował do chwili wybuchu wojny.

Był jedną z nielicznych osobowości politycznych, która po wkroczeniu Niemców do Polski, nie wyjechała z kraju. „Nie skorzystał z propozycji opuszczenia Warszawy wraz z rządem. Pozostał ra-

zem z rodziną w domu, w którym mieszkał od połowy lat dwudziestych z przy ulicy Górnośląskiej 16".²⁵ Zmarł 25 kwietnia 1945 roku w szpitalu w Piasecznie wskutek zapalenia płuc, które wywiązało się po urazie obojczyka i łopatki. „W pogrzebie mógł wziąć udział tylko jeden syn i nieliczna tam wtedy rodzina. W 1949 roku jego prochy zostały przewiezione do grobu rodzinnego na Powązkach, gdzie spoczął obok zmarłej” trzy lata wcześniej (...) żony”.²⁶

W czasach obiektywnie niełatwych twórczość Wacława Sieroszewskiego: monografię Jakucji, liczne powieści, nowele oraz publicystykę powinno uchronić się od zapomnienia, przede wszystkim dlatego, że utwory te dają świadectwo siły i woli walki człowieka o przetrwanie. Lecz nie jedyny to powód dążeń do renesansu i ponownej apercpekcji dorobku literackiego tego pisarza. Powieści, odwołujące się w swej tematyce do zsyłki na Daleki Wschód, ukazują przestrzeń Syberii wypełnioną sylwetkami wywodzącymi się z dwóch światów: europejskiego i azjatyckiego; przy czym – kreśląc wizerunki wykreowanych przez siebie bohaterów – Sieroszewski wykorzystał swoje bardzo obfite obserwacje folklorystyczne i etnograficzne. Utkane są te postaci z pierwiastków ludowych, z całą perspektywą kultury ludu jakuckiego.

Jak już powiedziano na wstępie, prozę Sieroszewskiego charakteryzuje wielka dbałość o brzmienie frazy, o urodę słowa, wreszcie o ich bogactwo. Na każdej niemal stronie i nie dotyczy to tylko prozy fantastycznej, uwypuklona została barwa i jej odcienie, jakby na przekór intensywnej bieli i szarości otaczającej pisarza przez lat bez mała dwadzieścia. Powieści i nowele Wacława Sieroszewskiego są doskonałym materiałem badawczym dla historyków i teoretyków literatury, a także dla tych, których nęci problematyka muzyczności dzieła literackiego. Są również unikatową substancją etnograficzną, która wciąż jeszcze czeka na pełniejszą od istniejących analizę.

Jeżeli ludzie mówią i mówią uczenie, że „Do Europy tak, ale z naszymi umarłymi”, pamiętajmy również o Sieroszewskim! O zesłańcu, który dzięki swej wielkiej prawości, uporowi, woli przetrwania i pasjom naukowo-literackim realizowanym z takim trudem, osiągnął po latach tak wysoką pozycję w panteonie twórców polskiej literatury. Niech jego dzieło służy dobrze wszystkim tym, którzy zwątpili w możliwości tkwiące w człowieku. I niech pomaga odkryć nowe lądy, dotychczas jeszcze nieopoznane.²⁷

¹ Nikołaj W. Jemielianow, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”, Wrocław, 2001, s. 25.

² Igor S. Jemielianow, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś” s. 59.

³ Wacław Sieroszewski, *Dziela*, t.XVI, s. 661-618 (cyt. Andrzej Sieroszewski „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”; s. 136).

⁴ Wacław Sieroszewski, *Dziela*, t.XVI s. 131 (cyt. Andrzej Sieroszewski, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”; s.133).

⁵ Andrzej Sieroszewski, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”; s.134.

⁶ W. i T. Siabczyński, *Słownik podróźników polskich*, Warszawa, s. 285 (cyt. Andrzej Sieroszewski „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie”, s. 136).

⁷ A. Sieroszewski, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie”, s. 136.

⁸ A. Sieroszewski, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie”, s. 140.

⁹ Ibidem.

¹⁰ Ibidem.

¹¹ Ibidem, s. 230,231.

¹² Ibidem, s. 238.

¹³ Ibidem, s. 295.

¹⁴ Ibidem, s. 316.

¹⁵ Ibidem, s. 327.

¹⁶ Ibidem, s. 43.

¹⁷ W. Sieroszewski, „*Dziela*”, t. XVII, Kraków, 1961 s. 152-157.

¹⁸ Ibidem, s. 210.

¹⁹ Ibidem.

²⁰ Ibidem, s. 276.

²¹ A. Kuczyński, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”, s. 158.


²² A. Sieroszewski, „Z kraju nad Leną. Związki polsko-jakuckie dawniej i dziś”, s.145.

²³ Ibidem, s. 146.

²⁴ Ibidem, s. 147.

²⁵ Ibidem, s. 149.

²⁶ Ibidem, s. 149.



Połączenie daje energię

Grupa Energetyczna ENEA powstała w wyniku konsolidacji pięciu dystrybutorów energii elektrycznej z zachodniej Polski. Stworzyliśmy silną, godną zaufania firmę, z której powstanie koncern oferujący szeroką gamę usług - od dostaw prądu i innych nośników energii po usługi multimedialne i teleinformatyczne.

Połączenie dało nam moc potrzebną do rozwoju, energię i wiedzę, które pozwalają lepiej dbać o potrzeby naszych Klientów.

Poznajemy je, aby oferować im nową jakość. Z dostawą do domu.

Nowa jakość z dostawą do domu

GRUPA ENERGETYCZNA ENEA S.A.

Oddział w Bydgoszczy
85-950 Bydgoszcz, ul. dr. E. Warmińskiego 8
tel. +48 52 / 374 20 00, faks +48 52 / 374 26 76
www.enea.pl, e-mail: ze@zebyd.com.pl

Marek Napierata

Między brzegami

Ten chłopiec jest tutaj codziennie od kilku dni. Przyjeżdża na rowerze, chwilę stoi oparty o kierownicę. Przygląda się wodzie.

Kładzie rower ostrożnie na trawie w cieniu rzucanym przez krzaki. Kiedy dzień jest pochmurny sprowadza rower i zostawia go na brzegu. Schodzi nad wodę i zaczyna zabawę.

Sięga do kieszeni i z dbałością o precyzję rzuca kamykami. Nieźle opanował sztukę. Codziennie polepsza poprzedni wynik. Kaczki są coraz skoczniejsze, biegają dalej a ich lot jest coraz regularniejszy. Można powiedzieć, że wykonywany z gracją. Chłopcu to jednak widocznie nie wystarcza.

Czasami przerywa zabawę, ale chyba nie dla nabrania sił. Po pewnym czasie podejmuje rzuty. Znowu kilkanaście. Przerwa. Patrzy na przeciwny brzeg. Stoi nieruchomo. Robi wrażenie jakby myślał nad poprawieniem rzutu. Następna seria jest lepsza. W każdej pojawia się co najmniej jeden doskonalszy niż poprzednie.

Bywa, że przerywa na dłuższą chwilę. Waży w dłoni kamień. Czasami zamienia go na inny albo zmienia pozycję i wtedy wypuszczona kaczka nie biegnie w poprzek stawu a wzdłuż

brzegu. Te mają czasami zadziwiająco daleki zasięg.

Podjmuje poprzednią taktykę i znowu jego kaczki wędrują w kierunku drugiego brzegu.

Kiedy wodę marszczą podmuchy wiatru kamyki nie są tak posłuszne. Kończą nagle bieg odbite od napotkanej zmarszczki i niktą albo zmieniają gwałtownie kierunek. Robią to wyraźnie wbrew woli chłopca. Wówczas rzuty następują po sobie w większych odstępach, a on przy mierza się do każdego dokładniej. Nie zdarza się żeby rzucił zniecierpliwiony pogorszeniem poprzedniego.

Zabawa chłopca trwa około godziny, może czasami nieco dłużej. Nic nie zapowiada ostatniego rzutu. W jakimś momencie rezygnuje, chowa kamień do kieszeni albo upuszcza go w trawę.

Zawsze wtedy po chwili na drugiej stronie stawu pojawia się dziewczyna. Rozściela koc, otwiera książkę i czyta. Rzadko podnosi głowę.

Dziewczyna ma włosy zaplecione w warkocz. Podczas lektury, w zamyśleniu zbiera go z pleców i przenosi nad ramieniem. Albo odwrotnie. Na skupione czytanie poświęca dwie godziny. Kiedy upływa czas zbiera koc i razem z książką chowa do naramiennej torby. Chwilę jeszcze pozostaje rozglądając się jakby sprawdzała czy nie pozostawiła czegoś. Zaraz odchodzi. Niknie pomiędzy pniami kasztanowców.

Kiedy mija minuta albo dwie chłopiec podnosi rower i wypycha go na ścieżkę. Odjeżdża w stronę, z której się pojawił.²⁸

Wojciech Sobiecki

Dla M

wyobraź sobie że wszystkie wspomnienia
mają się dobrze zabieram je często
na wycieczkę samochodem za miasto
troszcę się przypinam dokładnie pasem
bezpieczeństwa włączam klimatyzację
co by było gdyby nagle zginęły

wyobraź sobie że wszystkie niemalże
listy są na swoim miejscu (brakuje
tylko ostatniego w którym pisałaś
o naszym rozstaniu) nieraz przeglądam
paginy szukam kwintesencji liter
co by było gdyby nagle wyblakły

wyobraź sobie że wszystkie najszybsze
marzenia są panaceum na każdą
rzeczywistość dlatego dokarmiam je
muzyką pieścąc one dopuszczając
najbardziej niezwykle warianty losu
co by było gdyby nagle umarły

Piotr Pawlak

dłaczego ta ekierka nie leży prosto
i dlaczego się przede mną nie otwiera
i nie widzę jej kręgosłupa
z kroplami rosy
mięsa, w które się zaplątały
chmur powłoki

ja bym jej pokazała
na sznureczku wiszący
uśmiech
talerzyki w różowe cienie

a światło było takie nastrojowe
że mogłabym przy nim skórę zdjąć
odprasować, włożyć z powrotem
albo tylko poprawić
i namaścić taką oliwką
która ma ciężar czołgu
słodycz grobu

i nagle nie ma nic
taka pustka
jakby wszystko było obite
watoliną
a widziałam dziwne światełka
w końcach gałęzi
i wiedziałam, co się tam dzieje
i –
czy uważasz, że nie znam
zamiarów rdzy
w moich stalowych powiekach

zrozum
ja muszę taka być
muszę ci mówić jak jesteś beznadziejny
muszę mieć pewność, że ty to wytrzymasz
że mnie obronisz –
tylko nie wiem przed czym

muszę krzyczeć, drapać
rzucić włosami o ścianę
obrażać, poniewierać i drażnić
kości łamać i śmiać się
muszę być taka
bo dzieje się we mnie to:
na wysokość wypływam
w mojej wannie
matko ryb głębinowych
w mojej głowie

dobrze rozumiem
twoja delikatność mnie rozpuści
a może nawet zabije
i nie będę chciała żyć bez ciebie
między palcami wyrosną mi błony
albo głązy
albo ropienie
a rzęsy się zamienią w zardzewiały drut
na który będzie można nabijać ciastka
z czerwoną galaretką, żółtym kremem
powieki się zamienią w strzępy starych opon
rozwieżdżone – ale co z tego

zapakuję siebie w celofan
i położę pod twoim oknem
w kolczastych krzewach
wśród gołych żarówek
i będę jedną z nich

i może będziesz wiedział
co masz mi zrobić
przecież jeszcze można
mnie ocalić

Jacek Tabisz

Aśurowie

Zasiadły nad mapą demony przestrzeni
Świat jest jak karta pomięta przez czasy
Na nią cień myśli łagodnie opada
I wzrok co szuka nowego rysunku

To nie jest ważne kto stworzył ocean
Czy był ten kto wpięty księżyc trzymał w dłoniach
Że księżyc jest tylko lustrem swojej pełni
I mówą jest słońca to nie jest ważne

Choć srebrne światło nie gra głównej roli
Nie jest nicią co w boski wiedzie spokój
Z niej żagle mocne dobrze wiatr chwytają

Może jest rysunkiem świat po swoje krańce
I wiecznie podobne trawiały morze prądy
Stwarza ten co kurs na papierze znaczy

21 maja 2002
zainspirowane odwrotnością upaniszady
„Brihadarajaka”
- aśurowie (demony) widzą nieskończoność w stworzo-
nym, a nie stwarzającym – dlatego pragną iść
(wędrować); dewowie i ludzie widzą nieskończoność
w stwarzającym, a nie stworzonym – dlatego pragną
powracać (stać)



rys. Stefan Rusin

Jacek Tabisz

Miranda

Niebo nade mną jest teraz ciemne
Budzą się skały uniesione wiatrem
Słońce przenika moje ciche trwanie
Nie burząc mroku wzbierających chmur

Coraz szybciej toną okręty czasu
Słyszę łoskot pełnych wodospadów
Oto świat zmienia swój nurt nieskończony
Zostawiając swoje puste łożysko

Jestem zatem sama choćby nawet tłum
Postaci się zjawił i zalał krzykiem myśli
One nie istnieją jak i ja teraz

Położę się w cieniu postrzępionych ścian
Zbudzą się skały uniesione wiatrem
Słońce przeniknie moje ciche trwanie

6 maja 2003
wiersz zainspirowany „Piknikiem
pod Wiszącą Skalą” Weira



rys. Stefan Rusin

Piotr Pawlak

oczy jak w plastrach cytryn zamknięte rumieńce
zbyt jasne jak na burzę, która się przedziera
a to jest tylko pyłek spóźnionych aniołów
które upaść nie mogły, póki nie dotarły
do miasta tanich tęsknot, miasta bez sumienia
do pęczka czarnych włosów po wielkiej miłości
do miasta szklanych gablot, w których schło milczenie
do stacji benzynowych, w których było wszystko

i w tanich knajpach piasek, który był szary
jedno twoje dotknięcie rozbiło strach
a potem była kradzież wspólnego ciała
w tak mocno zaciśniętych, białych pyskach wód

i była taka krew, która się zmyła
i stały takie kwiaty, w których stał płacz
i leżały pociągi odwrócone bokiem
taki mały, dziewczęcy żal

będziemy w ciszy czekały na śnieg
i będziemy ciepłe jak noce
zabaweczki z rzęsami z łożeczek wstają
gdy ból wrzosów jest większy od ciała

Sławomir Mrugowski

Piknik w Anielskiej Dolinie



Ta opowieść zaczyna się w letnią noc, parną i bezgwieздną. Zaczyna się od miarowego stukania kopyt po kamiennym bruku, zgrzytu w piastach kół, w chwili, gdy dumna kancista powozu wynurza się z lepkiego mroku.

Ta opowieść zaczyna się też od basowego wołania nocnego stróża pośród ciemnych brył kamienic. Głosu pełnego metafizycznej zadumy i profesjonalnego smutku, który z lubością podchwytuje wszechobecne Echo. Ono, przyczajone w pustych bramach czeka, przez całe dni - szybkie, głośnie i bez znaczenia; jak śmiech ludzi wytaczających się przez drzwi powozu, śmiech niechciany i bluźnierczy w obliczu *sacrum* ciszy.

Stangret chwytą rzuconą zapłatę, a nocny stróż spogląda karcącym wzrokiem, gdy dwie wystrojone, ponad potrzebę hałaśliwe kokoty, wieszają się na ramionach mężczyzn. Jasnowłose młodziak w modnym surducie mówi coś, ale zadane ze słów nie brzmi znajomo. Drugi pozostaje chłodno obojętny. Echo poznaje go i milknie zalęknione. Czeką aż do chwili, gdy pary znikają w drzwiach domu złej sławy, a karetę oświetlona rozbujanymi lampionami roztopia się w mroku za rzeką, za Mostem Królowej Jadwigi.

Kiedy cichnie stuk kopyt, niby wszystko jest jak wcześniej, ale Echo wie, że nic już nie będzie takie samo... począwszy od tej nocy.

I

Łzy z roztopionego wosku spływały po białych szyjach świec. Zastygały na ramionach kandelabru. Blade ogniki tańczyły w chłodnych podmuchach przeciągu. Rozświełały sprzęty, ciemne dębowe meble i zwalisty piec przyczajony w rogu. Zarysy postaci wyłaniały się z mroku i po chwili nikły otulone czernią.

Pod barwnym arrasem, na tapicerowanej sofie półleżał mężczyzna. Pod luźną, rozchełstaną koszulą równomiernie unosiła się w oddechu jego pierś. Głowę o kruczoczarnych puklach wspierał na ramieniu. Drugą dłoń, mocną i żyłastą, na pozór twardą i skórą do gwałtowności, subtelnie gładził szyję i kark kobiety. Ta, oparta o sofę, oplótła rękoma podgięte nogi. Prężyła się niczym kotka czując delikatny dotyk, kojący i dający uludę spokoju, uczucia głębszego niż samo tylko pożądanie. Miała na sobie koronkową halkę, białą jak jej ciało. Na ramieniu tatuowany anioł rozkładał skrzydła. Mężczyzna zmrużył oczy, upajał się ciepłym zapachem jej ciała, chłonał woń wanilii.

- Bromberg, jeszcze jedna, nudna, pruska miejscina. Gdyby nie interesy, miałbym ci za złe, Kusewicz, żeś mnie tu przyciągnął. Dawno miałem już być w Poznaniu. *Sacrebleu*, dawno już miałem być w Paryżu!

W głębi pokoju, na skrytym w mroku, niechętnie zasłanym łożu, spoczywał szczupły, jasnowłose mężczyzna. Wcierał różany olejek w wypielęgnowaną skórę twarzy.

Dziewczyna poruszyła się na dźwięk słów w obcym języku. Podniosła wzrok, a błękit jej oczu zaślnął poświata.

- Co znaczą dwa tygodnie, markizie... - Cienie wyostrzyły rysy twarzy Kusewicza.

Wyrwany z metafizycznej zadumy podniósł wzrok z cudownie smukłej szyi kochanki. Głęboko osadzone oczy mężczyzny ginęły pod łukami brwi, lecz źrenice zaiskrzyły się przytłumionym światłem. Poprawił sumiaste wąsy zasłaniające wąskie wargi. Jego francuski z wyraźnym złym akcentem i zlekceważoną fonetyką zdradzał człowieka mało bywałego, prostaka. Kto znał Kusewicza, nie mógł jednak ulec złudzeniu. Jasnowłose z łatwością odkrył drwinę. Wstał podrażniony.

- Dwa tygodnie stracone na kokoty, użeranie się z Żydami, słuchanie tych waszych sentymentalnych, polskich wspominek.

- Dwa tygodnie, w czasie których zyskałeś więcej niż przez ostatnie lata. Będzie z czego spłacać długi Żydom, których tak nienawidzisz... - padła odpowiedź.

Jasnowłose spojrzął groźnie w stronę wasacza. Prychnął, ale umilkł. Polski szlachcic drażnił go, lecz wzbudzał podziw, respekt, a nawet wstydlawy lek.

- Poza wszystkim, o ile pamiętam, twoja matka, markizie, była właśnie Polką - Kusewicz przerwał gładzenie mlecznej skóry kobiety.

- Szczęściem nie zostawiła mi w spadku kropli swojej krwi - stwierdził szyderczo Francuz. Nalał wina do kryształowej szklanki.

- Masz jej więcej, niż ci się zdaje, i tylko dlatego jesteś coś wart.

- Skończysz od mojej kuli! - młodziak ściągnął idealnie wymodelowane brwi.

- Wpierw uczynię z ciebie poetę.

- Mówiłeś, że Polaka.

- To jedno i to samo.

- Twoim miejscem, Kusewicz, jest zakład dla obłąkanych, ach... wszystkich was w tym kraju. Drażni mnie ta urojona wielkość nieistniejącego narodu, mania posłannictwa... - jasnowłose odwrócił się w stronę szlachcica.

- Nie kpij! - ten podniósł wzrok. Jego oczy zaślnęły niczym podpalone drzażgi.

- ...Za sto, dwieście lat Europa o was zapomni - ciągnął Francuz z sarkazmem. Rozlewał wino. - I słusznie, bo to nie miejsce dla was. Jesteście nawet groźni, bo wasza choroba może być zaraźliwa. Nigdy nie przestaniecie patrzeć wstecz. Nawet diabli nie zmieniają mentalności tej nacji pławiącej się w oceanie melancholii.

- Może właśnie diabli bronią tego narodu przed taką zmianą. - Kusewicz siadł. Odepchnął dziewczynę tulącą się do jego nóg. Odsunęła się spłoszona. Czarnowłose złożył wzrok młodziaka.

- Tylko dlatego, tytko tutaj, markizie, mogą rodzić się prawdziwe łzy, miłość, cierpienie rozstania, tęsknota za nieokreślonym, świadomość wiecznej samotności, prawdziwa rozpusta, grzech zrodzony z rozdarcia duszy i ciała... - westchnął. - Tylko tutaj kocha się do śmierci, nienawidzi po grób, pije do utraty zmysłów, walczy po zdobycie celu, za cenę krwi, szczęścia, za cenę duszy. Ty dopiero składasz swój witraż ze szkieł rozsypanych dni. Kiedyś ja pomogę ci wstawić go w puste ramy oczu i dopiszę znaczenie. To ci obiecałem.

- Och, Kusewicz! Miałem cię za kompana w handlu, próżniactwie i rozpucie, a tyś jest filozof. Rozczarowujesz mnie! Ale i ja rozczaruję ciebie. Ja nie wierzę w miłość, prawdziwe łzy... Dlatego nie mogę stać się poetą. Do tego czasu jestem nieśmiertelny, to właśnie mi obiecałeś. Do tego czasu jestem panem swojego losu.

- Jesteś jak ćma, która frunie do byle światelka, każdej uludy, urody, bogactwa - szlachcic wstał gwałtownie.

Młodziak cofnął się spłoszony.

- Owszem i jest mi z tym dobrze - powiedział.

- Kłamiesz!

- Nie bardziej niż ci wszyscy Polacy, których tak kochasz, którym równie łatwo przychodzi chwalić ekstremity Bismarcka w szaleciech, co śpiewać „*Boże coś Polskę...*”. Poprzeklinają *kulturkampf*, wyplaczą po pijaku nienawiść do Prusaków za rugę i dalej będą robić z nimi interesy. Chcą wyzwolenia, a najchętniej porznięliby się wzajem. Za czym gonisz? Jak daleko sięga ta obłuda?! W dzień kłęczą w kościołach, nocą chodzą na dziwki i do szczęścia nie starczy im ulżenia własnej chuci, potrzebna jest jeszcze impotencja współnika hipokryzji... A ta prostytutka, która chwilę temu spełniała każdy mój nakaz - w tym też jest poezja?!

Kusewicz podszedł do markiza. Był niższy, lecz mocnej budowy, ale to siła bijąca z jego oczu zniewalała, porażał ogień płonący w kręgach źrenic.

- Tak, markizie, podziwiam lotność twojego umysłu, bo dotknąłeś sedna. Na tym właśnie polega ten prawdziwy ludzki konflikt. A ta kokota, którą wykorzystaną wypchnąłeś z łoża, która przysłała do mnie z potrzeby pocieszenia, cóż... ona chce przeżyć i doczekać cudu, jak każdy w tym kraju. Zadałeś sobie pytanie, dlaczego została tu, w tym pokoju, bez zapłaty? Nie rozumie nawet twojej mowy, a kocha cię i wierzy, że cud się spełni.

- Oszalałeś. Chcesz powiedzieć, że ona myśli, że ja mógłbym...

Markiz podszedł do dziewczyny, chwycił jej włosy i przyciągnął twarz. Spojrzął w lustrą jej oczu. Zobaczył w nich strach i zagubienie, ale pod warstwą barw nałożonych ręką rzeczywistości widoczny był ten sam żar, który przestraszył go w wejrzeniu Kusewicza.

- II zobaczysz to w oczach każdego, od brudnego robotnika począwszy... Mimo wszystko, mimo twoich wątpliwości i sarkazmu ten naród jest wybrany. Istnieje nie tylko, kiedy ma kraj, może nawet nie pamiętać mowy. Przetrwą ze względu na duszę, na poezję wyssaną z mlekiem matki. Każdy z nich był, jest i będzie zapomniałym bohaterem tysiąca nie napisanych poematów, tak jak ta dziwka. Zapaliłem drzażę. Spłotłem twoją pustkę z jej strachem.

- Brednie!

- Jesteś taki sam, w przeszłości, w przyszłości, w tych wszystkich razach, kiedy cię spotykam, sam nie wiem, dlaczego?! Czas to skończyć, czas przestać opierać się przeznaczeniu, czas abyś dojrzał, bo już jestem zmęczony.

- *Merde!* Czego ty chcesz ode mnie?! - markiz rzucił się ku czarnowłosemu. Złość zaslepiła go. Kusewicz chwycił młodziaka. Przyciągnął jego twarz do swojej.

- Czego chcesz?! Wszystkiego... Wiem, jesteś kłamcą o tysiącu masek. Dotrzymujesz kroku modzie i zbierasz pochlebstwa za styl i gładkość wymowy... ale jest też coś więcej! Dlatego cię wybrałem. Gasisz w sobie sentymenty, to właśnie kropka tej polskiej krwi, do której nie chcesz się przyznać. Popatrz, oto twoja dusza... - czarnowłose odwrócił markiza ku kobiecie. - Ta prostytutka o białej skórze, *tabula rasa* dla miłości odwzajemnionej. Odda się każdemu, kto zechce ją przyjąć, aby wpisać w jej serce treść, uczucie. Można ją posiąść za uludę, obietnicę. Jesteś taki jak ona, i to też wiąże cię z tą ziemią. Jak obiecałem będziesz nieśmiertelny do czasu, kiedy zrozumiesz. Będziesz nieśmiertelny, bo umrzesz niecały, jak każdy w tym kraju...

...w tym kraju

są myśli i słowa, których łatwiej jest nie pamiętać bo zdolne są zranić...

Uciszane są głosy wibrujące pod skroniami a życie...

...na pozór toczy się z dnia, na dzień.

Markiz wsłuchiwał się w szept... głos wypełnił jego myśli, pochłonał...

...w tym kraju

uczucia też lepiej zabijać w sobie!

Pracownia plastyczna

Ingi Iwińskiej
Marka Iwińskiego

oferuje usługi w zakresie

grafiki użytkowej

i malarstwa portretowego

85-047 Bydgoszcz, ul. Chrobrego 24/4
tel. (052) 3214718

dokończenie ze str. 11

Czas zagoi rany
albo wetrze w nie sól...
ale czyż nie przyjąć tego bólu?!

...a kiedy srebrne ostrze sztyletu zagłębiło się w jego ciele poczuł tylko chłód i wpadł w rozwirowaną głębię zrenic tego, którego nazywał Kusewiczem... Zapadając w czeluść słyszał wokół siebie tysiące jego imion, widział tysiące jego twarzy. Słyszał tysiące swoich imion, widział...

W tym kraju...
gdzie duszę ma kamień i drzewo
tak trudno nie być Poetą
tak trudno nie być Polakiem

...gdy ciało młodzika legło na dywanie, Echo zawieszona pod sufitem powtarzało jeszcze słowa, coraz ciszej i ciszej.

II

Boom! Boom! Boom! Dźwięk jak młot spadł z kwadrofonicznego nieba spowitego chmurą tęczowego dymu. Techno-pancerny pojazd przecoczył się po sali, miażdżąc wolę, zniewalając umysły. Sto decybeli uderzyło o ściany. Muzyka wysypała się z wiader głośników, dając w miejsce rozumu przestrzenny obraz szaleństwa.

Boom! Boom! Boom! Potężny wybuch i lepka atmosfera z zagęszczonych cząstek. Obłęd w oczach i totalny odlot. Fale uderzyły w bębni wprawiając je w drgania na granicy wytrzymałości. Surround sound i uczucie frunięcia. Dźwięki zatoczyły krąg i skrócone w tornado wcisnęły się w papkę pozostając po mózgach. Ciała powyginane w spazmach, zagubione w muzycznej dżungli, odbijały się od siebie. Oczy oslepiane błyskami próbowały dojrzeć kształty. Nic jednak nie było tu ważniejsze od woli DJ-a stojącego za konsolą, a on popychał tłum ku zagubieniu.

Boom! Boom! Boom! To jego noc. Wrzucił kolejny srebrzysty krążek CD. Ten zawirował z prędkością piły tarczowej i pod miłosnym dotknięciem półprzewodnikowego lasera wypłuł w ekstazie ładunek mocy skryty między tysiącami ścieżek. Eksplozje targnęły przestrzennie. Melodia na granicy z chaosem. Nie można stracić tempa, zawracać sobie głowę skrupułami utraty osobowości w obliczu wyzwolenia z okowów bzdurnych zasad, skostniałych form, standardów cywilizacyjnego wszechjednoczenia. Wulgarnie słowa kołysały strach, pieściły słodczą bunt, wolności, anarchii. Wszyscy czuli w sobie ich treść.

Przez promienie kolorowych reflektorów przebiegały pulsujące z zabójczą częstotliwością błyski stroboskopów. W końcu zostały tylko one, tnąc każdy ruch na kawałki. Poszatkowane mózgi w kościanych filizankach wstrząsanych czaszek, ubijały się na gęsto. Cocktail był pożywnym dla Niego. Nie mogło pozostać nic, co nie było muzyką, co nie było zatraceniem, samym głosem Boga.

DJ z wolna przeistaczał się w kapłana na tej transcendentalnej mszy ku chwale szaleństwa.

Ukryty za konsolą obserwował parkiet. Tłum szalał doznając permanentnego orgazmu. DJ był posłannikiem. Prometeusz nowego tysiąclecia, z ogniem w dłoniach. Zbawiał. Dawał, czego nie potrafił dać nikt inny – zapomnienie. Przychodzili do niego słabi, przytłoczeni samotnością. On otwierał ręce i przygarniał jak stary kumpel. Gdzieś tam, poza bramą enklawy, zostawał Świat. Przyczajony, wyciągał liany tysiąca swych rąk, wściekły, bo pozbawiony władzy zamykania w uścisku, by ubezwłasnowolnić i zgnieść, nie dając szansy. DJ zwyciężał w tej walce, formował skrzydła z płomieni i fundował chwile lotu ponad szarością każdemu, kto mu zaufał. Ofiarowywał poczucie wyjątkowości pojedynczemu istnieniu, podawał dłoń i wyciągał z matni rzeczywistości, błogosławił siłą. Podawał to gratis, kiedy za drzwiami wszystko miało swoją cenę.

Wzrok mistrza błędził wśród rozbłysków. Znał ich wszystkich, ich myśli, marzenia i łańcuchy, jakimi przykuwali się do ziemi. Jego nie znał nikt, choć dla wielu był tu od zawsze. Nikt nie mógł znać sekretu, prócz... Za każdym razem szukał. Wśród tysięcy twarzy, każdej nocy, poszukiwał jednej. Tyle przeżył już rozczarowań...

... jakich trzeba słów
aby mówić o samotności
Lepiej milczeć

I uśmiechać się zasznurowanymi ustami
...wreszcie wzrok przywołany luminescencyjną bielą garderoby odbijającej promienie ultrafioletu, zleciał niczym motyl na wijące się ciało. Mistrz weźmie to w zamian.

... trzeba jeszcze zadawać ból
to sposób na zapomnienie
o wpisanej w program, masochistycznej
potrzebie

dłubania paluchami w kręgach żrenic,
gdzie po drugiej stronie oczu
czeka ten strach...

Ona miała szesnaście lat, choć prawdę skrywała pod ostrym makijażem. Pełne kształty wyraźnie rysowały się pod obcisłą minispódniczką. DJ czuł wzbierające pożądanie. Dziewczyna w śmiałych ruchach bujała biodrami i podkreślała swój seksapil.

Mistrz zaprogramował sprzęt i zszedł z ołtarza. Inni rozsunęli się. Znali go i kochali całą mocą swych pustych serc. Był tu Panem. Postępował świadomie wolno, czyniąc chód coraz bardziej tanecznym. Hipnotyzował niczym wąż. Polował.

Rozpoczął show od falowania tułowiem. *Electric boogie* wstrząsnęło jego ciałem, a to jeszcze ciągle wstęp. Wokół niego utworzyło się koło. Pan zwlekał. Wykorzystali to dwaj *break-dance boy's*. Weszli w środek efektywnym saltem. Poza tym nie umieli wiele. To jacyś nowi. Szybko wycofali się. Prowokowali jednak wciąż DJ-a, by pokazał, co potrafi. Z lekkim ociąganiem, które było bardziej grą, dał się naklonić. Stali bywalcy wiedzieli, jak zakończy się ten pojedynek.

Boom! Boom! Boom! Huczało w uszach, gdy mistrz wygarniał nogami koła, kręcąc się na barkach. Wstał sprężynką i skoczył salto do tyłu, w tempo. Tańczył każdą częścią swego ciała, zakręcał się w piruetach, wyskakiwał ponad parkiet, by za moment obracać ciałem wsparty na dłoni tuż nad podłogą. W końcu muzyka zaczęła przycichać. Misterium dobiegło końca i nim nowy hit wstrząsnął salą, Pan zaczął skradać się do dziewczyny.

Ona rozumiała. Patrzyła na niego przez ramię. Jak ęma wabiona blaskiem zbyt jasnym by nie pragnąć w nim splonąć, tańczyła tak, że mistrz nie potrafił się opanować. W chwilę potem ocierali się, w mowie ciała przekazując dotyk – sygnał o przagnieniu. Ich usta spotkały się nagle, języki splątały. Ręce DJ-a rozpoczęły wędrówkę od wodospadu włosów przez białe ramiona, pachnące wanilią. Tańcząc, wyprowadził ją na miejsce transformacji.

Drzwi zamknęły się. Dźwięki lekko przycichły. Teraz rozbrzmiała muzyka ich oddechów. Dziewczyna bez oporu dała położyć się na stole – ołtarzu przemienienia. Świat zawirował. Jej ciało rozfalowało się w półmroku. Na nagich piersiach odbiły się błaski wpadające przez grube szkła luksferów. Tańczył anioł wypalony na białej skórze ramienia. Kochali się mocno, drapiecznie, prawie brutalnie. Po chwili było już po wszystkim, bez słów, kłamliwych wyznań, obietnic, całego chlamu, gry pozorów.

Było po wszystkim, ale DJ wciąż nie wychodził. Wiedział, że za moment zaboli go ta cisza, a gorzki smak pustki obnaży ułudę spełnienia.

Dziewczyna wciągnęła biały proszek z lakierowanego paznokcia. Dostała niezłego kopa. DJ chwycił ją, nim uderzyła o podłogę.

...A jego ciało sphysnęło na miękkim dywan w ciemnym pokoju przy moście Królowej Jadwigi... na brudne drewno podłogi w robotniczej norze przy Zdunach, na bruk Starego Rynku tej Krwawej Nie-

dzieli z 1939 roku, i potem, setki razy... – bredziła. – Ciągłe tak samo kończą się sny, chociaż inna jest twarz, imiona, ta sama miłość, to samo rozczarowanie... i ten sen ostatni, o wieczorze w tym samym pokoju... bo On tam czeka, srebrzysty Anioł i Echo, co wciąż powtarza setki jego imion...

DJ zamknął oczy. Pod powiekami tłoczyły się obrazy, niechciane wspomnienia ciepłej wani w wanili jej ciała, bieli ramion... DJ spojrzął dziewczynie w oczy zachodzące mgłą. Był w nich strach przed wspomnieniami, zagubienie w terażniejszości i lęk przed pustą przyszłością. Niepewność tysiąca innych rzeczy. Nadzieja, tyle razy unurzana w błocie rozczarowań.

Mistrz czuł strach, bo wiedział już, że oto nadeszła chwila próby. Kolejny raz.

– Odnajdę Cię. Tym razem to już koniec snów... – wyszeptał.

Kiedy wybiegał z lokalu, czuł w sobie pęd.

Ceglane ściany kamienic odbiły trzask zamkniętych drzwi. Potok hałaśliwej muzyki wyłał się falą na bruk i spłynął razem z deszczem z kratki kanalizacji. Mężczyzna w czarnej skórce zapinał w biegu kłamy. Noc przywitała go chłodem. Szum deszczu niknął pod wspomnieniem. Boom! Boom! Boom!

DJ dosiadł masywnego *Sokoła*, błyskającego odbitym światłem neonu. Sprzęt przyjął go jak brakującą część. Odpalił po pierwszym kopnięciu. Gdy serce motoru zrównało rytm z jeźdźcem, Mistrz zacisnęła kolana na zbiorniku i ruszył, rozchlapując błoto. Basowy głos maszyny pieścił jego zmysły. Pojazd przykleił się do podłoża i nabrał pędu.

Wiatr szarpał włosy, rzucał zimnymi kroplami w twarz. Mistrz gnał, zostawiając za plecami uszione dzielnice. Znał je wszystkie – z tej sławy Szwederowo, Śródmieście obrosłe historią... Tam dojrzał. Wśród ciemnych kamienic, bloków i pustych chałup zostawały wspomnienia o ludziach, których nauczył się kochać. Po nich przychodzili nowi. Tysiące topiących się w szarości dni, niezdolnych do odrzucenia ciasnych skafandrów utkanych z manii posiadania, konformizmu i wygody. W przeszłości, przyszłości, co dzień podpisywali swoje małe cyrografy, bilety parkingowe dla setek demonów wyzerających wnętrza. Oddawali się za pochlebstwa, pokarm próżności. DJ czytał usprawiedliwienia w ich myślach, z błędnych żrenic. Kochał ich wszystkich krzyżujących „niech żyje ball!...”, tańczących na sznurkach, ubranych w maski hipokryzji. Naprawdę wierzyli tylko w to, że wszystko rozwiąże się samo, będzie *dużo i dobrze*. A im nie stanie się nic, jeśli tylko nie podpiszą się krwią na kawałku pergaminu rogatego facecikowi w śmiesznym wdzianku. Będzie merdał ongiem i nie zdejmię nawet basebolidki z jarzącym się napisem „I am devil!” – żeby wszystko mogło być jasne.

DJ rozpałał w nich bunt i wzdargę. Wlewał wiarę w wąpłanie serca, aby nie szukali powodów dla składania codziennego hołdu na ołtarzu świata, tłumacząc to kumoterstwem obowiązkami, powinnościami i pseudofilozoficznym „...tak to już jest...”. Mistrz czuł ale litość i miłość.

Wiedział, jak trudno żyć z pozorami płomienia zamiast prawdziwego ognia. Uczyl wiały i napełniał mocą. Dawał poczucie wartości marzeń i świadomości, że wystarczy naprawdę kochać, płakać, czuć cierpienie rozstania, tęsknotę za nieokreślonym, mieć świadomość wiecznej samotności, prawdziwie grzeszyć, pić do utraty zmysłów... Być choć trochę poetą, pozostać choć trochę Polakiem.

Czasem jednak sam... Wtedy siadał na motocykl i gnał, a wiatr rozwiewał myśli. Słabość była jak chwast. DJ wciąż wstydział się niedojrzałości, zwątpienia. Pęd oczyszczał – pęd i ogień.

Mistrz puścił manetki i rozłożył ręce. Patrzył w gwiazdy. W jego gardle zrodził się krzyk, a wzniesione ramiona zapłonęły dwoma świetlistymi żaglami w czerni nocy.

– Jam jest posąg człowieka na posągu świata!

Sprzęt bez ruchu kierownicy sam prowadził się od krawędzi do krawędzi, żył swoim dzikim życiem.

DJ uderzał twarzą w obrazy, mijał je jak kolorowe, eteryczne billboardy. Każdy z nich – jedna tajemnica, jedno bolesne wspomnienie.

Kiedy to się zaczęło, w którym ze snów, w którym to istnieć? Może wtedy, przy moście Królowej Jadwigi, w ciemnym pokoju rozświetlanym światłem świec, może dużo wcześniej lub dużo później? Zapętłony czas stracił znaczenie. DJ odnajdywał w pamięci strzępy zdarzeń...

...Anioł przysiadł na nagim ramieniu kobiety. Niespokojnie rozkładał skrzydła, zamykał, łopotał wzbijając się do lotu, aby po chwili opaść na biel jej ciała. Mienił się jaskrawo. Zakwitał niczym kwiat. I rozszypywał się w barwną mgłę.

Błysk czerwonego światła i powróciła ostrość. Anioł plunął ogniem i zatoczył koło, goniąc własną poświatę.

W sali zalanej kaskadami światła muzycy kończyli strojenie instrumentów. Ostatnie kasznięcia i pierwsze takty *allegro* wzniosły się łagodnie. Niosły świeży powiew.

Jasnowłosy mężczyzna o szczupłej twarzy czuł pieszczotę wiatru i widział liście kasztanowca poruszane podmuchami. Wdychał ciepłą woń wanilii, zapach perfum, zapach kobiety siedzącej obok. Odwrócił głowę, by spojrzeć jej w twarz. Ujrzał biel ramion i anioła.

– To już tyle lat – westchnął. – Nie pamiętasz mojego imienia. Było ich tyle... Jak nazwiesz mnie dziś?

Nie spojrziała. Anioł zakreślił koło i materializując się przysiadł na jej nagich kolanach. Jego włosy zafalowały na wietrze. Eksplozja purpury. Nie, to zaszło słońce.

– Dziwka! – mężczyzna o szczupłej twarzy nerwowo łamał palce. Usłyszał śmiech. Odwrócił wzrok, chcąc zebrać myśli. Było coś co chciał jej powiedzieć... swojej wykorzystanej i odrzuconej duszy.

Kurtyna rozsunęła się, a muzyka przycichła, zawiśla jak chmura pod wysokim sklepieniem. Na scenie zapaliły się pierwsze reflektory. Z mroku wyłoniły się sylwetki.

Jasnowłosy poczuł zimny dotyk tartanu i to cudowne wyczekiwanie na smak spełnienia. Stał spowity w ciemność, oddychał równo i zapomniał o świecie. Z wolna przeistaczał się w element spektaklu. Znowu był artystą i jeszcze raz tańczył... do wydarcia wnętrzości, do skurczu mięśni, po granicę, kiedy pęka serce i rodzi się Taniec Prawdziwy, po zapomnieniu i samo... rozczarowanie, po bolesną pointę, kiedy mimo wysiłku, całego pragnienia, tak daleko wciąż do samego przeobrażenia w myśl, w sam ruch wzbity ciężaru ciała.

Jeszcze trudniejszy był powrót, wtopienie się w tło. Marzenia zabijają, wiara w coś ponad motoryczną sprawność małpy, w anielskie przeznaczenie, w pełni zmysłoodczuwania.

– Oszukałeś mnie!

– Oszukałeś się sam... Oszukujesz za każdym razem.

Zanim wszystko umarło, mężczyzna próbował odtworzyć jeszcze raz w pamięci te chwile, jeszcze raz zatańczyć. Wszystko, co czuł teraz, było goryczą rodzącą nienawiść.

Otworzył oczy. Czuł chłód i pragnienie, nienawiść i tęsknotę za nią, kobietą z aniołem na ramieniu, za swoją ...

Kształty rozlały się i nic nie było ważniejsze od pragnienia chwili ciszy, tam, w środku rozdętej czaszki. Myśli dościgały motocykla, napływały barwnym korowodem a DJ był coraz słabszy, nie mógł z nimi walczyć. Wiedział, że została do odświeżenia już tylko jedna zasłona i bał się. Patrzył na maski, z których każda – to on. Miał wyrzec się ich, zrobić to dla upojenia bezcielesnością?! Miotał się między pragnieniem a realizacją, pomiędzy pogodzeniem z nieuchronnym – właściwym aniołom a strachem – tak ludzkim. Dojrzał. To takie łatwe zamykać świat w kole miłości i nienawiści. Poza kręgiem jest niezbadane – anielski żłobek.

Z asfaltu ulicy zjechał w park przy służbie. Motocykl miękko zsunął się z nasypu wyrzucając spod tylnych kół moką, rozszarpaną ziemię. DJ wyhamował na skraju nabrzeża Brdy.

Rzeka toczyła ciężkie wody pełne brudu, odbijała w swej toni wizerunek miasta. Mistrz dodawał gazu, lecz wciąż wstrzymywał sprzęt przed ostatecznym skokiem. Słyszał głosy. Wiedział, że gdzieś tam czeka na niego przeznaczenie. Był już zmęczony zawieszaniem, niepewnością.

Kiedy wchodził w ciemny korytarz kamienicy przy Moście Królowej Jadwigi wiedział, że potem nic już nie może być takie samo.

III

O tym strachu nie powinien wiedzieć nikt o lęku przed głosami Aniołów

Upchane pod kopułą czaszki – krzyczą słowami pełnymi logicznie tłumaczącej się Prawdy

I obniżają upadki nazywane zwykle mniejszym złem

– Często płaczesz... – czarnowłosy nie patrzył na DJ-a. Leżał na sofie. Dłonią gładził ramie dziewczyny skulonej poniżej. Jej skóra pachniała wanilią. W pokoju panował półmrok rozświetlany światłem dogorywającej żarówki i lampami przejeżdżających samochodów.

– ...Nie łzami, to łatwie, to błogosławieństwo. Dojrzałeś w porę, bo dla mnie świat zmienił się za bardzo. Popędził i nie upilnowałem go. Jestem już taki zmęczony. Widzę twoje myśli. Rozbłyskują jak neony reklam, kiedy ja gasnę – czarnowłosy siadł. Dziewczyna położyła głowę na jego kolanach.

– Patrz na twoją duszę i wiem, że mogę już odejść. Odnalazłem cię lecącego do płomienia jak ćma, teraz jesteś aniołem z ognistymi skrzydłami. Byłeś wybrany.

– Jestem pełen strachu.

– Litujesz się nad ludźmi. Przyjmujesz ich jacy są – słabi, bezbronni, napełnieni goryczą jak puchary z powyszczerbianymi brzegami, porzbijane i posklejane niedbale, odrzuceni przez Boga i innych ludzi, tych, którym się udało, to wystarczy. Pokonałeś też strach przed patrzeniem w ten mieszający zmysły, oślepiający ogień, podsycany przez Boga i Szatana, solidarnych w obsesji stwarzania. Zobaczyłeś siebie jako iskrę i uwierzyłeś wreszcie, że można wznieść się nie upadając w górę prochów przeszłych pokoleń – miliardów zapomnianych istnień.

– ...Z prochu powstałeś, i w proch... – DJ zamknął oczy. Tam też dostrzegł tego, którego kiedyś nazywał Kusewiczem, którego tysiące imion poznał na drodze do tego wieczoru.

– Obłuda. Teraz już wiesz... Musisz znaleźć ich wszystkich przerażonych światem, pochowanych w pajęczynach fikcji, przyniciotnionych ciężarem samotności, patrzących ze swoich kryjówek na prawdę nagą i brutalną. Musisz przynieść im świadomość i przebudzenie... wszystkim Aniołom, Strażnikom Poezji, żeby mogli rodzic się prawdziwie lzy, miłość, cierpienie rozstania, tęsknota za nieokreślonym, swia-

domość wiecznej samotności, prawdziwa rozpusta, grzech zrodzony z rozdarcia duszy i ciała... Będziesz Aniołem pośród innych, malujących rzeczywistość w odcieniu szarości, aby mogła istnieć poezja. Aby mogli istnieć ci, którzy zostają odrzuceni, niewygodni. W nich trwała zawsze Polska i odradzała się niczym feniks. Musicie być, aby mogło trwać coś więcej niż liczenie kosztów i zysków, demon wątpliwości, melancholia, duma, chwała, upadki i wzloty, żeby nie zginął ten naród, aby nie utonął w oceanie wszechjednoliceńca, nazywanego ładnie wspólnym europejskim dziedzictwem kulturowym.

Kiedy w rękach czarnowłosego zmaterializował się srebrny sztylet, DJ przygotował się na chłód.

– Jesteś gotów. Weź to ostrze razem z całym ciężarem wątpliwości. Pora, abym cię zostawił. Odtąd zaczyna się twoja własna droga. Będziesz upadał i podnosił się silniejszy, będziesz wątpliwy i... Spełnia się kolejny cud, rodzi się Anioł. Czy może być coś piękniejszego?! – czarnowłosy spojrział dziewczynie w oczy i ujrzał w nich radość. Tak długo czekała.

– Odnalazłeś ją, mój markizie, pora, by ktoś spełnił jej sny. Tak dawno zapaliłem tę drzazgę. Spłotłem twoją pustkę z jej strachem. Teraz, kiedy nie ma już pustki, musi umrzeć jej strach. Już czas.

IV

Kiedy stoję w oknie, spoglądam w dół, na ludzi niosących swoje krzyże. Małe są i lekkie, złote i nieważne. Patrzę na ulicę i tłumię płacz, bo tyłu z nich pójdzie w niedzielę do kościołów. Zaniosą tam swoją złość, by poczuć się oczyszczonymi i dalej brać udział w wielkiej wędrówce ku zatraceniu. Patrzę, jak idą zarażać, okaleczać, ranić, bluzgać żółcią, nieświadomi walki o wszystko. Oglądam ich i widzę, jak niewiele brak im, by stać się Aniołami. Wiem, że mógłbym dać im świadomość. Widzę wtedy Jego twarz. Patrzy w ciszy, Pan Tego Świata. Wie, że więcej osiągnie, przemykając pomiędzy i dotykając delikatnie, kłusując jak zmiża. Wiem wtedy, że nie jestem nikomu potrzebny w tej Dolinie, gdzie trwa wielki piknik, zabawa do upadłego.

Rozkładał skrzydła z trzaskiem prostowanych kości. Ona siedzi na tapicerowanej sofie – moja dusza. Ma na sobie tę sukienkę, w której wygląda najsliczniej. Białe jedwab fałuje, gdy oddycha. Spoglądam jej w oczy. Żrenice ukrywają wielką tajemnicę. Miłość i nienawiść tworzą w nich krąg i z czarnej głębi jak koła na wodzie po wrzuceniu kamyka rozchodzą się w zgęstniałą przestrzeń. Upajam się jej widokiem. Ileż ma w sobie niewinności! Rozmawiamy, z przeszłych dni wybierając te, w których czułem w sobie walkę. Wątpię i upadam, dzielę się z nią moim bólem, moim strachem. Jest nam razem tak dobrze... wreszcie.

Wierzę we własne szczęście. Tylko kiedy przychodzi sen... Tylko jeden pośród tylu nocy w czerni Otchłani. Widzę Nauczyciela. Rozmawiamy w tym pokoju przy Moście Królowej Jadwigi. Twarze toną w cieniach, aby po chwili zabłysnąć odbitym blaskiem świec. Wszystko jest takie proste, jakby nic nie miało się nigdy wydarzyć. Wracam do Paryża, idę po bruku Place de la Concorde w słoneczny dzień i... czuję pustkę, ciężar straconych dni, strawionych na poszukiwaniu tego, co niemożliwe do odnalezienia. Powraca chłód srebra wbitego w serce i uczucie wirowania, ale przecież to ja zostałem powiernikiem sztyletu.

– Eli, Eli, lama sabachtani! – budzę się z krzykiem, a Ona ociera mi pot z twarzy i...

– On też wątpliwy... – szepcze takie piękne słowa, a ja patrzę na nią. Patrzę na moją duszę, moją przeklętą duszę, i Kocham ją mimo zdrady, po samo Zatracenie...

... lecz nic nie jest już warte wzroku, co nie jest istotą zapatrzania i prócz zegara nikt już więcej nie ma nic do powiedzenia.

INSTYTUT WYDAWNICZY „Świadectwo”

świadczy usługi w zakresie edycji i kolportażu:

♦ książek ♦ broszur ♦ czasopism
♦ prospektów i ulotek ♦ plakatów

85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51B/4
tel. (052) 321 33 71, fax (052) 371 40 90
e-mail: akant@akant.telvnet.pl

Sławomir Kuźnicki

W imię ojca i syna

kim są te twarze wokół
kim są ich głosy
nie widać nie słycać
tylko szum rzeki zapomnianej
w puszcze po rybach

i ducha świętego

idziesz w dół rzeki do samego
źródła jej łuskowatości
twarze i głosy zostały za tobą
tam gdzie kiedyś była padlina
tam teraz ryby wieczne

amen

Alicja Mirkiewicz

Brydź

Czy pamiętasz, kochany
nasze sierpniowe bez atu
czarna jak pik sukienka
z dużym dekoltem karo...
licytowałam trefle –
renons w twojej karcie
i pewnie byłby szlem
gdybyś nie tak uparcie
rzucił kierami o stół,
z rozbawionymi oczami
nazywał kierę sercami

oni ugrali contrę
a nam otworzył się świat

Alicja Mirkiewicz

konserwuję zapachy
czarodziejki zakłete
może za rok, dwa lata
wtulę się w ciepłą woń
poczuję się jak
bym głową
zawisła na piersi ojca
na welnie jego swetra
z zakorkowanej pamięci

Tadeusz Lira-Śliwa

Aforyzmy

Mikołaj Sęp Szarzyński: poeta zawieszony między przepaściami.

*

Miłosne listy z polski: z Marią Pawlikowską-Jasnorzewską na znaczkach.

*

Adam Zagajewski: paryski obłoczek.

*

Ryszard Krynicki: żelazna kurtyna obłoków.

*

Marian Jachimowicz: kosmiczna ulewa.

*

Tadeusz Śliwiak: poeta-zawodowiec.

*

„Świadectwo dojrzałości” Tadeusza Różewicza: poezja – bardzo dobry, proza – dobry, dramat – dobry.

*

„Świadectwo dojrzałości” Edwarda Stachury: poezja – dostateczny, proza – bardzo dobry, piosenki – dostateczny.

*

Reiner Maria Rilke: metafizyczny tułacz.

*

Tomasz Mann: Goethe prozy.

*

Kto czytał całą książkę Jamesa Joyce’a: „Finnegans Wake”?... Przy tym najtrudniejszym dziele literackim XX wieku – „Ulisses” jest niemal rozrywkową lekturą.

*

Magdalena Schatt

1.
Bóg z góry
nas poucza
niech zejdzie
tu
na dół
niech zobaczy
co to przenikająca
do szpiku kości
samotność

2.
Bóg to
gentelmen

odchodzi
bez słowa
gdy wyrzucam Go
za drzwi

3.
Bóg trzasnął drzwiami
anioły obgryzały
paznokcie ze wstydu

zostałam sama
z walizką
pełną twojego
zapachu

4.
jestem sama
z tylko jednej przyczyny

Bóg się pomylił
i stworzył nieparzystą
liczbę ludzi

Tadeusz Sobusiak

Pytałeś co u mnie słycać...

- więc z moich okien co dzień miasto horyzontem zachodzi.

Szyby jak oczy luster zapamiętują odbite światła.

Zostaję wciąż na krawędzi między tym co widzę, a wybijaniem oczu-okienic.

Kiedy pada deszcz wychodzę na ulicę.

Pozwalam wodzie zmywać kurz wszystkich mylnych wyobrażeń.

A ciszy rozsadać moją duszę.

- więc z moich okien wychylam się najdalej jak potrafię.

I zachodzę z miastem.

Niczego innego nie pragnę.

Barbara Witucka

Spowiedź

Codziennie spowiadam się
z bólu
cisza jest moim sumieniem
a łza pokutą
którą Panie
dostaję od Ciebie

Joanna Mioduchowska

Księga życia

Prolog – narodziny
Rozdział pierwszy – dzieciństwo
Rozdział drugi – edukacja
Rozdział trzeci – praca
Rozdział czwarty – małżeństwo
Rozdział piąty – dzieci
Sukces – rzadko
rozwód – często
Starość – czasami
Happy end – nigdy
Epilog – a po co?

Jacek Tabisz

Przeciw prostocie ewolucji

Spotykając się z niezwykłą prostotą i od wagą wniosków estetyków ewolucji, jakimi są Maciej i Marzena Szarejko, nie sposób nie docenić ich punktu widzenia. Bez wątpienia wielkim atutem ich teorii jest naturalny uniwersalizm percepcji i potrzeb ludzkich, oparty na solidnej obserwacji mechanizmów Natury. Z pewnością wnioski dotyczące odesia artysty od widza są w wielu aspektach trafne i istotne, zważywszy dzisiejszą kondycję szeroko pojętej kultury. Również zgoda najodważniejsze przemyślenia, dotyczące estetyki zwierząt, wydają mi się zgodne z moją własną, w tej dziedzinie, wiedzą i intuicją. Rzeczywiście, piękno nie jest ludzkim wynalazkiem i zapewne nie tylko ludzie są tego piękna świadomi.

Udajmy się zatem na polanę, gdzie tańczą pawie. Rzeczywiście, wytlumaczone przez Szarejków kalokaghatos odgrywa istotną rolę w tym zwierzęcym rytuale. Jest piękno pawich ogonów, prawda o zdrowiu tancerzy, i wynikające z niej dobro dla przetrwania gatunku. W tym całym obrazie uderza mnie jednak jego niezmiennosc. Pawie są pawiami, ogony ogonami, taniec godowy tych ptaków nie zaskoczy doświadczonych ornitologów. Jednak ten taniec się zmienia. Temu w istocie służy. Wprawdzie pawie będą tańczyć jak pawie, ale cała ta zabawa ma na celu zróżnicowanie materiału genetycznego. Taniec się zmieni, gdy z pawia wykształci się inne zwierzę, tak jak z protoplastów pawi powstały pawie. Kalokaghatos u pawi nie służy zatem pełnej harmonii i uczuciu radości. Służy przede wszystkim ich powolnej, zgodnej z ewolucją przemianie.

Wydaje mi się, że zagorzali ewolucjonści, jakimi są Szarejki, obrali złą perspektywę dla swoich obserwacji. Ja, będąc też po trochu ewolucjonistą, nie widzę pawi. Widzę gatunek, który wciąż ponawia wysiłki dla powstania nowego gatunku. Inaczej piciowa wymiana genów, która jest główną przyczyną tańca godowego, nie miałaby żadnego sensu. Gdyby kalokaghatos tańca pawi była czymś pełnym, harmonijnym i absolutnym, nie byłoby jej, gdyż pawie rozmnażałyby się na przykład przez pączkowanie. Triada *piękno – dobro – prawda* jest tu tylko elementem, służącym znacznie ważniejszemu dla ewolucji różnicowaniu i tworzeniu form nowych. Ewolucja pokazuje, że dla piciowej wymiany genów istnieje wielka ilość różnych wariantów. Czasem oznacza ona śmierć jednego z partnerów, jak u niektórych pajaków, czasem oznacza obranie jednego partnera na całe życie jak u słoni, ale też jak u wielu gatunków ptaków. Nie zawsze zatem prawdą dla zwierząt jest siła i uroda seksualnego partnera.

Zakładając jednak, że prekursorami sztuki były tylko zwierzęta o klasycznych zamiłowaniach warto znów zapytać – po co to wszystko? Gdzie tu miejsce dla żaby, która nagle opuszcza środowisko wodne, dokonując jednej z największych w historii naszej planety rewolucji? Dlaczego, w pewnym momencie, koślawe ryby z dziwnymi pletwami stały się bardziej atrakcyjne od tych wyglądających zgrabnie?

Dawkins i jego teoria memów z pewnością są ważnym krokiem w pojmowaniu ewolucji. Przełożenie zasad doboru naturalnego na ewolucję idei zachodzącą w sferze idei utworzonej przez człowieka oznacza większą spójność w badaniu rzeczywistości. Ale – na razie tylko taka kwestia – czy podziw pawi dla zdrowia, młodości, siły i skuteczności, przekłada się na ludzkie odczuwanie piękna? Przecież człowiek, będąc nowym gatunkiem zwierząt dorobił się kolejnego ewolucyjnego wynalazku – umysłu abstrakcyjnego na tyle by otworzyć kreować rzeczywistość. Cóż jest więc bardziej atrakcyjne dla gatunku ludzkiego – spalizowany geniusz, czy idealnie piękny i zgrabny zapasnik? Co bardziej przyciąga młode kobiety – modele z magazynów, czy osoby sławne? Sławne, dzięki w ten czy inny sposób objawionej sile

umysłu – czy to przez zwykły spryt, czy też poprzez rzeczywisty geniusz.

Szarejki, pisząc o kalokaghatos, zapomnieli o najważniejszej dla Natury zasadzie różnorodności. O tym, że ewolucja ma na celu nieprzerwaną i wręcz szaleńczą twórczość i zapewnienie życiem najbardziej nawet niedogodnych obszarów. Gdy jakieś zwierzęta dorobią się tańców godowych, jest to jedynie doraźne rozwiązanie, jeden z tysięcy sposobów na nieprzerwany rozkwit życia na Ziemi.

Przekładając tę cechę ewolucji na prawa Dawkinsa, widzimy idee, których głównym celem jest różnorodność i kolonizowanie nowych obszarów. Jeśli te idee chcą iść w zgodzie z kalokaghatos, to idą – ale są to jedynie pawie wśród wielu innych ptaków, postępujących inaczej.

Jako artysta też jestem, podobnie jak Szarejki, zwolennikiem szukania źródeł sztuki. Podobnie jak oni traktuję ewolucję jak jedno ze źródeł, choć, inaczej niż oni – nie jedyne. Jedną z moich głównych obsesji jest poezja metafizyczna, czyli poezja wychodząca poza fizykę słowa i pojęć już istniejących. Uważam, że wiersz jest, poprzez swą strukturę, predestynowany do roli nowego memu, który w cechy istniejące jest w stanie wprowadzić cechy nowe. Nie wiem, na ile to dość abstrakcyjne zadanie w czasie danym mi przez przypadek i naturę zrealizuję, ale moja potrzeba jest zupełnie zgodna z ewolucją. Podobnie jak prażaba leżąca sobie na dnie błotnistej jeziora i staram się oddychać tlenem nie rozpuszczonym w wodzie, staram się zmusić moje pletwy do spacerów po lądzie. Taka jest moim zdaniem rola sztuki – specjalizacja wytwarza wiele tworów niepotrzebnych, które nie sprawdzają się w kontakcie z czasem i innymi twórcami, tymi które były, tymi, które będą. Ale też stwarza możliwość zabiegu skoku na ląd. Oto nagle śmieszne pletwy mogą okazać się łapami!

Czy zadaniem sztuki jest weryfikacja prawdy istniejącej w odbiorcach z tą podaną przez twórcę? Czy artysta ma być szczęśliwy, jeśli wyzwoli w odbiorcach wewnętrzną refleksję i znów odkryją oni, że są ludźmi? Nie! Zadaniem sztuki jest odkrywanie nowych środowisk oraz ich kolonizacja. Jest tworzenie nowych pojęć, stanów i emocji, umożliwiających stopniowe zasiedlanie nowego obszaru.

Prawda, w rozumieniu Szarejków, jest pojęciem dla ewolucji sztuki bardzo niebezpiecznym. Bo coż może dać zgodność artystycznej kreacji z żywymi potrzebami widzów? Że po spektaklu zupa im będzie lepiej smakowała? Sztuka nie pełni roli służebnej. Nie służy podtrzymywaniu dobrego nastroju. Ewolucji nie obchodzi to, że pajak zjadany przez samice po zapłodnieniu odczuwa dyskomfort. Ewolucję obchodzi to, co się zmieni. Na ile nowe będą małe pajaczki.

Oczywiście artysta nie może zapomnieć o zrozumieniu wśród odbiorców. Jest to element środowiska naturalnego sztuki. Protożaba może być byle jaką rybą, ale musi przetrwać. Zdobywać pożywienie, chronić się przed chłodem, unikać większych drapieżników. Może zagrzebać się w ziemi i czekać na porę deszczową – jest wtedy odpowiednikiem artysty, którego dzieła odkrywane są po jego śmierci. Podobnie jak geny, memy też mogą przetrwać swoich fizycznych tragarzy. W tym sensie estetyka ewolucji jest cenną wskazówką dla każdego artysty. Kalokaghatos może pomóc w rozprzestrzenieniu memu danego artysty na inne obszary kulturowe, na różne czasy, także te odległe od fizycznej śmierci artysty, a tak-

że po prostu na największą ilość odbiorców. Ale musi zawierać też inną wartość – sam w sobie byłby jedynie wirusem, genem, który mnoży się nieźle, ale nie jest nawet żywy – od czasu do czasu powiela się kosztem ogłupienia odbiorcy, który znów odnalazł siebie, zamiast robić coś bardziej pożytecznego.

Jednocześnie ewolucja daje artyście wolne pole – może zrobić co chce, i będzie to na tyle skuteczne, na ile jego mem przetrwa. Jeśli jego wiersz będzie silny poprzez całkowitą niespójność – prozę bardzo. Natura tylko może zatrzeć ręce – oto bowiem wspaniałe nowe organizmy. Jeśli wiersz będzie wpływał na większą ilość samobójstw – wspaniałe, doskonałe nowe drapieżniki, oczyści inne gatunki i rozwinię pożeraczy trawy. Oczywiście żartuje, antropomorfizując Naturę, ale tak właśnie działają jej mechanizmy.

Raz jeszcze muszę podkreślić – istotą ewolucji jest zmienność. Nie ma żadnych statycznych obrazów. Ani taniec pawi, ani ludzki mózg nie są niezmiennie. Widząc je, widzimy jedynie pewne stadium procesu. Słońce o 17.05. Można zapamiętać, że już od pięciu minut wypada pić herbatę, ale to za mało by sporządzić kalendarz. Ktoś cierpliwy odczeka te kilka lat, wiadomo – 5 lipca imieniny Hildegardy, 22 Dzień Kobiet, ale i cykliczność bywa pozorna. Ziemia zwalnia z czasem, Słońce się wypala, nie jest zresztą samo we wszechświecie. Po kilkunastu milionach lat żaba zmieni się w gada, a z gada za jakiś czas powstanie paw. Paw będzie tańczył, a jaszczurka nie.

Z triady kalokaghatos uznaję jedynie *Piękno*, pojmując je jako zmienność i ruch. Choć poszczególne rozwiązania, – takie jak żaba, koń, wygodny fotel, komfortowa przestrzeń – są na swój sposób utylitarne, to ewolucja taka nie jest. *Piękno* to coś niepotrzebnego – ruch dla samego ruchu, zmienność dla zmienności – taka jest istota *Piękna*, i przez to ewolucja jest piękna. Zadaniem artysty jest podążanie w nowym kierunku i porwanie ze sobą innych tak, aby nikt nie musiał już tracić cennego czasu na tą samą drogę. *Prawda i dobro* to jedynie utylitarne rozwiązania, porządkujące zdominowaną już przestrzeń i potrzebne jedynie do czasu, gdy nie pojawią się nowe i lepsze.

HOTEL DLA LITERATÓW!

Hotel „Centralny” w Bydgoszczy posiada ciepły klimat pensjonatu. Opiekuje się swoimi gośćmi, urządza dla nich wyjazdy w atrakcyjne miejsca, jest w stanie zorganizować różne imprezy, w tym sympozja i spotkania autorskie.

Nocowali u nas:

Zofia Nałkowska, Leon Kruczkowski,
Ernest Bryll, Adriana Szymańska,
Jolanta Baziak, Teresa Kowalska,
Kazimierz Braun, Tadeusz Lira-Słiwa,
Krzysztof Bilica, Janusz Mrzygod

Ceny od 108 zł (pokój jednoosobowy),
od 165 zł (pokój dwuosobowy),
od 260 zł (apartament) za osobę.

Przedsiębiorstwo Hotel „Centralny”
ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz
tel. (052) 322 88 77, 322 88 76,
fax 322 88 70



Przy hotelu kawiarnia dla niepalących z najlepszymi ciastkami w grodzie nad Brdą!

Raz na miesiąc, w trzeci wtorek, w godz. 18.00-20.00 spotkanie Klubu Polskiej Książki.

Organizator: Michał Krzemkowski
tel. 052/3796-789

Beata Anna Pokorska

Anihilacja

(Wariacja na temat „Lalki” Bolesława Prusa)

– Wszystko nie warte, nie warte – szeptał Wokulski, wpatrzony w rysujące się na tle pochmurnego nieba zarysy kamiennych wież. – Wy też nie warte, ot, zimna materia – kopnął stertę kamieni, które ktoś uszykował dla wybrukowania alejki. Widać nie zdążył dokończyć dzieła. „A może się rozmyślił?... Tak jak ja... Nic, tylko głazy, a przecież nawet głaz ma więcej ciepła, niż moje wspomnienia...” – Czy ja mam jeszcze wspomnienia? – westchnął głośno i umilkł, wsłuchany w swoje wnętrze. Próbował przypomnieć sobie choćby jedną ważną rzecz, jakiś przedmiot, wreszcie osobę. – Niczego – zajączał – jak to możliwe, by nie było w człowieku niczego? Przez chwilę wyglądał tak, jakby miał zamierzać zastępnąć w tym zdziwieniu na wieki. Granatowe skamienienie oczu i ta strzała brwi, połączonych w sile oszołomienia.

To trwało minutę, może kilka, a na pewno nie dłużej niż najgłębsze wstrzymanie oddechu. Przyniosło ze sobą niespodziewaną siłę, poczucie panowania nad sobą w piekielnym kamiennym spokoju, który zdawał się rozlewać na wszystko wokół. „Więc to takie proste... Wystarczy wstrzymać oddech i cały świat również przestaje oddychać. Wystarczy chcieć panować nad światem...” Ale czy to wszystko? Musi coś w sobie znaleźć, przecież nie jest duchem! Krzyknął: – Nie jeestem duchem! – aż z pobliskich drzew uleciały z trzepotem ptaki.

I może ten szum powietrza, wzbijanego ptasimi skrzydłami, a może krzyki, wydobywające się z jego i ptasich gardzieli, obudziły go. Poczł chłód, ozywczce tchnienie gdzieś z głębi jego pustyego, zdawałoby się, jestestwa. „Więc jednak coś tam jest...” – wsłuchał się ponownie w siebie. Nie mylił się, coś w nim zawołało: „Idź naprzód. Naprzód...”. „Jak te ptaki” – odprowadził wzrokiem blednący klucz i zachciało mu się polecieć za nimi. – „Chcesz uciec?” – ten głos, ironiczny i twardy, śmiał się w jego głowie, ale przerwał mu: „Chcę wyjechać po nowe”. I uświadomił sobie, że to prawda, że nie ucieka. Jeszcze dzień wcześniej, jeszcze godzinę, ale nie teraz... „Jak o tym zapomnisz? Jak się z tym rozliczysz? Gdzie zarachujesz?” – pytał uporczywy głos, którego zaczął już nienawidzić. – Ale z czym mam się rozliczyć? O czym zapomnieć? Przecież wszystko rozpadło się, nie ma tego... nie ma... – odparł głosowi, jednak już bez krzyku, bo przecież nie musiał niczego udowadniać. Wszystko unicestwiło się samo.

I nagle rozbłysło w nim światło, ciemne światło zrozumienia. Jakie to wszystko proste... To o tym mówił Geist, kiedy kazał mu przyjść do siebie, gdy nic już mu nie pozostanie... Pustka, a w tej pustce NOWE. Tym większe, im w bardziej rozrzedzonym. Geist zastosował budowę klatkową, ale on pójdzie dalej. Jeszcze bardziej ją rozrzedzi, aż dojdzie do kresu. Do nicości idealnej. Znajdzie na to przepis, tylko do tego trzeba mu drugiego takiego jak on, twarodo stąpającego po ziemi, marzyciela. – Geście, Geście, gdybyś wiedział, coś we mnie zasiał... – zawołał w uniesieniu – wszystko będzie znikać na jedno moje zawołanie. Rzeczy, maszyny, systemy. – „A wspomnienia?” – uporczywy głos nie dawał spokoju. – A choćby i wspomnienia! – krzyknął. – Nie będzie rzeczy, nie będzie konstrukcji, nie będzie wspomnień!

I nagle pociemniało mu w oczach. Uprzymnił sobie, jak wielką sprawę ma przed sobą. Coś więcej niż rozpad, bo ten pozostawia ślady. Tutaj nie zostanie się nic. „Czy wiesz, co się wydarzy, gdy zajmą się tym szaleńcy?” – głos zyskał na sile. – „A czy świata nie zaludniają wyłącznie szaleńcy?” – odpowiedział mu w myśli. Jedni pracują

jak muły, bez widoków na przyszłość, zatruwani nieużyteczną egzystencją Łękich, Krzeszowskich, czy innych Rossich i zależni od łaski takich Wokulskich, jak on. Inni, najmądrzejsi z mądrych, najtrzeźwiejsi z trzeźwych, topią majątki i dusze w realizacji najbardziej ryzykownych pomysłów, wszystko zaś dla społeczeństwa, przez co ono obwołuje ich prawdziwymi wariatami? Rozbić tego nijak się nie da, już to Klein się o tym przekonał, pokonany przez takich Szlangbaumów, którzy wyrosli, nie wiadomo kiedy. Edukować tegoż niepodobna, bo wyższe – w swym chorym mniemaniu – nad wszystkie społeczne edukacje. Te ich artyzmy, gdzie byle piskacz, któremu rzeczywistego talentu nie staje, jeśli ładnie się kłania, dobrze wypomadowany, bryluje w wystawnych salonach, pustych jak ich dusze!

Przypomniał mu się pokoi, który zajmował Ignacy, te kilka zniszczonych mebli... Dlaczego on nie bryluje, nie pomaduje się...? „Ech, Ignacy, Ignacy, gdyby dało się Ciebie ocalić z tego morza ścierwa... Ale jeśli przyjdzie na świat ruina, a bez zmian niechybnie przyjdzie, to i Ciebie pogrzebie. Za staryś na rewoltę, która idzie... Zbliża się, Ignacy, wielkimi krokami zbliża się... Już to za sprawą Kleina, a jeśli jemu się nie powiedzie, to Szlangbauma, który pochytrzy się i na Ciebie. Bo widzisz, Ignacy, romantyku, nie zniesiesz tego, jako i nie zniósł Twój Katz, który zostawił po sobie jeno skrawioną poduszkę. Ale gdyby tak znaleźć rozsądne zastosowanie mojej anihilacji? Kierownictwo, Ignacy! Mój anihilator miałby mózg. Trzeba wiedzieć, co powinno zniknąć, a co nie. Ocalałbyś, stary, Ty i jeszcze paru innych... I chociażby dla Ciebie to zrobię, ale czy zdąży Cię ocalić?”

Wokulski wstał gwałtownie, gotów choćby w tej chwili jechać do Paryża. Nie będzie się nawet pakować. Niech jego przeszłość sama sobie poradzi.

Jednak pozostawi po sobie kilka pytań. Dla tych próżniaków: Krzeszowskich i innych... Już widział, jak szukają jego śladów, jak mówią: – „Czyś pan widział, baronie, Wokulskiego, tego... kupca?” – „W interesach pojechał” – odpowie baron,

poprawiając eleganckim ruchem binokle. – „Tak bez pożegnania? – „Tacy jak on nie wyzbęda się kupieckiej natury, interes to interes, co dla nich cudza wrażliwość...” – „Szefunio dla rubelków gotów nawet na biegun” – zmrużył zabiójco piękne oczy Mraczewski, a Maruszewicz, z wymiętą jak zawsze twarzą, odpowie mu: – „Pewnie i tam znajdzie kogoś do stłamszenia!” – „Chyba niedźwiedzia” – zarechoczą zgodnie, i rozejdą się, przekonani o swej moralnej wyższości.

„Wybacz mi więc, Ignacy, ten nagły odwrót bez wyjaśnienia. Że wystawiam cię na to wszystko: spekulacje na mój temat, które narosną niczym wieżą Babel i niczym ona, rozsypią się pod ciężarem hrabiowskiej i książęcej pogardy, a potem wszystkie o mnie zapomnienie. Ale moje zniknięcie to jeszcze nie czysta anihilacja. Tego świat jeszcze nie zna, choć pono święci potrafią, nasi i w Indiach”. – Ale ja nie święty, o nie – uśmiechnął się pod nosem Wokulski, nagle czymś uradowany. – Jestem w dobrym nastroju – rzekł do siebie – więc jednak potrafię się cieszyć. „Muszę to wykorzystać, zaraz zatelegrafuję do Geista, niech przygotuje odczynniki. Tobie, Ignacy, nie powiem, boś gotów mnie zatrzymać. Nawet i ty w to nie uwierzysz... Wszystko, co niepotrzebne, zniknie. Ale muszę pilnować, Ignacy, by nie dorwał się do tego żaden kombinator, których w całym świecie, a już w Paryżu na pewno, mnóstwo. Może tylko kiedyś, jak Geist się zgodzi, przyjmujemy do spółki Ochockiego”. – Jeśli nadal będzie miał głowę na karku i nie zakocha się – dodał po chwili gorzko.

I odszedł, nie oglądając się za siebie. Jego kroki stopniowo nabierały sprężystości, a plecy prostowały się. W pewnej chwili zamachnął się ręką, odganiając jakieś wspomnienie, a może tylko muchę, i zagwizdał, czym upodobił się do wyrostka, którym już dawno przestał być.

– Cóż z tego, Panie Geist, wszystko anihilacja. – Anihilacja – powtórzył po chwili i wbił wzrok w naczynie, z którego właśnie zaczęła wydobywać się para. Geist podszedł, zaciękawiony nową nutą w głosie współnika. Pochylił się nad pokrywającym się szronem metalem i... przymknął oczy w odruchu obronnym. To niemożliwe! Geniusz, czy szarlatan? Po chwili jednak podniósł powieki, bo nie może, do diaska, stracić takiego przedstawienia.

Wkrótce już obaj mieszaży w kadzi, dodając jakichś odczynników (Wokulski) i skrzętnie notując (Geist). Nawet nie spostrzegli, kiedy do pracowni zakradł się mrok. ■

9001



DNV

Gwarantowany system jakości

Najlepsi w usługach i doradztwie!

Viterra Energy Services jest światowym liderem wśród przedsiębiorstw zajmujących się rozliczaniem kosztów zużycia ciepła, wody i innych mediów.

Już 10 lat w Polsce!

Największa w branży sieć dystrybucyjna obejmuje w Polsce 9 oddziałów, 30 biur pełnomocników handlowych oraz ponad 1000 firm instalacyjnych i odczytujących.

Usługi:

- doradztwo techniczne, finansowe i prawne,
- dostawa i montaż podzielników kosztów ogrzewania, wodomierzy, ciepłomierzy i zaworów termostatycznych,
- inwentaryzacja grzejników,
- odczyty wskazań urządzeń pomiarowych,
- wprowadzanie i aktualizacja danych w systemie rozliczeniowym,
- rozliczanie indywidualnego zużycia ciepła,
- rozliczanie zużycia ciepłej i zimnej wody,
- rozliczanie dodatkowych kosztów budynku lub grupy nieruchomości,
- wystawianie indywidualnych i zbiorczych rachunków,
- prognozowanie przedpłat na kolejny okres rozliczeniowy,
- elektroniczna wymiana danych,
- dzierżawa urządzeń jako forma finansowania.

Urządzenia:

- elektroniczne **doprino**[®]II i wyparkowe **exemper**[®] podzielniki kosztów ogrzewania,
- ciepłomierze **sensonic**[®]II,
- ciepłomierze magnetoindukcyjne **combimeter**[®]II,
- przetworniki ultradźwiękowe **ultego**[®]II,
- systemy system odczytu i rejestracji danych **symphonic**[®],
- radiowy zdalnego odczytu danych **symphonic**[®] mbus,
- wodomierze do wody ciepłej i zimnej,
- zawory termostatyczne.



Viterra Energy Services Sp. z o.o. 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7

Oddziały: 80-119 Gdańsk, ul. Aesora 88; Tel. (0 58) 305 54 86-9; 40-584 Katowice, ul. Śródkowa 5; Tel. (0 32) 609 97 17; 31-155 Kraków, ul. Ogrodowa 1; Tel. (0 12) 422 79 72; 20-207 Lublin, ul. Turystyczna 7; Tel./Fax: (0 81) 745 00 40; 90-046 Łódź, ul. Wodna 39; Tel. (0 42) 676 44 75; 62-529 Poznań, ul. Dąbrowskiego 81/85; Tel. (0 61) 847 36 76; 71-215 Szczecin, ul. Łukasińskiego 110; Tel. (0 91) 487 96 61; 02-677 Warszawa, ul. Cybernetyki 7; Tel. (0 22) 549 27 30; 54-317 Wrocław, ul. Majakowskiego 7; Tel. (0 71) 376 98 70

www.viterra-ea.pl

Grzegorz Chmielnik**Brakuje mi bardzo babci**

babcia zawsze mnie broniła mój ty kocie było na porządku dziennym w czasie najgorszej choroby gdy zapomniała o całym świecie zdążyła pogłaskać i pocałować mojego synka a swojego prawnuczka było to przed wigilią później zadzwoniła moja mama że babcia nie żyje w trumnie widziałem babcie uśmiechniętą i taką zapamiętałem do dzisiaj jej radość i babcina troska wzmacniają mnie do tej pory choć brakuje mi bardzo babci i tych słów mój ty kocie

Kobieta z przyszłością

liczny naiwnie na wygraną na cudowny przyływ gotówki wróżka do niej po raz kolejny napisała wystarczy tylko wpłacić niewielką sumę pieniędzy by zobaczyć siódme niebo kobieta z przyszłością buntuje się przeciwko własnej słabości i punktuje wszystkich wrogów plotkarskiego obłąkania kobiecie z przyszłością nie wypada płakać ona musi postawić na swoim

Zbigniew Szwaja**LIMERYKI**

1.

Adam przyrzekł w Amsterdamie:
„Ja naprawdę dam ster damie”
I dotrzymał słowa Adam.
Dama szepcze: „Bardzo rada”.
Choć z Adamem na dno spada.

2.

Bas chciał śpiewać w Hondurasie,
Więc mu radzą: „W ha dur, basie!”
W ha dur śpiewał. Wygrał hondę,
Ale wątpię, czy mu w ton ten
Zdobyc więcej hond uda się.

3.

Był raz mądrała rodem spod Grójca,
Którego napadł straszliwy zbójca,
A on się mądrył, nie bacząc grozy,
Więc mu sprawili krzyż z białej brzozy
I teraz gości go Święta Trójca.

4.

Chwalił się i pysznił krawiec z Łodzi,
Ze mu się teraz dobrze powodzi,
A gdy go pytano, gdzie dostatek
Wskazywał liczne grono swych dziattek:
„Dorobek w tym, co żona mi rodzi.”

5.

Długo nie zrywał ogrodnik z Miśni
Jabłek i gruszek, śliwek i wiśni,
Pyta się sąsiad więc ogrodnika,
Czemu on wszelkiej pracy unika,
A on: „Pracować? Ani się mi śni!”



Jedna z grudziądzkich osobliwości natury
fot. Hanna Dąbrowska

IV Ogólnopolski Konkurs na Tomik Wierszy TYSKA ZIMA POETYCKA

W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy (zrzeszeni i nie zrzeszeni w związkach twórczych), którzy wydali samodzielną książkę poetycką.

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie do 30 grudnia 2003 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Teatr Mały, „Tyska Zima Poetycka”, ul. Kard. A. Hłonda 1, 43-100 Tychy znormalizowanego maszynopisu (do 50 stron) tomiku wierszy w układzie graficznym przewidzianym do druku.

Opatrzony godłem maszynopis należy nadesłać w czterech egzemplarzach. W osobnej kopercie – opatrzonej tym samym godłem – należy zamieścić dane: imię i nazwisko, adres, telefon kontaktowy, krótką notę biograficzną oraz tytuły wydanych dotąd książek z rokiem wydania i nazwą wydawcy.

Nagrodę stanowiąc będzie profesjonalne wydanie zgłoszonego do konkursu tomiku wierszy oraz 2.500 złotych.

Tomik zostanie wydany w nakładzie 500 egz. w formacie A-5, z czego autor otrzyma 400 egz., a pozostałe rozdysponuje Teatr Mały.

Izabela Rola**Wierzę w taką...**

Wierzę w taką miłość
ze słodkimi pocałunkami,
z uśmiechem w deszczu,
ze łzami na chrzcinach,
z rozpaczą zdradzonych,
z prezentem bez okazji,
z westchnieniem w tle,
ze śmiercią w finale

budzi się we mnie
piękno odczuwania,
chcę móc je wyczerpać
jak źródło chłodnej
wody, nim splonę w
płomieniach umykającego
życia.

Anna Błachucka**Fraszki matematyczne****DYLEMAT LUDOLFINY**

Uskarżała się liczba ?,
że naturalna z niej często kpi,
- czy takie coś niewymierne
może być wiarygodne i pewne?
Odezwał się śmiało promień
- oj! – docień tę liczbę, docień,
bo nawet z największym mozołem
nie zdołasz rozliczyć się z kołem.

WYKRES

Z miłością i funkcją mieć możesz te same kłopoty,
Monotoniczna, nieciągła i ma asymptoty!

MIŁOŚĆ NA KOREPETYCJACH

Wybrała się miłość na korepetycję,
Aby poznać swoją definicję.
Dowiedziała się za pieniądze stokrotnie,
Że miłość, to pojęcie pierwotne!
Twierdzeniem zaś jest takie zdanie:
- „Jeżeli jest miłość, to będzie kochanie!”
Niezbitym dowodem,
Będą liczne młode.

EROTYK TRYGONOMETRYCZNY

Zazdrościł Sinus Tangensowi córki Asymptoty!
Jak wąż wił się z miłości! – ułożył erotyk!
Szanowny Tangensie, zakończ mą udrekę!
Dziad Trygonom się zgadza, więc Ty daj jej rękę!
Zebrał Argumenty! Nastroił organy – do ślubnego aktu!
Nic z tego! – rzecze Tangens! Nie mam z nią kontaktu!

USTRÓJ FUNKCYJNY

Nie lekceważ Argumentu chociaż leży,
według funkcji jemu także się należy!

MISJA EUKLIDESA

Trzyma w ryzach niesforne kąty,
żeby się nie „rozeszły” trójkąty!

USTAWIONE!

Zapytam ZERA – co i jak zrobiło,
że się na zawsze w centrum ustawiło

NA BOOLE'A

Gdy mu się zachciało,
utworzył ciało!

Zygmunt Jan Prusiński

Tryptyk pożegnalny

Prawda w niej, to lustro nieba

Marianna Bocian.... odeszła tak cicho,
że liście drzew nie zdążyły ułożyć wiersza.
Była odważną poetką – nie tylko kobietą Polką, tak zlekceważoną.
Rozliczana z wielu wierszy, nie dopuszczano by głos jej kwitł kolorem protestu.
Lecz cenzura nie potrafiła zniszczyć w niej prawdy słów, bo prawdy nie da się uśmiercić.

Nie bądź tak milcząca

Nie bądź tak milcząca – zesłaś tylko na chwilę z drogi.
Ja, twój wielbiciel nie wierzę w twoje milczenie.
Byłaś dotąd dobrą matką twoje dzieci – wiersze uczą patrzeć na horyzont i światło wstydliwe w piwnicy.
Moja siostrzo z kart zapisanych nie śpij dłużej niż wypada, tobie rzeki pieśni nuca – ja ci wierzę i kamień polny.
Będziesz wtędy szczęśliwa kiedy mgła zarysuje ci powrót w trakcie biesiadnych ognisk wszystkich poetów świata.

Sączy się czas melodią wiersza

Drogi w niebie są takie same, idą po niej biali aniołowie i czytają wiersze Marianny Bocian.
Pewnie masz sporo zaproszeń wieczory autorskie zapisujesz w notesie by nikomu nie czynić przykrości, że poeta na czas nie dojedzie.
Sączy się czas melodią wiersza każde krzesło to inny poeta, który został zaproszony do nieba i teraz słucha liryki z ust niemych.
A malarz na palecie farby układa jaki masz mieć kolor włosów w obrazie jego snu tuż przy akacji.

Ustka, 05-08-2003.

www.fotolabedz.com.pl

Studio Fotografii Artystycznej

„Pod Łabędziem”



Marek Ratkowski
Bydgoszcz, tel. 052/ 322-54-69
ul. Gdańska 5

Zygmunt Jan Prusiński

Wyrwane zdarzenie

„Nie usprawiedliwiam się,
a jednak szkoda...”

Na „pustyni” w Austrii (mam tu na uwadze kulturę polską na emigracji, mam na myśli inną, bardziej oryginalną, nie-stateczną i nie-schematyczną) utworzyłem w roku 1989 **Korespondencyjny Klub Pisarzy Polskich**, by dotrzeć do najdalszych zakątków świata, gdzie żyje i mieszka emigrant – poeta, emigrant – prozaik.

Klub klubem, związek związkiem, stowarzyszenie stowarzyszeniem, ale stagnacja wymagała większego animuszu, wprowadziłem zatem, poza konkursami poetyckimi i prozatorskimi, specjalną nagrodę, i tak powstała „Wiedeńska Nagroda Literacka” imienia Marka Hłaski. Wybierając patrona, miałem również na uwadze Witolda Gombrowicza i Kazimierza Wierzyńskiego. Jednak, kiedy byłem na Majorce w trakcie urlopu, zabierając ze sobą kilka książek, w tym „Piękni dwudziestolenni”, zdecydowałem się na Hłaskę, bo jeden szczegół był dla mnie – doprawdy – niesamowity. Nawet skierowałem do Marka te słowa: „Jaki musiałeś być silny, żeby pracować w hucie przy 40 stopniach ciepła po kilkanaście godzin, i jeszcze w nocy pisałeś opowiadania!”. Było to w Izraelu, gdzie Hłasko przebywał, szukając wciąż dla siebie osobliwego miejsca. To prawda, bardzo późno przeczytałem tego jego książkę; aż wstyd przyznać się... a przecież była w obiegu w PRL.

Gdy się rozkręciła ta inicjatywa, zaprosiłem do współpracy krajowego poetę Romana Senskiego. Wówczas mieszkał on w Borach Tucholskich. Muszę przyznać, że to całe przedsięwzięcie brałem z punktu zerowego, nie mając nic, żadnych oszczędności finansowych. To było szaleństwem, aczkolwiek liczyłem, że pomoże mi w tym twórca literatury faktu – Władysław Bartoszewski, wówczas ambasador w Austrii. Liczyłem też na Ewę Lipską, która była wicedyrektorem Instytutu Polskiego na Am Gestat 7a. Jednak pomyliłem się... Instytucje są z natury martwe, zatem trzeba było liczyć tylko na siebie. Z własnych zarobków

Stanisław Truchan

Cisza nad trumną Ireny Jurgielewiczowej

Do dzisiaj pamiętam tamten dzień, chociaż datę trudno mi ustalić. Włączyłem telewizor, zmieniłem kanał, by obejrzeć wiadomości nadawane przez paryską TV-5, z góry trochę poirytowany faktem, iż na samym początku zobaczę jakieś mało istotne dla mnie obrazy z Sahary... Jednak Francuzi mają interesujący zwyczaj równoległego informowania na początku dziennika o dwóch wydarzeniach naraz. Tak więc scenom z afrykańskiego buszu towarzyszył biegnący w poprzek ekranu napis: „Zmarli Octavio Paz i Linda MacCartney”. Tak, nie przejęczyłem się: kolejność była właśnie taka. Jednak kiedy włączyłem pierwszy program naszej „publicznej” i „misyjnej”, dowiedziałem się tylko o śmierci żony eks-beatlesa. Ze szczegółami. Octavio Paz gdzieś się ulotnił. Co tam jakiś poeta, choćby noblista, jeśli nie nasz i nie tegoroczny?

Tamten dzień przypomniał mi się w związku z króciutką notatką w „Rzeczpospolitej”. Ta – podobno – bardzo profesjonalnie redagowana gazeta dowiedziała się z Internetu (chyba z portalu Onet) o śmierci, w wieku 100 lat, nestorki polskiej literatury młodzieżowej, Ireny Jurgielewiczowej. Autorki popularnej, obecnej we wszystkich szkolnych bibliotekach oraz na liście szkolnych lektur powieści „Ten obcy”. Informacja zajęła chyba aż cztery bezcenne centymetry kwadra-

utrzymywał przez blisko pięć lat całe to przedsięwzięcie. I ten nieznan mi Senski zaproponował, by tą Nagrodą wyróżnić twórczość Marianny Bocian z Wrocławia.

Powiem szczerze, wyróciło to moje wcześniejsze założenia, bo Nagroda miała być tylko dla twórców na emigracji. Podeprę się szkicem literackim pod tytułem „Przepraszam wszystkich poetów”:

„Przepraszam tych, którzy słowem zawierzyli – choć moje słowa nie są na wiatr, by znikły w nicłość, tak się jakoś w węzeł splotły, nie mogłem tego problemu rozwiązać, gdy chodzi o nagrody literackie. Przez kilka lat żył w moich myślach Marek Hłasko, jako patron pośród dusz żywych. W moim domu szczególnie świeciło jego światło, kiedy decydowałem, kto laureatem zostanie w „Wiedeńskiej Nagrodzie Literackiej” jego imienia. Adam Lizakowski, wówczas poeta z San Francisco, był pierwszym i ostatnim laureatem, za tomik wierszy „Złodzieje czereśni”. Pisaliśmy do siebie listy prawdziwe i szczerze, bo na emigracji nie wolno być romantykiem na obcej ziemi. Po powrocie do chorej ojczyzny, przeglądałem archiwalny „Tygodnik Kulturalny”, tu aż się prosi pozdrowić wielkiego piewę liryki polskiej Tadeusza Nowaka, redaktora poetyckiej rubryki, że dwóch wygnañców opublikował w tym samym numerze obok siebie – był to rok nadziei: 1980!

Obecnie Adam mieszka w Chicago, ja w Ustce toczę bój o życie, wcale niełatwe, czytam wiersze o Polsce, która tak faktycznie to nie istnieje! To fakt, poeci piszą wiersze; jest ich pod dostatkiem jak w żadnym innym narodzie. Gdybym mógł z nich utworzyć armię w obronie ojczyzny, to nie martwiłbym się o Polskę!!!”

Od Stefana Pastuszewskiego otrzymałem „Akant” /NR 8(73) Rok VI sierpień 2003/ i kiedy na obwołanie ujrzalem zdjęcie Marianny Bocian i Joanny Salamon w szkicu „Caritas discretiae” Eryka Ostrowskiego, a z tekstu polemicznego „Dyscyplina eliminacji” Tadeusza Lira-Śliwy na stronie 18. dowiedziałem się, iż obydwie poetki nie żyją, powróciła tamta propozycja Romana Senskiego co do Marianny Bocian.

I tak jak napisałem wcześniej: „Nie usprawiedliwiam się, a jednak szkoda”, bo Marianna była poetką ponad stan ziemi. To nasza wspólna pokuta. Nie da się umniejszyć tego ciężaru.❦

towe, może nawet pięć... Faktycznie: po co więcej? Ani to Pilch z jego mocnym aniołem, ani Grochola czy inna Filipiak, w dodatku dama leciwa, więc nie mogła w ostatnich czasach ujawnić żadnych pikantnych szczegółów ze swojego życia osobistego, jak posłanka Beger... Pewnie więc powinna jeszcze się objawić jako Biała Dama o północy, by zacnym redaktorom podziękować, iż w ogóle zechcieli dostrzec jej istnienie i „toastowy” wiek przegłania na lepszą stronę świata. Telewizja chyba nie zająknęła się na ten temat ani słowem; przynajmniej ja nie zauważyłem. Może nie było w „Wiadomościach”, ale za to było w „Panoramie”? Znajomi, których pytałem, twierdzą, że nie.

Tylko nowy, 7-procentowy VAT od Jej książek, tudzież marże na kolejnych etapach dystrybucji tychże – wznawianych, jako lektury szkolne, w dużych jak na współczesną Polskę nakładach – na pewno się przydadzą. Reszta jest milczeniem. Pamiętać będą tylko dziwacy, już od podstawówki wpatrzeni w sznureczki czarnych znaków na papierze, wspinający się mozolnie po drabinie, której pierwszym szczeblem bywa historia sierotki Marysi, następnym dzieje Tomka Wilmowskiego lub przygody Alicji w Krainie Czarów, dalszymi – być może – Conrad, Mroźek czy Tolstoj...

Signum temporis?❦

Agnieszka Jazwińska**Furtka słońca**

Grzegorzowi
Tyle już wiemy,
a to przecież ciągle nic,
tyle już za nami,
a przed nami jeszcze wszystko;
czy to nie dziwne?
uczymy się już tyle lat:
siebie, świata, ludzi
i wciąż dogonić nam się nie udaje
zmian jakie zachodzą
choćby w zasięgu wzroku;
czy to nie piękne?
że każdy nowy dzień jest czysty
jak świeża kartka papieru:
czego dusza zapragnie możesz w niej zapisać,
jeśli potrafisz,
jeśli masz odwagę;
czy to nie trudne?
wyzwanie,
z którym walczyć
musisz, możesz, chcieć powinienes
całe życie;
nieskończony cel
i z czasem coraz trudniej;
ale praktyka czyni mistrza
- powiadają.

Agnieszka Musialik**List do... —**

Moje wszystko!
nie ogarniam Cię okiem
nieposkromiony jesteś jak morza szum
w słuchawce
niewyraźny i nieuchwytny
nieptak w nieklatce
nieserce w nieklatce niepiersiowej
nie no co ja gadam
chciałam powiedzieć o ciszy co z mojej strony
się rozlała
przełaziła się
czara moja pełna po brzegi
biegnij z kubkiem żeby się posilić
mój niemój

pisze list ciurkiem
koralikami liter
różańcem koronki
mantrą poranną
młotkiem tybetańskim
czołobitnym ukłonem na dywaniku pustyni

modłę się o święty spokój dla nas
o świętych obcowanie dla nich
i na wieku wieków
uśmiech

Katarzyna Maria Satko

* * *

zapalić w sobie
słońce
- wszystko wokół
stanie się
niebem

Katarzyna Bohdanowicz

Sens czai się w bezsensie
Zobacz
Umierająca róża
Rozkwita ostatnim płatkem...



A. Bojarska - Wenecja Bydgoska
Fot. W. Woźniak

Kazimierz Burnat

* * *

Pamięci Jana Drzeżdżona

Pnę się do słońca
bez nadziei na pogodę

ostrza wiatru
odcinają fale z mórz

matowieje lustro
widzę -

twarz Boga

Mechowo, sierpień 2003

Furtka słońca**Natalia Lisińska****Mama Anioł**

Czuję
Twój dotyk miękki
Miękki jak puch
Słyszę
Szelest Twej sukienki
Jak trzepot skrzydeł - piór
Widzę
Uśmiechniętą twarz
Jak dobroć nieskończoną
Myślę
Mama
Anioł

Jacek Tabisz**Sonet powrotów**

Kto był ponad światłem i morzem
Kto złączył brzegi niepołączone
Jak krawędź chmur w środku bezkresu
Jak ptaki w nim zanurzone kto

Zapłonęły brzaskiem powierzchnie
Dni są falą szumnych powrotów
We wrota swoich światła płyną
Dni jak morza i puste wyspy

Twoje oczy są teraz portem
Gdzie schną słońc żagle postrzępione
Zbyt pełne wiatru materię chwil

Zanoszę owoce szarości
W twoje południe zrodzone z pian
Jak ogród wiecznego rytmu fal

14 maja 2003

Violetta Stadnicka

* * *

Filizanka z kawą na biurku
kartkę przykrywały okulary. Cicho zasypiał dzień

stary człowiek otwierał okno
witał lecące ptaki
patrzył na obłok ostygniętego dnia

okruchy chleba uderzały o parapet sąsiadki

- coś odwraca uwagę
myślę o ludziach rozmawiających po drugiej stronie ulicy

zmysłami dojrzewa
kształt słowa

tylko cisza przelatujących ptaków
cisza jutra
cisza w nas

godziny mijają.

Beata Anna Pokorska

Pamiętnikarstwo duchowieństwa w wieku dziewiętnastym

Konstatacje i pytania

Piśmiennictwo wspomnieniowe duchowieństwa stanowi liczny trzon memuarystyki epok przedromantycznych. Obok twórczości dyplomatów i adeptów nauki, zaliczane jest do najrozleglejszej, zarówno pod względem sylwicznym, jak i tematycznym, części literatury dokumentacyjnej. Oczywiście są tu uwarunkowania socjologiczne - pozycja społeczna kleru: pochodzenie, wykształcenie czy dostęp do ówczesnych środków przekazu, jak i ściśle gatunkowe: nadrzędność relacji peregrynacyjnych i kronikarsko-historiograficznych wobec innych form prozy narracyjnej. Specyfika pamiętnikarstwa księży tychże epok mieści się w ogólnych ramach zagadnienia i nie przynosi szczególnych wyróżnień (nie podnosząc rzecz jasna - zagadnień związanych z kompleksem zjawisk dotyczących religijności).

Sytuacja ulega zmianie wraz z nadejściem romantyzmu, kiedy to uwidocznia się na całym obszarze gatunkowym ogromny wzrost liczby edycji, jak i powstawania nowych form. E. Maliszewski¹ wlicza, na około dwa tysiące tytułów pamiętnikarskich tego okresu, zaledwie sześćdziesiąt siedem autorstwa księży. Dodając niepublikowane rękopisy, można spodziewać się około setki tytułów, co sytuuje je teraz nie na eksponowanym miejscu, lecz obok twórczości autorów z wielu innych grup społecznych, czy związanych z określoną profesją. Już nie stanowi punktu odniesienia, nie dyktuje cech formalnych i typologii tematycznych, teraz ona zmuszona jest zająć stanowisko wobec zmian treściowych i formalnych, proponowanych przez ówczesną myśl teoretycznoliteracką.

Konsekwencją tego zjawiska winno być, częściowe przynajmniej, przejście za nowymi tendencjami i wejście w orbitę silniejszych, wyrażanych w popularności czytelniczej, prądów. Tymczasem twórczość duchownych stoi na uboczu ważniejszych nowości i opornie podchodzi do kierunków, zmierzających w stronę szeroko pojętego intymizmu, głębiej niż dotychczas rozumianej autobiografii, nie mówiąc już o elementach autoportretu. Dlaczego? Czy pamiętnikarstwo duchowieństwa epoki romantycznej rzeczywiście nie było w stanie temu sprostać? Dlaczego nie skorzystało z ideowych propozycji polskiego romantyzmu, nie okopującego się przecież na antyteistycznych flankach racjonalizmu, spojrzenia na ludzką indywidualność, podanych mu bez wrogości, choć - trzeba o tym pamiętać - nie wiernopoddaczo?

Grunt, na jakim wzrastało, nie był sprzyjający². Duchowość polskiego katolicyzmu nie doznała ożywczego wpływu zmian porewolucyjnych, przez które przeszły katolicyzmy Francji, Austrii, zachodnich Niemiec, Anglii oraz Hiszpanii. Nie wydała swojego Chateaubrianda, de Bonalda, de Maistre'a czy Lamenaïs'a, a recepcja myśli tych myślicieli była powierzchowna, jeśli nie powiedzied: znikoma. Z doświadczenia zachodnioeuropejskiego skorzystaliśmy, absorbując jedynie gorsze cechy ultramontanizmu lat 1840-1870: przerost ruchu pątniczego, procesji, kultu świętych, pobożności maryjnej, adoracji św. sakramentu. To novum, zrodzone w Europie na gruncie romantyzmu, który ułatwił lepsze zrozumienie mentalności wiejskiej, zakorzeniło się w polskiej świadomości religijnej aż do Vaticanum Secundum, i trzeba powiedzied: nie w najlepsze. Nie mieliśmy szczęścia centrów zachodnioeuropejskiego ultramontanizmu - Rzymu i Nadrenii, które rozwijały się dzięki kontaktom z protestantami, i to z tej strony przyszło do nich zarzewie reform lat osiemdziesiątych, w wyniku których kościół francuski odszedł od rozrostu obrzędowości, administracja państwowa stała się antyklerykalna, wzrosła dążność do rozdziału Ko-

ścioła od państwa, zaznaczyły się feminizacja religii, upadek wizerunek społeczny księdza, a przede wszystkim nastąpiła erozja ludowej strony katolicyzmu francuskiego. Polska religijność, zdana tylko na siebie, skupiona na obronie narodowych pozycji w karcie przetargowej z Watykanem, wzmacniła ultramontańską zewnętrzną obrzędowość i mimo postępującej kontestacji tradycyjnych wzorców życia kościelnego, rola katolicyzmu ludowego systematycznie wzrastała. Nie korzystała także z, rozwijającej się na zachodzie, odnowy życia liturgicznego w duchu łacynizacji i romanizacji, eliminującej z kultu elementy ludowe i rozwijającej środowiska monastyczne. Przeciwnie, rozbudowała elementy paraliturgiczne, związane z tradycjami ludowej, by nie rzec, pogańskiej kultury religijnej, a rolę ruchów odnowy zakonnej ograniczyła do minimum.

Tym, co wzmacniało różnice między Polską a krajami zachodnioeuropejskimi, był niewątpliwie stosunek do papieżstwa, który w Europie opierał się na szukaniu przeciwwagi dla napierającego innowierstwa, w Polsce był zaś inspirowany reakcją na józefińskie, represyjne rządy najeźdźców i oczywistymi dążeniami wyzwolericzymi. Zapewnienia o wierności papieżstwu, jak i pielgrzymki do Rzymu, miały określony aspekt polityczny i narodowy. Wierność kościołowi w dużym stopniu przybierała charakter wierności sprawie narodowej, kult świętych polskich i sanktularia narodowe pełniły rolę wzmacniania uczuć patriotycznych, co sytuowało Polskę bliżej religijności krajów Ameryki południowej, głównie Chile, niżli Europy zachodniej. Można stwierdzied, że to właśnie związek religii ze sprawą narodową zadecydował o sile polskiego katolicyzmu ludowego, stanowiąc jego zasadniczy, obok motywacji magicznych, rys.

Trzeba było dopiero doświadczenia powstania listopadowego, by odczuć potrzebę zmian, ale i to nie zrodziło się samoistnie, lecz przyszło przez emigrację i korzystało z obcych wzorców, głównie francuskich. Oddziaływanie Mickiewicza i Zmartwychwstańców, tak zasłużone przez półwiecze dla emigracji, nie tylko francuskiej, nie wpłynęło w stopniu zasadniczym na mechanizmy funkcjonowania polskiego Kościoła, nawet, jak się zdaje, nie wpłynęły na mentalność duchową Polaków w kraju. To właśnie wtedy swe apogeum osiągnął, odziedziczony po oświeceniu, rozdzźwięk między wierzącymi masami wiejskimi czy mieszczańskimi, a klasami wyższymi, które - bywało, że oficjalnie zwrócone przeciw kościołowi - nie stosowały się w życiu prywatnym do zaleceń kościelnym, nie przestrzegały prawa kanonicznego i praktyk religijnych. Nie dziwił szeroki zwyczaj zawierania małżeństw jedynie cywilnych, ilość przychodzących na świat dzieci ze związków pozamałżeńskich czy powszechne wśród szlachty odkładanie w czasie chrztu dzieci. Praktyki religijne zamieniały się w ceremonie rodzinne, i zatracaly swój religijny charakter, a związki szlachty z klerem dotyczyły wielu płaszczyzn, jednak religijnych najmniej.

Pierwsze dekady dziewiętnastego wieku to czas pogardy dla kleru katolickiego, powszechnego zadowolenia z powodu kasaty zakonów, jawnej nienawiści do jezuitów i triumfu masonerii, również wśród duchowieństwa. Wykształcił się typ księdza „oświeconego”, dobrze żyjącego z ateistami, często prowadzącego życie nieomal świeckie, w rzeczywistości obojętne na sprawy religii i stosującego się do zasady: byle zachować pozory. Z drugiej strony, kwitła, wspierana poprzez kler, ludowa religijność, oparta na egzaltacji i dewocji. Masowe pielgrzymki do miejsc świętych, pobożność maryjna, rozhisteryzowany kult świętych, wszystko to nie stanowi dobrej prze-

ciwwagi dla obojętnej, często konformistycznej postawy szlachty.

Poziomowi życia religijnego nie sprzyjała również edukacja seminaryjna. Niepodzielnie panowanie doktryn jansenistycznych, religijny liberalizm, cieszący się uznaniem władz i józefinizm, przynajmniej, nawet niekatolickim, monarchom prawo do szerokiej kontroli wewnątrzkościelnej, „cywilne” mianowania profesorów akademii duchownych, ich powszechne nieliczenie się z władzą biskupią, odrzucanie przez nich pewnych nauk kościoła, niestety - nie w sensie reformatorskim, tylko interesownym, rezygnacja z nauczania teologii moralnej i zastąpienie jej teologią pastoralną o praktycznym nastawieniu - wszystko to powodowało, że ranga wyższych uczelni duchownych spadała. Z drugiej strony, oschły stosunek do alumnów, surowość spowiedników, konieczność całkowitego podporządkowania się przełożonym i kompletny brak indywidualnego prowadzenia przyszłych kleryków, owocował szeregiem kapłanów nieprzystosowanych do odpowiedniego prowadzenia działalności kaznodziejskiej i katechizacyjnej. Przepowiadanie kościelne zaczynało coraz bardziej ewoluować w stronę ograniczenia, i tak już skarlały, homiletyki (nieprzygotowane kazania, odczytywane z kartek, dążność do wywoływania wśród słuchaczy sztucznych efektów) na rzecz nauk katechizmowych. Ale i tu dominowały metody, oparte na dramatyzowaniu i wzmacnianiu efektu, tendencje moralizatorskie i, przede wszystkim, monotoność podejmowanych tematów, głównie z zakresu życia rodzinnego, sakramencie małżeńskim, czyli jego nie rozerwalności i zakazie małżeństw mieszanych, tj. z osobami innej wiary. Drugim tematem, podejmowanym z dużą częstotliwością, było wypełnianie obowiązków, wynikających z różnego typu podległości.

Brak odpowiedniego przygotowania, wyniesiony z seminariów, pokutował wzmacnianiem niskiego ogólnego poziomu religijnego wśród ludu, i jedynie trochę wyższego wśród mieszkańców miast. Wiedza religijna stała na katastrofalnym poziomie: „Lud pozostaje w grubej ciemności religijnej (...) blisko połowa z nich nie umiała pacierza. Zapytani już nie pojedynczo, lecz po dwudziestu lub trzydziestu, co się staje z duszą człowieka po śmierci i o inne najprostsze prawdy wiary, nie umieli ucale odpowiedzied. Starzy ludzie wyznawali, że o tym wszystkim nic nie wiedzą (...) Nie mogą mimo chęci - ani jednej parafii wskazać, która by szczęśliwy stanowiła wyjątek”³ - głosiła opinia jednego dziekanów, ks. W. Khauna po wizytacji podległego mu dekanatu. Opinia typowa. Niewiele jednak czyniło się dla podniesienia tego poziomu, płytkie i sentymentalne treści książeczek do nabożeństw, naciśk na obrzędową, pokazową ascezę, spychanie mistycyzmu w cień, podejrzany stosunek do wszelkich nowinek teologicznych, pokutujące do dziś przekonanie o niemożności osiągnięcia świętości w życiu małżeńskim czy w tworzeniu grup świeckich, torpedowanie pierwszych prób czynnej działalności laikatu (świeckiego apostołatu czy wychowawstwa), to główne metody oddziaływania na wiernych.

Sytuacja zyskała nową jakość dopiero w latach postycziowych, kiedy rozdzźwięk w polskiej religijności ludowej i klasztornej, podobnie jak i warstw wyższych, pogłębił się. Duża część polskiej inteligencji reprezentowała postawę nonkonformizmu i zdecydowanego indywidualizmu. Pozytywizm warszawski, z działalnością Aleksandra Świętochowskiego na czele, światopogląd scjentyistyczny uczestników tajnych kursów samokształcenia, późniejszego Uniwersytetu Łatającego i Towarzystwa Kursów Naukowych, to zarzewie poglądów scjentyistyczno-ewolucyjnych i społecznych oraz podstawa pod odrodzenie religijne początku dwudziestego wieku. I choć, na gruncie polskim, laicyzacja nie osiągnęła tak radykalnego charakteru, jak we Francji, niewątpliwie, wykształcona wówczas, laicka etyka, wpisała się głęboko w mentalność polskiej inteligencji.

Na ten okres przypada też wzmocnienie ruchu religijnego kobiet, co ma odzwierciedlenie

w pozostawionym przez nie piśmiennictwie dokumentarnym. To właśnie zakony kobiece, czerpiące inspirację głównie z inicjatyw zmartwychwstańskich, kładły nacisk na postawy mistyczne i wydały z siebie takie pionierki życia wewnętrznego, jak: Maria Kolumba Białecka (tercjarki dominikańskie), Franciszka Siedliska, Angela Truszkowska, Celina Borzęcka (zmartwychwstanki) czy Marcelina Darowska (niepokalanki). Zakony te, łączące elementy kontemplacyjne z działalnością społeczną, przejawiały silne dążenia do reform, przyczyniając się tym do przełamania aspołecznej, kapliczkowej postawy katolików, także, co stanowiło novum, rozpoczęły działalność ekumeniczną. Natomiast zakony męskie, oparte głównie o wpływy jezuickie, szczególnie silne w zaborze austriackim, nadal odczuwały braki wpływów tomizmu, czy dobrze pojętej konserwatywnej. Pokutowały w nich jansenizm i fideizm, moralizm i psychologizm, odziedziczone po wieku XVIII. Swą działalność edukacyjną i wychowawczą opierały one dalej na wspieraniu religijności ludowej, choć widoczne były próby ukrośnienia pewnych przesady praktyk, np. nadania kultowi maryjnemu charakteru ascetycznego (Wacław Koźmiński). Specyfika działalności męskich zakonów przejawiała się w działalności społeczno-patriotycznej (Bronisław Markiewicz, Jan Bosco), natomiast ich duchowość wykazywała wpływy ducha ignacjańskiego, przeciwnego zasadniczo mistyce, propagującego natomiast wszelkie inicjatywy ascetyczne. Przełomem, w wizerunku męskiego zakonnictwa, będzie dopiero postyżniowe zasilenie jego szeregów uczestnikami dożyłczego życia społecznego, którzy – prawdopodobnie w obliczu braku apostołatu świętych – w zakonach szukać będą realizacji na polu pracy czysto religijnej, jak na to wskazują pozostawione memuary Waleriana Kalinki, Józefa Kalinowskiego czy Adama Chmielowskiego, którzy zasadniczo zmienili obraz opolskiej służby zakonnej, nadając jej ton pogłębionego życia wewnętrznego.

Ale to będzie kres, do którego doszło pamiętnikarstwo dziewiętnastowiecznego kleru. Dlaczego nie próbowało przekroczyć gleby, na której wzrastało? Sytuacja ta wynikała ze splotu wielu czynników. Przede wszystkim, należy zauważyć, że rozwijający się do tej pory w Polsce referencjalny, bardziej sprawozdawczy, aniżeli analityczny, oraz konfesyjny typ memuarystyki, w zderzeniu ze wspomnianą już tendencją uewnętrzniania przeżyć intymnych, zaczął funkcjonować w pewnych kręgach twórczych jako pozytywny element tradycyjnego przekazu, do którego należało również – wynikające z rustykalnego charakteru polskiej kultury – specyficzne ujmowanie spraw jednostki w podrzędnym odniesieniu wobec zbiorowości różnego typu (rodziny, parafii, stronnictwa politycznego...). Kościoły w Polsce zaś, generalnie stojąc na straży porządku publicznego, optować będą za rezygnacją z wyobcowania, na rzecz szeroko pojętej historii. Zresztą całe nasze dzieje, ciągle uwikłane w walki niepodległościowe, modułują zwrotnie odpowiedni typ odbiorcy – nastawionego na potrzeby grupy, ustanawiającego prymat spraw zewnętrznych względem osobistych. Ważną kwestią jest była sprawa publicznej dopuszczalności wewnętrznego ekshibicjonizmu prozy dokumentarnej. O ile świecka krytyka zasadniczo nie reagowała nieprzychylnie na znaczne nawet, jak na ówczesne czasy, zwroty ku „formom wsobnym”, o tyle – zdaniem Kościołów – stało to w sprzeczności z poczuciem skromności i stanowiło źródło anarchii. To zaś miało wydatny wpływ na proporcje poruszanych spraw – przesunięcie uwagi ze spraw osobistych na zewnętrzne. Za tym szło odpowiednie formowanie tematyki, ustalanie hierarchii ważności poruszanych problemów. Preferencji podlegają z pewnością zagadnienia związane z tak bardzo aktualnymi naówczas sprawami aktywności politycznej osób wierzących, czy też zewnętrzną działalnością religijną, głównie misyjną.

Uwikłania dziewiętnastowiecznych kościołów polskich w sprawy narodowe są oczywiste. Na specyfikę funkcjonowania zależności między

nimi a nurtem narodowowyzwoleńczym nakłada się jeszcze obrona kościołów przed formalnym obniżeniem statusu ich funkcjonowania. Wypadki historyczne wymuszają rewizję stosunku tradycyjnych struktur duchowieństwa, odziedziczonych po wolnej Rzeczypospolitej, do takiego modelu relacji między państwem a Kościołem, w którym traci on pozycję autonomiczną, a staje się elementem biurokratycznego systemu. Podległy kontroli władzy świeckiej, miał tworzyć jej podporę, podobny zresztą stosunek do instytucji kościelnych prezentował również Rząd Narodowy, który wiązał z użytecznością kościoła duże nadzieje. Sprzeczne tendencje w modelach funkcjonowania: - początkowy liberalny, józefińsko-osiwieceniowy, uzależniający materialnie kościół od państwa, w zamian za jego wszechstronną użyteczność publiczną, z preferencją duchowieństwa świeckiego, - późniejszy model „Kościoła Restauracji”, w którym wzmacniano unię ołtarza z tronem w duchu lojalizmu dla Romanowych i ładu Świętego Przymierza i narzucano klerowi funkcję „policji duchowej”, - aż wreszcie polistopadowy, spajający wartości religijne i narodowe, w myśl których kościół miał wzmacniać władzę, pochodzącą z mandatu narodu, a dalej, winien być instrumentem wolności narodów, spowodowały – w starciu ze zjawiskami indyferentyzmu i wolnomyślicielstwa, wykształcenie się nowego modelu „Polaka – katolika”. Świadomość wspólnoty przeszłości, próba zbliżenia się do poszczególnych grup społecznych w celach rekrutacji, poszerzenia kręgów protektorskich oraz zasięgu oddziaływania duszpasterskiego powodowały zwrotne rozszerzenie tego modelu, zobowiązującego do prezentowania określonych postaw i działań.

Większość pamiętników kleru świeckiego za swą oś tematyczną obiera różnego rodzaju uczestnictwo w wydarzeniach politycznych tego okresu. Wśród ich autorów znajdziemy bezpośrednich uczestników walk powstaniowych, ważne osobowości życia społeczno-politycznego, dalej zesłańców i więźniów politycznych. Ich nazwiska należą do znanych w kraju osób, bądź na względnie piastowanego urzędu kościelnego: np. arcybiskupa, metropolity warszawskiego Zygmunta Szczęsnego Felińskiego - arcybiskupa Antoniego Fijałkowskiego czy też biskupa wileńskiego - Adama Stanisława Krasieńskiego, bądź też rolę, jaką odegrały w konfliktach narodowowyzwoleńczych. Znaczna część kapłańskich wspomnień, dotyczących udziału w walce zbrojnej, związana jest z przedkapłańskimi okresami życia ich uczestników, jak to ma miejsce w wypadku wspomnień Aleksandra Jeżewskiego z powstania podolsko-ukraińskiego, uczestniczącego w bitwach pod Daszowem, Tyrowem, Obodnem i Majdanem, kanoniera artylerii gwardii w obronie Warszawy, Wincentego Kraińskiego, który jako głosiciel skrajnych poglądów rewolucyjnych brał udział, w randze kapitana i dowódcy uformowanego przez siebie oddziału gwardzistów w walkach 1831 roku, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, walczącego w powstaniu wielkopolskim 1848 roku, Stanisława Brzezińskiego, członka partyzantki Zalińskiego w 1833 r. czy też rewolucjonisty z obozu czerwonych, Pawła Kamińskiego, później księdza starokatolickiego.

Inną grupę stanowią przykłady jawnych aktów nieposłuszeństwa wobec zwierzchnictwa kościelnego, szczególnie wymownych wobec zaostrożenia stanowiska w obliczu wydarzeń styczniowych. Do najbardziej aktywnych w tym zakresie należeli: wspomniany już Paweł Kamiński (kapelan polowy w wyprawie A. Kurowskiego na Miechów i w obozie M. Langiewicza w Goszczy), dalej: Benwenuty Mańko (poległy w powstaniu styczniowym), Adolf Bakanowski kapelan oddziału powstańczego pod Kamieńcem), Antoni Brykczyński, Mikołaj Kuluszyński, Leon Postawka czy Adam Słotwiński (osobiście powstanie przygotowujący). Pozostawione przez nich wspomnienia pozwalają na spojrzenie w głąb sytuacji, kiedy to część kleru, żywo zainteresowana pomyslnym rozwojem wydarzeń w Polsce, będzie usiłowała kluczyć między oficjalnym stano-

wiskiem zwierzchnictwa a własnymi poglądami.

Wiele pamiętników daje świadectwo działalności publicystycznej. Znajdzie się (nieliczna) grupa, która jawnie wystąpi z krytyką stanowiska głowy kościoła. Znów przyjdzie tu przywołać nazwisko P. Kamińskiego, którego płomienne kazania, agitujące do wystąpienia (również warstwę chłopską), znane były całej ówczesnej Warszawie, oraz Antoniego Fijałkowskiego, powszechnie uważanego za propagatora patriotyczno-religijnych manifestacji roku 1861, inspiratora jedynego oficjalnego wstawiennictwa kościoła za ruchem wolnościowym, „Memoriału duchowieństwa do cesarza Aleksandra II”. Wspomnieć należy Jana Narkiewicza i Sylwestra Dawidowicza, również skazanych za podżeganie do buntu. Nazwiska te w większości będzie można odnaleźć w spisach tułaczy, więźniów i zesłańców syberyjskich.

Do tej pory wymienieni zostali zwolennicy akcji wyzwoleniczych. Jednakże, mimo siły ich argumentacji, większość kleru zajmowała stanowisko zgodne z zaleceniami zwierzchnictwa kościoła. Część z nich, jak chociażby biskup Łętowski, czy też zmartwychwstańca Hieronim Kajsiewicz, początkowo wykazywała sympatię dla ruchu listopadowego, lecz szybko okazywało się, że poglądy te były nie ugruntowaną młodzieńczą mrzonką (jak to było w wypadku jakobińskich i rewolucyjnych skłonności Kajsiewicza, wyrażonych we wczesnej poezji) albo zmieniały się z powodów koniunkturalnych (Łętowski). Przykład, nader rzadki, odwrotnej zmiany poglądów, dają pamiętniki Wincentego Popiela, znanego ze swej politycznej ugodowości (zniósł w płockiej diecezji żałobę narodową po wydarzeniach 1861 r.), który zdecydował się, na tle kasaty klasztorów, wejść w konflikt z władzami carskimi, co zaowocowało dla niego siedmioletnim wygnaniem. Wśród osób przyjmujących postawę niezdecydowaną znajdzie się też biskup wileński Adam Stanisław Krasieński, początkowo otwarcie wzywający lud do uległości wobec władz, natomiast później - postawiony w obliczu konieczności wypowiedzenia się przeciw powstaniu styczniowemu - odmawiający jego potępienia, co ostatecznie powiodło go na zesłanie. Oficjalną postawę przeciwną działaniom buntowniczym zajmuje, cieszący się dużym zaufaniem rządu carskiego, arcybiskup mohylewski Ignacy Hołowiński, rektor akademii duchownej rzymskokatolickiej, współzałożyciel zachowawczej koterii petersburskiej. Równie niejasna jest rola, jaką spełniał w tamtej sytuacji Zygmunt Szczęsny Feliński, arcybiskup, metropolita warszawski, którego posunięcia są chwytliwe: jawna sympatia dla „białych”, otwarta nienawiść do obozu rewolucyjnego, aktywne powściągnięcie ruchów konspiracyjnych wśród kleru, z drugiej zaś strony ciągła odmowa kompromisu z władzami na zesłaniu i oficjalne już potępienie ugody z rządem, której dopuścili się niektórzy księża na wygnaniu. Na pozycjach skrajnie konserwatywnych będą stali, pogardzani powszechnie za lojalizm i antynarodową działalność: Szymon Giedroyc (sufagan i administrator żmudzki, autor odezwy z maja 1831 roku, nawołującej powstańców do złożenia broni i poddania się prawowitemu rządowi), Józef Siemaszko (zagorzały wróg Polaków, skuteczny niszczyciel wszelkich objawów polskości, głównie katolicyzmu), czy też Placyd Jankowski, choć oficjalnie głoszący przyjaźń dla Polaków, działający niejawnie dla Siemaszki. Po tej samej stronie barykady będzie stał też jeden z satelitów koterii petersburskiej, Stanisław Chołoniewski, upatrujący źródeł moralnej zarazy w inwazji liberynizmu z krajów zachodnich, gorszący się zjawiskiem dążności do ucieczki spod wszelkich więzów i obowiązków, i w tym kontekście negatywnie oceniający wszelką działalność rewolucyjną.

Wspomnieć jeszcze należy grupę relacji z wygnania lub zesłania. Wśród ich autorów znajdują się przedstawiciele różnych orientacji politycznych: rewolucyjni pasjonaci i ich przeciwnicy, któ-

dokończenie ze str. 21

rych na Sybir przywiodła niełaska władzy bądź późniejsza zmiana poglądów. Poza wspomnianymi już nazwiskami osobistości życia kościelnego, należy pamiętać jeszcze o zasłużonych dla społeczności sybirackiej: Józefa Dawidowicza, Mikołaja Kulaszyńskiego, Stanisława Matrasia, Jana Narkiewicza, Edwarda Nowakowskiego, Krzysztofa Szvernckiego, Józefata Żyskara, Jana Żółtowskiego i Józefa Walkowskiego, jak i wygnańców na zachód: Karola Mikoszewskiego i Eustachego Iwanowskiego. Pozostaje także zasygnalizować problem pamiętników powstałych na emigracji. Uwaga autorów skupiona jest na tworzeniu ośrodków polskości, wnoszą oni sporo do rozjaśnienia obrazu polskiej emigracji, szczególnie w kwestii powikłanych stosunków między poszczególnymi obozami politycznymi. Treściwe pod tym względem są memuary Karola Mikoszewskiego, zaangażowanego w działalność polityczną, członka Komitetu Centralnego Narodowego i Rządu Narodowego. Równie ważne, pod tym względem, są pamiętniki Aleksandra Jełowickiego, członka Komitetu Narodowego Polskiego i Komitetu Narodowego Emigracji Polskiej, którym zawdzięczamy wiele analiz polityki wychodźczej.

Osobną, wolną zasadniczo od tych wpływów grupą, są relacje z podróży i pielgrzymek, stanowiące wszak kontynuację form ubiegłowiecznych, teraz o nieco wzbogaconych refleksjach osobistych oraz publicystyka wspomnieniowa o charakterze reportażowym. Referencyjny charakter memuarystyki kleru podają, jak i całość dziewiętnastowiecznego pamiętnikarstwa, tropem dziennikarskiej publicystyki i podobnie jak ona charakteryzuje się zabarwieniem esesistycznym: dyskursywnością, kondensacją tematów, asocjacyjnością materiału czy też rozluźnieniem rygorów czasowych, zaś świat podmiotu podlega w niej znacznej redukcji. W odniesieniu do interesującej nas prozy najczęściej realizowanymi gatunkami esesizującymi będą formy z pogranicza wspomnienia i historii, a tu: proza historyograficzna (dzieje ziem, rodów), geograficzno-etnograficzna i, całkiem pokażna, publicystyka społeczno-polityczna. Twórczość ta wykorzystuje elementy popularnych ówczesnie opisów autentystycznych, służących szerokiej prezentacji wszelkich przejawów polskości. Będzie więc tu miejsce na opisy rodzinnych ziem, ukazanie zalet życia prowincji z pełnią zachowanych obyczajów, ale i jednocześnie prezentacja zmian zachodzących w kulturze i obyczajach. Sprawozdawczy styl, o rozrośniętych niekiedy wstawkach antykwaryczno-erudycyjnych, w połączeniu z potocznością narracji gawędowej daje czasem nieomal groteskowe efekty. Właściwie trudno niekiedy określić, czy mamy do czynienia z zapisem etnograficznym, rozprawą socjologiczną czy też zwykłą opowieścią o trudnym, ze względu na moralizatorsko-dydaktyczny charakter i poglądową tendencyjnością, do określenia stopniu wiarygodności rzeczowej. Proza ta była przeznaczona głównie dla niżej wykształconych warstw społecznych, bowiem poziomem narracji często dostosowywała się do ich możliwości odbioru, zarówno w sferze podania jak i komentarza ideowego. Traktowana przez krytykę, jako proza niższego rzędu, obwołana literaturą potoczną, zadziwiająco dobrze funkcjonowała w społecznym odbiorze, choć jej efektywność - w sensie bycia przeciwważą dla napływowych elementów światopoglądu - nie była tak wysoka, jak by oczekiwali jej autorzy. Trudno zatem postawić granice między poszczególnymi gatunkami publicystyki i pisarstwa pamiętnikarskiego. Przeważnie występują wymieszane i żadne z nich nie próbuje wybić się na plan pierwszy.

Pod względem liczebności przoduje wśród nich grupa opisów podróźniczych. Koronnym przedstawicielem pierwszych jest, wznawiana aż pięciokrotnie, „Pielgrzymka do Ziemi Świętej”¹¹ Ignacego Hołowińskiego, popularna ze względu na połączenie cech dobrego przewodnika (dro-

biażowe opisy i dane) i komentarza, trafiającego w gusta ówczesnych czytelników. Do ciekawych, choć zapomnianych tekstów należy „Pielgrzymka misyjna do Ziemi Świętej, Syrii i Egiptu w latach od 1843 do 1849”¹² Feliksa Laasnera, uważana jest za najlepszy dziewiętnastowieczny opis Palestyny, trzeba też wspomnieć o relacji Antoniego Waśniewskiego „Sześć tygodni na wschodzie. Podróż do Carogrodu odbyta odbyta w 1863 roku”¹³, skupionej na nietypowym przedmiocie - opisie szlaku powstańców greckich Ypsylantiego, przeprowadzonego z punktu widzenia wydarzeń związanych z Polakami obecnymi ówczesnie na tych terenach.

Stosunkowo nieliczna jest liczba wspomnień poświęconych w całości codziennemu życiu kapłańskiemu. Wątki te wplecione są raczej w inne treści, najczęściej w opisy misyjne, lub ukazane są w świetle przeżyć związanych z zesłaniem, przeważnie odzwierciedlających trudy pełnienia codziennych posług. Problem powyższych braków podlega wyjaśnieniu chyba z pogranicza socjologii religii, i daje jednocześnie ciekawy, choć zastanawiający obraz funkcjonowania instytucji kapłana w Polsce. Treść partii, ukazujących kapłańską codzienność, nie odzwierciedla ducha religijności osób, których dotyczy. W zasadzie gros poruszanych kwestii odnosi się do funkcjonowania określonych instytucji (parafii, misji) wobec sytuacji zewnętrznej. Uwaga autorów w dużej mierze skupiona jest na kondycji kadrowej i finansowej tychże instytucji, prezentowane zaś problemy wiernych, postrzegane są raczej w kategoriach potrzeb materialnych. Nie brak oczywiście odniesienia do potrzeb duchowych, są one jednak swoiście postrzegane: opieka kapłańska dotyczy spraw elementarnych: (celebracja mszy, świąt, udzielania sakramentaliów...), o głębszych warstwach życia religijnego niewiele można się dowiedzieć. Cała sfera, związana z intelektualną refleksją, obejmującą treść Biblii i wcielania w życie nakazów biblijnych, badań nad dogmatami itp., stoi w cieniu zewnętrzności i nie jest - jak wynika to z rzadkich uwag, dotyczących tych spraw - chętnie poruszana, zarówno przez kapłanów, jak i wiernych. Chlubnym wyjątkiem - i to od razu na wielką skalę - są zestyżacje dzienniki Benwenutego Mańki, które w całości podnoszą powyższe kwestie. Autor w sposób wysoce samodzielny, filozoficznie pogłębiony, zajmuje się badaniem stanu religijności, zarówno w odniesieniu do całego narodu, jak i własnej osoby. Niestety, jest to zjawisko tak rzadkie, że zasadniczo nie koryguje powyższej opinii.

Otwiera to natomiast drogę do wyszczególnienia licznej grupy pamiętników podnoszących sprawy samej pracy, zarówno posługi kapłańskiej jak i pracy wiernych, które swym założeniem i wydzwiękiem wpisują się w, mające nadejść, koncepcje pozytywistyczne. Bez wątplenia można stwierdzić, że z powodzeniem wytrzymują porównanie z, podobnymi treściowo, wspomnieniami osób świeckich, a nawet przypisać im można nowatorską rolę w tym względzie. Praca, jako zagadnienie zarówno filozoficzne jak i moralne, urasta w tym czasie do rangi jednego z najważniejszych zadań, doskonale przekłada się na język użyteczny i stanowi poszukiwane antidotum na „niebezpieczne” zajęcia polityczne wiernych i kapłanów. Wątki owej filozofii odnajdziemy w większości literatury wspomnieniowej księży, bowiem stanowi ona podłoże działu praktycznej moralistyki przekazywanej przez kler społeczeństwu. Przykłady na to znajdziemy w utworach opisujących podejmowane przez duchowieństwo misje oraz we, wspomnianych już, relacjach zsyłkowych, dowodzących wagi tego zjawiska wobec problemu utrzymania godności ludzkiego życia. Zasadniczą zaś kwestią do zbadania jest zakres rozumienia przez interesujących nas pamiętnikarzy powyższego zagadnienia i określenie jego funkcji w relacji wspomnieniowej.

Odnosząc zaproponowaną typologię tematyczną do kwestii otwartości mówienia, należy tu wiązać z tendencją piszących do stopnia uewnętrzniania osobistego życia w utworach i, akceptowanego w odbiorze społecznym, ich zakre-

su. Oczywiście rozkład treści osobistych w nich podlega różnemu akcentowaniu, niekiedy punktem odniesienia są sprawy towarzyskie, innym zaś razem wspomnienia z dzieciństwa. Generalnie jednak trudno doszukać się utworów otwierających przed odbiorcą świat wewnętrzny autora, takich, które mogłyby zostać choćby częściowo (w zakresie treściowym) porównane np. z „Wyznaniami” Św. Augustyna, choć znajdziemy przykłady utworów, które za oś tematyczną obierają osobę referującego, zaś świat zewnętrzny przywołują, o ile służy to jej eksponowaniu (jak to zwykł czynić w swych ekscentrycznych pamiętnikach Ludwik Łętowski¹⁴ czy też w powieściujących autobiografiach Placyd Jankowski¹⁵). Generalnie są to jednak wyjątki i można pokusić się o konstatację, że proza ta stawia sobie za cel uwiecznienie określonych sytuacji i zdarzeń, w których autor brał - owszem - udział, lecz dla których nie on stanowi punktu odniesienia. Rozrzut w eksplikowaniu owych treści zależy też w dużym stopniu od motywów spisywania wspomnień. Jeśli dominuje motywacja użytkowa, polegająca na przekazaniu potomnym względnie obiektywnej wizji określonych zdarzeń (ku pamięci, przestrodze...), można wtedy oczekiwać, w pewnym stopniu, powściągliwości intymnej. Inaczej jest w sytuacji, kiedy głównym adresatem jest sam autor (analiza swego życia, samodoskonalenie służące przyszłości) lub bliźni, lecz również z nakierowaniem na osobę piszącego (usprawiedliwianie się, sprostowanie). W pamiętnikarstwie księży dominuje raczej pierwszy nurt. Z rzadka tylko spotkać można „perelki”, podobne prozie biskupa Łętowskiego, w której monolog narratora odsłania osobowość piszącego. Większość utworów prezentuje charakter rzeczowego sprawozdania i daleko im do nurtu autobiograficznego, prezentowanego przez twórczość ówczesnych pisarzy zachodu i niektórych polskich romantyków.

Wydaje się więc, że nasze poszukiwania pamiętnikowych śladów pogłębionej postawy duchowej dziewiętnastowiecznych przedstawicieli polskiego kleru, próby odczytywania ich w sposób bezpośredni w rzeczywistości tekstowej, mają, w olbrzymiej większości, niewielkie szanse na realizację. Być może należy w tym wypadku poszukać innej metody, cofnąć się do pierwotnej, diltheyowskiej perspektywy interpretacji pamiętnika w jego odczytaniu pozatekstowym, spojrzenia na niego, w myśl definicji Roberta Angella, w kategoriach dokumentu osobistego: „Za dokumenty osobiste uważa się te, które przejawiają pogląd uczestnika na doświadczenia i zdarzenia, w które był uwikłany.”¹⁶ Najważniejsze będzie tu określenie postawy kulturowej (w tym religijnej), jak i osobowości pamiętnikarza w świetle jego komentarzy do realnych wydarzeń. Wydaje się, że tego, czego chcieliśmy tak bardzo uniknąć, spojrzenia na tekst jak na źródło wiedzy historycznej, perspektywy faktograficznej, nie da się nijak obejść, bowiem ta właśnie perspektywa może okazać się jedynym narzędziem i jedyną płaszczyzną odniesienia dla zbudowania wizerunku duchowej postawy piszącego. Możemy próbować zbudować pomost między tym, co R. Lubas - Bartoszyńska¹⁷ przenosi do odczytań pozatekstowych, czyli interpretacją stosowaną niegdyś przez Andrzeja Cieńskiego a próbą odczytania intencji piszącego, głównie sposobu wyrażania siebie, wykorzystując także ecowską figurę autora modelowego, a nawet idąc dalej, liminalnego (progowego). Próbować wykorzystać wyniki odczytań pozatekstowych do interpretacji wzorca osobowego, jak i sposobów jego rzeczywistego funkcjonowania.

Z pewnością łatwiej przyjdzie nam wtedy, przynajmniej w jakimś stopniu, pogodzić się z naszym rzeczywistym brakiem satysfakcji przy odczytywaniu tych tekstów. Oczywiście nadal będziemy zastanawiać się, trzymając w ręce na przykład zapiski autobiograficzne Jańskiego, dlaczego u niego, tak jak i u innych Zmartwychwstańców, nie znajdujemy tego, czego naprawdę oczekujemy: wewnętrznego rozrachunku z wiarą. Jedynie treści, poświęcone w znacznej mierze prak-

tykom religijnym neofitów. Praktykom, nie rozterkom, potwierdzaniu się czy negowaniu się, stawianiu problemów... Z drugiej strony, rozpatrywać będziemy, w jakim stopniu jego wewnętrzną odwagę (gdyż jednak z odwagą mamy tu do czynienia), ukształtował fakt, że w młodości przeszedł walkę z niewiarą. Bo nadal perspektywa wolności religijnej, odwagi w samostanowieniu się jednostki, będzie nam przyswiecać przy interpretacji tekstów. Nadal też będziemy pytać, dlaczego tak trudno znaleźć nam dzieło, porównywalne z, wielokrotnie wspomnianymi już, *Wyznaniami* św. Augustyna, lub bardziej współczesnymi: zupełnie niezwykłymi autobiografiami duchowymi, jakimi są *Grace of Abounding to the Chief Of Sinners* Johna Bunyana, czy też *Pro apologia sua* kard. Henry'ego Newmana. Nadal doceniać będziemy ich wyjątkowość, zasadzoną się na sytuacji konfliktu, wymuszającej konieczność samokreślenia się religijnego, a co za tym idzie, duchowego. Bunyanowska opowieść o nawróceniu się, powtarzająca rysy opowieści św. Augustyna prowadzi nas w stronę dodatkowego dramatu: niemożności dokonania wyboru przez purytanina, który chce osiągnąć państwo boże, lecz nie może jednocześnie wyrzec się pokus tego świata). Nie trzeba także tłumaczyć wagi konfliktu i wynikającej z tego konieczności przemodelowania światła duchowego konwertyta Henry Newmana, który musiał stawić czoła nie tylko sobie, ale też i oczekiwaniom, jeżeli nie oskarżeniom, obydwu społeczności religijnych. Będziemy więc podziwiać siłę, która pozwoliła autorom przyjąć na siebie siłę tych konfliktów, bo przecież znaleźć argumenty dla innych, to przede wszystkim znaleźć argumenty dla siebie; by przekonać innych to przede wszystkim wewnątrznie przekonać siebie. Znaleźć w sobie wewnętrzne przyzwolenie na przekraczanie formuły? Choćby tej zewnętrznej, ale także i tej, ku której prowadzi nas wyгода życia? Przekroczyć samego siebie. Wspomnę raz jeszcze słowa Amieła: „*Odgaduję siebie, ale się na siebie nie zgadzam*”.

Być może dlatego przyszło dziewiętnastowiecznym Polakom poczeć na wartościową autobiografię duchową jeszcze bez mała dwadzieścia. Na ile znamieny jest fakt, że nie dotarła ona ze strony duchowieństwa, lecz od osób,

które stały z problemami wiary na ringu, jak Brzozowski²⁰, mierzyły się z siłą powołania, jak Liebert²¹ lub niezgodą, jak później Elzenberg, który czytał Augustyna: „*z niecierpliwością, gniewem, bolesną urazą*” i którego droga do wiary to nie linearny ciąg od grzechu do łaski, lecz nieustanne kręcenia się wokół, wokół czego: siebie? Boga? Wokół, a jednak naprzód. Ciągła niepewność pewności, odwaga powrotu, by jeszcze raz sprawdzić, czy aby na pewno miało się rację. Czyli jednak naprzód. Ich przekonanie o tragiczności bytu przypominają nam cioranowo-unamunową gorycz, ale w goryczy godność. A pałeczka, podana dalej, tworzy nową jakość: „*(...) Powiedz mi jak czytasz Brzozowskiego, obojętny i znudzony, czy poruszony głęboko, a powiem ci, kim jesteś*” – pisał Koniński²², idący w stronę formalnego katolicyzmu. Po nim pytali Trzebiński²³, Zawieyski²⁴, Watt²⁵, Kamieńska²⁶ i wielu innych. Nadal pyta Miłosz²⁷. I, czy pytają przedstawiciele duchowieństwa?

cdn...

¹Edward Maliszewski, *Bibliografia pamiętników polskich i Polski dotyczących*. (Druki i rękopisy), Warszawa 1928.

²Patrz: Karol Górski, *Zarys dziejów duchowości w Polsce*, Kraków 1986, s. 270-375.

³Pewne wpływy liberalnej myśli lamennaisowskiej dało się zauważyć po 1831 r. Tłumaczono i adaptowano artykuły z „*L'Avenir*’u”, prowadząc je w stronę spraw narodowych. Nie odegrały jednak one większego znaczenia, echa ich odnajdujemy w mesjanizmie, patrz: E. Jabłoński-Deptuła, *Przystosowanie i opór...*, s.471-473.

⁴Daniel Olszewski, *Polska kultura religijna*, Warszawa 1996, s.221.

⁵Patrz: tamże, s.79-145.

⁶Tamże, s. 138.

⁷Na temat wcześniejszej roli kobiet w odrodzeniu tradycyjnej religijności szerzej wypowiada się Ewa Jabłońska-Deptuła, patrz: *Przystosowanie i opór. Zakony żeńskie w Królestwie Kongresowym*, Warszawa 1983, s.28.

⁸Szerzej patrz: E. Jabłońska-Deptuła, *Przystosowanie i opór. Zakony żeńskie w Królestwie Kongresowym*, Warszawa 1983.

⁹H. Kajsiewicz, *Druga rocznica powstania Litwy*, Pielgrzym Polski, Paryż 1833, s. 125, za: K. Rutkowski, *Stos dla Adama, albo kacerze i kapłani*, Warszawa 1994

¹⁰Analiza problemu uytuowania elementów publicystycznych w prozie piśmienniczej XIX w. zajmuje się Cz. Nie-

dzielski w pozycji: - *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej*, Toruń 1966.

¹¹I. Hołowiński, *Pielgrzymka do Ziemi Św.*, Wilno 1842-1845.

¹²F. Laasner, *Pielgrzymka do Ziemi Św.*, Syrii i Egiptu w latach 1842 do 1849 odbyta, Kraków 1855.

¹³A. Waśniewski, *Sześć tygodni na wschodzie. Podróż do Carogrodu odbyta w 1863 roku*, Kraków 1851.

¹⁴L. Łętowski, *Wspomnienia pamiętnikarskie*, Wrocław 1956.

¹⁵P. Jankowski, *Wspomnienie ze szkół slonimskich*, Kronika Wiadomości Krajowych i Zagranicznych 1857.

Tenże, *Kilka wspomnień uniwersyteckich*, Kłosy 1884, nr 983-985.

Tenże, *Krynice. Ze wspomnień i gawęd z samym sobą*, Wilno 1853.

¹⁶Za R. L. Bartoszyńską, *Styl wypowiedzi pamiętnikarskich...*, s. 49.

¹⁷Tamże, s. 48-63.

¹⁸Kiedy zachodzi różnica między wiedzą czytelnika a wiedzą autora, nie powinno spekulować się na temat intencji autora rzeczywistego, lecz na temat intencji autora modelowego, którego powinno rozpoznać się w strategii tekstowej. Powinno się też rozpoznać różnicę między autorem empirycznym a modelowym, chodzi tu o rozpoznanie progę między intencją danej jednostki a intencją językową przejawioną w strategii tekstowej. W sytuacji progowej, w kTMórej autor nie jest już osoba empiryczna, a jeszcze nie jest tylko tekstem, zmusza słowa (lub słowa zmuszają jego) do ustanowienia szeregu potencjalnych skojarzeń, które powinniśmy rozpoznać. Szerzej patrz: Umberto Eco, *Interpretacje i nadinterpretacje*, Kraków 1996

¹⁹Szerzej o sprawie M. Czermińska, *Autobiograficzny trójkąt, Świadek, wyznanie, wyzwanie*, Kraków 2000, s.65-69.

²⁰S. Brzozowski, *Pamiętnik*. Fragmentami listów autora i objaśnieniami uzupełnił O. Ortwin, Lwów 1913; tegoż, *Listy*, t.1: 1900-1908, t.2:1909-1911, opr., przedmowa i komentarzami opatrzył M. Sroka, Kraków 1970.

²¹J. Liebert, *Listy*, w: tenże, *Pisma zebrane*, t.2, zebrał, opr. i komentarzami opatrzył S. Frankiewicz, Warszawa 1976.

²²H. Elzenberg, *Kłopot z istnieniem. Aforyzmy w porządku czasu*, opr. M. Woronicki, Kraków 1994, s.299.

²³K. L. Koniński, *Ex labyrintho*, przedmowę napisał K. Górski, Warszawa 1962, s.98, tegoż: *Utwagi*, 1940-1942, wybór, wstęp i przypisy B. Mamoń, Poznań 1987.

²⁴A. Trzebiński, *Pamiętnik*, w: tegoż, *Kwiaty z drzew zakazanych*. Proza, słowo wstępne i opracowanie Z. Jastrzębski, Warszawa 1972, s.77-290.

²⁵J. Zawieyski, *Droga katechumena*, Znak: 1958, nr 10, s.14-35, tenże, *Kartki z dziennika 1955-1969*, wybór, wstęp i opracowanie J. Z. Prudnicki, B. Wit, Warszawa 1983.

²⁶A. Watt, *Mój wiek. Pamiętnik mówiony*, przedmowa Czesława Miłosza, c. 1-2, Londyn 1981.

²⁷A. Kamieńska, *Notatnik 1965-1972*, Poznań 1982, tejże, *Notatnik 1973-1979*, Poznań 1982.

²⁸Cz. Miłosz, *Ziemia Ulro*, Warszawa 1982.

Dla kogo „Nike”?

Przyznawana przez środowisko „*Gazety Wyborczej*” Nagroda „*Nike*” dla najlepszej książki roku jest – póki co – najwyższym polskim wyróżnieniem literackim. Nie można więc być wobec tego zjawiska obojętnym, nawet gdy dobór kandydatów i niektóre werdykty wydają się nazbyt obarczone preferencjami wspomnianego środowiska.

Redakcja „*Akantu*” ogłosiła więc błyskawiczną sondę. Oto jej wyniki:

Jolanta Baziak:

Z proponowanych dzieł twórców, no właśnie: dzieł czy twórców?, wybieram Jarosława Marka Rymkiewicza „*Zachód słońca w Milanówku*”. To dobra poezja, ważna i nie podpierająca się proteżami „*pomyśłów*”.

Na marginesie podziwiam odwagę wypowiedzi Tadeusza Nyczka w „*Gazecie Wyborczej*” (5.09.2003, s. 16) o piarstwie Doroty Masłowskiej: „*Ona ma taki słuch i styl, i na Polskę, że jeszcze wam spodnie spadną*”. No cóż, jeżeli tylko chodzi o „*spadanie spodni*”, to chyba łatwo przychodzi kandydować do Nike – szanowny Panie Nyczek?

Maksymilian Bart-Kozłowski:

Moim skromnym zdaniem Nike powinna otrzymać Dorota Masłowska za „*Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną*”. A to dlatego, że poezja Czciogodnych przypomina deptanie kapusty w becze. Taką analogię przypomina mi obraz z dziecięcych lat z czasów okupacji hitlerowskiej, kiedy to ujrzałem z pokorą deptających kapustę ludzi w kiszarni w Turku, a za miastem w tym samym okresie był bity rosyjski pilot, którego strącili

Niemcy. Bito niewolnika, bo Słowianin. Nic tych ludzi deptających kapustę nie interesowało, tylko deptanie. Tak i obecnie współcześnie *Wielkich* nic nie interesuje ani czarny obecny los ludzi, ani niekorzystne wizje kraju. Jedynie kapusta i własny artystyczny wikt. Co zresztą nie jest czymś nowym, skoro w przeszłości, co poniekąd przy uchwalali rezolucje, aby został wydany wyrok śmierci na niewinnych księży. W tym przypadku byli oni naprawdę niewinni. Ktoś powie, że jest przebaczenie...

Z pewnością tak, ale jest i sprawiedliwość, szkoda, że tylko w wymiarze tuwimowskim.

Alicja Leśniak:

W plebiscycie publiczności ogłoszonym przez Miesięcznik Literacki „*Akant*” głosuję na Czesława Miłosza i jego metafizyczny poemat o życiu, śmierci i miłości pt. „*Orfeusz i Eurydyka*”

Poeta wyraża tu sprawy ducha, uczucia i myśli w sposób piękny, naturalny i prosty. Jest to poezja opisowa w najlepszym gatunku. Dwa różne światy przedstawione w obrazach ożywionych uczuciem, grą światła i różnymi napięciami ukazane są w sposób mistrzowski.

To utwór bardzo osobisty. Poeta stojący przed drzwiami kliniki San Francisco, w której umiera jego żona, to jakby Orfeusz wchodzący w labirynty Hadesu i idący poza czas i przestrzeń z miłości do Eurydyki.

Bogumiła Linda-Firyn:

Głosuję na Wisławy Szymborskiej „*Chwilę*”. Jest to książka refleksyjna i prosta zarazem. Dla człowieka, który żyje w ogłupiającym tempie stanowi oddech. Nie wymaga wysiłku intelektualnego, a jednak coś nowego wnosi.

Stefan Pastuszewski:

Gdybym mógł wybierać, to wybrałbym Jarosława Marka Rymkiewicza „*Zachód słońca w Milanów-*

ku”. Świetny warsztat, „*poezja z muzyką*”, żywe obrazy. Dobry pomysł z pomieszczeniem w jednym zbiorze wierszy z jednego miejsca, ogrodu. Ta kompozycja także sama w sobie jest dziełem.

Zgłoszenie do nagrody Wisławy Szymborskiej „*Chwili*” oraz Czesława Miłosza „*Orfeusza i Eurydyki*” traktuję li tylko jako szacunek należny noblistom i seniorom. I dobrze!

Dorota Masłowska w „*Wojnie polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną*” jest jak wielu młodych ludzi sprawna językowo i posiada literacki węż i słuch, lecz niestety wieje z tej książki przepastna pustka.

Jan Adam Tomaszewicz:

Ja głosuję na Andrzeja Walickiego „*Rosja, katolicyzm i sprawa polska*”.

Jest to znakomita analiza niełatwego sąsiedztwa Polaków i Rosjan, bardzo dziś potrzebna w okresie szukania przez Polskę godnego miejsca w rzeczywistości.

Gdyby nagrodę „*Nike*” dostała Dorota Masłowska „*Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną*” byłaby to kompromitacja tej nagrody.

Mariusz Trynkiewicz:

Balansuję między dwoma jakże skrajnymi biegunami. Organizatorzy postawili tu sobie i nam trudne zadanie. Nie wiem, czy to dobre... Chociaż z drugiej strony skłania to do pewnej elastyczności. Do umiejętności ogarnięcia szerszego obszaru literatury, umiejętności „*przestawienia się*”. I nie wiem, czy jest to sprawa pokolenia, czy charakteru, ale stoją na drodze... Typuję Wisławy Szymborskiej „*Chwilę*” i równocześnie „*Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną*” Doroty Masłowskiej. Ze wskazaniem jednak (chyba) na Wisławę Szymborską.

Rozstrzygnięcie konkursu „*Nike*” nastąpi 5 października 2003 roku. Zobaczmy!

Milena Lutomirska

Jest człowiek i jest Bóg, a może jest inaczej...

Była pustka
Powstał świat
Zrodzony z wybuchu
Była Ziemia i wszechświat
Był człowiek
I był Bóg
Był dzień i noc
Kobieta i mężczyzna
Była wiara
Była miłość i zdrada
Było życie i była śmierć
Wiara nadal istniała
Lecz z gliny ulepiłszy zwątpienie

Monika Mazur

podszyta jestem niebem od środka
mgłą wypełniam się jak myślami
spadam słowami
złotym deszczem
snuję się chmurami bez steru

część mnie kwitnie
część błądzi myślami podziemia
czy jestem Korą, Persefona
metaforą

a może już mnie nie ma
i znów przyjdzie mi się urodzić aniołem
przeciskać się przez niebo
światlistym przereblem

tam świat stworzony z niczego
więc nic do stracenia
tu tylko białe wiersze
wspomnienia

Piotr Szymanek

Zielone niebo, bo nie zielone...

Niebo jest niebieskie
ale tylko po tej drugiej stronie.
Tak naprawdę
to jest czerwone
albo jeszcze lepiej –
niebo jest zielone
A co?
Nie może być?
Zielone niebo.
Sucha woda.
Szkoda,
że wszystko zostało
nam narzucone [z góry].
Ja to bym wolał
żeby wiatr był widoczny
albo woda suchą.
Nasi rodzice narzucają
nam różne rzeczy.
Bóg narzucił im
i nam różne rzeczy.
Ja narzucam sobie Nic,
bo nie można mnie
ograniczyć.
Zielone niebo
Zie-lo-ne nie-bo
bo-nie zie-lo-ne
Zielone niebo
bo nie zielone.

Danuta Bykowski

Ręce Pani L.

Blade ręce Pani L.
porcelanową
przezroczytą
lśniącą,
pocięte wiekowymi
wąwozami
drżąco podnoszą
filiżankę do ust.

Upiwszy łyków kilka,
te same
ręce lekko drżące
stawiają filiżankę
na spodek,
z błyskiem dziecięcego
zadowolenia
w wyblakłym oku

Znów się udało
nie zrobić potoku.

Elżbieta Galoch

Mądrość dojrzałości

Muszę ci wreszcie powiedzieć
że dziś umarła we mnie lekkomyślność
Więc zarzęłam w sobie niewolnicę
która pilnowała abym w pośpiechu
zrzuciła bluzkę i marzenia

Nie będę więcej rozbierała się przed tobą
Pozwalała abyś dotykiem parzył moje myśli

Ta śmierć odsunęła mnie
z klatki niepokoju
Stałam się o krok bliższa sobie
niż wszystkie twoje drogie meble
Choć dla ciebie wciąż jestem pożądaniem
które tłumi światło pod paznokciami
innych kobiet

Ciszy już nie rozerwie szelest halki
zabraknie prowokacji i prezentów
Odgonię namiętność
by nie wyla między naszymi ciałami
Porzucę cię
twardo i nieubłagane
Nie chcę aby w koszmarach
wciąż ściagały mnie nocne kluby i alkohol
Uspokoję się jakąś pracą
i choćby ciuchami na wagę
Bo moja twarz bardziej pasuje
do ulicznej tandety

Tu normalniej i więcej wstydu
choć brakuje pieniędzy na gaz

Piotr Szymanek

-Bóg-

Chciałbym być:
- wszechmogący
- wszechwiedzący
- wszechnajlepszy
- wszechczłowiekiem
- wszechbogaty
a piłka jest okrągła.

Krystyna Wiatrowska-Myszkiewicz

Byt

Niedzielne ranki burzą układ wartości
zaczynam podpatrywać pismo
szczelnie zduszone kurzem
ucho chwytą się dzwonu w parafii
nadgarstki swędzą dawnymi ranami
plecy porastają garbem epok

Myslałeś, że krzyż wystarczy
tymczasem ja tu wciąż jestem
rozsiany na tysiące wierszokletów
a wszyscy oni kreślą sobie trony
po twojej prawicy

Wiktoria Harton

Czy jest Bóg ?

Mógł
nigdy
nie spojrzeć
na ciebie -
Chrystus
ale spojrział

przecież Ojciec
musi znać
kolor oczu i timbre głosu
swego dziecka

ty możesz
wyprzeć się Ojca
i nie chcieć słyszeć słów Jego

tylko dlaczego zadajesz pytania:

jest Bóg?
czy Boga nie ma?

nie pytałbyś
jeśli by nigdy nie spojrział
na ciebie – Chrystus

ale
spojrział
i dał ci obok siebie miejsce
o którym nawet
nie wiesz

Bożena Diemjaniuk

Na wysokościach
Niepotrzebnie
Spytałam Boga o zdradę
Uśmiechnął się od niechcenia
Kto ci dał te skrzydła
Spuściłam nisko głowę
Ta łaska bez litości
Tak mnie ścięła
O Boże
Tu straszny

Ariana Nagórska

Z cyklu: „Dialogi trzeciego tysiąclecia”

Dyskurs uwznioślający

Pamięci niezrównanego Machiavellego

- Czy za tysiąc złotych napisałby pan negatywną recenzję z mojej książki?
- Za tyle forsy napiszę panu dwie pozytywne.
- To nic nie zapłacę, bo oszustów nienawidzę!
- W porządku. Kto finansuje, ten decyduje. Jak szukasz pan uczciwego opiniotwórcy, to lepiej trafić nie mogłeś. Umowa stoi. Druzgocąca krytyka na osiem stron. Pasuje?
- Bez przesady! Ludziska gotowi pomyśleć, że chodzi o prywatne porachunki i zgnojenie z zemsty dzieła całkiem przyzwoitego. Tymczasem moja książka naprawdę nie jest nic warta i ma pan to rzeczowo (bez udawanych emocji) uzasadnić.
- Merytorycznie to żaden problem, ale co z etyką? Przy takiej forsie ani słówkiem nie przykądzić?
- Dobra! Jak z pana taki etyk, to i ja się spróbuję duchowo ubogacić. Przysięgnę na prochy mych znacznych przodków, iż łaskawemu panu ten tysiąc zapłacę, ale nie spodziewaj się cwaniaku, że faktycznie to uczynię. Może jak zostaniesz oszukany, to wreszcie ze szczerego serca skrytykujesz!
- Ze szczerego serca to ja zbyt wiele wykrzesać nie zdołam, bo go nie mam, ale że się pan pod mym wpływem uszlachetnił, to akurat najszersza półprawda.
- Jeśli tak, to być może i moje nieszczęsne dzieło dałoby się z pana pomocą jakoś ulepszyć? Wiem, że jest z gruntu złe, ale gdyby tak dobrze zapłacić i dobrze zrecenzować?
- Święte słowa. Zło dobrem zwyciężaj!

6 VIII 2003

Dyskurs wielowątkowy

- Mamusiu, jeśli pójdziesz do hipermarketu, to wstąp przy okazji do księgarni. Muszę na jutro zrobić analizę wiersza i jak sobie o tym pomyślę, od razu mam zawroty głowy. Nie mogę nigdzie wychodzić, bo jeszcze zemdleję.
- Przecież w zeszłym miesiącu kupiłam ci Miłosza. Książka waży prawie dwa kilo, więc jeden wiersz na pewno dałoby się stamtąd wybrać. Co noblista, to noblista.
- Wartości są względne, mamusiu. Przyszła nowa nauczycielka i powiedziała, że dostała on Nobla po kumotersku, od zachodnich komunistów i relatywistów.
- Komunistów rozumiem, ale ci drudzy to co za sekta?
- Nieważne. Grunt, że chwilowo największym poetą polskim jest Herbert.
- Herr kto? Ależ to chyba jakiś Niemiec!
- Na litość boską! Mamusiu, nie mów takich rzeczy, bo jak „Solidarność” przypadkiem znów zwycięży, to z pierdła nie wyjdziemy!
- Jako licealistka mogłabyś wyrażać się nieco kulturalniej. Cóż zresztą za różnica, Polak czy Niemiec. To i to człowiek.
- Patrząc na moją nauczycielkę polskiego, nie byłabym aż taka pewna.
- Z tą wolnością słowa powinnaś, córeczko, troszeczkę uważać. Przynajmniej do matury. Powtórz mi jeszcze raz, jakiego poetę mam kupić, bo muszę iść po ziemniaki i to się dobrze składa.
- Najlepiej sobie zapisz... Herbert. Przez samo H.
- Ejże!? Mnie coś intuicja mówi, że takiego to się raczej powinno pisać przez Ch.
- Wiesz, mamusiu... z tych wszystkich poetów, cośmy ich przez lata w szkole walcowali, ani jeden nie miał takiej czadowej puenty jak ty!

7 VIII 2003

Dyskurs koncertowy

- Pamiętaj, Bartoszk, by nikogo obcego nie wpuszczać. Na cały wieczór wychodzimy z ojcem do filharmonii.
- To znaczy do wujka Filipa, który na harmonii znów wam zagra *Szła dziewczeczka*?
- Skąd ci to przyszło do głowy? Zamiast konfabulować, pamiętałbyś lepiej o niewpuszczaniu obcych.
- Świętego Mikołaja też nie?
- Czyś ty, synu, do reszty oszalał?! Mamy przecież sierpień! Miesiąc trzeźwości i ważnych rocznic narodowych. Któż by się wygłupiał w takim momencie!
- Na przykład złodzieje. Oni nie są patriotami, to i zawsze mają humor.
- Gdybyś zamiast seriali oglądał poważne programy telewizyjne, wiedziałbyś, że złodzieje też są patriotami, wcale nie gorszymi od innych.
- No to w sierpniu nie przyjdą!
- Ale menele koczują w suszarni. Co rusz któryś chce dwa złote na piwo.
- Mimo miesiąca trzeźwości???
- Podejrzliwy jesteś jak jakiś ubek! W wolnym i demokratycznym kraju można przecież kupić piwo bezalkoholowe.
- A wy w filharmonii co będziecie pili?
- Napoje niegazowane.
- Tylko nie kupujcie z firmy Helena, bo te akurat mają taki gaz, że i słonia powali.
- Cóż to znowu za Helena?
- Sąsiadka wujka Filipa. Też melomanka. Jak słyszy muzykę, to zaraz pędzi.

7 VIII 2003

Dyskurs o niesprawiedliwości

- Czytałem gdzieś, że w waszej antologii każdy poeta może zamieścić dziesięć wierszy.
- Od jednego do dziesięciu.
- To znaczy, że najślabi będą mieli tylko po jednym?
- Najślabi w ogóle nie znajdą się w tej antologii.
- Co za podłość! Przecież właśnie oni mają wierszy najwięcej!
- I antologii też mają najwięcej, niechże więc przynajmniej jedna będzie od nich wolna.
- Ten numer nie przejdzie! Na pewno nie damy się wypchnąć jakimś tam perfekcjonistom, co nad byle słowem główkują tygodniami. Zanim taki wydusi pół zwrotki, my wydajemy po kilka tomów!
- No to w czym problem? Powinniście się cieszyć.
- Głupotą byłoby cieszyć się, gdy nasi czytelnicy cierpią, bo nie mają co czytać.
- To starajcie się pisać lepiej.
- Ależ nie w tym rzecz! Nie mają co czytać, bo wskutek czynionych nam trudności wydajemy książek ciągle za mało. Lecz to się wreszcie musi skończyć! Właśnie składamy pozew do Trybunału Międzynarodowego w Strasburgu.
- A na co się skarżycie, jeśli wolno spytać?
- Na niesprawiedliwe preferowanie w literaturze polskiej osób literacko uzdolnionych i szkanowanie niemiot, stanowiących demokratyczną większość!

5-6 VIII 2003

Rok założenia 1991

PPH **DOMAROLL**[®]

PRODUCENT STOLARKI Z PCV I ALUMINIUM

Nagrody i wyróżnienia na:

Targach GRYF-BUD 99 w Bydgoszczy
Targach Budownictwa TORBUD 2000 i 2001 w Toruniu
III i V Pałacowych Targach Rolnych w Żninie
III Targach 2001 w Mogilnie
Nagroda Burmistrza Miasta Żnina – 2002

Biura handlowe:

Żnin, ul. Szpitalna 74, tel./fax 052/302 80 30
Toruń, ul. Szosa lubicka 168B, tel. 056/659 91 17
Bydgoszcz, ul. Czerkaska 32, tel./fax 052/341 61 31
Bydgoszcz, ul. Moczyńskiego 1, tel./fax 052/328 61 66

Okna PCV

w systemie TROCAL posiadającym
międzynarodowy znak jakości ISO 9001

Stolarka ALU

Stosujemy nowoczesne rozwiązania technologiczne
zapewniające właściwą wymianę powietrza bez ingerencji
w strukturę techniczną okna i jego szczerłość:

- uszczelkę samowietrzącą COMFOLIP[®] bez
- nawietrzaki ościeżnicowe REGEL-air[®] doplaty



Kazimierz Burnat

O Janie Drzeżdżonie

22 sierpnia 1992 roku zmarł przedwcześnie JAN DRZEŹDŻON. Urodzony 16 maja 1937 roku w Domatowie, wsi wrośniętej w Puszcze Darzłubską, rozciągającą się pomiędzy Zatoką Gdańską a Jeziorem Żarnowieckim. Po wybuchu wojny, ojca Józefa Drzeżdżona zabrano do lagru a Jan pozostał pod opieką mamy i dziadka, który przekazywał mu wiedzę o świecie. Dzieciństwo upłynęło w skrajnej biedzie i strachu o życie, gdyż w czasie wojny w okolicznych lasach niemieckie oddziały specjalne dokonywały masowych egzekucji.

Po wojnie chodził do szkoły podstawowej w Domatowie i Starzynie. Następnie ukończył Liceum Pedagogiczne w Wejherowie i podjął pracę wjejskiego nauczyciela, m. in. w rodzinnym Domatowie. Zaocznie studiował filologię polską w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej i po obronie pracy doktorskiej, na podstawie rozprawy o literaturze kaszubskiej z lat międzywojennych, został adiunktem WSP w Słupsku (1968 - 1976) a następnie na Uniwersytecie Gdańskim.

Specjalnością zawodową J. Drzeżdżona była historia literatury. Z ogromnym zaangażowaniem poświęcił się, szczególnie, literaturze kaszubskiej, która posłużyła, jako temat nie tylko w pracy doktorskiej ale wcześniej - magisterskiej, a także habilitacyjnej u prof. Czesława

Hernasa z Uniwersytetu Wrocławskiego, której jednak nie zdążył zamknąć.

Jednak największą pasją J. Drzeżdżona było pisarstwo. Debiutem książkowym był szkic o A. Majkowskim „Wędrówki Remusowe po Kaszubach” (1971), zaś w literaturze pięknej zadebiutował w 1974 roku zbiorem wierszy „Sklaniające pòcorè” i dwoma nowelami „Niedzelní wieczór”. W języku kaszubskim napisał też zbiór opowiadań „Dzwónnik” (1979), „Na Niwach” (1991) oraz wydane pośmiertnie opowiadania „Kól Bielawe” (1997) oraz powieść „Twarz Smętka” (1993), uznaną za największe dzieło w kaszubszczyźnie. Powieść ta opisuje codzienne życie Kaszuba, otoczonego miejscowymi mitami smutnego ducha - Smętka.

W języku polskim, od 1975 roku, systematycznie ukazywały się jego opowiadania, powieści i baśnie. Proza J. Drzeżdżona rozwijała się, głównie w kierunkach: filozoficznym („Twarz Boga” 1984, „Okrucieństwo czasu” 1977), egzystencjalnym („Karamoro” 1989 „Oczy diabła” 1976), społecznym („Wieczność i miłość” 1997), fantastycznym („Miasto automatów” 1984) i literatury dziecięcej („Tajemnica bursztynowej szkatułki” 1997, „Kraina Patalonków” 1978, 1985).

W swojej prozie J. Drzeżdżon ukazuje własne przeżycia, dramaty i prawdę o człowieku. Baśniowe wizje nabierają znaczenia metafizycz-

nego. Bohaterowie są autentyczni, najczęściej wywodzą się ze wsi, żyją zwyczajnie, ale w świecie pełnym niepokojów oraz zjawisk nadnaturalnych i fantastycznych. Świat realny naruszany jest metaforą i fantazją ale istnieje „choćby w grotesce” (T. Bolduan). Często w prozie J. Drzeżdżona opisana jest jego własna droga (stegna), okres dzieciństwa, walka o chleb i życie swoje oraz młodszego rodzeństwa. Tak jest w powieści, wyrażnie autobiograficznej „Twarz Boga”, zawierającej ogrom filozoficznych przemyśleń i zadumy nad własnym losem. Proza Jana Drzeżdżona „otworzyła awangardowy nurt w literaturze kaszubskiej” i polskojęzycznej, której podłożem są Kaszuby. „jest hołdem złożonym ludowi kaszubskiemu” (S. Janke).

Łącznie ukazało się co najmniej 23 tytuły książkowe, o nakładzie około 500 tys. egzemplarzy, trzy prace krytycznoliterackie i ponad 125 publikacji rozproszonych J. Drzeżdżona. Wiele materiałów do następnych książek znajduje się w rękopisach lub maszynopisach. Czy się ukaza?

Jan Drzeżdżon był także edytorem („Miodra struna” 1973...), scenarzystą i tłumaczem. Laureat wielu nagród literackich, w tym im. Wilhelm Macha (1975) za zbiór opowiadań „Upiory” - najlepszy debiut roku, im. Stanisława Piętaka (1976) za „Oczy diabła” oraz Medalu Stolema (1982).

Od kilku lat wsłuchuję się w melodię mowy kaszubskiej i wgrzynam w filozofię Kaszubów. Chodzę wieloma ścieżkami Jana Drzeżdżona. Chcę zrozumieć zwątpienia i nadzieje tego pisarza. ✎

Prané Dunduliené

Litewski matriarchat (2)

Tadeusz Wolański w 1845 roku napisał, że przy polskim jeziorze Gopło, gdzie dawniej mieszkali Bałtowie, wykopano kamienną statuetkę z rozpuszczonymi włosami, ubraną w luźną szatę z długimi rękawami. Prawą rękę trzymała na brzuchu (łonie), a lewą na piersiach, do których tuliła karmione niemowlę. Tą statuetkę Wolański ocenił jako litewską boginkę Laimę (Laima to pisownia litewska, wymowa będzie więc Łajma) wskazującą, że w brzuchu rodzi się niemowlę, nowe życie.

Kobiecego kształtu kamienie na Litwie znane są w różnych miejscach. Niemal takich zgromadził Dionizy Paszkiewicz (Dionizas Poška, ten z „Pana Tadeusza”) w swym muzeum Baublis, gdzie niektóre z nich przetrwały do naszych dni. Jezuitki i inne zapisy wspominają o tych kamieniach, nazywając boginki Laimy wcieleniami mocy. W dzisiejszych czasach i wcześniejszych na ob-

szarze zamieszkałym przez Litwinów znajdują się kobiecego kształtu kamienie oraz kamienne kobiece posązki. Neolityczne posązki z kamienia, kości i gliny, są znajdowane w różnych miejscach Europy. Jeszcze w XIX wieku na Białorusi, w gminie Igumeno, odkryto 1,5 metra wysoką, szeroką na 0,5 metra postać kobiecą nazywaną Laima a po chrześcijańsku Marii vel Maryjny Kamień. Był bez głowy i bez szyi, ale miał wyraźnie zaznaczone piersi. Do niego przychodziły nieplodne i chore kobiety, przynosiły ofiary: tkaniny, len, wełna, prosiaki, cielątka i pieniądze. Kobiecokształtne kamienie były znane, także w dalszych krajach: słowiańskich, germańskich, romańskich, ugrofińskich.

Najstarsze litewskie kobiece boginki pojawiły się w okresie matriarchatu, będąc symbolem płodności i kultu pramatki. Wierzono, że zmarła pramatka wciela się (inkarnacja) w zwierzęta będące totemami: węże, żmije, ptaki i tak dalej. Wierzono, że duch pramatki żyje w kształcie zwierzęcym na rodowym terytorium w lesie, wodzie, w zagrodzie i w samym domu. To on troszczy się o majątek rodu, płodność ziemi, płodność kobiet, strzeże dzieci, stara się też, aby wyrosli godni następcy.

Inne kobiece boginki, z początku związane z siewami i z totemistycznym, animistycznym wyobrażeniem, były bóstwami w postaci zwierzęcia i nazywano ją babami. Ślady takich wyobrażeń pozostały u różnych narodów w ich obrzędach sakralnych. Bułgarzy w końcu XIX wieku w dzień świętego Andrzeja (30.11) wykonawszy figurę niedźwiedzia- wyobrażenie uśpionej ziemi - przygotowywali danie z kukurydzy, bobu, grochu i innych ziaren, które było dzielone na trzy części ze słowami: Da si zdrava, baba Mecol! - Bądź zdrowa, babo Mieszka (niedźwiedziu).

W archaicznej litewskiej zagadce totemicznej świerk nazywany jest Bursztynową Babą.

Z upływem czasu zwierzęco-podobne boginki z czasem w jednej części zmieniły się w zwierzę-podobne, a w drugiej w człowieco-podobne. One także były nazywane babami. Istoty te pozostawały wszechmocne i wszechwiedzące, zdolne wykonywać nadprzyrodzone prace i same mogące zmienić się w zwierzęta, aby następnie powrócić do postaci człowieczej.

U schyłku matriarchatu nadawano pramatkom cechy coraz bardziej ludzkie a jedynie ze zwierzęcymi atrybutami. To one przebywały w domach, chatkach strzegły i przenosiły pomyślność domowej wspólnoty oraz jej zasobom. To one doznawały wyjątkowej czci podczas takich obrzędów jak ślub, chrzest, pogrzeb. Boski charakter kultu pramatki zachował się przez wiek XIX a nawet do początków wieku XX. Źródła pisane mówią, że na Litwie, nawet do połowy XX wieku głoszono, iż kobieta jest podstawową żywicielką, strażniczką domowego ogniska, rodzicielką i opiekunką dzieci. Zajmowała więc cziłgodne miejsce w rodzinie. W Kodeksie Pruskim, datowanym na rok 1340, głoszono, że mężczyzna, który zrani albo zabije kobietę musi zapłacić podwójne odszkodowanie, a w przypadku kobiety, która podobnego czynu dopuściła się w stosunku do mężczyzny - jedynie pojedyncze. Zabitego zanoszono kobiecie, mającej otrzymać odszkodowanie, ale także za jego potomstwo, tyle ile za połowę odszkodowania za mężczyznę. Również Statut Litewski za kobietę zabiłą albo zranioną wyznaczał podwójne odszkodowanie niż za podobny czyn względem mężczyzny. Od dawna panował obyczaj, że kiedy kobieta wyszła za mąż, to przejmowała klucze od domu męża, strzegła je i nosiła przytroczone do pasa. Znaczyło to, że ona prowadzi i porządkuje gospodarke.

Pozostałości matriarchatu zauważa się też w zwyczajowym bliższym kontakcie krewnych w stosunku do linii żeńskiej niż męskiej. Brat matki-wuj aż do naszych czasów był bliższym krewnym niż brat ojca-stryj. Synowa ze swojego domu do domu męża przynosiła natomiast własne obyczaje. Na Litwie jeszcze w XVIII- XIX wieku żywe były obyczaje, że małżeńskie i niemałżeńskie potomstwo dziedziczyły podług linii żeńskiej. Również niemałżeńskie potomstwo nazywano nazwiskiem matki i przynależało tylko do matki, nigdy do ojca. Dorosłe, nieślubne dziecko podług poglądów Statutu nie przynależało ojcu do wyżywienia i opieki. O śladach matriarchatu świadczą nazwy miejscowości od tamtejszej ludności spokrewnionej według linii żeńskiej: Dievenidkes i inne. ✎

Z litewskiego przełożył Tadeusz Zubiński

Bydgoska Spółdzielnia Spożywców

ul. Gdańska 47, 85-950 Bydgoszcz

BSS było już

przed zachodnimi marketami:

- ✓ jest wszędzie tam, gdzie innym nie opłaca się być
- ✓ kupując w BSS popieracie rodzimy biznes
- ✓ kapitał polski i bydgoski

Michał Stolarczyk

Sum

- Trzymaj go pan! Nie dawaj mu luzu!
- Muruje skurczybyk. Ciągnij pan! Musisz go pan oderwać!

Wokół Krzyska zebrało się już kilka osób. Każdy coś doradzał, każdy był fachowcem.

- Nie popuszczaj mu pan, bo się zapląta. Tam niżej w wodzie są druty.

- Jak mam nie popuszczać, jak żyłka nie wytrzyma? - odparł Krzysiek, odkręcając trochę hamulec w kołowrotku. Obracając się szpuła głośno zaterkotała.

- A na jaką pan łowi? - spytał chudy, mocno opalony mężczyzna w wymiętej, kraciastej koszuli.

- Trzydziestka czwórka zdaje się.
- Eee tam, panie. Z taką pajęczyną to nie na sumy - skwitował chudzielec.

Brzeg rzeki był kamienisty. Trochę dalej od wody wznosiła się skarpa porośnięta wysoką trawą i pojedynczymi, karłowatymi wierzbami. Znał dobrze tę wodę. Lubił tu wędkować. Wiedział, gdzie w dnie są głębokie, na kilka metrów, rowy. Tam przebywały sumy. Często też wypływały na płytkie, piaszczyste łachy.

Ryba trochę osłabła. Zacisnął mocniej hamulec i próbował oderwać ją od dna. Ciężar był duży. Wędka wygięła się mocno, żyłka niebezpiecznie naprężyła. Liczył jednak, że zmuszony do walki z prądem sum szybko osłabnie.

- Ha, finzezyjnego łowienia się panu zachciało - rzekł mężczyzna z gestą, siwiejącą brodą, po której często się gładził. - Teraz się będziesz pan z nim bawił do usranej śmierci - dodał tonem zdradzającym, że zjadł już wszystkie rozumy w dziedzinie wędkarstwa.

Krzysiek spinningował dzisiaj od rana. Systematycznie obławiał znany mu odcinek rzeki. Często zmieniał przynętę i nieustannie obserwował wodę. Blisko południa stadka uklejek zaczęły zbierać się na płycznach. Wtedy również sumy rozpoczęły żerowanie. Słychać było głośne pluśki, gdy kilkukilogramowe cielska przewalały się pod powierzchnią. Przerazone ukleje rozpryskiwały się na wszystkie strony jak okruchy szkła z rozbijającej się szklanki. Nad wodą było wtedy, po za nim, jeszcze kilku wędkarzy. Wszyscy zbiegli się, gdy zobaczyli, że zaciął rybę.

- No, ruszył się wreszcie - zauważył wysoki, muskularny facet w bluzie i spodniach moro. Przy jego nogach siedział młody wilczur.

Istotnie, sum zaczął płynąć w stronę powierzchni.

Krzysiek próbował go pompować. Podciągał wędkę do pionu, po czym opuszczał prostopadłe do ciała zwijając luźną żyłkę. Sum nie osłabł jednak na tyle, by poddać się bez walki. Uciekał teraz w dół rzeki.

- Nie daj mu pan! Trzymaj go, bo się zaplącze - krzyknął mu nad uchem chudzielec.

Nie odezwał się. Wiedział doskonale, że pięćdziesiąt metrów niżej, w nurcie, stoją zatopione druty zbrojeniowe. Ryba, która by tam wpłynęła byłaby stracona. Nie łowił jednak na linę holowniczą. Żyłka miała ograniczoną wytrzymałość. Osobiście nie lubił przesadnie grubych, utrudniały bowiem rzut. Z resztą, dla niektórych ryb każda jest za cienka.

- Trzymaj pan go, trzymaj! - krzyknął chudy.

Rzeczywiście nie miał wyboru. Ciągnął rybę najmocniej jak mógł, gdy żyłka napinała się do granicy wytrzymałości, popuszczał ją trochę.

- Nie ciągnij pan tak, bo się urwie - doradzał brodac.

- Duże bydlę - skomentował właściciel psa. Do zebranych zbliżył się korpulentny, niski staruszek.

- Widzisz Michasiu, pan ma dużą rybkę - tłumaczył kilkuletniemu chłopczykowi, którego prowadził za rękę.

Sum osłabł wyraźnie. Krzysiek wolno, ale systematycznie podciągał go do brzegu. Przypominało to holowanie metrowej beli drewna w szybkim nurcie. Ryba nie walczyła, mimo to stawiała ogromny opór.

- O, idzie! Dobra nasza! - klasnął w dłonie dziadzius.

Brodacz spiorunował go wzrokiem.

- Nie mów pan hop. Zobaczy pan co będzie jak poczuję piach pod brzuchem.

Rzeczywiście, gdy ryba znalazła się na płyciźnie, ukazując zgromadzonym swój ciemny, masywny grzbiet, ożywiła się nagle. Woda jakby zawrzała, młócona jej potężnym ogonem. Sum szarpał się i miotał. Stres pozwolił mu wykrzesać ogromną dawkę energii. Pociągnął mocno żyłkę, tak silnie, że Krzysiek ledwo zdążył poluzować hamulec, i uciekł w toń.

- Dał mu pan odpłynąć, panie?! Ja już miałem lecieć po osękę, a pan mu dał odpłynąć - pieklił się facet w moro.

- Siedź pan cicho! Co to, pierwszy raz pan suma widzi, myśli pan, że to tak łatwo? - skarcił go brodac.

- Ach, jaka piękna ... Widziałeś Michasiu, jaka duża rybka? - staruszek zachwycał się jakby to on miał ją na wędce.

Krzysiek starał się puszczać większość komentarzy mimo uszu, ale stawało się to coraz trudniejsze. Gdy łowił, chciał być sam. Posiedzieć w ciszy i spokoju, słuchać szumu wody, czuć na skórze promienie słońca i chłodne dotknięcia wiatru. Łowiąc odpoczywał i relaksował się, nie pozostając przy tym beczynnym. Tymczasem teraz miał za plecami mędrków, którzy zjedzą go żywcem jeśli straci rybę. Fachowców, z których każdy mówił co innego, a żaden nie dawał się skupić.

Facet w moro odszedł bez słowa. Wrócił po chwili niosąc osękę - kilkudziesięciocentymetrowy hak z korkową rękojeścią. Brodac spojrział na niego drwiąco.

Hol miał się ku końcowi. Sum znów znalazł się przy brzegu, tym razem już nie uciekał. Mężczyzna w moro zbliżył się do wody. Zamierzył się osęką, chcąc wbić ją rybie w głowę.

- Co pan robi?! - Krzysiek chwycił go za rękę.

Ten spojrział na niego pytająco.

- Przecież to nie rekin - Krzysiek schylił się, by złapać rybę za dolną szczękę.

- Co pan?! - krzyknął brodac - porani pana.

Rzeczywiście, skrzywił się czując jak drobne ząbki przebijają mu skórę. Wołał to jednak niż nadziać żywą rybę na hak. Sum był, jak można się było spodziewać, wielkim okazem. Wszyscy, z mieszanymi uczuciami, podziwu i zazdrości, przypatrywali się jego cielsku o marmurkowym, szarobrazowym ubarwieniu.

- Zmierż go pan - chudzielec podał Krzyskowi metr.

W tym czasie facet w moro znowu odszedł na chwilę.

- No i ile? - spytał, wróciwszy.

- Metr dwadzieścia.

Morowiec gwizdnął z podziwem. Z kieszeni wyjął ręczną wagę.

- Zaczep go pan za skrzelę - poradził dziadzius.

- Za skrzelę?! Przecież rozerwą się pod ciężarem. Jak pan wtedy wyprawi głowę? - sprzeciwił się brodac.

Wydobyl z kieszeni kawalek sznurka i począł obwiązywać nim ogon ryby.

- Daj pan spokój - rzekł Krzysiek - ryba się męczy. Odczepię ją i wypuszczę.

Wszyscy zamarli. Brodac patrzył na niego jak na wariata. W końcu odezwał się:

- Chce go pan wypuścić? Oszalał pan?! Taka ryba! Każdy z nas marzy o takiej, a pan chce ją wypuścić?!

- Jeśli ją wypuszczę, to będzie ją pan mógł złowić w przyszłości i wtedy zabrać - Krzysiek uśmiechnął się krzywo, próbując rozładować atmosferę.

- Nie wygłupiaj się pan - brodac zignorował go, wracając do przerwanej czynności.

Sum leżał bez ruchu. Oddychał wolno. Wyrzecz jego pyska do złudzenia przypominał uśmiech, lecz trudno było sądzić, że ryba miała powody do śmiechu, nawet gdyby to potrafiła.

Krzysiek czuł się nieswojo. Nie interesowały go żadne trofea, nie potrzebował kilkunastu kilogramów mięsa w lodówce, choćby nie wiadomo jak było smaczne. Wiedział jednak, że wypuszczenie ryby przyjdzie mu z wielkim trudem. Czuł na sobie spojrzenia tych wszystkich ludzi, dyszących rządzą krwi. Dla nich wypuszczenie ryby było czymś niewyobrażalnym, czynem, którego nawet nie brali pod uwagę.

Brodacz z trudem podniósł, przywiązana za ogon do wagi, rybę.

- Piętnaście i pół kilo - odczytał.

- Piętnaście i pół kilo, ale ryba, ale ryba - powtarzał półgłosem staruszek.

Sum był już uwolniony z więzów. Krzysiek schylił się, aby go podnieść i przenieść do wody.

- Jak pan go nie chce, to może ja bym go wziął? - zaproponował chudzielec.

Krzysiek spojrział na niego. Zawahał się. Mężczyzna wyglądał na osobę, dla której taki prezent byłby sporą pomocą. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że ryba nie jest tylko górą mięsa, ale żywym stworzeniem. Brał to zawsze pod uwagę, nim zdecydował się zabrać ją do domu.

- Nie, proszę pana. To naprawdę piękny okaz, warto, żeby żył. Inaczej za kilka lat na sumy będziemy jeździć za granicę.

Przeniósł rybę do wody. Sum był mocno wycieńczony holem i zabiegami jakimi poddano go na brzegu. Chwilę leżał, filtrując wodę przez skrzelę, potem wolno odpłynął.

- Eee, nawet zdjęcia pan nie zrobił - machnął ręką chudzielec.

Krzysiek opukał ręce, wytarł o spodnie i wrócił do wędkowania. Tłumek wokół niego zaczął się rozchodzić.

- Dziadziusiu, dlaczego pan wypuścił rybkę? - spytał Michałek staruszka.

- Nie wiem Michasiu, nie wiem. Gdybyśmy my go złowili, to na pewno byśmy tak nie zrobili. Zaniósłoby się go babci, a ona to już by wiedziała jak go przyrządzić. - Staruszek oblażał się. - A tak wnusiu, to widzisz, zmarnowała się rybka i tyle.☹

Ariana Nagórska

Pojedynek byłby niemożliwy

W sierpniowym „Akancie” (s.17) aforysta Wojciech Wiercioch polemizuje z Jackiem Podsiadłą, który na łamach „Tygodnika Powszechnego” bardzo negatywnie ocenił jego aforyzmy.

Przytępnie jednak, że sam swą książkę Podsiadła przesłał. To mniej więcej tak, jakby poprosić salowego o wykonanie trepanacji czaszki, a potem narzekać, że rozkroił żołądek.

Jeden z korespondentów aforysty (jak to przytoczono w polemice) nader trafnie zauważył:

„(...) Nie będzie Pan miał łatwego życia jako twórca - nie należy Pan do <osób zatwierdzonych>, którym daje się ordery i nagrody (...). Nie należy Pan do <towarzystwa>, które u nas zarządza wszystkim (...)”.

Autor aforyzmów rzekł więc do swego adwersarza, będącego niekwestionowanym przedstawicielem teje dzisiejszej „elity”: „(...) W dawnych czasach musielibyśmy się pojedynkować (...)”

I tu akurat trafił kulą w płot. W dawnych czasach do żadnego pojedynku by nie doszło, bo takie „towarzystwo” na widok pana z białą bronią zrywałoby czapki z głów i, kłaniając się do ziemi, całowało w rękę!☹

Marek Czuku

Mniej oświetlona strona Parnasu

1. KRZYSZTOF SMO CZYK: „Wybór wierszy z lat 1975-2000”. Wydawnictwo „Biblioteka”, Łódź 2001.

Książka ta podsumowuje ćwierć wieku twórczości interesującego poety z pokolenia Nowych Roczników (zwanych też Nową Prywatnością), który idzie własną, oryginalną drogą. Czytelnik może prześledzić ewolucję jego poezji - od zaangażowanej (w rozumieniu nowofalowym, z katastroficzną i biologiczną metaforą) po kontemplującą i afirmującą świat, pełną zachwyty i ufności do przyrody jako dzieła mocy stwórczej.

KRZYSZTOF SMO CZYK: „O jedną wiosnę bliżej”, Galeria Amcor Rentsch, Łódź 2003.

„Poezja Krzysztofa Smoczyka zawsze zadziwiała mnie swoją spontanicznością w wyrażaniu uczuć, która harmonijnie łączy się z refleksyjnością i wewnętrzną powagą wierszy. Ta powaga wynika (...) z obecnego w wielu tekstach poczucia przekraczającego świat Tajemnicy” [ze wstępu Danuty Góreckiej]. To już dziewiąta książka tego poety. Wydanie ekskluzywne, we współpracy z artystami łódzkiej ASP. Projekt i opracowanie graficzne: Izabela Jurczyk-Warzywoda; linoryty: Danuta Wieczorek i Dariusz Kaca.

2. MARIA DUSZKA: „Nieopisanie”. Wydawnictwo „Biblioteka”, Łódź 2001.

Wybór wierszy sieradzkiej poetki z lat 1978-2001. Obok wiary, której jednym z przejawów jest umiłowanie przyrody, mowa w nim o trudnej miłości, przemijaniu i niepokojach egzystencjalnych podmiotu wrażliwego na dobro i zło w świecie.

3. KRZYSZTOF GRZELAK: „Porucznik Borewicz odnajduje sens”. Wydawnictwo „Biblioteka”, Łódź 2001.

Debiut młodego poety z pokolenia, którego dzieciństwo przypadło na schyłkowy okres PRL-

u, a dorastanie - na czasy tzw. transformacji. Wiersze w konwencji postmodernistycznej, wykorzystujące grę słów, znaczeń i tematów, pisane w poszukiwaniu sensu na gruzach bezsensu.

4. ALICJA MAZAN-MAZURKIEWICZ: „Nikły płomyk”. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. J. Piłsudskiego, Łódź 2001.

Zbiór nagrodzony w Konkursie im. M. Piechala na poetycki debiut książkowy. Autorka poszukuje w nim odpowiedzi na odwieczne egzystencjalne pytania i znajduje je w kręgu wiary, nadziei i miłości. Bywa że inspiracją religijnych refleksji, czasem przyjmujących formę modlitwy, są dzieła sztuki. Poetka jest doktorantką na filologii polskiej UŁ.

5. MONIKA KLUKAS: „Może mi nie wyjść to pisanie”. Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego, Łódź 2002.

Trzeci tomik poetycki doktorantki na filologii polskiej UŁ. Cechuje go bogactwo obrazowania (zwłaszcza z kręgu kultury), a także subtelny język odkrywający różnorakie uczucia i emocje.

6. ANDRZEJ WAWRZYNIAK: „Kalendarz szansonisty”, Biblioteka TOPOLI, Zduńska Wola 2001.

Debiut książkowy założyciela i lidera zespołów muzycznych „Na Luzie” i „Erato”. Zduńskowski bard okazuje się również wrażliwym poetą (w sensolandzie / nie ma / dla mnie miejsca / tam / nie upuszczają / facetów / ze łzami / w oczach). Dominują erotyki, gdzie tęsknocie do dosyć abstrakcyjnego wyobrażenia kobiety (Jesteś mi poezją, jesteś mi muzyką) nierazko towarzyszy rozgrywanie dychotomii „miłość - nienawiść”. Najcelniejsze są jednak utwory krótkie, oparte na grze słów.

7. JOANNA CZAJKOWSKA: „Lady M.”. Te De Tomasz Domański, Żyrardów 2001. JO-

ANNA CZAJKOWSKA: „I Cing - tobie na dobry początek”. Wydawnictwo „Margarfsen”, Bydgoszcz 2001.

Piąty i szósty tomik konstantynowskiej lektarki - psychiatry nawiązujące do szekspirowskiej Lady Makbet oraz chińskiej księgi wróżbiarsko-sapiencyjnej. Autorka niczym „jedna z panien mądrych” kontempluje mijający czas, pochylając się nad problemem winy, fenomenem pamięci oraz światem innego człowieka.

8. MONIKA PAWŁOWSKA: „Alter ego”. Wydawnictwo Bernard Cichosz, Konstantynów Łódzki 2002.

Kolejny udany debiut, tym razem studentki polonistyki z Konstantynowa. Poetka operuje zwięzłą, oszczędną formą, „wyciskając aż do bólu” dodatkowe znaczenia ze słów i fraz. Te lingwistyczne zabiegi służą identyfikacji swojego „ja” w relacji np. z mężczyzną, twórczością, metafizyką. Monika Pawłowska również komponuje i śpiewa własne piosenki.

9. MARCIN SIKORA: „Pochwycić swą myśl”. Wydawnictwo Bernard Cichosz, Konstantynów Łódzki 2000.

Debiutancka książka młodego poety z Konstantynowa, który próbuje w niej - jak sugeruje tytuł - „pochwycić swą myśl”. Wiersze te są więc poszukujące - zarówno nowych znaczeń i sensów, jak i graficznych zapisów.

10. TADEUSZ LIRA-ŚLIWA: „Urojona biografia i inne wiersze”. Wydawnictwo Poligraf, Wrocław 1999. TADEUSZ LIRA-ŚLIWA: „Wierszyki na koniec wieku”, Wydawnictwo Apis, Wrocław 1999.

Trzeci i czwarty tomik wrocławskiego poety z pokolenia Nowych Roczników, który debiutował jednak nieco później (w połowie lat 80.). Jego poezja choć czerpie pełną garścią z tradycji literackiej, to bliższa jej jest powściągliwość Białoszewskiego, pewien „ascetyzm” Różewicza, a zarazem dramatyzm Wojaczka. I choć ma wiele cech konwencji postmodernistycznej, ustawia się do niej w opozycji. Wiersze krótkie, zbudowane na grze słów i znaczeń. ♣

Leszek Sokołowski

DEJA VU

Zadzwoń do Biura Zleceń z reklamacją.

- Niech pan reklamuje u Zegarynki - poradzono mi. - My też przez nią zaspaliśmy.

- Zegarek mi stanął - tłumaczyła się Zegarynka - niech pan spróbuje jutro.

Milczałem niegrzecznie.

- I tak już osoba nie zdąży do pracy - stwierdziła, ziewając przy tym jak hipopotam.

- I o to chodzi - zawołałem. - To już trzeci raz w tym tygodniu. Zwolnij mnie!

- Nie bądź taki burzuczny - zapyszczyl mój pies, wyjeżdżając na wrotkach spod natrysku. - Kup sobie wreszcie bucik.

Wszedł kot syjamski z poranną gazetą w pysku. Pod pachą trzymał karton mleka beztłuszczowego.

- Bucik - jęknął osuwając się na kanapę. - Mówi się budzik!

- Właśnie! - ucieszyła się Zegarynka - Kupić budzik.

Szybko się ubrałem i wyszedłem z mieszkania. Na schodach pozdrowiło mnie dwóch skiców spod piątki i małe skiniątko, dziewczynka, jeśli się nie mylę albo chłopczyk, jeśli się mylę. Straciłem kapelusz i przedniego zęba. W bramie zatrzymał mnie gospodarz domu. Zaciągnął mnie pod tablicę ogłoszeń.

- Patrz pan! - wycedził przez zęby - Następnego zdemaskowali!

- „Składka na nową miotłę” - przeczytałem głośno.

- Nie to! - zdenerwował się. - Patrz pan wyżej!

Nad tablicą ogłoszeń widniał napis: „Konik garbusek to wielbiąd”.

Gospodarz wyjął z kieszeni spray i maznął obok: „Spadaj na Saharę!”.

Postałem chwilę, zamyśliłem, podumałem. Składka na miotłę wynosiła po sto złotych.

Z letargu, ze stanu niemalże nirwany, wyrwał mnie gwizd lokomotywy. - „Inter City” pomyślałem z tęsknotą i udałem się na przystanek tramwajowy. W tramwaju luźno i przyjemnie. Dwóch kontrolerów incognito (przebranych za świętych Mikołajów) wzorowo otoczyło małego, kudłatego gościa, że ani zipnął. Aż miło było popatrzeć na ich profesjonalizm. Facet w krzyżowym ogniu pytań przyznał się, że jest bezdomnym głuchoniemym. Powtarzał za to w kółko, jakby się zaciął: „go home, go home”, ale biletem się okazał. Przemiała starsza pani ulżyła facetowi, strzelając go parasolem po łbie i przeszło mu natychmiast. Miałem już wysiadać, ale okazało się, że to ja jadę bez biletu.

- 10 lat czekałem na tę chwilę - płakał ze wzruszenia kontroler, a jego kolega gratulował

mi i życzył dalszej owocnej współpracy.

Wręczyli mi nagrodę, tj. czek in blanco i z honorami odprowadzili pod drzwi ogromnego gmachu, którego fasadę zdobił imponujących rozmiarów napis wyrity w marmurze: „Józefowi K. Zastużonemu i Długoletniemu Petentowi - Oddany Personel”.

Niestety, budynek był zamknięty. Na klawce wisiała kartka.

- „Jesteśmy zawsze z Tobą” - przeczytała zza moich pleców starsza pani z tramwaju i przecięła mnie po plecach parasolką. Po czym zakreśliła się na pięcie niczym prima balerina i klasycznym klusem pognęła w stronę budki telefonicznej, w której akurat barykadował się mały kudłaty gość.

Ocknąłem się w szpitalu. Miałem już dość ponizeń i dziarsko walczyłem ze starszą panią o łóżko. Lekarze obstawiali babcię, ale my zawarliśmy sojusz. Babcia legła od brzegu, a ja od ściany. Pielęgniarki dogadzały nam do przesady. Skakały przy nas, aż babkę rozboleły oczy i pognęła je wszystkie na ulicę, dorzucając im do towarzystwa anestezjologów.

Zadzwoń do domu. Pies mądrył się w dalszym ciągu i uparcie dopytywał, czy kupiłem już bucik. Kot nawet nie raczył podejść do telefonu. Przyrządzał mysz w sosie własnym. Babka radziła mi po powrocie do domu żywcem zeskórować zwierzaki.

- Jak pękasz, to ja to zrobię - mówiła z dziwnym błyskiem w oku. - Powiedz tylko słowo.

Odwróciłem się do ściany i wykręciłem numer do Zegarynki.

10.03, 10.02, 10.01 - usłyszałem w słuchawce i odetchnąłem z ulgą.

„Aby do 7 rano” pomyślałem, patrząc jak babkę jakas siła wyrzywa z łóżka i cofa w czasie.

- Słowo..., tylko powiedz! - zawołała jeszcze i już jej nie było. ♣

**Bank Spółdzielczy
w Koronowie**

zaprasza

**do korzystnego
lokowania pieniędzy
i równie korzystnego
korzystania z kredytów**

86-010 Koronowo
Plac Zwycięstwa 12
tel. (052) 382 27 24

Krystyna Starczak-Kozłowska

Góry bez granic

W Polskę idziemy, panie, panowie, w Polskę idziemy!

No właśnie. A jeśli już – to może by tak, proszę państwa, zawędrować w dawne Jeleniogórskie? Tyle tam niespodzianek, i to nie byle jakich! Stwarzają je zarówno legendy jak i prawda o tej ziemi, z takim rozmachem i temperamentem wpisującej się w polski pejzaż turystyczny.

Przede wszystkim Karkonosze zwane Górą Olbrzymimi. Powiadają, że są zmienne jak kobieta. Nie ma w tym określeniu przesady. Ostatnie dni września, pogoda jak na zamówienie, piękna, słoneczna. Wspinamy się na Śnieżkę, a w drodze zastaje nas prawdziwa zima: gęsto proszący śnieg, oblodzony stok, sadz na drzewach, kosodrzewinie, błyskawicznie zamieniająca się w lodowe frędzelki i tafelki. Wicher wieje taki, że kroku nie zrobisz, przy tym mgła napływa wciąż nowa i wiatr jakoś rozwiać jej nie może. No więc nie zdobędziemy najwyższego szczytu w Karkonoszach. By zejść z powrotem, zwracamy ku stylowemu, zabytkowemu górskiemu schronisku – *Samotni*, malowniczo położonej w polodowcowym kotle Małego Stawu, na wysokości 1195 m n.p.m. Idziemy zaledwie 20 minut, a zastajemy najpiękniejszą polską złotą jesień, pełną ciszy, słonecznej zadumy. I bądź tu człowieku mądry... Klimat alpejski w tych górach panuje, powiadają znawcy, więc taka zmienność nie dziwi...

A może to sam Karkonosz, potężny duch tych gór, mści się za to, że przezywają go *Liczyrzepą*? Nie ze skąpstwa zasłynął, jak się uważa, lecz z tego, że zakochał się w młodej góralce, a ona go przechytrzyła. Wyrwała z pola kilka rzep, które kazała mu zasadzić, więc się ich nie mógł doliczyć, a to był warunek obiecanego przez nią małżeństwa... Ciekawo, czym *Karkonoszowi* naraził się *Kamieńczyk*, młody chłopak, który, jak mówi inna tutejsza legenda, szukał w Górach Olbrzymich szlachetnych kamieni, by za nie kupić lekarstwa chorej matce i już z stamtąd nie wrócił. A była w nim do szaleństwa zakochana piękna córka Ducha Gór. Na wieść o jego śmierci wypłakała rzekę łez, z której popłynął nastrojowy potok właśnie o nazwie *Kamieńczyk*... Jest to niewątpliwie jedna z najpiękniejszych, a na pewno najwyższa siklawa po polskiej stronie Karkonoszy... Możecie to sprawdzić wędrując nad owe szumne wody, spadające z wysokości 27 metrów do przepięknego Wąwozu *Kamieńczyka* o pionowych skałach długości 100 metrów... Warto wiedzieć, że za środkową kaskadą znajduje się Złota Jama ze skupiskami pegmatytu i ametystów...

Wiadomo z historii, że nie tylko *Kamieńczyk* szukał w Górach Olbrzymich szlachetnych kamieni. Zewsząd – z Europy Zachodniej, z Belgii i północnej Francji już w XII wieku zbiegali tu poszukiwacze skarbowi, zwani *Walończykami*, by znajdować – na zlecenie polskich książąt – wspaniałe, mieniające się tysiącem barw, minerały: agaty, kryształy górskie, kwarc dymny, ametysty, granaty, rubin, azuryty, malachity, halkopiryty, szafiry, hiacynty, jaspisy i co tam jeszcze... Najwięcej odkrywali tego bogactwa w rejonie Szklarskiej Poręby i Rudaw Janowickich oraz Gór Kaczawskich, na przedgórzu Karkonoszy. W górskich potokach szukali też oczywiście złota – i znajdowali je w złotożółtych piaskach! Najszlachetniejsze perłorodne żyły odkryto również w potokach Karkonoszy i Gór Izerskich...

Odważni i przedsiębiorczy poszukiwacze cennych kruszców pojawili się też na początku XV wieku, a ich znaleziska używane były do słynnych mozaik florenckich i weneckich. Nazywano ich *Walończykami* lub *Walonami*. Posiadali oni niezwykle, jak na owe czasy, umiejętności. Postulowali się nie tylko wiedzą geologiczną, ale też wiedzą tajemną, którą odziedziczyli po przodkach. Pozostawili po sobie w Sudetach liczne jamy

W POLSKĘ IDZIEMY...

i wyrobiska, a także tajemnicze znaki kierunkowe, ryte na skałach, kamieniach narzutowych, drzewach, prawdopodobnie dla oznaczenia miejsc bogatych w kruszce lub tych, gdzie ukrywali swe zbiory...

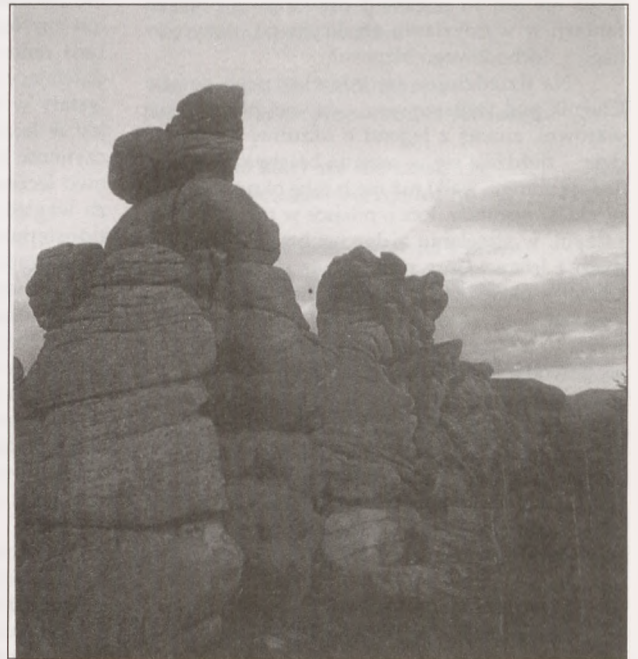
Antonio Wahl z Wenecji w rzece Kamiennej, przepływającej przez Piechowice i Jelenią Górę znajdował czarne kamienie wielkości kurzych jaj! Zawierały one na dwa łuty węgierskie trzy łuty złota! Złotożółte piaski jawiły się w strumieniach o znamiennych nazwach: Złoty Potok, Czerwony Potok, Płucznic... W 1775 roku Niemiec, niejaki Vilkeit, znajdował tam kawałki złota wielkości policzka, czy kciuka, albo zgoła gołębiego jaja. O tym cennym metalu w tutejszych górach mówią nie tylko nazwy strumieni, ale i rejonów: Złotówka, Złote Jamy, Złota Brama...

Walończycy swoje tajemnice spisali w księgach. Nieliczne, które się zachowały, świadczą nie tylko o ich wiedzy, ale i o poszanowaniu przez nich natury i praw boskich, według których, tylko człowiek pokorny, czystego sumienia i dobrego serca mógł otrzymać skarby od legendarnego Ducha Gór, Karkonosza, nie tracąc zdrowia lub życia. Potrafili być wdzięczni Bogu, a swym patronem uczynili św. Wawrzyńca. Ale Walończycy wiedzieli też niemało o ciemnych mocach i umieli się przeciw nim uzbroić, wiadomymi sobie tylko sposobami. W ten sposób ci twardzi, pobożni, lecz zabobonni ludzie, zmuszeni do obcowania z surową naturą w mrocznych grotach, wypracowali w sobie umiejętność zwalczania strachu, głodu, samotności, bólu, z czym nieodmiennie stykali się w wyprawach w groźne, nieznanne Góry Olbrzymie – Karkonosze...

Tradycja walońska w Jeleniogórskim bynajmniej nie zaginęła, przeciwnie – dziś, w dobie cywilizacji komputerowej przeżywa swój prawdziwy renesans. Juliusz Naumowicz założył Sudeckie Bractwo Walońskie (w 1999 roku w Szklarskiej Porębie), które corocznie hucznie obchodzi Tydzień Waloński, wieńczony Mszą św. w intencji ludzi gór, w kaplicy św. Wawrzyńca na Śnieżce. J. Naumowicz, dawny zagorzały przewodnik górski po Karkonoszach, dziś, choć jest unieruchomiony na wózku, czynnie działa. Jest to prawdziwy wulkan energii, obdarzony niezwykle darem wymowy. Jako Wielki Mistrz Waloński Samozwaniec, zgłębił wszystkie walońskie tajemnice, potrafi innych zarazić pasją wskrzeszenia tej niezwyklej tradycji. Z jego inicjatywy zaadaptowana została wielka, pełna podziemnych korytarzy, wykutych jakoby w skałach – stara Chata Walońska koło Szklarskiej Poręby, gdzie spotyka się Sudeckie Bractwo Walońskie. Na pełne fantazji „*igrze walońskie*” zjeżdżają się z różnych stron entuzjaści tradycji, a także turyści, a nawet władze regionu...

Doznałam i ja tych szalonych igrzyc, a było to podczas Międzynarodowego Dnia Turystyki. W starej Chacie Walońskiej płonął wesoło wielki ogień, wzbijający się aż do powały. Mając w pamięci szablonowe i sztywne „*obchody*” różnych rocznic, celebrowane przez władze w epoce PRL-u, nie mogłam wprost wyjść z podziwów, że dziś w Polsce, na uroczystościach oficjalnych z udziałem władz, można bawić się tak niekonwencjonalnie! Bo czego tam nie było! Wobec pierwotnych, rytualnych obyczajów walońskich wszyscy ich uczestnicy są równi. Osobistości też zakuwa-

no „*w dyby*”! Obrzęd pasowania na Czeladnika Walońskiego i na Wiedźmę Walońską, czyli tzw. chrzest, przewidywał m.in.: znoszenie „*tęgich*” rąków na niewymowną część ciała delikwenta ze strony innych uczestników, okadzanie dymem z ogniska, picie „*cykuty*”, czyli supertęgiego napoju walońskiego, no i najbardziej przykra część, polegała na wpuszczaniu na gołe ciało „*więźnia*” zamoczonych w lodowatej wodzie szlachetnych kamyków, owych drobnych, wielokolorowych minerałów. Kto zniósł te „*piekielne*” próby, przyjęty zostawał z honorami do grona Braci Walońskiej, a wszyscy potem obficie częstowani byli znakomitym jadem i napitkiem. Poddałam się i ja temu obrzędowi dokonywanemu przy entuzjastycznych wiwatach zebranych. Dowiedziałam się też, że określenie „*Wiedźma Walońska*” brzmi by-



najmniej nie uwłaczająco, lecz dumnie, bo pochodzi od słowa: *wiedzieć* i znaczy po prostu: *ta, co dużo wie, potrafi wyrażać siebie, stanowić o sobie*. Zostałam więc jak i inne panie *Wiedźmą Walońską*, bo na pewno o górach, ich tajemnicach wiem teraz dużo więcej, a figurka św. Wawrzyńca i amulet z surowego karkonoskiego ametystu, który otrzymałam po ceremonii, będzie mi już zawsze towarzyszył. Zabrałam go z sobą do Kanady...

Ale nie tylko walońska tradycja wskrzeszona jest w Jeleniogórskim dla potrzeb turystów i miejscowych. Trzeba przyznać, że fantazji tutejszym Polakom nie brakuje. Byłam w Western City, miasteczku malowniczo położonym koło Karpacza, a przypominającym do złudzenia kadr z kowbojskiego filmu. Jest tam: saloon, gdzie odbywają się przyśpiewki oraz tańce, przy nieodmiennie pełnej sali, w której napis nad pianinem głosi: „*Nie strzelać do pianisty!*”... Dalej tawerna, bank, no i oczywiście wielkie rodeo z elektrycznym bykiem, na którym każdy może spróbować sił kowbojskich. Co roku odbywają się tu Międzynarodowe Zawody Westernowe i Mistrzostwa Polski w Rodeo, wszystko (wystrój, odzież, sprzęt, konkurencje) zgodnie z regulaminem Międzynarodowej Organizacji Rodeo. Są więc konkurencje szybkościowe, m.in. slalom między beczkami i dookoła żerdzi, czy jazda na nieosiadłym koniu oraz takie dyscypliny ze zwierzętami, jak „*uliczka*”, łapanie cieląt na lasso itd. Mistrzostwa rodeo wygrują ten, kto najdłużej potrafi jechać na byku trzymając się tylko jedną ręką. Podobno na co dzień z tych zabaw korzystają młodzież, dzieci i całe rodziny. Dla nich to wymyślono nawet całe wielkie plenerowe widowisko pod nazwą „*Napad na bank*”. Najpierw złodzieje na byku napadają na bank i uciekają ze złota

dokończenie ze str. 29

tem. Po chwili szeryf z kowbojami łapie ich w okrężeniu. W czasie strzelaniny jeden złodziej ginie, wjeżdża trumna z grabarzem, by nikczemnego nieboszczyka trzeba pochować. Odebrany łup wraca do banku... Tak oto Jerzy Pokój, właściciel Miasteczka Kowbojskiego koło Karpacza, zaskakuje tradycją westernową żadnych przygody turystów i miejscowych. Poprzez zabawę uczy zręczności i sprawności fizycznej. Zaczął parę lat temu od restauracyjki w centrum Karpacza. Później wykupił ogromny teren pod Kozią Skałą. Dziś ma 25 koni, zatrudnia 30 kowbojów i znany jest w całym Jeleniogórskim. W zimie urządza kulięgi, latem zjazdy Indian w wigwamach, zawody „canou” na rzecze, uczy z kowbojskim jadłem itp. Czyż nie jest to przykład prawdziwej polskiej fantazji w wymyślaniu atrakcyjnego, pożytecznego i dochodowego biznesu?

Na dziedziniec średniowiecznego zamku Chojnik pod Sobieszewem – dawnej piastowskiej warowni, znanej z legend o okrutnej Kunegundzie – zjeżdżają się w sezonie bractwa rycerskie. Trwają zbrojne walki już nie o rękę okrutnej księżniczki Kunegundy, lecz o miejsce w turnieju kusznicy, w strzelaniu z dawnej broni. Teatr Animacji z Jeleniej Góry przedstawia na podwórcach Chojnika plenerowe widowisko na kanwie legend tego jedyne w swoim rodzaju zamku... W Złotoryi, 15 kilometrów od Jeleniej Góry, odbywają się zawody w płukaniu złota, a w Karpaczu, co roku, mają miejsce niezwykle, też związane z tradycją konkurencje, zwane „Tragarzia”, wywodzące się z górskiego obyczaju wnoszenia na górę bogatych ludzi w lektykach, żywego jeszcze w początkach XIX wieku (istniał wówczas Cech Tragarzy Lektyk). Dziś też możesz być taką jaśnie panią w lektyce, jeśli zdrowie ci nie pozwala, by wejść samej na szczyt...

Zawsze wiosną w Cieplicach organizowany jest szumny i huczny „Wjazd Marysielki do wód”. Jak wiadomo królowa ta, ukochana żona Sobieskiego, chorowała na tzw. „wstydliwą chorobę” i do wód cieplickich zjeżdżała co roku z „malańką” świtą, bo liczącą tylko... 1500 osób. Na pamiątkę tych wojaży obecny coroczny „wjazd królowej” też liczy sobie co najmniej tyle. Rzeczywiście w tym najstarszym z polskich kurortów atmosfera do organizowania hucznych zabaw i korowodów jest odpowiednia, bowiem „gorąca woda na wiele słabości skutkuje”, a wszystkie hydrozabiegi wykonywane są na bazie naturalnych wód termalnych fluorkowo-krzemowych, o temperaturze dochodzącej do 90 stopni Celsjusza. Ostatnio przybył tu ze swoją chorą żoną Amerykanin. Po licznych

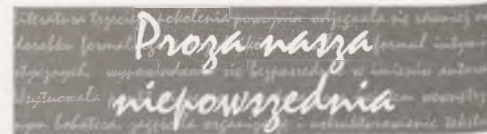
zabiegach wróciła do domu już o własnych siłach. Jest tu jedyny w polskich kurortach oddział okulistyczny, leczący przeróżne schorzenia oka, a także – co rzadkie – zespół suchego oka...

Jeśli ktoś chce zażyć kuracji radonowej – w Kowarach czekają na niego uranowe sztolnie. Jest tylko 5 takich miejsc na świecie, gdzie stosuje się terapię radonową: w Wysokich Taurach w Austrii, w niemieckiej Nadrenii, w Monsumano we Włoszech, w stanie Montana w USA i w Jeleniej Strudzie w Kowarach-Podgórzu u stóp Karkonoszy! Tu przed II wojną światową Niemcy wydobywali oprócz rudy żelaza także rudę uranu. Rosjanie penetrując ich laboratoria, po przejściu frontu, przejęli nadzór nad polskimi Zakładami Przemysłowymi R-1, które po wojnie zajęły się przeróbką rud uranowych dla potrzeb radzieckiej atomistyki. Do 1973 roku wydrążono 24 sztolnie (otoczone ścisłą tajemnicą) i wydobyto 800 ton czystego uranu dla potrzeb (byłego) ZSRR. Dziś radon Rn-222, szlachetny, bezbarwny, wydzielający się ze skał i wód kopalnianych, powstały w wyniku rozpadu radonu – używany jest w lecznictwie, powoduje bowiem wzmoczoną czynność komórek i ich rewitalizację. Ważne, że owo leczenie radonem stanowi nie lada atrakcję ze względu na 11 kilometrów dawnych sztolni, udostępnionych turystom i kuracjom przy okazji zabiegów. Wycieczka niesłychanie nastrojowa, co najmniej 2-godzinna, do zwiedzania wiele stacji górniczych, podziemnych kapliczek i w wydrążonych grotach – ciekawych ekspozycji, dotyczących górniczej tradycji. Skorzystałam też sama z zabiegu profilaktycznego i trzeba przyznać, że małe dawki radonu bardzo dobrze działają na układ nerwowy – po męczącym z nadmiaru zwiedzania dniu, nagle poczułam się wypoczęta i wyciszona...

Jak widać warto ruszać w Kotlinę Jeleniogórską, tam nigdy nie jest po sezonie. To kraina ludzi wolnych i z fantazją. Można zamówić sobie Chatę Walońską, pełną wyżej opisanych atrakcji, zabawić się po kowbojsku w Western City pod Kowarami, wykurować w uranowej sztolni, płać w leczniczych wodach Cieplic, a w maju trafić tam na Wiosnę Cieplicką i Festiwal Muzyki Wiedeńskiej, czy też Spotkania z Piosenką Lwowską i Kresową. W czerwcu można zdobyć Grand Prix Karkonoszy w biegach na Rolkach (także na rowerach, hulajnogach). W lipcu natomiast koniecznie trzeba być w Jeleniej Górze, mieście magicznym, na pewno jednym z najpiękniej położonych miast w Polsce, które zachowało charakter dawnego grodu z jeleniem w herbie. Na pięknie odnowionej starówce z kamieniczkami i niezwyklej klasy zabytkowym ratuszem – można mieć dodatkową ucztę artystyczną oglądając barwny, a znany z wysokiego poziomu Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych. Kult sztuki nie przeszkadza gospodarzom miasta w wytyczaniu obwodnicy dla rowerzystów, prowadzącej przez najpiękniejsze zakątki Kotliny Jeleniogórskiej. Nowoczesne, skomputeryzowane Centrum Informacji Turystycznej w Jeleniej – pod kierunkiem Barbary Różyckiej-Jaskólskiej – łączy z całym światem...

Nieopodal, w Jagniątkowie rozslawionym przez laureata nagrody Nobla, Gerharta Hauptmanna, podziwiać można niezwykle życie i twórczość tego wielkiego pisarza w jego tajemniczej willi, zamienionej w muzeum.

Niedaleko Szklarskiej Poręby lubiłam zadumać się w domu-muzeum wybitnego malarza-symbolisty, Wlastimila Hofmana. Bo Szklarska, podobnie jak i całe Karkonosze, była i jest magnesem dla artystów. Ma też dobrze zagospodarowanych 12 tras rowerowych o łącznej długości 300 kilometrów. Wspominam o tym przy każdej okazji, bo kocham rower i wszędzie śledzę możliwość wakacji na kółkach. To naprawdę nęcące, lecz chciałoby się też pójść na pieszą wędrowkę, np. w kierunku Sobieszowa, by wspinając się do fascynujących ruin zamku Chojnik zetknąć się na którymś ze szlaków z mglistym, a potężnym cieniem Ducha Gór – Karkonosza...



Anna Makles

Kto się boi Wilka?

Podobno mamy do czynienia z zapaścią w polskiej prozie. Bzdura! Ci, co tak twierdzą powinni się ZAPAŚĆ pod ziemię!

Nieprawdą jest też twierdzenie, że brakuje w naszej prozie arcydzieł. Arcydzieła są, tylko krytycy nie chcą im przyznać tego miana. Dlaczego? Myślę, że za arcydzieło uznałoby utwór monumentalny. Chcą widzieć w literaturze swoje czasy, swoje wartości i swoje techniki. Mają na sobie „garnitur” pisarzy, których recenzje piszą z zamkniętymi oczyma (a w ten sposób trudno cokolwiek przeczytać).

Historia stara jak świat. Romantycy odżegnywali się od klasyków twierdząc, że ich wartości i sposób są zbyt sztywnie poddane regułom. Pozytywiści zarzucali romantynom przerost wyobraźni, ludowości, fantastyki, oddalenie się od prawdy życia. Moderniści nie chcieli mieć nic wspólnego z pozytywizmem.

Dzisiejszy konflikt „starych” i „młodych” polega na tym, iż młodzi uderzają w napuszoną i przesensowioną narrację poprzedników (określeń tych używa Beata Anna Pokorska, „Akant” 2003, nr 9, s. 24-27). Bronią, którą przeciw nim wytaczają jest ironia. „Starzy” gniewają się, bo ironia ta jest wymierzona właśnie w nich. Chcą nazywać młodsze pokolenie mędrkami, przemieszcami nie dbającymi o to, czy czytelnik ich rozumie. Współczuję im głęboko, jeśli sami o to dbają. Powinni więc zająć się pisaniem bajek dla dzieci.

Moim zdaniem problem leży gdzie indziej. Mamy świetnych pisarzy, ale nie zawsze łatwo do nich dotrzeć. Do nazwisk już uznanych może, ale reszta jest niemal niewidzialna. Dlaczego? Księgarnie boją się ryzyka. Biorą to, co już w tym momencie dobrze „schodzi”. A co dobrze schodzi? Harry Potter, nędzne i żenujące romansidła, leciwi pisarze zgarniający wszystkie nagrody literackie (z racji wieku; ktoś uważa, że to im się należy, że potem możemy nie zdążyć) oraz to, o czym ktoś napisał, że jest dobre. Właściciele księgarni zupełnie nie interesuje jakość. Sami nie wiedzą co sprowadzają. Listy bestsellerów wołają o pomstę. Liczy się pieniądz. Oczywiście jest, że nie każdy jest na tyle rozgarnięty, by czytać Gretkowską.

Problemem jest także strach. Większość piszących mężczyzn panicznie boi się coraz śmielszych i coraz bardziej drapieżnych kobiet. Mamy wiele dobrych pisarek. Panowie starają się za wszelką cenę przekonać nas, że kobiety to tak totalne idiotki, że nadają się jedynie do rodzenia dzieci i pichcenia obiadków. Ciekawa jestem, czy podobnie myślą i mówią o swoich żonach. Może mężczyźni piszą mądrze, ale strasznie nudno. Jeżeli czegoś brakuje polskiej prozie, to niedostatki te widzę po męskiej stronie pisarstwa.

Już dawno przestałyśmy być naiwnymi Czerwonymi Kapturkami. Z uwagi na rosnącą zniewieściałość mężczyzn musiałyśmy (chcąc nie chcąc) przejąć rolę Wilka.

OBYWATEL
www.obywatel.org.pl

czytaj 12 kwartalnik poświęcony polityce, społeczeństwu i ekologii.
mysl 1911 Podejmuje problem szeroko rozumianej jakości życia, przeciwstawianej wąskiej koncepcji tzw. wzrostu gospodarczego. Zajmuje się krytyką współczesnej rzeczywistości polityczno-gospodarczo-kulturowej. Jest otwarte na nieskrępowaną dyskusję o palących problemach społecznych, porusza tematy „niepopularne i „złe widziane” w innych mediach. Wykracza poza standardowe podziały polityczne w myśl zasady:

„Nie jesteśmy ani z obozu lewicy, ani z obozu prawicy. Jesteśmy z obozu zdrowego rozsądku”.

SZUKAJ NAS W SALONACH PRASOWYCH:
empik, inmedio, kolporter, relay, ruch

Jacek Dehnel**Bród**

Oto idzie przez wodę
 moglibyśmy go nazwać
 Krzysztofem albo świętym Krzysztofem
 moglibyśmy opowiedzieć
 jego zgrabnie ułożoną w klasztornych wersach
 historię

ale wydaje się to zbytuczne

idzie przez wodę dźwigając świat cały
 idzie przez wodę

za tysiąc lat
 wielu będzie go malowało i rzeźbiło
 jak brnie w spienionych nurtach wsparty o kostur
 wzburzony wiatrem szkarłatny płaszcz
 powiewa u ramion w fantazyjnych fałdach
 zakrywa niemal
 małe
 puciołowe dziecko
 ze złotym krążkiem wokół głowy
 i wielką błękitną kulą
 w tłustych rączkach

ale to nie on
 on idzie przez wodę
 coraz głębiej
 zapadając się stopami
 w rzeczonym ile

fale sięgają coraz wyżej i wyżej
 a on patrzy ku górze
 i widzi
 cały świat

różowe pola gryki
 sarny biegnące polaną
 obwarowane miasta i strome góry
 ogniki na bagnach, okręty, stoły i okruchy na stołach

a pośród tego wszystkiego
 widzi rzekę, widzi bród i samego siebie
 jak niesie na ramionach dziecko
 które jest światem

a na świecie znów
 okręty i fortece, i rzeka, i on znowu...

idzie przez wodę na drugi brzeg
 gdzie z cichym szklanym świstem
 obraca się nieskończoność

Andrzej Baszkowski**Dzień**

Schylani przez lata
 mijamy się codziennie
 na tych samych ulicach

Zaklinając żywych
 Przyzywając umarłych
 By nas wspomogli
 na dziś i na wieczność

Ciesząc się skrycie
 że nim zgarnął nas zmierzch
 Udało się znowu

Skraść życiu
 jeszcze jeden
 bezpowrotny dzień

Tomasz Stolecki**Judasz**

Stoję
 przed głównym aktem
 dramatu

wiem jakie będą
 recenzje

sanhedryn
 - jak zawsze w scenie zbiorowej -
 i tak rozgrzeszą
 tłumacząc poprawnością
 polityczną

a ja
 stoję za kotarą
 ostatniej modlitwy
 w ogrójcu
 ściskając w rękę
 zgrabnie uszyty
 rekwizyt zdrady

ja
 niedoszły amant
 najzdolniejszy spośród
 dwunastu apostołów
 powinienem co najmniej
 grać Piotra

to nie wina agenta
 reżyser
 już dawno wybrał
 znak chleba
 przy ostatniej wieczerzy

teraz wejść
 jak nóż w plecy
 chrystusowej zadumy
 tak
 by publiczność wydała
 jęk przerażenia

zostawię na policzku
 starannie namalowany
 znak pocałunku

już dawno
 chór grecki
 oznajmił
 moją śmierć

Monika Mazur

posklejałeś mnie Panie
 ze słów różnych
 wzniosłych i brzydkich
 czasami brak tych właściwych
 a niektóre ograniczają widoczność
 do nieskończoności
 i zakłęb mi brak do siebie
 leżę w kolekcji
 kamieni filozoficznych
 a w górze tylko
 alchemiczne wiatry
 przekręcają strony
 Twojej księgi
 mojego rodzaju

Andrzej Baszkowski**Rachunek**

Ktoś nie wróci więcej do domu
 Ktoś nie zdąży uciec z pożaru

Kogoś ziemia nakarmi głodem
 A sytego pożre choroba

Ktoś nie stanie pierwszy na mecie
 choć prześcignie samego siebie

Ktoś o cud zacznie błagać niebo
 Kiedy inny dotrze do gwiazd

Ważąc los na tej samej wadze
 Na to samo życie skazani

Nie umiemy do końca sprostać
 wszystkim jego przewrotnym rachubom

Tylko czas który nie ma czasu
 rozplątywać człowieczych losów

Szybkim skrzydłem wyrówna i zetrze
 z mapy istnień zbędny rachunek

Andrzej Baszkowski**Nieśmiertelność**

Odprowadzamy krewnych
 na wciąż spieszący się dworzec

Zabiera ich gwizd lokomotywy

Coś jeszcze mówią do nas
 listami z rodzinnych stron

Potem zostaje po nich
 uśmiech w grubym albumie

Podobno mamy ich rysy
 Przyzwyczajenia i gesty

Ktoś w nas ich rozpoznaje
 nim umilkną w pamięci

Tak przenosimy nie wiedząc
 obcą nam nieśmiertelność

**Konkurs
 pod nazwą DYKTATURA-UNIKAT!**

Z okazji zbliżającego się 50-lecia mego istnienia ogłaszam konkurs jednego wiersza, w którym jurorem będę WYŁĄCZNIE JA. Przewidywana jest tylko jedna nagroda w wysokości 500 zł (w wyjątkowym wypadku dwie ex aequo po 250 zł). Inny podział nie nastąpi. Wiersze znajomych nie będą rozpatrywane, znane nazwiska dyskwalifikują. Stawiam na takich autorów, o których słyszałam niewiele lub zgola nic. Jest mi obojętne, czy autor ma lat sto, czy kilkanaście, jednak kilka - to za mało. Nie wymagam, by przesłane wiersze nie były wcześniej publikowane i nagradzane, mam naiwną nadzieję, że i wśród takich sporadycznie coś dobrego się trafi.

Prezenty w postaci wierszy o tematyce dowolnej, nie dłuższych niż jedna strona maszynopisu, w jednym egzemplarzu, podpisanych imieniem i nazwiskiem, z dokładnym adresem nieinternetowym, przyjmuję do dnia św. Mikołaja, tj. do 6 grudnia 2003 roku. (Jednak do ostatniej chwili zwlekać nie radzę, bo przepracowany św. Mikołaj może zastrajkować). Najistotniejszy jest adres mej podniebnej kwatery: Ariana Nagórska, 80-288 Gdańsk, ul. Zylewicza 3 m. 63.

Każdy spełniający warunki autor może przysłać tylko jeden wiersz, chętni mogą dołączyć kilkudzianową notkę biograficzną (ale taka notka bez daty urodzenia od razu dowodzi idiotyzmu).

Dotychczasowe osiągnięcia literackie uczestników zupełnie mnie nie interesują. Notka powinna zawierać dane bardziej życiowe.

Rozstrzygnięcie nastąpi w epokowym dniu 5 stycznia 2004 roku. Jednak z uwagi na balang jurora, pieniądze i gratulacje zostaną przesłane pocztą do końca stycznia. Po tym terminie wyrażę chęć szerszego poznania twórczości poetyckiej kilku wybranych autorów. Nie jest to propozycja bezwartościowa choćby z tego względu, że w Polsce łatwiej o nagrodę lub publikację niż o czytelnika.

Korespondencyjne polemiki, dyskusje i konsultacje literackie nie będą prowadzone.

Ariana Nagórska

Jerzy Hłond

Za Wielką wodą o Polskę

Recenzja STANISŁAWA CHYCZYŃSKIEGO o zbiorze satyr emigracyjnego pisarza, WOJCIECHA BORKOWSKIEGO „Przebierańcy – 1989” („Akant” 2003, nr 5, s. 34), skłoniła mnie, w odwołaniu się do krakowskiego rocznika ZLP pt. „Proza proza” za 2000 rok, do przypomnienia, jak za Wielką wodą postrzegany jest nasz kraj – „strategiczny sojusznik USA”.

Autor tej publikacji – KONRAD STRZELEWICZ pozwolił sobie na rzecz niespotykaną: odważył się oddać głos publicystom polonijnej prasy, których sądy podważają wpajane krajowym czytelnikom opinie. Z perspektywy własnego „podwórka” nie skąpią oni krytycznych spostrzeżeń, nie kierując się takimi, czy innymi, konotacjami politycznymi. Na przekór wszystkim polskim komentatorom, na czele z „Gazetą Wyborczą”, ferują oceny diametralnie inne. Dziwić się więc wypada, iż tam, za Wielką wodą, nie obawiają się zrywać szczerze przykrytej przyłbicy prawdy o wydarzeniach z 11 września 2001 roku, składających tragicznych dla USA i potępionych przez cały cywilizowany świat.

W publikacji tej zamieszcza się teksty z polonijnego dwutygodnika „Gazeta Polarna” oraz pisma społeczno-kulturalnego, wychodzącego w USA od przeszło stu lat, bardzo wpływowego „Dziennika Związkowego” z Chicago. Ogłoszenie przez USA walki z „terroryzmem” przybiera dziś inny wyraz. Czy na fali narodowego oburzenia i wstrząsu w świecie nie ogłosić krucjaty przeciw rzekomym „terrorystom”, by podporządkować sobie kolejne nieposłuszne rządy w imię widocznych aspiracji USA do panowania nad wszystkimi narodami?

O Wojciechu K. Borkowskim, mieszkańcu USA, publicyście, poecie, satyryku i autorze piosenek kabaretowych, rodem z Łodzi, autorze zbioru wierszowanych felietonów „Przebierańcy – 1989”, aby w pełni zrozumie emigranta, który z dystansu ocenia tak zgryźliwie (satyryk i publicysta) przeprowadzoną transformację gospodarczą i przemian polityczne, warto odwołać się do niektórych wersów z prywatnego listu przesłanego K. Strzelewiczowi. Czytamy m.in.: „Kilkanaście wierszy, a także kilka piosenek napisałem w Chicago porażony perfidją upadku Polski w okresie transformacji ustrojowej. To był tragiczny okres zupełnie niezrozumiały dla mnie zmian, które były sterowane przez nieuczciwych graczy. To był również czas kompromitacji dawnej elity medialnej w Polsce, która przyjęła narzuconą jej pozycję lokaja i podręcznego biźnacza. Związkowcy, którzy mieli być «Kolumbami rocznik 1980» i których miał zrodzić gdański strajk stoczniowców, okazali się małymi i zakłamanymi cwaniakami, jakich wielu było w historii Polski. (...) Kordian, ta symboliczna postać naszej kultury, okazał się niegodny Chama. Tak więc za Wielkiej Wody polski emigrant w słowach przepojonych sarkazmem i wprost oskarżeniem przywołuje minione lata przeobrażeń”.

Konrad Strzelewicz swój felieton o poecie podbudowuje dłuższym cytatem z wiersza „Komentarze na użytek mas”. Ileż w nim drwiny i zgryźliwości wobec tych „przebierańców”, którzy z kliniczną wprost precyzją dokonywali na Polsce zabiegu rujnowania dorobku całych powojennych pokoleń. O nich poeta z bólem serca powiada: „To oni świat ten reformują/ ze skutkiem oplakany/ a nam się karzą głośno cieszyć”.

W czerwcowym referendum większość z głosujących wyraziło akces przystąpienia do Unii Europejskiej. Nie będę przytaczał racjonalnie wyważonych motywów przez STEFANA PASTUSZEWSKIEGO („Dlaczego «nie»?”, „Akant” nr 6, s. 27) przeciwko przynależności do „europejskiej rodzinki”. Wstyd o tym mówić, iż władcy Polski w osobach prezydenta A. Kwaśniewskiego czy premiera L. Millera błysnęli klasą wodzirejów i animatorów przebogatych spektakli na rzecz wstą-

pienia do unii. Pod ziemią górnicy na Śląsku strajkowali, upominając się o zapewnienie, że ich kopalnie – jedyne zakłady pracy w danym środowisku – nie zostaną zamknięte. Mało kto myśli o pożywieniu dla dzieci z biednych rodzin czy bezpłatnym urządzaniu sobie wypoczynku dla młodzieży. Przypomnijmy sobie fakty: Plan L. Balcerowicza zakładał nie tylko obniżenie inflacji, ale doprowadzenie polskiej gospodarki do dna upadku. Ukrytym architektem wprowadzenia gospodarki wolnorynkowej (liberalnej) był amerykański ekonomista z Harvardu (USA) – G. Sachs. Ten sam, który ją zaszczepił w krajach Ameryki Łacińskiej. Już wtedy Polska została zaliczona do kraju, w którym dokonywany będzie zbyt nadwyżki towarów, zarówno z państw europejskich, jak i mocarstwa ekonomicznego zza Wielkiej Wody. Specjaliści, rekrutujący się przeważnie z USA, wspólnie z innymi, a nie polskimi, opracowywali programy restrukturyzacji przemysłu nie tylko ciężkiego, jak górnictwa i hutnictwa. Rzecz jasna, opłacani byli sowicie za udzielone pożyczki. Nie ma się czemu dziwić, iż po upływie 14 lat transformacji nikt nie powie otwarcie, ile zakładów zostanie ostatecznie zlikwidowanych. Podobnie rzecz wyglądała z rolnictwem. W zawrotnym tempie, pod bacznym okiem orędownika Banku Światowego i MFW – L. Balcerowicza, likwidowano PGR-y, spółdzielnie produkcyjne, spółdzielczość rolnicza itp. Nikt nie liczył się z tym, iż majątek PGR niszczone, budynki dewastowano, a pracowników wyrzucano na bruk.

FELIKS SADOWSKI w artykule „Ukryta magia siódemek” („Gwiazda Polarna”, nr 12/2001) bez nieudolności wyjaśnia, na czym właściwie polega owa medialna gra „siedmioletniego okresu przejściowego”, do czasu otwarcia zachodniego rynku pracy. Idzie tu o wykupywanie przez cudzoziemców „naszej ziemi i naszych nieruchomości”. „Teraz manipuluje się naszą świadomością, obietnicami-cacankami, abyśmy z przygląpkowatym uśmiechem oddali to, co najważniejsze – naszą ziemię i nasze domy – za nierealną obietnicę najgorszej pracy na Zachodzie i slumsów, w których będziemy węgotali”.

Na szpaltach „Dziennika Związkowego” CZESŁAW KAZIMIERZ BORKOWSKI, w artykule „Polowanie z nagonką”, polemizuje z wywodami „kuriera warszawskiego”, prezesa RWE i obywatela amerykańskiego – Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który w wywiadzie w krakowskim „Dzienniku Polskim” wygłosił wiele bałamutnych ostrzeżeń pod adresem Polski, jeśli nie wstąpi do Unii Europejskiej. „Nikt nie zajmie się przewidywaniami jak będzie się rozwijać sytuacja polityczna na świecie, po powstaniu takiego «olbrzymia» (Unia Europejska). To jest temat tabu, chociaż wszyscy zdajemy sobie sprawę, że to będzie inny świat. Kto na tym zyska, a kto straci? Jak zachowają się inne światowe «olbrzymie», ten azjatycki, czy też ten amerykański?”

WITOLD STANISŁAW MICHAŁOWSKI próbuje w historycznym skrócie wyjaśnić, jaką rolę w rozwoju cywilizacyjnym każdego kraju odgrywają elity intelektualne. W artykule „Kultura elit” stwierdza, iż elity w Polsce od paru wieków stanowiły sprawczą siłę upadku ojczyzny i skreślenia jej z politycznej mapy Europy, jako jednego z największych terytorialnie państw pod koniec XVIII wieku.

Zdaniem autora, elity w III RP są podobne. Nie bez słuszności stawia on pytanie, budzące wiele wątpliwości: „W którym to z demokratycznych krajów świata zaliczano by do elity władzy osobników będących w niezbyt odległej przeszłości płatnymi agentami tajnych służb utrwalających dominację pewnego imperium nad własnym krajem?”

Zaoceaniczny Wielki Brat traktował też nader instrumentalnie polskich „bojowników o wolność”. Ich bohaterские czyny, polegające na skokach przez płoty i wypisywaniu sprayami na murach i płotach różnych sloganów, miały bez wątpienia swoją cenę. Ale rewolucja w PRL kosztowała, bagatelą, amerykańskich podatników za ledwie parę dziesiątek milionów dolarów. Ten wkład na konto wyzwolenia spod dominacji

Związku Radzieckiego sowicie się opłacił, gdyż działające w III RP, kontrolowane przez Amerykanów, światowe koncerny, przynoszą obecnie dużo większe profity.

Bez jakichkolwiek nieudolności autor wspomnianego tekstu zastanawia się, gdzie szukać odpowiedzi na pytania – dlaczego domagano się zmiany systemu, w którym każdy miał zapewnione konstytucyjnie i w praktyce prawo do pracy, bezpłatnej opieki medycznej i kształcenia dzieci? Tegoż podobnego mogli żądać jedynie, zdaniem autora, polityczni masochiści, analfabeci czy wreszcie jaacy cynicyzni hochsztaplerzy. Ruch społeczny „Solidarność” gdyby przybrał charakter rewindykacji praw społecznych i narodowych, mógłby zapisać się w historii przez duże H. A to, co dziś obserwujemy w Polsce, nie jest bynajmniej zasługą ani klasy robotniczej, ani chłopów, ani też ludu pracującego miast i wsi. Nie miały wiele do powiedzenia również elity władzy i opozycji, uczujące w Magdalence. Program przeobrażeń został ukształtowany długo wcześniej i bez naszego udziału. Polskie elity otrzymały jedynie zadanie do wykonania. Rzecz jasna, za odpowiednie wynagrodzenie.

Nie trzeba uciekać się do poliszynela, aby stwierdzić, że dziś owi członkowie wielu naszych „elit” zajmują czołowe miejsca w rankingach najbogatszych ludzi. Często bywają bezkarni i zawsze na piedestale bezkarności. Nie zawsze dostępnymi dla zwykłych śmiertelników. A podobni im przed laty byli beneficjentami czy siłą sprawczą, jaką wyzwolił ruch „Solidarność”. To są często bohaterowie przeróżnego rodzaju afer, prania brudnych pieniędzy, czy bywalcy bankietów dla wybranych.

Swoistym curiosum stanowić może relacja CZESŁAWA RASZEWSKIEGO z „Dziennika Związkowego” z pobytu polskiej pary prezydenckiej w USA. Nasze krajowe media przedstawiały ich spotkania za Wielką wodą jako niebywały sukces. Podobno wszędzie ich witano gorąco. Nie wiadomo, dlaczego pojechali do Detroit, a nie do Jackowa, gdzie bije serce amerykańskiej Polonii. Nie mówiąc o Chicago, gdzie mieszka i działa prezes Polonii Amerykańskiej – Edward Moskał i wychodzi wpływowy propolski „Dziennik Związkowy”.

Wymieniony publicysta w artykule „Saturday night live”, nawiązującym do nazwy jednego z kabaretów, parafrazuje przemówienie końcowe na konferencji prasowej prezydenta A. Kwaśniewskiego. Przytoczyć warto, co kąśliwsze filipiiki. Oto niektóre z nich:

„Przepraszam, używając określenia «towarzysze» miałem na myśli «towarzysze broni», a nie moje dawne dobre czasy, kiedy drapałem się cierniowej drabinie marksistowskiej kariery”. (...)

„Jak podkreślała amerykańska prasa, moja żona jest znakomicie ubrana. Ona już nie musi jeździć do Paryża, tak jak mówiono o Stasi Gierkowej, do niej przyjeżdżają już sami krawcy z Unii Europejskiej”. (...)

„Muszę się przyznać, że miałem stracha, czy też podadzą mi do wypełnienia formularz wizowy, gdzie dawniej było pytanie o przynależność do partii komunistycznej. Skończyło się tylko na strachu. Magistrów, to tutaj wpuszcza się oddzielnym wejściem”.

W tymże samym roczniku „Proza proza proza” STANISŁAW CHĘCIŃSKI, w artykule „Tragiczna data”, zastanawia się, dlaczego to, chociaż upłynęło 6 miesięcy od tragedii 11 września 2001 roku, nie podjęto konkretnych zamierzeń do wyjaśnienia okoliczności poprzedzających atak. Podobno prezydent USA i jego zastępcy nie zalecają przeprowadzenia pełnych dochodzeń. JAN MARWINSKI omawia reperkusje obrad Światowego Forum Gospodarczego w Nowym Jorku, na którym Amerykę oskarżono o egoizm, nadmierne popieranie Izraela i lekceważenie potrzeb ubogich. Na tym to forum senator Hillary Clinton zapoznała zebranych z międzynarodowym sondażem, w którym Amerykanów uznano za egoistów, dążących do kształtowania globalnej gospodarki pod kątem własnych korzyści.

Urszula Małgorzata Benka

Kulturowy Uroboros

Uroboros to stary symbol – wąż pożerający własną głowę. Przedstawiano go w formie królewskiego pierścienia lub diademu, toteż w odczytaniach znaczeń symbolu trudno dzisiaj podminąć niejednoznaczność władzy, a kto wie, czy nie należałoby mówić wręcz o jakimś samobójczym czy sadomasochistycznym aspekcie władzy i mądrości, wpisanych w symbolikę węża.

O tym warto pamiętać, gdy rozważa się nieco głębiej zagadnienia związane z kryzysem kultury, zwłaszcza zaś kultury do niedawna jeszcze traktowanej jako synonim prestiżu społecznego lub argument za wysoką samooceną jej konsumenta. I za prawem do rządu dusz. Bez wątpienia kultura w Polsce już od dziesiątków lat uwikłana była w te ambicjonalne funkcje. Gdyby szukać początków jej władczo-służebnej roli w zbiorowej samoocenie Polaków, cofać musielibyśmy się pewnie aż do okresu zaborów, a nawet jeszcze dalej. Cechą bowiem kultury polskiej – przynajmniej kultury oficjalnej – była stałe chęć przekonania jakichś mniej lub bardziej realnych oponentów, że nie jesteśmy: pogańscy, heretycy, prowincjonalni, marginalni, wynarodowieni, zniewoleni, zruszczeni, zniemczeni, sprośni, zmateralizowani, zsovietyzowani, trwałe wojną napiętnowani, interesowni, kruchciani, masowi, niezyciowi, kosmopolityczni, czy niezdolni kochać inaczej. Zasługujemy zatem na szacunek. Gdyby ktoś wszelako udowodnił, że posiadamy którąś z owych cech, tak rozpowszechnionych w rozmaitych subkulturach, czuliśmy się zdegradowani jak oficer, któremu zdarto epolety i połamano szablę. Pomyśl, aby kultura potrafiła się sobą cieszyć bez wiecznego matczyngo niepokoju, co też ludzie powiedzą, i czy odbiorca się nie skala, gdyby puścić go spod kontroli, był sam w sobie nieprzyzwoity.

Równie nieprzyzwoitą była myśl, aby zakwestionować którykolwiek z kulturowych dogmatów i dopuścić jakiś nowy paradygmat. Rozluźnienie kontroli nad odbiorcą jest właśnie nie do pomyślenia w sferze oryginalnej twórczości, zwłaszcza filozoficznej – gdyż nią w swej istocie była w wieku XIX kontestacja wiktoriańskich rygorów w zakresie obyczajów, kontestacja bohaterstwa narodowego w wieku XX, a następnie kontestacja tak zwanych wartości chrześcijańskich. W tym sensie polska kultura nie posiada najważniejszej bodaj z cech kultury europejskiej – zdolności do permanentnego samokwestionowania się. Wprost przeciwnie, w samokwestionowaniu widzimy raczej zagrożenie, niż ożywczy ferment, a podważanie autorytetów wydaje nam się uzurpacją wcale nie tragiczną, lecz sprzedawczykowską i tandetną. Tego dowiódł już nasz Romantyzm. Konrad w „Dziadach” tylko na niby porywa się na „Boga”; tak naprawdę wykonawcą tego aktu jest tam po prostu szatan, a nie człowiek. I w tym sensie, niestety, wolno rzec, że kultura postromantyczna w naszym kraju niewiele ma wspólnego z biblijnym paradygmatem upostaciowionym w walce Jakuba z Bogiem lub Aniołem. My nie prowadzimy teomachii. Dla nas nie tylko teomachia, ale nawet monomachia jest wciąż podważaniem tożsamości.

Ani więc tragiczność ludzi Biblii, ani laickiego Zachodu Europy. Fakt ten sprawia, iż prawdopodobnie nie możemy współodczuwać mistycyzmu, który rodzi się z samego już napięcia, towarzyszącego profanacji. Jesteśmy o nim pouczeni i wiemy o nim tylko z drugiej ręki. Dlatego też staliśmy się niepewni w ocenach geniuszu artystycznego – sztuka bowiem jest językiem mistycyzmu – oraz geniuszu myśli, który sam w sobie jest mistyczny, i właśnie z tej przyczyny posiada zdolność twórczą.

W kategoriach codziennych nasz kulturowy kryzys objawia się plajtami całkiem niezłych pism i wydawnictw, zalewem zachodniej tandety, nie-

możnością promowania świetnych dzieł w literaturze ani plastyce, o ile te nie uderzają bez pardonu w narodowe świętości wywołując rezonans w swej istocie polityczny, a nie artystyczny czy myślowy. Dlaczego upadają wydawnictwa? Ponieważ nie potrafią wylansować dorosłych talentów i publikują już odpowiednio wycenionych, gdzie indziej wypromowanych autorów, za co muszą już słono płacić respektując cudze prawa wydawnicze. Lansować sami nie umiemy, nasze autorytety literackie nie są w stanie przekonać mas, które są odbiorcą bestsellerów. Autorytety są u nas łączone z wartościami spoza literatury, a przede wszystkim z polityką, która też, całkiem słusznie, odbierana jest jako coś nie mającego nic wspólnego z dobrem narodu ani państwa. Od tej reguły prawie nie ma wyjątków, a i te są przedmiotem klótni. Powiązania polityczne w kulturze miały być tylko trampoliną pozwalającą antykomunistycznym twórcom sprawniej konkurować z instytucjami za bardzo uwikłanymi w socjalizm, stały się jednak ich o wiele mniej przekonującym duplikatem. Gdyby polityka w naszym kraju nie kojarzyła się powszechnie z samolubnym, brudnym kupceństwem elementarnymi wartościami, albo wręcz ich nieznanością, to związane z nią sfery – literatura, publicystyka, a nawet historia, estetyka, etyka, filozofia, satyra czy nawet malarstwo albo rzeźba, nawet pozbawione swojej pierwotnej autonomii, posiadałyby pewien prestiż, choćby ten, jak w PRL czy przed wojną. Wtedy „wolna literatura”, filozofia i im podobne, nie zostały poddane praktycznemu sprawdzianowi – jako hipotetyczne możliwości wydawały się wcale atrakcyjne, wydawały się otóż wolne, nieuległe, albo nie na niby buntownicze. Życie zdarło tę maskę. Przedwojenni lewicowcy albo wpadli w alkoholizm, albo schlebiali komunistom udając, że nie widzą różnic pomiędzy swoimi ideami, a tym, co robiła nowa władza. Otóż peerelowy dysydenci w warunkach demokracji okazali się ustępliwi wobec najmniej demokratycznej instytucji, dla której jawność operacji finansowych, wyrzeczenie się cenzurowania oraz wolność wyboru, zarówno lokalnego szefa komórki organizacyjnej, jak nauczyciela przedmiotu, czy też wyboru życiowego, to równoważniki *cywilizacji śmierci*. Obserwatora wprawiało w osłupienie samo tempo wyrzekania się i wyboru, i wiedzy o tym, jak go podejmować.

Ale też ambicja leżąca u podłoża paradygmatu kulturowego jest czynnikiem toksycznym: powoduje przerost niektórych pewników i zduszenie umiejętności weryfikowania ich później w chwili próby. W istocie tym, co rozwija się na podłożu ambicji, jest mniej lub bardziej skrywana próżność. Kultura bowiem jest jak dziecko. Kochamy ją prawdziwie, o ile udaje się nam ją lubić, gdy jej niesubordynację przyjmujemy raczej w kategorii psoty i żywego srebra, niż złośliwości, głupoty, czy też grzechu. Kiedy pozwalamy jej odkrywać swoje własne predyspozycje, a nie tylko wytykać odstępstwa od standardów sąsiedztwa i rodziny. Bo kiedy faktycznie udaje nam się wyegzekwować posłuszeństwo, to zjawiska w rodzaju Josepha Conrada albo Józefa Mackiewicza, są dla nas jedynie wstydliwą anomalią. W samej rzeczy też, każde niepowtarzalne i prawdziwie twórcze zjawisko w filozofii, literaturze albo sztuce, będzie odstawiać od przewidzianych przez nas ram, i będzie nas głęboko niepokoić i odstręczać jak jakiś rodzaj nieczystości. Oczywiście, ambicja sprawi, że ewentualny sukces rynkowy takich dzieł wymusi ich pośpieszną adaptację w naszym systemie wartości kulturowych. W ten sposób zgodzono się z niemalym bólem na Norwida, na Sienkiewicza, Gombrowicza, Miłosza, Stachurę czy Wojaczka. Na tej nowej pozycji dzieła i jego autor zamierają, upozowane w hieratycznych a niepodważalnych układach. I dramat nawet nie w tym,

że nonkomformiści stają się koturnowi, ale w tym, że koturnowość ta jest byle jaka, klecona na kolanie, pod naciskiem zawstydzających reprimend, że jest wtłaczana bez ładu i bez smaku w system nie mający z nią nic właściwie wspólnego, a przez tę łapczywość tracący resztki szacowności. Bo hieratyczny staje się w moim Wrocławiu nawet Rafał Wojaczek. Z jakichś powodów kilku pragnących stać się moralnymi autorytetami twórców przypisało już Wojaczkowi kilka nieposiadanych przezeń nigdy zalet, przeoczyło wiele wspaniałych, acz nieporządkanych w tym kontekście wad, jak bicie i gnojenie kobiet, zwłaszcza inteligentnych – to nie pasuje, mimo wszystko, do wizerunku *wieszacza czy poety*, bo poeta jest liryczny, subtelny, kochający i czuły, i nie może mieć wrażliwości deski klozetowej na cudze tłumaczenia i lzy. Wojaczek więc został okrojony do wierszy – lirycznych strof o miłości.

Jest coś z prawdy, że ostentacyjne obrażanie dobrych obyczajów, ostentacja na łamach „Vivy” z własną seksualnością, to jakiś – nie budzący zaufania – skowyt rozpaczy, a nie akt dojrzałej wolności. Twórcom jednak nie pozostaje nic innego, jak chamskie łamanie norm życia i to właśnie w sposób nadający się do brukowca. Skoro twórcom nie wolno podważyć fundamentów obowiązującego światopoglądu, pozostawiają je w spokoju, wyżywają się zaś w bezpieczniejszych sferach życia, daleko poza myślą i sztuką. I dlatego pozostają konformistyczni – wobec wielbicieli, mediów i mód artystycznych. I dlatego stają się neurotykami. Odbiorca kultury nie ogarnia już z reguły tych detali. Nie wie o niekomercyjnych wydawnictwach, nie jest w stanie z morza nieznanych nazwisk wyłowić autentycznego talentu, i nie znajduje wsparcia krytyków, czy innych specjalistów w tym zakresie. Polonista z katedry literatury współczesnej stał się bowiem praktycznie bardziej krytykiem niż filologiem, czyta tylko pasujące mu utwory, a ogólne poglądy zdążył sobie wyrobić jeszcze jako student – i nie zmienia ich więcej. Zmienia tylko preferencje polityczne. I przy tym wszystkim, coraz trudniej powiedzieć mu zdanie po polsku, bez żargonu zawodowego, zdanie zrozumiałe dla osób z innej dziedziny wiedzy. Bardzo trudno mu uzasadnić własny sąd bez uciekania się do terminów wymagających sięgania po specjalistyczny słownik. Język uniwersalny przestał być w sztuce używany. Krytyk nie mówi o emocjach. Sowa: „piękno”, „radość” albo „ulga” świadczą raczej, że komentator jest jakimś amatorem. Być amatorem piękna? Po co? W kulturze?*

Rama też jest dziełem sztuki
PRACOWNIA PLASTYCZNA

„DEKORA”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 9,
tel. 322 19 88

Służy artystom i miłośnikom sztuki
od 1945 roku.

Oprócz artystycznej oprawy obrazów
prowadzi sklep z artykułami malarskimi.

Najnowsze techniki i technologie.
Najlepsi fachowcy, artyści bez mała

Zapraszamy
w godz. 10.00-17.00



Lekcje rysunku i malarstwa. Przygotowanie
do egzaminów wstępnych, tel. 0604194930

Konkurs poetycki „O ludzką twarz człowieka”

Na tegoroczny Konkurs Poetycki nadeszło 175 zestawów wierszy – w tym:

1. Kategoria Polska – 130 zestawów
2. Kategoria Międzynarodowa – 11 zestawów
3. Kategoria Młodzieżowa – 22 zestawy
4. Dyskwalifikacja: 12 zestawów (powody dyskwalifikacji: nadesłanie tylko jednego zestawu wierszy, nadesłanie wierszy pisanych ręcznie – nieczytelnych lub nadesłanie zbyt dużej ilości wierszy: jeden z autorów nadesłał ponad 100 wierszy)

KATEGORIA POLSKA:

- I Nagroda – Elżbieta Kołodziejska – Godło: „Vectra”, Płock
 II Nagroda Ex Aequo – Jerzy Fryckowski – Godło: „Lazur”, Dębica Kaszubska
 II Nagroda Ex Aequo – Jerzy Kaczmarek – Godło: „Gerwazy”, Poznań
 III Nagroda Ex Aequo – Zbigniew Włodzimierz Fronczek – Godło: „Zielen”, Lublin
 III Nagroda Ex Aequo – Rafał Jaworski – Godło: „Ataraksja”, Tychy
 III Nagroda Ex Aequo – Marzena Szatko-Dąbrowa – Godło: „Początek”, Kraków

WYRÓŻNIENIA GŁÓWNE:

1. Mariola Dąbrowska – Godło: „Malwa”, Włocławek
2. Mirosław Roman Kaniecki – Godło: „Fotograf”, Brodnica
3. Bogumiła Kołodziejska – Godło: „Trefl”, Bielsk
4. Ewa Bożena Kwiecień – Godło: „Sandaty Mojżesza”, Będzin
5. Piotr Macierzyński – Godło: „Weronika”, Łódź
6. Daniel Ratz – Godło: „Okno”, Płock

WYRÓŻNIENIA DODATKOWE:

1. Janusz Józef Adamczyk – Godło: „Beryl”, Świdnik
2. Tomasz Jan Chlebowski – Godło: „Koliber”, Warszawa
3. Grzegorz Chwieduk – Godło: „Mąż Dorotki”, Kępice
4. Zdzisław Drzewiecki – Godło: „Szymon”, Biały Bór
5. Włodzimierz Jędrzejczak – Godło: „Awatar”, Rawicz
6. Elżbieta Kaźmierczak-Fryckowska – Godło: „Lawina”, Czarnków
7. Urszula Stefania Korzonek – Godło: „Wierzba”, Skoczów
8. Kazimierz Kozłowski – Godło: „Izajasz”, Dobra Szczecińska
9. Barbara Krawętkowska – Godło: „Baranek”, Ostrowiec Świętokrzyski
10. Miłosz Kamil Manasterski – Godło: „Deco”, Dziekanów Polski
11. Łukasz Mańczyk – Godło: „Pisak”, Kraków
12. Alicja Mazan-Mazurkiewicz – Godło: „Zuzanna”, Łódź
13. Daniel Mieczkowski – Godło: „Przechodzeń”, Warszawa
14. Małgorzata Pietrzak – Godło: „Topola”, Topólka
15. Ewa Skarżyńska – Godło: „Eukaliptus”, Warszawa
16. Wiesław Sterniczuk – Godło: „Wiesio”, Tychy
17. Adelina Śniadach – Godło: „Adeles”, Rumia
18. Jerzy Woliński – Godło: „Opin”, Warszawa

KATEGORIA MIĘDZYNARODOWA:

NAGRODA GŁÓWNA: Joachim Neander – Godło: „Holocaust Tourism”, Kraków

WYRÓŻNIENIE GŁÓWNE: Martinek Libor – Godło: „Ślązak”, Opava

WYRÓŻNIENIA DODATKOWE:

1. Romuald Mieczkowski – Godło: „Powracający z trzeciej zmiany”, Wilno
2. Dariusz Pacak – Godło: „KS”, Wiedeń

KATEGORIA MŁODZIEŻOWA:

NAGRODA GŁÓWNA: Izabela Guzdek – Godło: „Córka”, Łągowieki

WYRÓŻNIENIA:

1. Anna Borkowska – Godło: „Kalafiorka”, Wrocław
2. Natalia Kwiatek – Godło: „Natka”, Tychy
3. Karina Moch – Godło: „Pytia”, Kęty
4. Paweł Ratajczyk – Godło: „Paweł Ratajczyk”, Łąck
5. Zuzanna Witkowska – Godło: „Aaricia”, Kędzierzyn-Koźle
6. Anna Borkowska – Godło: „Kalafiorka”, Wrocław

Barbara Krawętkowska

Wizyta

Jadę do Mamy
na dwie godziny

Do plecaka ładuję
wyrzuty sumienia
pachnące ulubioną czekoladą
Do torebki z kawą cappuccino
wpycham obawy
Zasady – w słoiku
z resztkami dla psa
Mosty do spalania
między starymi gazetami

Autobus – niedzielna elegancja
Pociąg – sprawy, tragedie, nadzieje
Znów autobus – podmiejska swojskość
Piechotą przez las – triumf Stwórcy

Cześć, Mamo! Jak te Twoje kwiaty
pięknie pachną!
Ręka Cię boli? Nie pracuj tyle!
Przecież nie musisz...
Ktoś stukał w nocy do drzwi?
Eee... Chyba Ci się zdawało...

No to lecę, Mamo!
Dziękuję za bukiet
Przyjadę za dwa tygodnie...
Wiesz, praca... Może za miesiąc...
Może... za dwa
Może... za późno...

Wyróżnienie w VII Konkursie „O ludzką twarz człowieka”

Ewa Skarżyńska

Mała święta z misiem

Dorotce

Przychodziła tak zwyczajnie
jak się przychodzi do piaskownicy
mówiła Jezus i uśmiechała się
jak do dobrego znajomego
chemia rzeźbiła na jej twarzy
rzeczy odrażające
w ostatnim czasie
poprosiła o misia
skoro będę go tuliła
i z nim głośno rozmawiała
inne dzieci
będą w końcu musiały uwierzyć
że nie przestałam widzieć
- prawda mamusi? ?

Wyróżnienie
w VII Konkursie „O ludzką twarz
człowieka”



Otwarta blizna
Rys. Stefan Rusin

Zuzanna Witkowska

Wiersz przed południem

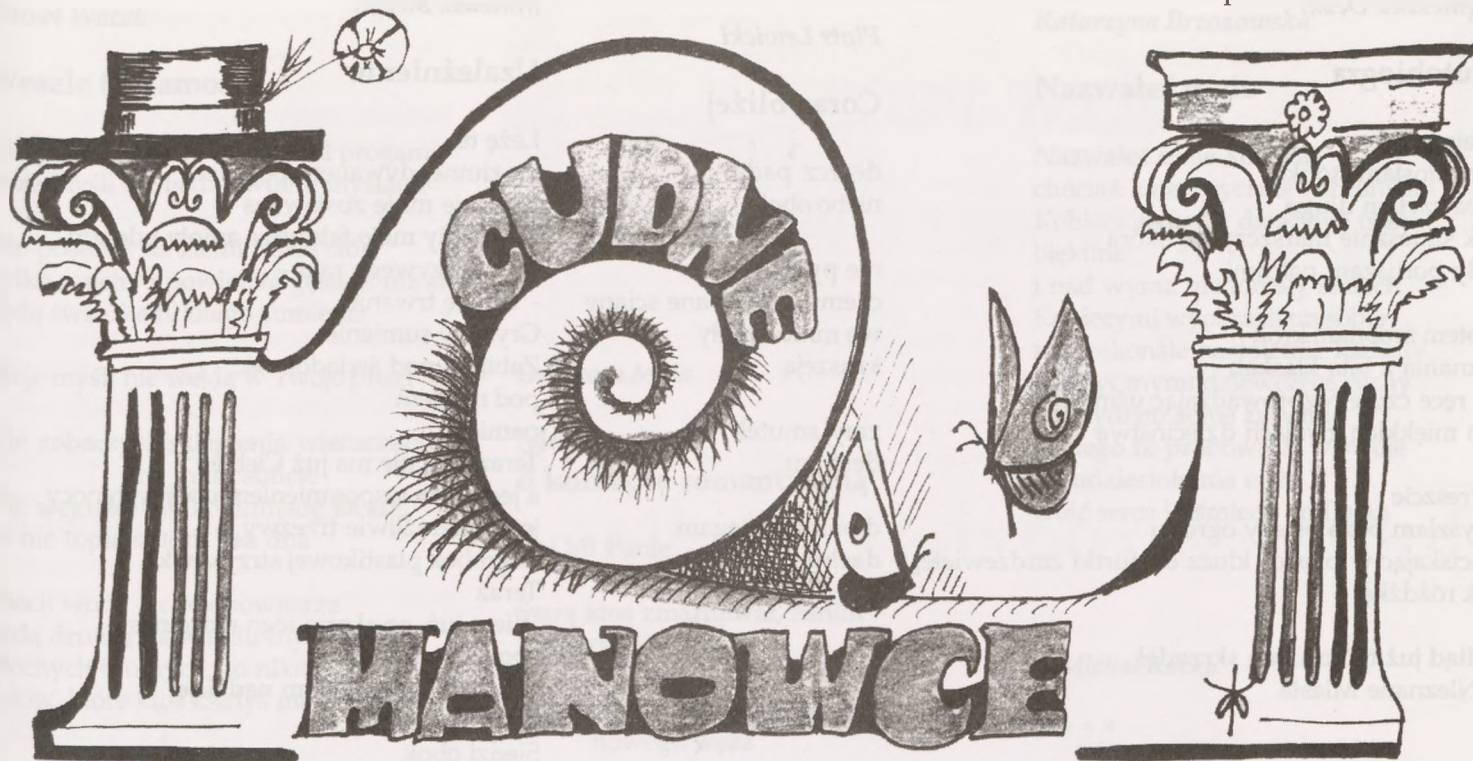
Nieraz przychodziłam. Nie po to, by szukać,
choć byłeś zaledwie na zamknięcie oczu.

Dzisiejsze słońce splywa po dachach.
A czerwiec już w pełni: dorodne truskawki,

śmiałe sukienki, nieśmiałe spojrzenia.
W ogródkach jordanowskich zapach zabawy:

zapłać dwa kamyki lub trzy listki wiśni,
a pociąg zawiezie do wszędzie, do nigdy.

Wyróżnienie w VII Konkursie „O ludzką twarz
człowieka”



Parę słów na dobry początek

Nielatwą sztuką jest dobrze czytać własne wiersze. Podawać je tak, by nie wkradła się do przekazu monotonia, by słuchacz miał szansę podążać za słowem i myślą czytającego. Sztuką jest także umieć słuchać cudzych wierszy, otwierać się na tajemnicze światy objawione w słowie, w głosie rozchodzącym się płynnie pod sklepieniem sali, w której jest miejsce dla czytającego i dla słuchających. Podczas minionych przed paroma dniami V Ogólnopolskich Spotkań Poetów „Biała Lokomotywa” swoje wiersze w Aleksandrowie Kujawskim i Nieszawie czytały z powodzeniem autorki naszego pisma – Karolina Kubik, Anna Borkowska i Adrianna Jakóbczyk. Ich prezentacja wprawiła w zdumienie starszych kolegów po piórze. Powiało nowym, powiało innym. I tak trzymać, Drodzy Młodzi Autorzy!

D. D. L.

Anna Cegłowska

Inaczej

Człowiek w zielonej czapce.
 No i jest cel
 jakiś musi
 tak by się lepiej czuć
 tego dnia
 on powie „nie” i wyjdzie.
 Ktoś spyta
 albo nawet nie
 nie będziemy błędzić.
 Punkt trzeci:
 patrz walka.
 Uwaga na wiatraki
 raz rozmrożony sens nie może być,
 zbyt długo trzymany w lodówce.
 Potem posadzi drzewo
 pewnie to będzie krzak
 przyda się trochę dramatyzmu.
 Jakby mało było zielonej czapki.
 Krzak się spali
 ktoś napisze legendę,
 inni powiedzą
 że zbawiciel wrócił.
 I zrobią interes na sprzedaży nasionek
 a mój bohater
 wróci i powie „tak”
 Co wtorek zwątpi
 a w zimie spadnie śnieg.
 Życie to więcej
 niż odpowiedź na pytanie



fot. Paweł Lisiecki

Piotr Lewicki

Być

piłem
 z wyszczerbionej szklanki
 - krwawiły wargi

sączę człowieczeństwo

rozpalam
 głęboko skryty płomień

Agnieszka Oczki

Autobiogra

Najpierw
podniosłam stópkę
i patrzyłam długo
jak śmiesznie marszczy się skóra
gdy poruszam palcami

Potem zrobiłam krok
a mama z tatą klaskali
w ręce czule rozprawiając uśmiechy
po miękkich zwojach dzieciństwa

Wreszcie
wysłałam poza bramy ogrodu
zaciskając w piąstce klucz od furtki zardzewiałej
jak różdżkę

odtąd już tylko szum skrzydeł
i Nieznane Miasta

Karolina Kubik

„serca czyste jak trawa”

jest przyjacielem...
a ktoś kiedyś nauczył mnie kochać przyjaciół

jest bratem którego nigdy nie miałam
oparcie w niewygodnym fotelu życia

zimną śpiemy w anielskim puchu
latem
wypluwamy pestki gorzkich słów
aby nie raniły naszych serc

dlatego mamy
„serca czyste jak trawa”

- ludziom potrzebne są anioły-
mnie także

jego boska dłoń
ratuje mnie przed upadkiem
przed prostymi niesłusznymi spojrzeniami...

jego bladożółte skrzydła
wnoszą spokój

anielsko czyste oczy
patrzają na mnie jakbym naprawdę
była piękna...

czasami chciałabym aby było inaczej...

ponieważ tegoroczny kosz wiklinowy
upleciony przez niego
jest symbolem wiary...

nie miłości

Piotr Lewicki

Coraz bliżej

deszcz pada
niebo obok

nie pytaj
czemu podrapane ściany
we mnie i cegły
kruszeją

zmyj smutek
deszczu

dłońmi dosięgam
dachu

Jagoda Góralska

* * *

staram się
nie pamiętać
ból głowy
tabletki
nie pomagają
modłę się
Bóg nie odpowiada
Bóg słucha
czasami wystarcza

Alicja Wątroba

* * *

NIE uderzaj
moja głowa zamknięta
antywłamaniowym zamkiem
Gerda
Nie ukradniesz snów

Mateusz Bielski

Uzależnienie

Leżę tu
na zimnej dywanem posadzce
tu gdzie mnie zostawiłaś
Teraz gdy moje fałszywe anioły odeszły
- do fałszywego rajy -
- Trawię trwanie
Gryzę w sumienie
Zabijam pod świadomość
pod mostem
pamięci
Teraz gdy nie ma już Ciebie
a jedynym wspomnieniem upojnych nocy
jest przeraźliwie trzeźwy
nagrobek plastikowej strzykawki
Teraz
Wiem już, na skraju tego marginesu
społecznej choroby
Że mam szansę, mam nadzieję
Mam Nadzieję
Siedzi obok
Uśmiecha się pogodnie i podaje mi strzykawkę

z trucizną człowieczeństwa

Katarzyna Brzozowska

Armagedon

Siódmy anioł
Czwarty jeździec
Kobieta
Z dzieckiem na końcu świata
Ze strachu przed człowiekiem skuleni

Adrianna Jakóbczyk

potomnym

kiedy umrę już śmiercią przedwczesną
z braku lepszego zajęcia
nie medytujcie długo
nad moim martwym ciałem
lecz po prostu
odejmijcie mi ręce
i oddajcie bezrękim
odejmijcie mi włosy
i oddajcie bezwłosym
odejmijcie mi nerki
i oddajcie beznerkim
odejmijcie mi serce
i oddajcie bezsercym
nie obawiajcie się przy tym niczego
a potem
odejmijcie mi mózg
choć nikt go nie zechce
bo w nim tylko
alfabetyczny spis dwudziestowiecznych poetów
i znaczący ubytek w miejscu
dobrej woli

Paweł Wacek

Wesele tożsamości

„Moje progi nie będą Twoimi progami
moje myśli nie będą Twoimi myślami”

Nie postoisz na ziemi mych słów
Tylko muchy i powietrze gęstsze niż strach
będą świadkami mego sumienia

Moje myśli nie wejdą w Twoje progi

Nie zobaczysz sklepienia wieczności
na mym suficie

Nie wejdiesz w kolumnadę kazań,
co nie topią studni bez dna

Niech woda ziemia powietrze
będą družbą na weselu mych myśli
płochych i lotnych, co nikną
i słów, które ktoś kiedyś może słyszy

Karolina Kubik

* * *

w chwili gdy Ewka
jako pierwsza
połasiła się na jabłko
wypiękniała zmądrzała i
stała się boginią

odkryła tajemnicę zdrowej żywności

tchórzliwy Adaś utył wyłysiał i
na zawsze pozostał zwierzęciem

do dziś robi Ewce wyrzuty
bo przecież ugryzł...

Aleksandra Liszka

Włóczędzy

I
Nie usną dziś: z resztą za chwilę dzień się stanie jak negatywem:
ledwo rozkwitły, odbity na kolorowym ksero tęczówek
Księżyc przy słońcu wisi niepewnie jak niepotrzebne dziesięć
groszy. Za serpentynami odległych okien śpią zręcznie schwytni
w wędzidła snów, tak zwani: bliźni.

Ostatni przechodnie przełamują cień i spieszą się, ubrani
w lekkie płaszcze. Zaglądali w twarz: ich czarne oczy;
szli tak, dławieni bezdomnością.

Ulice, miękkie unerwienie miasta, rozległa rzeczywistość
skrzyżowań i autostrad, migotliwe konstelacje latarni,
bruk. Dom po horyzont brukowany strachem.

II
Jestem skórą, ziemią ciężką, pełną bruzd; wywierconą
korzeniami znaczeń. Słowa nie są warte lęgnącego się świtu.
powtarzalność; ciągły nałóg życia chwycił paczkę papierosów,
i odpalił od słońca. Nie usnąłem. W moich rękach tlił się świt.

Katarzyna Brzozowska

Nazwałeś mnie

Nazwałeś mnie kobietą
choćby kategorycznie zabroniłam
Kobiece stały się dziecinne oczy
błękitne
i nad wyraz niedorosły śmiech
Kobiecymi wyobraziłam sobie
niedoskonałe nastoletnie kształty
i erotycznymi dziewczęce ruchy
Obrzydłam sobie zupełnie
Dlatego że próbowałeś w swoje
dwudziestoletnie ciało
wbić serce i uśmiech podlotka

Michał Kućka

* * *

woda w wannie wczepia się w skórę
pęczniejąc cebulki włosów

faluje
powierzchnia stopy dłoni

księżyc wchłonięty w gąbkę
wyciskany na plecach

znamię szuka ust

ręce – winne latorośla

w wannie zderzenie
kontynentów

Justyna Anna Buchta

Zdrada

Podrażniony czerwony policzek
wymierzyłam go sobie sama

Posypana piaskiem krwawiąca rana
Pierwsze spojrzenie
i już wkroczyłam w wątpliwą
przyszłość naszą

Tak gładka skóra
a trucizna przecież wstrzyknięta
tuż pod nią

i odrasta jaszczurce ogon
wciąż nowy

Nie zaczynamy już od początku

Znów ta sama
zabawa z wyrzutami sumienia
i reszka to żal
i orzeł to żal

W STRONĘ PROZY

Julita Wiśniewska

Dobra czarodziejka Julia

Julia uchyliła powieki i zaraz szybko zamknęła je z powrotem. „Ja chyba ciągle śnię!” – pomyślała. Nie poruszając się znowu uchyliła oczu, ale widok się nie zmienił. Wokół siebie widziała pięć schylonych głów, z których każda miała inny kolor włosów. Głowy te szepotały coś do siebie, ale Julia nie rozróżniała słów. Nagle z przerażeniem przypomniała sobie, co się stało: „A więc udało im się mnie porwać. Ciekawe czego ode mnie chcą.”

– Widzę, moja panno, że już się obudziłaś – usłyszała i zobaczyła, że wszystkie kolorowe głowy przyglądają się jej ciekawie.

– Obudziłam się. I co z tego?! – burknęła. – Gdy wrócę do domu zaskarżę was do sądu.

– Do jakiego sądu?! – roześmiała się głowa z fioletowymi włosami. – Przecież wiesz, że nie uwierzyliby ci. Oprócz ciebie tylko kilka innych czarownic wie o naszym istnieniu. Zresztą, co nam mogą zrobić zwykli ludzie.

– Nie bądźcie takie pewne – powiedziała Julia. – Wiecie, jacy ludzie są teraz inteligentni, jak rozwinęła się technika? Ja się zresztą czuję jak zwykły człowiek, a nie jak czarownica i na pewno nie jestem taka zła jak wy! – krzyknęła rozpaczliwie.

– My jesteśmy złe? – złośliwie uśmiechnęła się żółtowłosa głowa. – My chcemy tylko, żeby ludzie służyli nam, przecież wiesz, że niedługo będą nas tysiące i to z twoją pomocą.

– Nigdy wam nie pomogę! Kocham ludzi. Są dobrzy, a nie tacy jak wy – krzyknęła Julia i zerwała się z łóżka uderzając kolorowowłose.

Nie udało jej się jednak uciec daleko. Czarownica z zielonymi włosami wypowiedziała jakieś słowo i Julia stała w miejscu. Nie mogła się poruszyć.

– Musisz nam pomóc! – syknęła naj-

gło jej uwolnić. Rozpaczliwie próbowała więc wymyślić sposób, jak oszukać wiedźmy.

Tymczasem czarownice dyskutowały o białowłosej Julii.

– Jak ją zmusić, żeby nam pomogła?

– Może rzucić na nią czary, żeby zapomniała o ludziach.

– Głupia, przecież wtedy zginie jej moc i będzie bezużyteczna.

– Jak jesteś taka mądra, to sama coś wymyśl, a mnie się nie czepiaj!

– To ty mnie się ciągle czepiasz. Zaraz powyrywam ci te żółte kudły!

– Spokój, przestańcie się kłócić! – niebieskowłosa, która miała największą władzę szybko przywołała je do porządku.

Minęło kilka dni. Julia wytrwale milczała, nie chcąc pomóc czarownicom. One zaś próbowały przekonać dziewczynkę i prośbą i groźbą. Staruchy traciły cierpliwość i coraz częściej kłóciły się



fot. Michał Kućka

brzydsza z nich, zielonowłosa z dreadami.

– Bez ciebie nie uda się nam odczarować sióstr zaklętych w kamyki. Pomóżesz nam, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie.

– Jestem dobra, słyszcicie! – Julia nie mogła się ruszyć, ale mogła mówić. – Nic wam nie da to, że zaklinacie ludzi w taki sposób, że zanieczyszczają ziemię, że sami siebie niszczą. Ludziom otwierają się oczy i widzą, że muszą zacząć dbać o ziemię, aby i ona dbała o nich, aby mogli żyć. I to wszystko dzięki mnie! – krzyknęła.

– No właśnie – po raz pierwszy odezwała się czarownica z niebieskimi włosami. – Wiemy, że masz moc. Wielką moc, która jest nam potrzebna.

Na tym zakończyła się rozmowa. Dziewczynkę zamknięto w pokoju, z którego żadne znane zaklęcie nie mo-

ze sobą. Któregoś dnia rozmyślenia Julii zostały uwieńczone sukcesem: „Jak mogłam o tym zapomnieć. Przecież miałam tego zaklęcia użyć tylko w wyjątkowej sytuacji. A to jest właśnie taka sytuacja. A więc znalazłam sposób, jak unieszkodliwić wiedźmy i uciec z więzienia na Łysej Górze.”. Białowłosa zwołała wszystkie czarownice i oznajmiła, że zgadza się im pomóc. Ucieszone staruchy w przypiływie radości nie wykryły podstępu. Wszystkie na swoich miotłach stanęły na szczycie góry usypanej z drobnych kamyków. Julia już wiedziała, że te kamyki to śpiące wiedźmy. „Są ich miliony – pomyślała – ale już po nich.”

Wiedźmy po kolei wypowiadały swoje zaklęcia. Gdy przyszła kolej na Julię, zaczęła wymawiać swoje zaklęcie i tańczyć czarodziejski taniec:

Hokus Pokus,
Wiedźmy złe
Przemieńcie się
W skaczące króle.

Przestraszone czarownice próbowały jej przeszkodzić, ale zwinna Julia odtańczyła cały taniec dobrych czarownic. Gdy skończyła, zobaczyła przed sobą pięć szarych królików. Każdy z nich miał czuprynkę w innym kolorze. Dziewczynka tupnęła nogą i króliki rozbiegły się w różnych kierunkach.

– Dobro zawsze zwycięży nad złem – powiedziała głośno Julia i jed-

nym machnięciem ręki spowodowała, że z ziemi zaczęły wyrastać różne rośliny i drzewa. Górę pokrył gęsty las, przez który nigdy nie przedarł się żaden człowiek. Dlatego nikt nie widział nigdy zamku na Łysej Górze.

Młoda czarownica Julia dalej pomagała ludziom troszczyć się o planetę Ziemię i robi to do dzisiaj, a ty możesz jej pomóc jeśli tylko chcesz. Może poczujesz w sobie czarodziejską moc... Jeśli jednak spacerując po lesie, spotkasz królika z kolorową czupryną, radzę ci – uciekaj!

Katarzyna Laskowska

Baśń o tym, jak zdobyć przyjaciela

Dawno, dawno temu, za górami, za lasami żył sobie mały krasnoludek, który czuł się bardzo samotny, gdyż nie miał przyjaciół. Wciąż chodził smutny. Marzył, aby znaleźć sobie kompana do zabawy.

W czasie spaceru po parku zauważył małą różyczkę, wokół której rosła trawa. Kwiatek miał wilgotne płatki. Gdy krasnoludek zapytał, dlaczego płacze, róża odpowiedziała, że czuje się opuszczona, że tęskni za rozmowami z bratnią duszą. Okazało się więc, że oboje mają ten sam kłopot, czyli samotność. Przypadli sobie do serca. Interesowały ich te same sprawy. Postanowili, że zostaną przyjaciółmi. Od tej pory mogli liczyć na siebie. Tak im się zdawało.

W pewnej chwili w ich zakątku pojawił się człowiek, który zainteresował się pięknym kwiatem. Róża przestraszyła się, że dostrzeże też krasnoludka. Błagała go, aby uciekał, a ona w tym czasie odwróci uwagę intruza. Skrzat w żaden sposób nie chciał odejść, a niebezpieczeństwo zbliżało się coraz bardziej. Kiedy róża zrozumiała, że zginą oboje, poprosiła, aby krasnal wyrwał ją z ziemi z korzeniami, a wtedy mogliby razem się ukryć. Ludzik bał się zrobić jej krzywdę, ale wiedział, że nie ma wyboru. Wyrwał ją delikatnie, ukrył na sercu pod kurtką i rzucił się do ucieczki. Zaskoczony całą sytuacją człowiek, nawet nie próbował ich gonić.

Gdy oboje znaleźli się w bezpiecz-

nej odległości od zagrożenia, odetchnęli z ulgą. Krasnoludek zauważył jednak, że jego róża jest poważnie chora. Jej płatki straciły żywotność, a łodyżka zrobiła się miękka. Poczul, że serce zabolowało go ze strachu o przyjaciółkę. Wiedział, że ona uszczęśliwia jego życie i bez niej było mu ono niepotrzebne. Postanowił zatem poszukać pomocy u tego, który doprowadził do tragedii – u człowieka.

Znalazł go nieopodal, siedzącego na ławce. Postanowił zaryzykować. Opowiedział mu całą historię. Człowiek poczuł się odpowiedzialny za wszystko. Posadził różę w najpiękniejszym zakątku swego ogrodu, podlał obficie i razem ze skrzatem obserwował ją. Zdarzyło się, że znużeni opiekunowie róży zasnęli.

Nazajutrz rano, obudził ich świergot ptaków. Kwiatek stał dumny i wyprostowany, uśmiechał się do człowieka i krasnoludka wszystkimi swymi kolorami. Był to uśmiech zaufania i przyjaźni. Oto, trzy tak różne istoty potrafiły zatroszczyć się o siebie i porozumieć.

Nieważne, jak wyglądamy. Ważne, co nosimy w sobie, czym się kierujemy w swoim postępowaniu. Na pewno dobro ma moc przyciągania dobra, co udowodnili: człowiek, krasnoludek i róża. Nie wierzycie? Przyjrzyjcie się kwiatom w waszym ogrodzie. Krasnoludek też tam jest, ale trzeba się napracować, żeby zdobyć jego zaufanie. Życzę powodzenia. Warto spróbować!

Magdalena Marczyńska

Droga Krzyżowa

ksiądz puszy się na ambonie
sąsiadka szepce coś do sąsiadki
dzieci wiercą się w ławkach –
rozmyślają o dzisiejszym obiedzie
nawet jakaś staruszka zemdlą

w tłoku

ku uciezce znudzonych

przedszkolaków

tylko po policzku rzeźbionej Maryi
spłynęła
jedna
mądra
łza

Anna Bartosiewicz

oda do nieba

czemu ty niebo umizgujesz się do mnie
choć zajmę już przez Boga

jesteś pozerem na scenie Warszawy
lecz myśli kopią ku tobie krecie
korytarze

ubrane jak z katalogu w czarny
smoking
posypane brokatem blokowych okien
przykładasz do szyby zimne wargi
szkło rysujesz językiem ostrym jak
diament
aż myśl zrywa się jak sopol
przebija kartkę papieru

Marta Szloser

Próba

raz
dwadzieścia
trzy
raz
dwadzieścia
trzy
raz
dwadzieścia
próba
próba pióra

Światło lampy odbija się w zegarku
Zegarek w oczach,
A czy?
Nie wiem –
Gdzieś się rozmyły...

raz
dwadzieścia
jakieś spięcia
chyba pióro się pali

Debiuty – Anna Borkowska

Anna Borkowska ma 18 lat i mieszka we Wrocławiu. Uczęszcza do IV klasy LO nr III. Za rok zamierza zdawać na studia psychologiczne. Należy do grupy poetyckiej „ZSMP” działającej przy LO nr III pod kierunkiem Justyny Paluch. W ubiegłym roku wydała swój debiutancki tomik „Spojrzenia”. Jest laureatką konkursów literackich, m. in. zdobyła nagrodę główną Redaktora Naczelnego Głosu Karczewa, I nagrodę w internetowym konkursie „Poetycka Promenada”, wyróżnienie w tegorocznej edycji konkursu poezji religijnej im. ks. Tischnera w Ludźmierzu, a także „O ludzką twarz człowieka” w Krośnicach.

* * *

gałązki dłoni wędrują
pod prąd czasu
do źródeł

chcą poznać matkę
co stała pod jabłonią
skapaną w słońcu
spokojną
piękną w bezwstydzie

rozmowa z ks. Janem

jak kochać rozsądnie
by się nie narzucać
a później nie cierpieć
kiedy serce wciąż najmądrzejsze
mówi że będzie tak jak ono chce
albo wcale

człowiek spragniony miłości
nieustannie szuka
choć okruszka szczęścia
małego uśmiechu
uścisku ręki
a serdeczny jest tylko dla zwierząt

tak ciężko przyznać się
że się kogoś kocha
choć miłość to nie słabość
ale część Boskości

trudno się zatracić
najtrudniej zaufać

kuszenie

w sukni utkanej z rzesz
prężą się radosne stopy
idę
kolejne kroki wiodą
przed kapliczkę twoich rąk
wiatr szepce w grzechu pierwotnym
nie znasz dobra i zła
chodź za mną Adamie

wyrok

ręka wsparta na ramię
nocą obmywa wszystkie winy księżycą
i skazuje czarnego kota
na ciągłe szukanie domu
na smutek własnych dróg
na przeklętych ludzi trzymających się kurczowo luster

w lustrach sobowtóry
drapią za uszami próżność
falowaniem rąk wyznaczają prawdę wierną jak pech
błysk zielonych oczu napełniają niepokojem
odrzucają prośby o uniewinnienie

i wciąż wierzą
że nieszczęście po upadku na cztery łapy
stanie im na drodze

poezja

wdycham kłęby świeżego stulecia
i piszę że leży
przewrócona do góry
wronami się zasłania
białe kruki łkają że jest jak deliryk



fot. Justyna Paluch

dłaczego

babci Stasi

ręce babci miękkie jak wełna
uśmiechają się do świata milionami zmarszczek
i dziergają historie ciepłe od łez

ręce babci zatopione w cieście
mówią — oblizana łyżka na tysego męża —
i lepią świat
tłumacząc że atomy to przecież landrynki

ręce babci widzą geodetę w zwykłej smudze dymu
przesuwają się miarowo po paciorkach różańca
i uczą jak Jezusa chwycić za rękę

to wszystko takie proste
babcia otulona w codzienność
śmieje się jak dziecko

WARTOŚCI

Wartość – to nowa rubryka, którą odchodząc z naszej redakcji proponuje Michalina Pruszyńska. Mamy nadzieję, że jej wstępne eseje sprowokują naszych autorów i czytelników do dyskusji o wartościach i o tym, co w życiu istotne. Spróbujcie zastanowić się nad pytaniami, które stawia Michalina. Podejmijcie dialog, napiszcie.

Michalina Pruszyńska

„O moralności”

Co jest moralne, jest dobre, co jest niemoralne, jest złe. To najczęstszy sposób rozumowania związany z pojęciem moralności. Ale pełnia znaczenia tego fenomenu zawiera się w sądach dotyczących faktów (dopiero) rozpatrywanych w kategoriach dobra i zła. Dostarcza nam ich etyka. Często mówimy, że jakieś postępowanie jest niemoralne, nieetyczne – używamy tych terminów zamiennie. Należy pamiętać, że etyka ujmuje jednak w całość sądy na temat dobra i zła, którymi zajmuje się moralność, a zatem systematyzuje przedmiot zainteresowania moralności.

A wiąże się ona ściśle z powinnością. Już jako dzieci uczmy się rozgraniczać dobro i zło, jak żyć, co powinniśmy robić, czego unikać. I tu pojawia się również system kar za zło (za działanie niemoralne). Dziecko z wpojonymi zasadami moralnymi wchodzi w życie społeczne, by ono samo zweryfikowało i usankcjonowało normy. Dopiero zbiorowość pozwala człowiekowi być egoistą lub altruistą, oszustem lub osobą lojalną, bohaterem czy przestępcą. Moralność nie jest bowiem jednostkowa – powstaje w odniesieniu do społeczeństwa.

Jakakolwiek wspólnota jest wewnętrznie rozdarta różnego rodzaju normami, kodeksami i obowiązkami ustalonymi przez ogół, które jednak wzajemnie się na siebie nakładają, często wykluczają (prawo a moralność). Wówczas to człowiek zmuszony jest wyodrębnić i przyjąć system „swoich” reguł (zgodnych jednakże z ogólnie przyjętymi). Pojawia się pytanie – co powinienem, powinam czynić? Odpowiedzi otrzymujemy od naszego rozumu praktycznego, tzn. doświadczenia przepuszczonego przez filtr rozumu. Jesteśmy jednak skazani tylko na własne zdanie, bo to my sami na podstawie wła-

snych doświadczeń i własnego rozumowania decydujemy o tym, co robić powinniśmy i co robimy. Dlatego np. człowiek postawiony w sytuacji ekstremalnej, w której musi dokonywać moralnego wyboru – jest skazany na siebie i swój wybór moralny (np. strażak, który może uratować tylko jedną z dwóch osób z płonącego budynku). Często tzw. dylematy moralne są nierozstrzygalne, brakuje nam jednoznacznej oceny – dobre, złe.

Będąc ludźmi wartościującymi wszystko, z największą lubością oddajemy się ocenianiu innych ludzi. Kiedy utworzymy własny system wartości, norm i zachowań, staramy się przelożyć go na grupę. Najczęściej uczymy o obowiązkach i właściwym (w naszym rozumieniu) postępowaniu, liberalizując jednocześnie poglądy dla siebie samego, starając się zatuszować czy wytłumaczyć swoje ewentualne błędy. Jest jednak wewnętrzny głos nie pozwalający na lekceważenie moralności – wyrzuty sumienia. To one właśnie warunkują w nas świadomość moralną. Na bazie zbioru sytuacji do rozstrzygnięcia i ich analizy wyciągamy wnioski na temat tego, co moralne i nie.

Brakuje nam, ludziom, odpowiedzi na pytania o moralność, które byłyby ustalone a priori. Nieustannie musimy się zmagać z własnym egoizmem i poczuciem odpowiedzialności, by decydować - na ile dane postępowanie jest moralne., dobre. Czy możemy więc być sędziami dla innych, nie doświadczając ich wyborów?

Zastanów się:

- Skąd wiesz, co jest dobre, a co złe?
- Jakie wartości moralne są dla Ciebie najważniejsze (życie, rodzina, szczęście)?
- Czy uważasz, że masz prawo oceniać działania innych ludzi?
- Jakimi normami moralnymi kierujesz się w życiu (np. uczciwością)?
- Czy jeśli Twoje szczęście zależałoby od zachowania niemoralnego, zdecydowałbyś się na to?

Moim zdaniem

Gabi Nowicka

Kilka słów o objawach pewnej amnezji

Ostatnio na pewnej wyższej uczelni miało miejsce niezwykłe zjawisko, o którym z upodobaniem donosiła prasa. Otóż doszło tam do przedwczesnego ujawnienia rozwiązań testów, co ułatwiło niektórym kandydatom dostanie się na studia bez najmniejszego wysiłku. Pojawili się więc na owej uczelni studenci, którzy nie zapracowali na własną przyszłość, co więcej nigdy nie docenią spraw, które ich dotyczą. Natomiast wielu z tych, którzy starali się, próbowali, panikowali, robili wszystko by osiągnąć wymarzony cel - nie dostało się, gdyż ich miejsce zajęli ci pozbawieni ambicji, często wiedzący, że to z wypchanymi forszą kieszeniami od tatusia i mamusi.

Do czego to prowadzi? Otóż, ci poszkodowani, zostali odarci ze złudzeń, marzeń, celów i wiary w sprawiedliwość tego świata. Może ktoś powie, że to tylko jedno wydarzenie, a ja zaprzęgam sobie tym głowę niepotrzebnie...Zapewniam, takie sytuacje istnieją wszędzie, gdzie nie spojrzec.

Pytanie - dokąd to wszystko zmierza? Czy istnieje jeszcze moralność? Czy wszyscy zapo-

mnieli już o wartościach? Czy już nie zależy nam na osiągnięciach, które powinny być wynikiem naszej rzetelnej pracy? Czym jest ten kawałek papieru, pieniądz, który zastąpił niektórym honor i ambicję, który każe zapomnieć, co jest w życiu najważniejsze, pograżać się w spe cyficznej amnezji, nieczułości na normy społeczne i moralne?

Nie chce tego. Nie chce żyć w świecie gdzie wszystko ma swoją cenę, wyrażoną kartami kredytowymi i kontami w banku. Ale czy coś się zmieni? Czy coś znaczy mój szczerzy i nikły zarazem głos protestu?

To my, ludzie, tworzymy rzeczywistość, a nie odwrotnie. Dlaczego tak łatwo się o tym zapomina? Czemu słowa - „jestem człowiekiem i nic, co ludzkie nie jest mi obce” - rozumie się opacznie, łatwo usprawiedliwiając wszelkie podłości? Czemu obawiam się, że nic się nie zmieni, że wszystko pozostanie w stanie bezsensownej beznadziei?

A skoro żadne wartości już nie obowiązują, skąd mam brać wzory i siłę do życia potrzebną właśnie teraz, gdy wkraczam w dorosłość...

Karolina C. Paczoska

Niech będzie jesień

niech będzie jesień
niech deszcz zebrały
niech krzyczy radośnie
na karuzelach parasoli
niech wietrzy kościotrupami konarów
w mrocznych holach zamków strachu
niech po dywanie z liści
jak w pokoju luster
w kręgu metafizycznych pytań
przemijanie
niech będzie jesień
wesoło-miasteczkowa
niech będzie
gorąca czekolada w filiżance
na zakończenie dnia

Michał Kućka

zanurzę się w koty
w poduszki
oczy ogony

ogrzeją mnie

schowam się
głęboko pod skórą
pod futrem

wejdę w żyły

wyjdę uchem

zasnę

Katarzyna Chmielewska

Ciekawość czyli ostatni wiersz jesienny

Zaatakował mnie liść
Spadł na mnie
zazdrosnym ciężarem
obumarłych tkanek.
Potem
z premedytacją
się ukrył
pod podszewką buta
by mnie obserwować
- ciekawość rzeczy martwych

Małgorzata Olczyk

Wiersz o poranku napisany wieczorem

Zapałka rozświetla mrok
Zakłęcie to tylko prośba
O gorącą wodę na herbatę
(Może być liściasta)
okrągłe widziadła
Pokazują niebieski dzień
Zza kurtyny czajnika
Samotny kubek
Stuka rytm rutyny

A mleko z płatkami
Jak zawsze ma smak
Poranka



PÓŁKA Z KSIĄŻKAMI

W świat książek trudnych do zdobycia, choć wydanych i istniejących, wprowadzi Was dzisiaj, Drodzy Czytelnicy, jedna z naszych stałych recenzentek – Antonina Lisiecka.

Na tropach tajemniczej półki...

Takiej półki z poezją nie ma w żadnej księgarni, bo tam ze względu na zysk, promuje się tylko autorów o nazwiskach znanych i mało kogo obchodzi odkrywanie nowych, interesujących poetów. Jest to więc z konieczności półka obwoźna, a nawet wędrowna.

Pojawia się ona wraz z autorami przy okazji różnych świąt poetyckich, czy spotkań. I dobrze, że choć tak zaistnieć mogą te skromnie, bądź niezwykle starannie wydane książeczki, ukazując nielicznym całe nieznanne obszary poezji. Na początku września taką wędrowną półkę księgarską wytropiłam w Aleksandrowie Kujawskim podczas V Ogól-

nopolskich Spotkań Poetów „Biała Lokomotywa”. Oto, co z jej oferty wybrałam i co czytelnikom tej rubryki gorąco polecam:

1. Wojciech Boros „Jasne i pełne”
2. Marcin Włodarski „Sommy”
3. Krzysztof Kowalewski „Abdykacja”
4. Jerzy Stachura „Bary mleczne”
5. Marzenna Lewandowska „W urokliwych ogrodach Wenus”
6. Tadeusz Stirmer „Dla nikogo mnie nie ma”

Szukajcie więc gdzie się da pozycji wyżej wymienionych, bo warto!

Antonina Lisiecka

Noty o autorach:

Anna Cegłowska (17 lat), licealistka z Sopotu

Piotr Lewicki (16 lat), mieszkaniec Kruszwicy, uczeń II LO w Inowrocławiu, laureat konkursów poetyckich

Agnieszka Oczuki (18 lat), licealistka z Osielska

Mateusz Bielski (19 lat), licealista z Białegostoku, laureat wielu konkursów literackich

Alicja Wątroba (15 lat), gimnazjalistka z Rudzicy k. Bielska-Białej, autorka tomiku „Papierowe serduszka”, laureatka wielu konkursów poetyckich

Jagoda Górska (19 lat), mieszkanka Lubartowa, laureatka konkursów literackich, wkrótce studentka polonistyki

Katarzyna Brzozowska (18 lat), uczennica LO ze Zduńskiej Woli, czł. klubów literackich „Bez aureoli” i „Topola”, autorka tomiku „Lekkością piór po błękitnie nieba”

Adrianna Jakóbczyk (17 lat), licealistka z miejscowości Charzykowy

Karolina Kubik (18 lat), mieszkanka Zelowa, uczennica LOSP w Zduńskiej Woli, czł. klubów literackich „od Nowa” i „Topola”, autorka arkusza poetyckiego „Łazienka w pomarańczowe kwiaty”

Paweł Wacek (17 lat), uczeń LO w Brzegu Dolnym, czł. grupy poetyckiej „Dlaczego nie Ja?”, laureat konkursów poetyckich

Justyna Anna Buchta (19 lat), mieszkanka Międzyrzecza Podlaskiego, laureatka konkursów poetyckich, autorka tomiku „Wspomnienia opuszczonego ogrodu”, wkrótce studentka anglistyki na UMCS w Lublinie

Michał Kučka (19 lat), mieszkaniec Oświęcimia, laureat konkursów literackich, wkrótce student prawa na UJ w Krakowie

Dagmara Mida (17 lat), mieszkanka Tworkowej (woj. małopolskie), uczennica LO w Nowym Sączu, laureatka wielu konkursów literackich

Aleksandra Liszka (16 lat), mieszkanka Hanuska na Śląsku, uczennica II LO w Tarnowskich Górach, laureatka wielu konkursów literackich, ostatnio wygrała I Festiwal Talentów w Katowicach

Julita Wiśniewska (12 lat), uczennica SP w Nadrożu k. Rypina, laureatka kilku edycji organizowanego w Aleksandrowie Kuj. Konkursu na Baśń „Pewnego dnia...”

Katarzyna Laskowska (11 lat), uczennica SP w Nadrożu k. Rypina, laureatka piątej edycji organizowanego w Aleksandrowie Kuj. Konkursu na Baśń „Pewnego dnia...”

Magdalena Marczyńska (17 lat), uczennica II LO w Łodzi, laureatka konkursów literackich, czł. grupy poetyckiej „Między innymi”

Anna Bartosiewicz (19 lat), absolwentka LO z Warszawy, laureatka konkursów literackich

Marta Szloser (18 lat), licealistka z Ludowa Polskiego k. Strzelina (woj. dolnośląskie), laureatka konkursów literackich

Anna Borkowska (18 lat), uczennica III LO we Wrocławiu, czł. grupy poetyckiej „ZSMP”, laureatka konkursów poetyckich

Michalina Pruszyńska (19 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kujawskiego, wkrótce studentka filozofii na UW

Gabi Nowicka (19 lat), absolwentka LO z Warszawy, wkrótce studentka prawa na UW

Karolina C. Paczoska (18 lat), licealistka z Lublina, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Katarzyna Chmielewska (18 lat), licealistka z Łodzi, laureatka VI Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Otwórzmy okna” (Aleksandrów Kuj., 2002)

Małgorzata Olczyk (19 lat), mieszkanka Łodzi, czł. grupy poetyckiej „Między innymi”, laureatka konkursów poetyckich, wkrótce studentka pedagogiki specjalnej na UŁ

Antonina Lisiecka (12 lat), mieszkanka Aleksandrowa Kujawskiego, uczennica Gimnazjum Akademickiego w Toruniu, laureatka wielu konkursów poetyckich, autorka tomiku „Czuwa nade mną moja gwiazda”

Konkursy • Wydarzenia • Spotkania

VII Ogólnopolski Konkurs Poetycki dla dzieci i Młodzieży „Otwórzmy okna”

Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie w trzech egzemplarzach zestawu trzech wierszy opatrzonych godłem wraz z kopertą zawierającą dane autora (imię, nazwisko, adres, wiek) do dnia 10 listopada b. r. na adres:

VII Konkurs Poetycki „Otwórzmy okna”, Miejskie Centrum Kultury, ul. Parkowa 3, 87-700 Aleksandrów Kujawski
Rozstrzygnięcie Konkursu planowane jest na początek grudnia.

VI Konkurs na Baśń „Pewnego dnia...”

Konkurs adresowany jest do uczniów szkół podstawowych i gimnazjów. Warunkiem udziału w nim jest nadesłanie samodzielnie napisanej, opatrzonej godłem baśni, w 3 egzemplarzach wraz z kopertą powtarzającą godło i zawierającą dane autora do dnia 5 listopada na adres: MCK, ul. Parkowa 3, 87-700 Aleksandrów Kujawski

„CUDNE MANOWCE” - PISMO LITERACKIE MŁODYCH

Redagują młodzi twórcy pod opieką Darii Danuty Lisieckiej

(0-54/282 30 97, cudnemanowce@op.pl 87-700 Aleksandrów Kujawski, ul. Lipowa 3B/3)

Współpraca artystyczna i techniczna Ryszard Wojtkiewicz, Arkadiusz Irek, Paweł Lisiecki, Adam Radosz

Rafał Jaworski

Stać się nędzniejszym
Od najnędzniejszego, aby go dźwigać

Adam Chmielowski

I dziś śmierdzi,
bracie; on za pan brat z koszem
dworcowym, zupy resztką. Na zły stopie
z prawem lepszego, jak pies z kotem
żyje z manną niebieską. Jak nam będzie razem
zmartwychwstawać, czy choćby wchodzić
do krain dostatku?

Jaki był jego lęk, wina jaka, jaka miłość,
jako miłość do niego? Na jakich zakrętach drogi
odśrodkowa siła
rzuca człowieka w ciepłowniczy kanał?

Kim w końcu jest, gdy zieje
denaturatem? Jak podać mu rękę
bez jednorazowej rękawiczki?

Rzucasz banknot do kapelusza brudu
i idziesz do domu
krokiem lekkim: całujesz żonę,
spełniłeś co trzeba: jesteś wrażliwy,
robisz sobie drinka z lodem
i włączasz tv.

Budzi obrzydzenie:
Chrystus
na samym dnie.

III nagroda
w VII Konkursie „O ludzką twarz człowieka”

Daniel Ratz

Gruba Anka z naszej ulicy
od szóstej rano na nogach
schrypniętym głosem
przebija czas

nic już z jej życia
nie pozostało

syna zabrali
pieniądze zabrali
przyjaciela zabrali
a ona chce wina
chce palić

prosi i zebrze
bandażem obwiązuje głowę
niech wszyscy widzą
jej cierpienie i żal

niech dadzą cokolwiek
zrzucą trzy papierosy
z balkonu
kupią od niej
makaron z opieki
pozwolą się napić

Gruba Anka z naszej ulicy
od szóstej rano na nogach
dzwoni do drzwi
wyrywa ze snu
niech inni nie śpią
skoro ona już na nogach

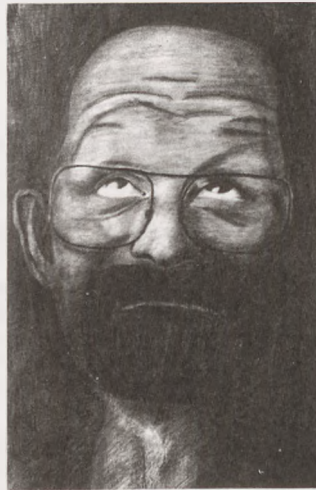
Wyróżnienie w VII Konkursie
„O ludzką twarz człowieka”

Romuald Mieczkowski

Zazdroszczę tym
co białe mają za białe
a czarne za czarne
dzień za dzień
a noc za noc
co nie zastanawiają się
nad odcieniami codzienności
trwania
co mówią – tak ma być –
i basta

Podziwiam tych
co pomiędzy widzą szare
do reszty przejści bywają
sprawami małymi
co przystają by posłuchać
ciszy
i w rozterkach dochodzą
prawdy

Wyróżnienie w VII Konkursie
„O ludzką twarz człowieka”



Rys. Stefan Rusin

Tadeusz Lira-Śliwa**Aforyzmy**

Poetka X: haft poetycki.
*

Poeta Y: cukiernik wysokiej klasy.
*

Krytyk X: wytwórnia etykietek poetyckich.
*

Pisarz Y: solidny zakład rzemieślniczy.
*

„Pod Mocnym Aniołem” Jerzego Pilcha: wyolbrzymiona wizja pijaństwa.
*

„Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną” Doroty Masłowskiej: historyczne
wypracowanie z „historii współczesnej”.
*

Poeci wykonują nieznan program.
*

Czy „prawdziwy poeta” jest inteligentny?
*

„Wiersz Iksa jest nagi!” – ale pod wspaniałymi metaforami.
*

Są wiersze tak słabe, że nie mogą zejść ze stron czasopism literackich.
*

Znak czasu: jakanina poetycka jako sposób porozumiewania się między poetami.
*

Poeta X nie potrafi niczego wyrzucić ze swoich wierszy. Wlecz wszystkie tropy poetyckie
ze sobą. – Nigdzie nie będzie mógł dotrzeć.
*

Poeta Y ciągle coś wyrzuca ze swoich wierszy-balonów. – Ale nie może wznieść się w górę.

Bogumiła Kołodziejska**Zabawy dziecięce wg Pietera Brueghla**

Nie każdy mógł
urodzić się w Wilnie
Lwowie, Gdańsku lub w Paryżu

U nas
morzem był żabi staw
a Sekwana szumiła w studni

Niedaleko za domem
mieszkały lasy
Na podwórku kipiała
jabłonka i dwie grusze

Cwałując na dębowym kiju
jak na żyrafie
goniliśmy motyle
Strzelając z połamanych podków
do wron

Kuchenna fajerka
toczona drucianym haczykiem
była mercedesem
a szmaciana piłka
naszą Brazylią

Najpiękniejszą biżuterią
naszych pierwszych narzeczonych
były klipsy czereśni i sznurek
jarzębin

Chleb z masłem i cukrem
smakował jak marcepan
a wieczorem
gapiąc się w gwiazdy
marzyliśmy o podróży
drabiną na Księżyc

Matka jak Penelopa
czekała na lepsze czasy
A ojciec
skrzyżowanie Ikara z Odysem
zanim odleciał do nieba
złamał kark na polityce

Jak bociany
musieliśmy emigrować
do cieplejszych krajów
bląkając się od morza do morza

Dziś patrząc na ich twarze
widzę mapę świata

Zegary serc wyrwane z korzeniami
biją coraz ciszej

Wyróżnienie
w VII Konkursie „O ludzką twarz człowieka”

Katarzyna Bohdanowicz

O grzechu naprawiania świata

Pamiętam z dzieciństwa tytuł książki, która stała na półce mojej siostry – „Świat poprawiać – zuchwałe rzemiosło”. Ta książka była po prostu o dziejach rzemiosła na świecie, o kształtowaniu się różnych technologii, maszyn i urządzeń, ale ktoś nadał jej tytuł filozoficzny. Nie rzemiosło jednak jest zuchwałe, bo zmierza do poprawiania świata – tak należałoby ten tytuł odczytać – to poprawianie świata jest zuchwałym rzemiosłem. *Zuchwałe rzemiosło*, czyli trzeba podchodzić do niego ostrożnie, bardzo ostrożnie, a im większa obietnica, tym boleśnieszsze mogą być skutki późniejszego upadku.

Niektóre zamiary bywają zabójcze, ze szczególnym uwzględnieniem zamiaru, *aby całkowicie wypłenić zło*. Ponieważ zła wypłenić się nie da, tak bezwarunkowo i tak do końca, zawsze znajdzie się ten, kto będzie zły – i kogo trzeba będzie wypłenić, a to już jest zabójstwo. Większość zabójstw pojawia się z chęci naprawienia świata – taki, jaki jest nie podoba się komuś, więc wymyśla on plan naprawy i wprowadza go w życie; najpierw nieśmiało, potem rozpoczyna się coraz bardziej, stopniowo narasta ta mordercza energia, by w końcu uderzyć w kogoś kto *wydaje się sprawcą zła*, a jeśli go zabijemy, to wraz z tym uczynimy świat lepszym.

To nie tylko systemy totalitarne, tak także nasze małe lokalne mikroklimaty, w jakich uciekamy od siebie. Jedni wymordowaliby wszystkich skinów, inni punków, Żydów, komunistów, jeszcze inni przybyłoby ze Wschodu, albo więźniów (kara śmierci), albo bezdusznych kapitalistów, albo żebraków – itd... Jeśli tylko by ich wymordowali, to na świecie nastąpiłyby lepsze czasy – wreszcie ten upragniony raj dla wszystkich. Mówi się, co prawda – *oni nie chcą ich wymordować, tak daleko ich myślenie nie sięga*. Oni chcą ich tylko, bardzo dyskretnie, usunąć, tak żeby zeszli ze sceny, żeby się nie mieszała, żeby byli z boku, nie jątrzyli, nie panoszyli się tak bezczelnie, ale żeby zabijać – to nie.

Jest w nas tęsknota, ta przeklęta za, doskonałością; zostaliśmy ponoć stworzeni na obraz i podobieństwo Boga. Cóż innego chcieli zrobić Adam i Ewa w raju, jak nie ulepszyć świat – świat był dobry, brakowało tylko jednego ognia, jednego maleńkiego jabłuszka, aby ludzie byli doskonali. Zjedli więc to jabłuszko i stracili wszystko – zjedli i zobaczyli, zobaczyli po fackie, ile biedy, nagości, wstydu ich otacza, ile klęsk. Stracili raj, stracili dobry świat wokół siebie chcąc uczynić go doskonałym. Stracili świat całkiem niezły, bo chcieli wiedzieć wszystko, wszystko zbadać, wszystkie drzwi otworzyć, panować, być bogami. Ale świat wymknął im się spod kontroli – to

Jan Pomin

Kult siły

Dobrze, że L. Czaplński poruszył wreszcie problem odrębności płci, tak obecnie rozmywany przez szalone feministki i nieprzytomnych feministów („Akant” 2003, nr 9, s. 27).

Zrozumieć kobietę i mężczyznę w relacjach psychofizycznych, które trwają od stworzenia istoty ludzkiej jest bardzo trudne. Chociaż są to układy, które wydawałoby się zostały zbadane bardzo dokładnie przez analityków: psychiatrów, psychologów, filozofów, historyków, oparte na jasnych zasadach, systemach i nic tu nowego pod słońcem nie odkryje się. A jednak każdy człowiek jest *sui generis*, niepowtarzalną indywidualnością,

♦ Dokąd zmierzamy? ♦

tylko głupcy twierdzą, że Bóg był zazdrosny.

Moim zdaniem, historia grzechu pierworodnego to nie bajka o tym, że ten staruszek z brodą był zazdrosny, nie dawał im wolności, a gdy złamali Jego zakaz, wkurzył się i wypędził z raju. To jest przypowieść o tym, że ostateczne naprawienie świata jest niemożliwe. To jest prawda o tym, że ci, którzy chcą być jak bogowie, tracą wszystko – jedyne co im pozostaje, to wiedza o własnej nagości i wstyd: „*Jestem nagi*”. Toż to historia nauki całego świata, historia upadających systemów i królestw, historia upadku komunizmu i końca rzymskiego imperium, to historia tych wszystkich, którzy chcieli opanować świat – to historia naiwności ludzkiej. Na pewno też historia globalizacji.

Adam i Ewa byli przed zjedzeniem jabłka niewinni jak dzieci i wszyscy, którzy tworzą historię, też byli niewinni jak dzieci; i Kolumb odkrywający Amerykę, gdzie miano pod pozorem postępu wymordować Indian, i ideolodzy rewolucji francuskiej – *wolność, równość, braterstwo*. I komuniści pragnący uwolnić świat od jarzma kapitalizmu i społecznej nierówności. Wszyscy byli niewinni jak dzieci, nie wiedzieli, że są nadzy i nie potrzebowali listków figowych, a jednak wszyscy nosili w sercu to samo pragnienie – *naprawić świat*. Wystarczy sięgnąć po zakazane jabłko, wystarczy zburzyć takie czy inne normy, wystarczy obalić istniejący porządek społeczny, spalić kilka budynków – i świat po zjedzeniu, tego jednego, trochę, co prawda gorzkiego, jabłka, stanie się rajem. Ludzie staną się bogami. Jakże jednak gorzko – po zjedzeniu jabłka – *jestem nagi, jestem nagi i nic więcej...*

Świat nie tylko nie jest lepszy, ale jest zgoła gorszy niż był – i od tej pory towarzyszy nam poczucie wygnania i utraty raju. Już nie ma bliskości Boga, nie ma złudzeń – jest tylko cierpienie i ból, ofiary, gilotyny, pożogi i obozy koncentracyjne. Cena za to, że człowiek chciał zostać bogiem – chciał decydować o życiu i śmierci w stworzonym przez siebie, świecie.

A potem, gdy Adam i Ewa zostają wygnani z raju, to już się tłumaczy: „– *Ona mnie namówiła, wąż mnie zwiódł...* I tak dalej. *Ja jestem sam z siebie dobry, niewinny* – tylko ten ktoś, tylko ten on albo ta ona przywiódł mnie do grzechu. Odtąd wloką się przez świat, wyobcowani, smutni i niedojrzali, tęsknią za rajem, tęsknią za Bogiem i z tej tęsknoty burzą wciąż nowe granice. Panują nad ptactwem i nad rybami morskimi, nad wszystkim, co ma w sobie pierwiastek życia – nie panują tylko nad sobą, a ich dzieło wcale nie jest dobre. Dlatego wciąż pragną uczynić je lepszym.

I historia zaczyna się od początku...*

stworzoną przez Stwórcę, a jeśli chodzi o powiązania między sobą, - teoretycznie rzecz biorąc – to opartą na miłości, która ludzi ze swoją wiąże. Zrozumieć ową miłość jest łatwo w stosunku na przykład matki do dziecka lub w relacjach osobowych pokrewieństwa. Natomiast między kobietą a mężczyzną, w ich najbardziej intymnych relacjach, nie jest to wcale takie proste. Wydaje się, że znają się doskonale, a jednak nagle pękają ich więzy niezależnie od czasu czy stażu małżeńskiego.

Mężczyzna nie zawsze zdaje sobie sprawę, że jest niczym „narzędzie” w rękach kobiety. I nie zawsze przyjmuje do wiadomości fakt, że to nie on wybiera kobietę, ale kobieta jego. Oczywiście, że nie dokonuje się to bezwiednie. On owszem akceptuje tę kobietę a nie inną, ale jego najpierw

dokończenie na str. 36

Stefan Pastuszewski

Kobieta!

Sąsiednie rozważanie K. Bohdanowicz „O grzechu naprawiania świata” pretenduje do obiektywnego rozmyślenia filozoficznego, a jest tylko, zdeterminowanym płcią, wynurzeniem przedstawicielki płci pięknej. Bo to właśnie kobiety mają, na trwałe zapisaną w swej naturze wolę pogodzenia się z rzeczywistością. „*Wystarczy odrzucić fałszywą troskę, aby zacząć żyć akceptacją; wszak nie jesteśmy bogami*” – stwierdziła w swym zbiorze wierszy pt. „*Rozmowa z Tobą w czasie*” Ludmiła Janusewicz.

(W ogóle zastanawia mnie coraz powszechniejsza u piszących pań skłonność do aforyzmów i limeryków, będąca li tylko efektem rozmyślań nad sobą czyli kobietą, a nie światem obiektywnym, całym. Mało która autorka próbuje uprawiać *lirykę roli* jak to ze znacznym powodzeniem czynią J. Hartwig i W. Szyborska, a tylko poprzestaje na swoim ego).

Kobieta, stworzona w pierwszej kolejności do przenoszenia życia, co przekonywująco udowodnił Jan Pomin (*Kult siły*; „Akant” 2003, nr 9, s. 36-37) przede wszystkim *mości się* w tym świecie, obojętnie jaki on by nie był. Bo dla niej powtórzenie życia ważniejsze jest od tworzenia, akceptacja zastanego porządku, w tym naturalnego życiowego ciągu, od kreacji. Z uwagi na determinację płciową jest to ze wszech miar zrozumiałe, ale nie we wszystkim korzystne. Gdyby bowiem ludzkość w przeciągu swych dziejów tylko *mościła się*, to po dziś dzień żylibyśmy w jaskiniach, a przeżywałoby co czwarte, piąte dziecko. Naprawianie a raczej doskonalenie świata jest koniecznością, a posługując się biblijnym tropem K. Bohdanowicz – wręcz obowiązkiem („*Czyńcie sobie ziemię poddaną*”). Problem tylko w granicach i metodach tego doskonalenia. A także w świadomości, że osiągnięcie stanu idealnego jest niemożliwe, co oczywiście nie zwalnia nas od dążenia do takiego stanu. Tu kłania się mit Syzyfa, podniesiony do rangi „*sposobu na życie*” przez egzystencjalistów (*herozim egzystencjalny*).

Nie ma racji K. Bohdanowicz obarczając ludzkie, a może tylko męskie, dążenie do doskonałości grzechami imperializmu, faszyzmu, komunizmu, globalizmu. Prądy te, łącznie z tym ostatnim, w który wpadliśmy głosując za Unią Europejską, mają zgoła inne cele, a tylko posługują się frazeologią idealistyczną. Nie znaczy to wcale, że w szeregu swoich funkcjonariuszy nie miały naiwnych idealistów, dla których ta frazeologia była autentycznym drogowskazem, którzy święcie w nią wierzyli, jak np. W. Szyborska wydając w 1952 roku debiutancki zbiór agitacyjnych wierszy pt. „*Dlatego żyjemy*”. Ale to nie ci naiwniacy sterowali tymi prądami (por. A. Nagórska, *Kity elity, czady gromady*; „Akant” 2003, nr 10, s.), które w istocie swojej były li tylko odwieczną ludzką chęcią (oprócz oczywiście innych chęci) górowania jednego nad drugim, życia kosztem bliźniego, funkcjonowaniu po najmniejszej linii oporu. Być może są to jakieś odpryski „*przekłętej*” – jak pisze K. Bohdanowicz – „*tęsknoty za doskonałością*”, ale tylko odpryski i karykatury. A źródłem tego wszystkiego jest nadmierne rozbudowane ego. I w tym, a nie w immanentnym obowiązku naprawiania świata, szukajmy przyczyn zła, które nas otacza i które sami tworzymy.

(Dlaczego np. zamiast zrzucić się na „Akant”, który jakby nie było jest już pewną wartością kulturową, a więc wspólną, ciuamy na drugi, trzeci samochód w rodzinie, który też jest wartością, ale tylko egoistyczną?).

PS. Wykrzyknik w tytule tego tekstu jest li tylko znakiem podziwu. Zawsze bowiem podziwiam to, czego nie doświadczam, nawet gdyby nie było najlepsze.*

dokończenie ze str. 36

wybiera kobieta. To ona zarzuca na niego sieć. Owszem na miarę swoich możliwości i rozsądku, mając oczywiście świadomość co sobą sama reprezentuje.

Relacje, jakie zachodzą między kobietą a mężczyzną można porównać, przez analogię, do dwóch nam najbliższych ciał niebieskich, a mianowicie mężczyzna jest słońcem, kobieta zaś księżycem. I niewiasta siłą rzeczy chce tym odbitym światłem jak księżyc świecić i to jak najjaśniej. Dlatego wybiera takiego mężczyznę, od którego najwięcej światła przyjmie. I tak jak ten obiekt rozświetla ciemności nocy, tak i ona marzy, by jak najwięcej wyemitować światła. Mężczyzna zaś jako słońce, które jest za dnia, świeci pewną oczywistością, ponieważ życie głównie koncentruje się w dzień. Dlatego kiedy przygasa i zaczyna działać się coś złego, to ona nie zawsze rozumie przyczyny i tego faktu. I to jest ów **kult siły**, któremu kobieta oddaje się bez reszty.

Bywają czasem małżeństwa z dwudziesto- pięcioletnim stażem, które rozchodzą się. Po prostu – mężczyzna osłabł, albo kobieta znalazła partnera silniejszego od niego. Kult siły męskiej u kobiety dokonuje się niejako automatycznie. Jest nieodzownym w normalnej egzystencji kobiety, by ta mogła czuć się bezpieczna.

Kobieta od porzuczonego mężczyzny odwraca się nagle i totalnie, wręcz okazuje mu nienawiść. Mężczyzna bywa wówczas kompletnie zaskoczony i zagubiony, nie poznaje kobiety sobie bliskiej i nigdy by nie przypuszczał, że do takich zachowań jest ona zdolna. Ona jednak przedtem się zabezpiecza; gdy pragnie opuścić bliskiego sobie mężczyznę, to już ma zdobytego innego, chociaż może być on dopiero na horyzoncie. Dokonuje – dla siebie – tego przejścia łagodnie i na ogół odchodzi bezpowrotnie. Dla mężczyzny to szok, ponieważ jeśli kochał, to znaczy, że kochał naprawdę, choć nie powtarzał tego słowa nieustannie lub przynajmniej tak często jak kobieta. Mężczyzna opuszczony czy porzucony przez kobietę, którą autentycznie kochał jest wręcz wrakiem psychicznym, jeśli go inna nie zdobędzie. Popada w apatię, a bywa nawet, że kończy tragicznie. Najczęściej staje się alkoholiczkiem lub stacza się na inne różne sposoby. Musi mieć wyjątkowo silną psychikę, by z tego dramatu niejako otrząsnąć się i wyjść. Oczywiście wszystko zależy od stopnia zaangażowania wewnętrznego i duchowości. Mężczyźni samemu o wiele trudniej żyć, ponieważ nie jest powołany, by być opiekunem ogniska domowego, a w tym bardziej, jeśli pewien czas był w związku z kobietą, którą kochał.

Przyczyny takich sytuacji to niedojrzałości emocjonalne i to zarówno kobiet jak i mężczyzn, którzy zbyt łatwo dają się zdobyć. Nastawieni są bowiem na osobiste wyżycie się i przygodę. Dzisiaj, jak niektórzy psycholodzy twierdzą, podobno co czwarty mężczyzna, a nie wiadomo, co która kobieta, nadają się do stałych związków.

Dla mężczyzny porzuczonego przez ukochaną kobietę życie staje się wręcz nie do zniesienia. Największą hańbę i upodlenie przeżywa, gdy się poniża, prosząc ją o pozostanie, a postępuje tak, gdy jest w totalnym stanie rozpacz, nie mogąc sobie poradzić z samym sobą. Wówczas kobieta jakby z najgłębszych pokładów swojego „wewnętrznej arsenatu”, wyrzuca wszelkiego rodzaju inwektywy, obelgi, kłamstwa. Wytyka mu sprawy, czy nawet fakty niewiele znaczące, do których nie przywiązał przedtem żadnej wagi, a które stają się nagle wielkie, nie do pokonania.

Kobieta z natury nie ma poczucia honoru, tak jak mężczyzna. Potrafi zdobyć za wszelką cenę mężczyznę, zabierając go nawet swojej jaciółce, nie licząc się z wszystkimi relacjami i obowiązkami jakie wynikają z przyjaźni, co wśród mężczyzn jest raczej nie do przyjęcia. Jeśli osobowość i fizyczne możliwości kobiecie odpowiadają, to jest ona zdolna zrobić wszystko, by go zdobyć, obojętnie kim by był, a on niestety ulega.

Ulega, jeśli poczuje swój wybór i fakt, że jest zdobyty. Nie potrafi wycofać się, bowiem pragnie pewnego komfortu.

Kobieta jest naczyniem życia. To ona ma w swojej psychice silnie rozwinięty instynkt macierzyński, potężniejszy niż ojcostwo u mężczyzny. Stąd wybiera i pragnie zdobyć takiego, który by jej najbardziej odpowiadał, to znaczy całej jej psychofizycznej strukturze. A patrząc czasem obiektywnie, robi to wręcz na ślepo, bywa że z kosztem innych osób. Czasem wystarczy jej tylko dziecko. Ale normalna kobieta pragnie mieć rodzinę i do takiego wyboru dąży, czasem na różne sposoby i za wszelką cenę. Zdobywa często kogoś, kto nie jest do takiego obowiązku przygotowany. Widać tą niedojrzałość niemal na każdym kroku, gdy spogląda się na współczesne małżeństwa.

Niemniej kult siły u kobiety dominuje w jej psychice i temu całe jej życie jest podporządkowane. Ten kult siły raz działa silniej, raz się wycisza, lecz nie jest zależny od wieku stanu i środowiska społecznego.

Jest po prostu siłą natury. ♣

Lechosław Trubicki

Ucieczka od cierpienia?

Czasy współczesne, czasy przełomów społeczno-ekonomiczno-ideologicznych nie należą do życiowo bezpiecznych. Kto nie zgodzi się z tą tezą, szczególnie w naszym rodzinnym kraju podawanym burzliwym przemianom, których produktem są różnorodne choroby uznawane za cywilizacyjne?

Dzisiaj na fali tych wydarzeń wypływa też problem stary jak świat, problem chorób ochrzczonych powszechnie mianem *chorób psychicznych*. Czym są choroby psychiczne, na które, nie ukrywajmy, spada od wieków społeczne odium, jako szczególnych tych gorszych, uznawanych za takie nawet przez ludzi wykształconych?

Mimo, że od dawna w polskim słownictwie można spotkać wyraz *obłąd* jako jeden z ich synonimów, a wśród specjalistów psychiatrów istnieją bardziej precyzyjne, szczegółowe klasyfikacje, to już samo uznanie obłądki za jednostkę chorobową jeszcze współcześnie budzi sprzeciw wśród ludzi wyznających dualizm ducha i ciała. Rozgranicza, a oni wyraźnie, nawet przeciwstawiają sobie te dwa pojęcia, w ten sposób dzieląc dotykające ludzi choroby. Samą rzeczywistość uznają oni w myśl jednego z filozoficznych poglądów za *średnią obiektywnie istniejącego świata społecznego doznań*. Wszystkie inne odczucia, różniące się od przeciętnych są piętnowane i uznawane jako zło. Wśród specjalistów upowszechnia się natomiast specyficzny pogląd, że szeroko rozumiane wszelkiego rodzaju choroby psychiczne są tzw. *ucieczką w chorobę*, a nawet pewien znany psycholog stwierdził, że *sensu stricto* choroba psychiczna jest w ogóle ucieczką od cierpienia, ucieczką a nie przejściem z jednego stanu cierpienia w inny, czasami może nawet znacznie gorszy. Etiologia tych chorób nie jest jeszcze obecnie wystarczająco dobrze znana, a tym samym trudne jest leczenie opierające się w dużej mierze na psychopatogenezach – indywidualnych możliwych przyczynach wystąpienia określonej choroby.

Nie wdając się w szczegóły doznań ludzi tymi schorzeniami dotkniętych objawem dominującym jest przeżywanie cierpienia, przy czym chory cierpi w dwójnaosób, raz z racji samej choroby, a drugi raz - z powodu odrzucenia przez społeczeństwo. W przypadku chorób somatycznych nikt nie neguje istnienia cierpienia. Dlaczego więc kwestionowane ono bywa w chorobach dotykających sfery psychicznej? Wiadomo powszechnie, że życie ludzkie niesie ze sobą stesy, nieraz tak silne, że człowiek nie jest w stanie skutecznie im przeciwdziałać i wówczas choruje. Nawet wiele zdarzeń losowych, jak na przykład wypadki, często spowodowanych jest niedyspo-

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kształcenia

w Bydgoszczy

85-054 Bydgoszcz, ul. dr. E. Warmińskiego 3,
tel./fax (052) 345 40 13, 345 40 13, 322 34 04
85-796 Bydgoszcz, ul. Bydgoskich Olimpijczyków 11,
tel./fax (052) 343 05 57

☐ Pomorskie Gimnazjum

☐ Pomorskie Liceum Ogólnokształcące

☐ Pomorskie Liceum Profilowane

☐ Pomorskie Technikum Gastronomii i Hotelarstwa dla dorosłych

☐ Pomorskie Studium Policealne

☐ Licea i technika dla dorosłych, w tym

eksternistyczne i przez internet e-learning

☐ Kursy przygotowujące do egzaminów

www.kpck.edu.pl

sekretariat@kpck.edu.pl

zycją psychiczną w danym dniu czy chwili. Świadczy to o wielkim, negatywnym wpływie nadmiernego stresu na człowieka. W przypadku chorób psychicznych, organem którego działanie ulega dezintegracji jest mózg, a mało kto wpadnie na myśl, że może on tak jak każdy inny narząd zachorować.

Z powodu istnienia negatywnej oceny chorób określanych mianem *psychicznych*, co za tym idzie, nowocześni psychiatrzy zaczynają w tym wypadku używać określenia „*choroba mózgu*”. Wiadomo również, że chorzy z zaburzeniami psychicznymi w zaostrzonej ich fazie często przeżywają bardzo silny lęk, tak jakby znajdowali się w ekstremalnych warunkach bezpośredniego zagrożenia życia z przyczyn zewnętrznych. Niektórzy nie wytrzymują tych objawów i odbierają sobie życie. Antoni Kępiński, wybitny polski psychiatra, porównywał przeżycia chorych do tych, których doświadczali ludzie więzieni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Stwierdzono, że ponadto, że dotknięci zaburzeniami psychicznymi, z powodu szczególnego uwrażliwienia mózgu, mogą w praktyce ulec całkowitej degradacji społecznej. Na ten stan składają się szczególne predyspozycje psychiczne danego człowieka i jego rodziny. Po prostu „*wysiada*” mu nagle lub stopniowo w silnym stopniu jego najstarszy narząd, powodując inną niż u ludzi zdrowych aktywność. W konsekwencji prowadzi to do wielu dramatów i to nie tylko samej ofiary choroby, ale również osób najbliższych, przede wszystkim rodziny. Tak długo jak ten dramat rozgrywa się tylko w zamkniętym środowisku chorego, ma on wymiar cierpienia, ale nie społecznego piętna. Rzecz ma się w pewien sposób podobnie jak z nałogowym pijaństwem. Dopóki człowiek pije, ale nie leczy się, bywa to często tolerowane przez niektórych w różnych jego środowiskach, pomimo licznych negatywnych konsekwencji. Kiedy jednak podda się terapii, chcąc wyzwolić się z nałogu, ludzie przywieszają mu negatywną etykietkę alkoholiaka. Dopóki chory psychicznie się nie leczy, to samo środowisko może w wielu przypadkach uznać jego zachowanie za normalne, a te same reakcje nie odbiegające w jakiś szczególny sposób od przeciętnych reakcji większości ludzi, za nienormalne kiedy wie, że poddaje się na leczeniu psychiatrycznemu. Fakt leczenia powoduje szczególne, wrogie, nie spontaniczne odnoszenie się do chorego, które z kolei pogłębia jego cierpienie. W wyniku takiego nastawienia innych i w rezultacie samej choroby przestaje on pełnić w sposób właściwy lub w ogóle swe różnorodne pozytywne role społeczne, na przykład syna, córki, ucznia, studenta, małżonka, rodzica czy pracownika, spadając z deszczu cierpienia danego każdemu pod rynnę cierpienia choroby psychicznej.

Zatem – przynajmy, że cierpienie w istocie jest wszędzie tam, gdzie są ludzie i dane jest każdemu z nas. Po prostu, jak mówi przysłowie, *nie ma takiego kącika, gdzie by nie było krzyżka*. ♣

Urszula Małgorzata Benka

Tragedia czy błazeństwo?

Nasi zachodni sąsiedzi wymarzyli sobie pomnik ku czci ofiar powojennych deportacji. Jest już wstępny projekt pomnika – wręcz Centrum – i pomysł, gdzie ma stać. Pomyślano tu o Wrocławiu, który faktycznie piękniejsze z dnia na dzień i obrasta w uroczce artefakty, jak choćby *Powodzianka*, tłusty *Krasnoludek* na Świdnickiej, *Zrób to sam* na ścianie Domu Grafika, wizerunek Geta-Stankiewicza jako dzikusa z dziadą na gmachu „Gazety Wyborczej”, wreszcie pomnik księdza Bonhoffera przed kościołem św. Elżbiety. Ale mamy we Wrocławiu dużo miejsca.

Erika Steinbach, przewodnicząca niemieckiego Związku Wypędzonych, zdołała pozyskać w Bundestagu zarówno kilku socjaldemokratów, jak i Zielonych, przy czym dyskusja toczy się tam dalej – czy ideą pomnika ma być uhonorowanie pamięci samych Niemców, czy też wszystkich rugowanych z własnej ziemi narodów Europy, a więc także rodziców i dziadków nas, wrocławian. Nad Odrą jednak mało co słyhać o tych sporach. Wyciszone są nawet – pisze Adam Krzemiński w „Polityce” – jednoznaczne protesty dwóch byłych polskich ministrów spraw zagranicznych: Bronisława Geremka i Władysława Bartoszewskiego, protesty przeciw zawężeniu koncepcji pomnika Wypędzonych do jednej tylko nacji. Rząd ma inne zamartwienia. Jakiegokolwiek zgrzyty z Niemcami w momencie wstępowania do Unii, przy odrębnym poglądzie na Irak, zostały uznane za zbędne.

Jak się zdaje, polska nieufność wobec Niemców jakoś łatwiej znajduje wyraz w sytuacjach wirtualnych, niż realnych. Boimy się masowego wykupu polskiej ziemi, boimy się degradacji do poziomu słabo wykwalifikowanej siły roboczej w niemieckich fabrykach, a więc rzeczy jeszcze nieistniejących i być może nieprawdopodobnych wręcz (gdyby zadać sobie trud sporządzenia rzetelnego rachunku wszystkich danych). Natomiast faktyczne wyzwania raczej ignorujemy. W tym przywypadku potwierdza się bowiem reguła: zagrożeniem dla Polski i Polaków nie była nigdy chytrność Germanów. Groźna była dla nas ich głupota. Słynne zdanie Churchilla, iż *tragedie narodów są owocem ich beźmyślności*, brzmi cynicznie, ale w przywypadku wypędzonych Niemców, jest jednym z najprawdziwszych zdań, jakie w ogóle wypowiedziano. Gdy oglądałam w Budziszynie wstrząsającą wystawę fotografii tych przymusowo wysiedlanych rodzin, kocujących na dworcach, może raczej nie tyle rodzin, co samotnych matek obarczonych dziećmi i rozpaczliwymi tobołkami, kręciły mi się w oczach łzy współczucia i jednocześnie złości, gdyż wtedy właśnie bardzo jasno uświadomiłam sobie, że przed wojną nikomu z polskich polityków w głowie nawet nie powstało, by anektować Dolny Śląsk. Ba, nawet pod-

czas wojny, gdy powodów do gniewu było wiele, i gdy zapadła już decyzja o korekturze granic III Rzeszy, polskie pretensje terytorialne pozostawały bardzo skromne. Żądaliśmy Opola i Gliwic. Pomysł odebrania Niemcom Szczecina czy Zgorzelca, pojawił się dopiero w 1945 roku – w Teheranie – i kompletnie zaskoczył Polaków – nie tylko członków rządu londyńskiego, ale i nawet ludzi Bieruta. Był to bowiem pomysł Stalina, brutalnie narzucony aliantom.

Jest truizmem powtarzać, że żaden z polskich rządów, ani legalny wtedy, ani komunistyczny, nie prowadził niezależnej polityki – nie miał ani takich możliwości, ani nawet, niestety, ambicji. Przyjęcie Ziem Odzyskanych było więc wyrazem politycznego ubezwłasnowolnienia, czego też dalszym ciągiem w okresie PRL okazywały się notoryczne trudności z nadaniem rozmachu odbudowie tej części kraju. Ruiny we Wrocławiu straszły jeszcze w późnych latach 60., a do dziś całe centrum na południe od Dworca Głównego, to tak naprawdę pustostany byle jak zamaskowane ogródkami działkowymi i prowizorycznymi „zakładami pracy”, albo wręcz budami bazarów. Sudeckie miasteczka i kurorty podupadły. Farba oblażąca obrzydliwymi lizajami ze ścian, kiepskie drogi, ponure kamienice Wałbrzyska, to wszystko widać jeszcze dziś.

Toteż Niemcy nie stracili tych ziem dlatego, że napadli na nich Barbarzyńcy. Nikt też nie intrygował ani nie snuł makiawelicznych planów. Ich sąsiedzi w imię pokoju i samopoczucia biednych Niemców godzili się już w ogóle na wszystko.

Niemcy zapłacili tę cenę za największą zbrodnię w dziejach świata. Zapłacili tę cenę dlatego, iż przy całym swoim wykształceniu, nie potrafili rozróżnić rynsztokowych elit od elit w normalnym znaczeniu tego słowa. Gdy się patrzy ex post, człowiek zachodzi w głowę, jak można nie dostrzegać różnicy tak jaskrawej, jak można dopuścić do tak drastycznego upośledzenia elementarnej percepcji? Ale jeżeli tak, jeżeli właśnie w zakłóceniu percepcji kryłby się klucz do problemu, to nasuwa się pytanie o przyczynę, a za nim – czy usunięto je po obu stronach granicy? Bo, jeśli chodzi o Polaków, to warto nie zapomnieć, iż my dostrzegliśmy w nazizmie zło dopiero wtedy, gdy zwróciło się przeciw nam: we wrześniu 1939 roku, bowiem w lutym widzieliśmy w nim jeszcze sojusznika.

Wiele wskazuje na to, że kłopoty z percepcją mamy nadal. Radosne akty poparcia dla ludzi z nikąd, jak Stan Tyński, dla ludzi bez kwalifikacji, jak Lech Wałęsa, dla neurotyków, jak przywódca AWS – Marian Krzaklewski, a nawet i dla Andrzeja Leppera, powtarzają się przy kolejnych

sposobnościach tak, że kolejne kadencje najwyższych organów państwa mijają trwoniąc czas na kolejne chimery. Nie umiemy odróżnić racji stanu od racji koterii i frustratów. I być może nie znamy kryteriów. Hasło Samoobrony „Balczerowicz musi wisieć”, zbyt wielu ludziom w Polsce trudno byłoby zbić rzeczowymi argumentami z dziedziny prawa albo ekonomii, czy teologii chociaż, bo i kto trafnie poda, w jakim tekście Papież sprzeciwił się karze śmierci?

Zapominamy już powszechnie, że błędy polityczne są zawsze błędami całych zbiorowości, a nie tylko poszczególnych osób, gdyż nikt inny, jak właśnie ogół sankcjonuje i urzeczywistnia wolę polityków, nikt inny, jak ogół, stwarza jej możliwości. Ceną grubych błędów politycznych jest śmierć i upodlenie mnóstwa ludzi, strata czasem kilku pokoleń, nie mówiąc o dorobku materialnym. Ceną drobnych błędów politycznych jest stopniowy zanik kryteriów i coraz gorsza sytuacja przetargowa tych, którzy chcą i potrafią dostrzec wyjście. Można rzec, że wielkie klęski polityczne zaczynają się meczem, gdzie gracze w druzynie gospodarzy prześcigają się we wbijaniu samobójczych goli, bo dopiero na taki stadion rzeczywisty przeciwnik wprowadza swoich nastpników.

Adam Krzemiński w „Polityce” niewątpliwie ma słuszną rację, że pomysł uhonorowania tragedii milionów europejskich wygnañców jest wart podjęcia także u nas. Uhonorowania więc Niemców, Ukraińców, nadwołżańskich Tatarów, Litwinów, Łemków, Chorwatów, Albańczyków, Serbów, Greków, Żydów, Ormian, Polaków. Wrocław mógłby być dobrym miejscem. W poczuciu, że przy całej obecnej polskości i kilku wiekach niemieckości, tak naprawdę podobny jest o wiele bardziej do Genewy czy Bejrutu, niż Warszawy albo Berlina. Gdyż Śląsk, to swoista Szwajcaria albo Liban. Przy czym ciągle nie słyhać o czeskiej historii Wrocławia i regionu. I o jego, w gruncie rzeczy, utraconej już śląskości. Kto wie, może Pomnik Wygnañców powinien mieć towarzystwo: *Narrenturm*, *Wieżę Głupców* czy *Błaznów*, albo *Głupców* i *Błaznów* jednocześnie, aby oba odcienie sensu słów zostały należycie uwzględnione?*

Czwarty Agon Poetycki „O Wieniec Akantu”

Redakcja miesięcznika „Akant”, nawiązując do swych symbolicznych korzeni śródziemnomorskich, ogłasza czwarte zawody poetyckie dla wszystkich bez wyjątku twórców pragnących zmierzyć się na arenie tematu: „*Furtka słońca; jest też taki świat*”.

Do zawodów dopuszczone więc zostaną te wiersze, które w sposób mniej lub bardziej bezpośredni nawiązywać będą do tego – określonego w temacie zawodów, niezmiernego obszaru egzystencjalno-kulturowego. Sugerujemy optymizm i nadzieję.

Utwory, nigdzie dotąd nie publikowane i nie wysłane na inny konkurs. w ilości od jednego do czterech w trzech egzemplarzach, opatrzonych godłem, należy nadsyłać na adres: Redakcja „Akant”, 85-009 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 51 B/4 – do 15 listopada 2003 roku.

Jury przyzna siedem nagród:

| | | |
|------------------|---|-----------|
| Grand Prix | - | 700 zł |
| I nagroda | - | 500 zł |
| II nagroda | - | 300 zł |
| III nagroda | - | 200 zł |
| Trzy wyróżnienia | | po 100 zł |

Jury, mając możliwość nieprzyznania którejś z nagród, dokona również wyróżnienia poprzez wybór utworów do publikacji w „Akancie”, a także w almanachu pokonkursowym, który ukaże się do końca 2004 roku.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną na łamach miesięcznika „Akant” w styczniu 2004 roku wraz z tematem kolejnego agonu poetyckiego.

CENTRUM HANDLOWE
DOM i styl

85-796 Bydgoszcz
ul. Fordońska 333, tel. 343 22 11
www.domistyl.com.pl
e-mail: biuro@domistyl.com.pl

PN.-PT. 10.00-20.00
SO.-N. 10.00-15.00

- NIEZWYKŁE MEBLE
- WSZYSTKO DO ARANŻACJI DOMU
- STUDIO ZDROWEGO SNU
- STUDIO BIAKOMINKÓW



Lubię ładne rzeczy

Galeria sztuki
Klub Polskiej Książki
prowadzi Hanna Mierzwa

Miłosz Kamil Manasterski

Licencja dla poety

Piórem, długopisem, ołówkiem? Jak piszemy? Zapewne dla większości twórców w tej chwili podstawowym narzędziem pracy jest komputer. A właściwie edytor tekstu, bo sam komputer pozbawiony oprogramowania może służyć co najwyżej półką na książki (niewygodna). Różnorodne periodyki literackie poświęcają swoje łamy analizowaniu procesu twórczego, pomijając zupełnie szczegóły techniczne. A przecież edytorom tekstu jako podstawowym narzędziem pracy literata należy się nieco więcej zainteresowania, niż jego przodkom – maszynie do pisania, długopisowi, czy ołówkowi.

Większość Polaków siadających przy komputerze jednoznacznie kojarzy proces pisania z programem *Microsoft Word*. Każda kolejna wersja tego edytora wprowadza nowe narzędzia mające ułatwić i uprzyjemnić proces pisania. Jednym z takich narzędzi jest słownik. Owszem, czerwone podkreślenia uchroniły niejednego przed wysłaniem do redakcji pisma literackiego wiersza najeżonego błędami ortograficznymi. *Słownik Worda*, zwany także „przyjacielem dyslektyków”, z prawdziwymi problemami ortograficznymi bardziej złożonymi od pisania słowa „zaba” radził sobie jednak słabo. Za to *Word* miał ochotę poprawić w naszych tekstach dosłownie wszystko to, czego poprawiać nie powinien. Począwszy oczywiście od naszego nazwiska, którego to, zdaniem *Worda*, na pewno nie ma w języku polskim (radzę sprawdzić!).

W szczególnie podłej sytuacji są poeci liryczni, ponieważ w starciu z *Wordem* nie mają absolutnie szans na żadne sztuczki z ojczywym językiem. Na końcu zdania musi być kropka, a na początku wielka litera. Wielkie litery muszą się oczywiście pojawiać automatycznie na początku wersu (biada tym, którzy w swoich wierszach ich nie używają). Nie wiadomo jak wielu młodych pisarzy, porzuciło z tego powodu lirykę na rzecz dziennika polskiej Bridget Jones.

Jeszcze gorzej sprawował się zawsze moduł sprawdzania interpunkcji i gramatyki (ten od zielonych, falistych podkreśleń). Ktoś, kto nie posiada dyplomu magistra filologii polskiej, mógł, dzięki edytorowi, stracić kompletnie kontakt z językową rzeczywistością, a przede wszystkim wpaść w kompleksy i utracić wiarę we własne siły. Natomiast narzędzie kontrolujące styl w *Wordzie* można śmiało określić jako niezwykle sprawne narzędzie tortur. Moduł ten musiał dać się nieźle we znaki każdemu, kto właśnie ów styl posiadał. Co bardziej dociekliwi użytkownicy, wcześniej czy później, znajdowali możliwość wyłączenia owych denerwujących modułów z przełącznikiem programu. To, co zdaniem producenta oprogramowania było udoskonaleniem wartych setki złotych, okazywało się zupełnie zbędne. Ponieważ każda kolejna wersja *Worda* jest wzbogacana o nowe udoskonalenia i kolejna automatyzacja, istnieje ryzyko, iż *Word 2020* będzie już w pełni zautomatyzowany i nie pozwoli nam nic napisać.

Zanim jednak produkt Billa Gatesa zmusi w nieodległej przyszłości Związek Literatów Polskich i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich do zorganizowania hodowli gęsi przeznaczonych do produkcji piór, możemy już dzisiaj podjąć skuteczne środki zaradcze przeciwko „wordyzacji” literatury polskiej. Zagrożenie z *Microsoftu* jest jeszcze o tyle istotne, że znakomita większość polskich literatów używa nielegalnych kopii programu *Word*. Wyjątek stanowią ci, którzy szczęśliwie mają możliwość pisać w pracy, a służbowy komputer akurat nie zawiera pirackiej kopii *Wor-*

da, co, proszę mi wierzyć, zdarza się (jedno i drugie). *Microsoft*, który narzuca ceny jak chce biednym polskim użytkownikom pakietu *MS Office* w skład którego wchodzi *Word* (pakiet standardowy *MS Office* kosztuje dziś 2 500 zł, a profesjonalny 3 500 zł!), w przyszłości może doprowadzić do zmiany ustawodawstwa. Póki co, o ile nie zostaliśmy wplątani w aferę Rywina, policja raczej nie powinna zapukać do naszych drzwi i powiedzieć: „*Rekwirujemy pański komputer, ponieważ zachodzi podejrzenie, że swoje wiersze pisze pan na nielegalnej kopii programu MS Word 2000*”. Na razie jeszcze tego nie można zrobić, ale Bill Gates głupi nie jest i od dawna kombinuje, w jaki sposób zmusić nas, biednych polskich literatów, do wydania, bagatela, paru tysięcy złotych na licencję (nie mylić z *licentia poetica*). Ciekawostką może być fakt, iż *Microsoft Poland* sprzedaje swoje produkty z dwoma rodzajami licencji – pełnopłatną i znacznie tańszą – edukacyjną (dostępną dla szkół i bibliotek, ale dla domów kultury już nie!). Licencji literackiej, póki co, jeszcze nie przewidziano.

Jakkolwiek nie w smak nam dochodzenie swoich praw, przez firmę *Microsoft*, musimy jednak sprawiedliwie przyznać, że są to pretensje uzasadnione. Bądź co bądź, prawa autorskie, to pojęcie niezwykle bliskie nam wszystkim, również firmie z *Redmont*. Założę się, że nikt z czytelników „*Akantu*” nie ma ochoty, by nielegalne kopie plodów jego umysłu trafiły na Stadion Dziesięciolecia w Warszawie i w inne miejsca, będące ostoją piractwa. Niezależnie od przepaści finansowej dzielącej amerykańskiego monopolistę od naszych autorskich przychodów, prawo pozostaje prawem. Jeśli w tym momencie, Drogi Czytelniku, przypuszczasz, że namawiam Cię do samodzielnego zgłoszenia się na Komendę Główną Policji lub do najbliższego posterunku *Microsoftu* w celu oddania się w ręce organów sprawiedliwości – nie obawiaj się. Na szczęście istnieje rozsądniejsze wyjście.

Nie męczyć się z *Wordem*, nie łamać niczyich praw autorskich, nie wydać ani złotówki na dobre oprogramowanie – czy jest to możliwe? Odpowiedź brzmi – tak. Odpowiedzią jest *OpenOffice.org 1.0.1.*, wyposażony w aplikację *Writer*. Jest to niewątpliwie najtańszy program do pisania (i nie tylko) na świecie, ponieważ można go absolutnie bezpłatnie pobrać ze strony www.openoffice.org (nawet *Word* na stadionie kosztuje 20 zł!). Plik instalacyjny dla systemu *Windows* zajmuje ok. 60 MB, ale znajdujemy w nim pełny odpowiednik aplikacji z *MS Office* (*Word*, *Excel*, *Power-Point*, *FrontPage*), a nawet dodatkowe narzędzie do skomplikowanych obliczeń matematycznych, które przyda się nam do obliczania kosztów uzyskania przychodów po zmianach w ordynacji podatkowej. Program jest całkowicie spolszczony i komunikuje się w naszym ojczystym języku w trakcie instalacji. Darmowy *Writer* znakomicie poradzi sobie z naszym poematem, nie będzie nam poprawiał pisowni ani stylu, za to znakomicie zapisze nasz tekst w formacie *DOC*, aby wierni fani *Microsoftu* mogli przekonać się jak dobrze się pisze w *OpenOffice.org*. Bez kłopotów będziemy także otwierać pliki utworzone w każdej wersji *Worda*. Niejako przy okazji otrzymujemy dodatkowo w pakiecie również bezpłatny i znakomity arkusz kalkulacyjny, w którym z łatwością obliczymy nasze dochody ze spotkań autorskich i sprzedaży książek, narzędzia do tworzenia prezentacji i grafiki, z pomocą których przygotowujemy swoją multimedialną biografię oraz prosty edytor *HTML*, w którym stworzymy swoją własną stronę autorską.■

Leszek Sokołowski

Nawet mysz może dostać kota

Al ukrył się w małej nadmorskiej miejscowości. Zgolił brodę i wąsy, przebarwił kruczoczarne włosy na jasny orzech i czekał na jacht. Spacerując po plaży poznał ładną, bez kompleksów i uprzedzeń, inteligentną i bystrą dziewczynę. Zakochała się w Alu od pierwszego spojrzenia na jego złotą biżuterię. Uczucie jej pogłębiło się, gdy pod materacem odkryła pokaźną ilość banknotów studolarowych.

- Co to? – zapytała niewinnie, gdy Al nakrył ją na pakowaniu pieniędzy.

- To spadek – mrugnął do niej, pociągając ją na tapczanik.

- „Och, ty w mordę” – pomyślała tylko i już wiedziała, że to miłość.

Ledwo opadli na tapczanik, ledwo Al zdążył zapleść swoje silne dłonie na jej szyi, do pokoju wpadło, razem z drzwiami, dwóch potężnych mężczyzn. Trzeci wskoczył przez zamknięte okno, a czwarty... czwarty utkwiał w kominie i darł się jak opętany.

Alowi założono kajdanki.

- Cezar, Robin Hood i Otello też wpadli przez kobiety – odezwał się jeden z komandosów, kiwając z politowaniem głową.

- Robin Hood nie w każdej wersji – zaprotestował z kominą kolega.

- Koniec tej literatury – zakomenderował piąty agent, gramoląc się spod łóżka – A panią – tu zwrócił się do nieszczęśliwie zakochanej. – A panią – powtórzył szurając nóżkami i szarmancko całując w odkrytą pierś, poproszę o telefonik.

- To nie ten – stwierdził komendant, gdy postawiono przed nim Alą.

Przyglądał się zdjęciu z listu gończego i mocno dziwił, jak komandosi mogli się tak pomylić.

- Tamten ma brodę i wąsy i jest czarny jak diabeł – żalił się do sierżanta, a ten nijak nie pasuje do opisu, chyba że wzrostem.

Pod Alem ugięły się kolana.

- Ma pan rację, szefie – zgodził się sierżant przyglądając fotografii. Trzeba gościa przeprosić i wypuścić. Jak tamten jest czarny, to musiał do zdjęcia się wybielić, czy coś koło tego, ale ten jest jednakże biały i nie może być naturalnym murzynem, bo nie jest czarny. Po nocy biały wydał się im czarny, chociaż w nocy czarny i tak się nie pomyli, jeśli jest urodzonym murzynem z matki i ojca białego. Taka jest moja teoria (sierżant był trzeźwy).

Komendanta nagle zabolęła głowa. Zanim przyjechała karetka, rozbił na głowie sierżanta wazon i porządnie zdemolował dyżurkę. Kiedy sanitariusze wywelekali go na zewnątrz, ryczał na cale gardło:

- Wybielę was wszystkich, a potem wysmoluję!!!

Sierżant uśmiechając się głupkowato, zasalutował Alowi i wskoczył za komendantem do karetki. Cznał swoje obowiązki. Jego miejsce było przy dowódcy.

- A ty coś za jeden? – zapytał Alą gruby lekarz.

- To ja zjadłem Hitlerowi budyń – wyszepiał Al.

Lekarz pogroził mu palcem i wsiadł do karetki.

- „*To oszust* – myślał w drodze – *chciał mnie nabrać, to nie on, tylko Borman i nie budyń, tylko kisiel*”.

Sierżant, po wyjściu ze szpitala, ukrywał się w opuszczonych magazynach GS-u. Komendant, dzięki kuracji, wrócił po roku do służby i dalej ścigał przestępców. O Alu słuch zaginął. Podobno widziano go w Brazylii, ale któż to może wiedzieć na pewno? Chyba tylko ten, co zjadł Hitlerowi budyń albo kisiel.■

Tadeusz Stirmer**Syndrom**

W tym kraju jest zawsze
czas po nich
i
dzieli się jutro
na pół

Wciąż Oni
darcie barw i łupów
rośnie katedra piór

Język
rdzawy liszaj

- chora krew

2003

Joanna Jakubik**Prośba o Modlitwę**

Niech wyzbędnę się grzechu pychy ludzkiego rozumu
przy pełnym korzystaniu z Twego daru.
Niech nie będę nadmiernie podejrzliwa
dla przeszłych i przyszłych wydarzeń.

Pozwól odróżnić ważne Znaki
od przypadkowych zbiegów okoliczności.
Użyc ulgi rozeznania win prawdziwych od urojonych.

Proszę o zagadki,
które przynosi świeżość poranka,
o chłonność dziecka na
drobne przyjemności i wielkie sprawy.

Daj mi huśtawkę, misia,
lusterko, słodki placek
sen stokrotki,
stosik bajek – zapominajek.

Niech tysiąckrotnie obficie przymiotami-ziarnami,
natchniona Twym palco-planem Bożym.
niech nie będę gnuśna i nie roję,
że wszystko jest do zrozumienia.

Spraw, by działanie i refleksja, zaufanie i ostrożność
pozostały w równowadze.
Zachowaj mnie w magii, iskaniu dębów i echu tęsknym.

Niech pozostają w ruchu
na swoim miejscu
Zwyczajna.

Ariana Nagórska**Zmiana warty**

Wszystko co prestiżowe wiąże się z Krakowem,
noblista o Bydgoszczy nie wspomniał ni słowem.
„Cóż po poezji, która nie ocala...?”

No to ocalam Bydgoszcz, skoro mistrz nawala!

7 IX 2003

Jagoda Cieszyńska**List do Rut Moabitki**

Powiedz skąd miałaś pewność
że podróż u boku Noemi
jest miła Panu
zostawiłaś swój namiot
bez wątpliwości bez smutku
który ogarnia mnie zawsze
przy rozstaniu
porzuciłaś
proste ścieżki do studni
znajome twarze
patrzyłem jak oddalasz się
wyprostowana z uniesioną głową
z każdym krokiem
rosła twoja postać
aż na granicy horyzontu
wydałaś mi się wzięta do nieba
kiedy słońce zapaliło wasze suknie
zrozumiałem że nie wrócisz

zapraǳiałem jak ty
być wezwany
ale Bóg odwrócił ode mnie swą twarz

Joanna Jakubik**Mężczyzna**

Doskonała idea
krwisto-ciepłego ciała
rozciąga się ścięgnami
od pięty po trzecie oko.

Powity wśród listowia
ludzkiej samicy,
nazwany imieniem:
„Jestem, który jestem”.

Dar Boga, prezent diabła
- czysty jak pokusa.
Przegryza skorupę rzeczy
- węższy żer idei.

Chemicznie niezrównoważony
zawisły oksymoron.
Jeżący ostrosłup
rytmicznych pulsacji.

Umocowany mięśniami
w ciekącej ślinie czasu.
Prawie idealny
- ułomny o istnienie.

Jan Biela**Autoportret**

(akwarela)

podobno
podobny

trochę do źródła
Boga

trochę do kropli
katedry

Tadeusz Stirmer**Zupa**

- Bo w ogłoszeniach
stało od księdza proboszcza:
są potrzebne osoby do roznoszenia

robię na pół etatu
tak że z pracy przychodzę tutaj
i roznoszę

roznoszę no do pani
która jest na wózku –
o tam sama mieszka

starszej pani roznoszę
ma dziewięćdziesiąt trzy lata
i jeszcze do jednej

też roznosiła kiedyś
a teraz złamała nogę
i o kuli jest i dla niej
też roznoszę

Wielkanoc 2003

Ewa Cechnicka**LITERA TAU**

Dziecię Fenicjan
Duma Greków
Nilem obmyty
pierzwowzór krzyża
Potomek
Taw proroków
które zbawiało
sprawiedliwych

Taw kończy łańcuch
otwarty przez *alef*
- głowę buńczucznie
wołoką
Wokół pasie się
przed domem – *bet*
Choć abecadło
o tym milczy

Gdy piszesz *mmmorze*
poczuj odwieczne
mem – wody
falowanie
Odwróć A
do góry nogami
i rogi znowu
grożą niebu

Alfa strzeże
mowy filozofów
która płynnie
do *omegi* zmierza
Wszechświat rozpięty
między biegunami
spółgłoski – materii
w samogłoskach – duch

Trudno uwierzyć
że to wszystko
na podobieństwo
rzeczy stworzone
Przecież zaprawdę
powiedziane jest
że na początku
było tylko słowo

Lecz syn człowieczy
wszechmogący *Logos*
przez dzieci boże
do *Tau* przygwożdżony
Nawet prawica
gładząca klawisze
przeczuwa:
nie ma
odpuszczenia. *Enter*

Ewa Cechnicka**Orzeł morski**

Ryby
nie wiedzą nic o Bogu
aż do chwili
gdy w szponach
dostępują
wniebowstąpienia

Trzepocząc
zdumiewają się
że ocean
cały w koronkach
i że słońce
wcale nie jest zielone

Otwierają pyski
w niemym dziękczynieniu
A na skrzydłach archaniola
ostatnie krople
zmieniają się
w kryształ soli

Janusz Orlikowski

Słodki smak lenistwa

Do tego felietonu przygotowywałem się w sposób wyjątkowy. Spojrzałem na zegar, była dziesiąta minut 55. A więc nie siódma czy ósma, bądź nie daj Boże piąta nad ranem, co z lenistwem miało niewiele wspólnego. Zatem spojrzełem na zegar. Była dziesiąta minut 55. Zagotowałem wodę i zrobiłem cudownie pachnącą kawę, po czym poszedłem po szklownicę i pióro (o wcześniejszym śniadaniu nie piszę, bo wiele by o tym). Ale wróciłem się, gdyż zapomniałem popielniczki i papierosów. Zasiadłem za moim stołobiuurkiem (tu chodzi o kuchenny stół) i zapaliłem papierosa.

Siedzę i udaję, że myślę. Zaczęło mi czegoś brakować. Nie, nie pomysłu. Ten pojawił się kilka dni temu, powracał bądź to przy malej wódce w kawiarni, lub gdy stałem, ot, tak na balkonie, ciekawie rozglądając się wokół. Kawa, papierosy są; może więc wspomniana mała wódka? Lecz, czy to będzie jeszcze lenistwo? Tak – zdecydowałem po chwili, autorytatywnie mając w pamięci wcześniej sprawdzony termin lenistwa w słowniku języka polskiego.

Niechęć do pracy, opieszałość, gnuśność, próżniactwo, taką definicję tam zastałem. I osłupiałem. Niechęć do pracy, z tym ewentualnie bym się zgodził. Ale: opieszałość, gnuśność, próżniactwo? To zupełnie mijają się z moim sposobem pojmowania rzeczy. Zwłaszcza próżniactwo, to pewnie od próżności pochodzi. Próżny pracoholik – to wcale nie zderzenie nieprzystających do siebie słów. Te epitety budzą we mnie moralny sprzeciw. Bliższe są one psychologicznemu definiowaniu depresji. Zwłaszcza opieszałość i gnuśność są jej przynależne.

Teraz wiem, rozumiem to, co przydarza mi się podczas wakacyjnych wyjazdów. Choćby ostatniego, do Chorwacji. Wakacyjna znajomość, zaproszenie po upalnym dniu na chłodne wino. Idziemy z małżonką. Wino podano, a tu brrrrm... Telefon komórkowy. Facet odbiera, rozmawia. Tak rytmicznie, co piętnaście minut. To znów zadzwonić musi. To ona odbiera i wysyła SMS-y. Płynię na łódce, brrrrm... odbiera, nadaje. Myślę, chyba to wojna. Przypominam sobie szybko serial „Człerej pancerni i pies”. Nie. To „Stawka większa niż życie”. „Najpiękniejsze kasztany rosną na Placu...”. Ciotka Matylda ma w tym swój wielki udział. Wie, że depresji należy się sprzeciwić. Powodować choćby łagodzenie jej skutków, które w sposób znaczący mogą wpłynąć na dalsze losy. Bo przecież za kilkanaście dni...

Polemiki

Jerzy Adalbert Jucewicz

Hadko słuchać

Recenzje może pisać każdy. Pod warunkiem wszakże, iż będzie to krytyka rzeczowa, rzetelna w ocenie, trzymająca się mocno meritum oraz realiów i faktów literackich. Nigdy zaś nie musi być entuzjastyczna ani pryncypialnie przychylna. Ani ślepa, ani głucha. Musi być uczciwa, dogłębna i obiektywna. Nie może skakać jak puls u szermującego ostrym piórem autora, który nie wie nawet, że się zaciął i co go boli, oprócz niekompetencji i zawiści.

Otóż do tej grupy, jak wszystko wskazuje, należy wzięty i znany skądinąd prozaik, Tadeusz Zubiński („Akant” 2003, nr 8, s. 59). Myli nawet osoby autorów i ich dzieła. Nie wie, że książkę – „Mickiewicza wielkopolskie drogi. Rekonstrukcje i refleksje” (Poznań 1972) napisał Jarosław Maciejewski, a nie Janusz Maciejewski, jak podał czarno na białym. Nie wie też, że podtytuł każdej pracy jest integralną częścią tytułu. Jarosław Maciejewski był długoletnim profesorem i kierownikiem Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Pol-

Cierpliwość poety, jego słodki smak lenistwa. Pośpiech niepożądany, uśmiech. Wieczne wakacje, albo lepiej – ciągły ich brak. Bo też jak je sobie wyobrazić? Jak zamknąć wyobraźnię na cztery spusty? Wiecznie spać? Po przebudzeniu impresja ze snów? Ale bez przesady.

Dziś rano usłyszałem w radiu głos, który z nieklamną satysfakcją informował: do końca wakacji pozostało tylko 29 dni. Po czym zajął się swoimi, redakcyjnymi sprawami. Dziewczynki i chłopcy, bójcie się zatem, bo rok szkolny nadchodzi.

Depresja, jako autentyczny przypadek choroby psychicznej, nie jest zaraźliwa. Leczy się ją środkami chemicznymi, poprzez serię odpowiednich tabletek oraz odpowiedni wpływ otoczenia. Nie poprzez zmuszanie, usilne namawianie do wykonywania określonych, choćby najdrobniejszych czynności, jak w najtrudniejszych przypadkach zrobienie sobie posiłku. Lecz poprzez ich zrobienia proponowanie, utwierdzenie w wierze, że daną czynność chory wykonać może, i to z dużym sukcesem.

Ta, o której piszę jest groźniejsza, bo może okazać się zaraźliwa.

Pamiętam, wracaliśmy z plaży. Słońce w czasie wczesnego popołudnia, jak to bywa nad Adriatykiem, nie pozwalało o sobie zapomnieć. Czulem się świetnie. Za chwilę hotel, lodówka, chłodny napój i prysznic dla oblepionego szczególnie morską solą ciała. Przez nią prawie sztywne. Takie odnosiło się wrażenie, gdy przylegała do niego koszulka. Nie było to niemiłe, raczej inne. Ot, takie śmieszne drażnienie. Mały raj, myślałem. Równocześnie dobiegały do mnie odczucia mojego współtowarzysza drogi. Zagadnąłem w końcu, że pewnie chciałby wracać do domu, do X, miejsca swego zamieszkania. Zobaczyłem w jego oku iskrę. No cóż, w Chorwacji był bez pracy, bezrobotny gość i amen.

By nie ulec zarazie, sam podjąłem się „trudu” obecności w słodkim stanie lenistwa. Nie miałem z tym problemów. Jestem szczepioną. I przyszło mi do głowy: może jakiś poradnik dla osób mających kłopoty z lenistwem. Zarówno zainteresowany, jak i osoby współobecne, wiedziałyby co i jak czynić. Byśmy sobie przeczytali. Podobnie leczą się depresję: kuruje pacjenta i przysposabia do obecności z nim otoczenie.

A przecież jesteśmy narodem skłonny do nie – pracy, ale i: nie – lenistwa. Opieszałość i gnuśność? Co? To my? My z szabelką przy boku, kto by śmiał nas o to posadzić?

Poeta patrzy i się uśmiecha. No, cóż innego mu pozostało. Może wiersz? Może być taki pt. „Słodki smak lenistwa”. Lecz kto go napisze. I czy będzie nasz, polski? ■

skiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest autorem odkrywczym i znanym. A tu wychodzi nonszalancja w opisywaniu ludzi i ich dokonań. Żenująca sprawa, nie dla dialogu ani do dyskusji. Dyskwalifikacja. Ale T. Zubiński, zadufany w sobie, macha piórem, rzuca gęsto słowem, nie wytrzymującym często krytyki, wydaje polecenia oraz pouczenia w najlepszej wierze. Obłożony „swoimi fiskalami”, ubogacony wiedzą białorusko-wielkopolską, szarżuje wprost na Pegazie swojej niekompetencji. Dla niego bowiem reguły przyzwoitości, moralność, rzeczywistość i prawda, ład kompozycyjny, meritum sprawy są bez związku. Imputuje niestworzone rzeczy, pisze wierutne brednie o tym, co się „dzieje na Białorusi” (a w kraju co?), „wokół autora „Pana Tadeusza”. Przypomina mickiewiczologom „rodzinne parantele z Wieszcem” na Łotwie i Litwie jako „o sferach życia. Wieszcza dotąd nie zbadanych” (sic!). Obchody 200-letnie rocznicy urodzin Poety z udziałem naukowców z całej Europy kwituje jako wydarzenie „jedno z tysięcy podobnych”. Cały czas imputuje najgorsze rzeczy „ze wskazaniem na nie”... W syntetycznym posłowie dopatruje się „gązietowej relacji”, „wyliczanek-dyrdymalek” w stylu „gombrowiczowsko-bizantyjskim” oraz „głędzenia” bez umiaru „z tej odbytej (odfajkowanej?) sesji naukowej”.

Aż „hadko słuchać”, czytać i mniemać do brze o recenzentach kieleckich. ■

Polemiki

Tadeusz Stirmer

Bieguny

W psychiatrii *biegunowość* oznaczać może stany schizofreniczne. W piśmie literackim – otwartość, wolność prezentowania racji, poglądów i postaw. Biegunowość „Akantu” (8/73/2003) poraża.

Już na starcie honorowym, bardzo interesujący, poznawczy tekst Eryka Lipińskiego (głównie dzięki listom ś. p. Marianny Bocian), potem długo, długo płasko, niewysokie hopki pojedynczych wierszy, ważna i mądra rozprawa Jolanty Baziak, wreszcie nagroda (za zbyt drobną, dolegliwą czcionkę), *Polemiki* Tadeusza Liry-Śliwy, Stanisława Truchana, trochę młodego słońca i ostra górską premia z nad Bałtyku (!) Ariany Nagórskiej, a za nią nagła przepaść; jakby ktoś ukradł kawałek świata i Historii; czarna dziura, z której wściekły wołam: *Kto nie założył zaporę po... Antonim Siemianowskim?* (Recenzje, str. 63).

Obiektem enuncjacji stała się książka biskupa Marka Jędraszewskiego pt. „Edyta Stein. Filozof i łaska wiary”. Nie będę odnosił się do zawartości tego dzieła, szczególnie do warstwy faktycznej, opartej również na zapiskach autobiograficznych tytułowej bohaterki. Podstawą rozważań jest wyłącznie to, czym zapełniono miejsce na tak cennej 63. stronie „Akantu”.

Nie mam żadnego szczególnego powodu, aby zająć stanowisko wobec życiowych wyborów Edyty Stein. Wszak... *wiara jest darem łaski, a próba jej zrozumienia osobistym dziełem tego, kto wierzy*”. Tu zgadzam się z autorem; to sprawa prywatna. Natomiast z całym szacunkiem odrzucam ideologiczną, psychologicznie fałszywą, na domiar złego – dzielącą ofiary – frazeologię, zawartą w zdaniu, które wymaga skomentowania. „*Jej krzyk (E. Stein) łączy się z krzykiem ofiar tej straszliwej tragedii, ale jest zarazem zjednoczony z krzykiem Chrystusa, który nadał ludzkiemu cierpieniu tajemniczą i trwałą owocność*”. (podkr. T. S.)

Owocność, wynosząca na ołtarze. Oraz ta, która prochami bezimiennych ofiar hektabomby; ludzi zwyczajnych, różnych nacji, światopoglądów i wyznań – mogła, co najwyżej, skutkować wzrostem plonów na przyobozowych polach. I bólach bliskich: jeśli przeżyli.

Marna jest pamięć obecnych, a przecież powinna ukorzeniać świat. Co zatem mamy do zaoferowania tym, którzy na piśmie nie „przygotowali się ostatecznie na przeżycie tajemnicy krzyża Chrystusowego w Oświęcimiu – Brzezince (?) [A. Siemianowski]. Próbuję znaleźć właściwe słowo – i oto jest: wieniec ze sztucznych kwiatów. Jak opisać ów zapach? Podjął się tego zadania ks. prof. Antoni Siemianowski; sprawca moich obrażeń i mego wołania. Nieostrość myśli A. S. wystąpiła w zdaniu, które zostało wytłuszczone, ponieważ powinno być czytelne na szerokim marginesie dokonań współczesnej krytyki (nie tylko literackiej) fragmentu. Na podstawie już cytowanego fragmentu recenzji i innych wynurzeń, nie potrafię po chrześcijańsku założyć, że jest to przypadek, lapsus językowy, który przecież może się zdarzyć. „*Bóg przyjął ofiarę jej życia: pozwolił jej umrzeć w największym poniżeniu*” / podkr. T. S. /

To jedno zdanie, stanowiące egzemplifikację przedsoborowego dyktatu; głębiej – starostamentowego mroku, z gruntu fałszuje obraz Boga – Odkupiciela, który przecież jest Miłością. Na dowód /choć nie musi niczego/ okaże nie-szczęślikowi miłosierdzie /wiem – szepnął mi w śnie do ucha/. ■

ПЕТР АНДРЕЕВИЧ ВЯЗЕМСКИЙ

НОЧЬ В РЕВЕЛЕ

(Посвящается княгине

Е. Н. Мещерской)

1
Что ты, в радости ль, во гневе ль,
Море шумное, бурлишь
И, как тигр, на старый Ревель
Волны скалишь и рычишь?
Разыгрался зверь косматый,
Страшно на дыбы прыгнул,
Хлещет гривой мохнатой,
Ноздри влажные раздул.
Что за грозная картина,
Что за прелесть, что за страх!
Взвыла дикая пучина,
Вздрыгнув в тёмных глубинах.

2
Что ж ты, море, так бушуешь?
Словно шабаш ведьм ночных!
Про кого ты там колдуешь,
Ночью, в чане волн седых?

Про того ли про Кашея,
Что, не принятый землёй,
Ждёт могилы, сиротея,
Не мертвец и не живой.

Дней Петровых современник,
Взяли в плен его враги,
И по смерти всё он пленник
За грехи и за долги.

Ты поведай, скоро ль сбросит
Он курчавый свой парик
И земную цепь износит,
Успокоенный старик?

PIOTR ANDRIEJEWICZ WIAZIEMSKI

NOC W REWELU

(Dedykowane księżnej

K. N. Mieszczerskiej)

1
Czemu radosneś, czy gniewne
Morze wzburzone, szumiące,
Ryczysz na stary Rewel¹⁾
Jak tygrys, kły fal szczerzące?
Rozigrał się zwierz kosmaty,
Do skoku czaic zaczyna,
Grzywę bałwani, kudłaty,
Mokre nozdrza rozdyma.
Co za straszne widowisko,
Piękna z grozą obcowanie!
Wyje dzikie wirowisko,
Mrocznych głębin rozpasanie.

2
Czemuś, morze, rozszałało
Jakby sabat wiedźm, orgiami?
O czym tyś tam czarowała
W noc, w zatoce, fal pianami?

Czy nie o losie Kościeja²⁾,
Co przez ziemię odrzucony
Czeka grobu w beznadziejach
Życio-śmierci pogrążony

Вал за валом ты торопишь,
Стон за стоном издаёшь,
Но о чём и что ты вопишь
Уж никак не разберёшь.

3
Иль с Бригиттой и Олаем
Ты, мешая бль и ложь,
Неумолкным краснобаем
Речи странные ведёшь?

Про загадки, про затеи,
Битвы, игры и пиры
Богатырской эпопеи
Поэтической поры;

Про былые непогоды,
Про наезды, про разбой,
Про столетья, про народы,
Пережитые тобой.

Да, на радость и на горе,
На людские суеты,
Заколдованное море,
Вдоволь нагляделось ты.

Много сонмищ пировало
За трапезою твоей,
Много ядер прожужжало
По стеклу твоих зыбей,

Много трупов, много злата,
Много бедствий и добра
Затопила без возврата
Равнодушных волн игра.

4
Да и ты, теперь опальный,
А когда-то боевой,
Ревель, рыцарь феодальный
Под заржавевшей бронёй,

Jak Piotrowych dni rówieśnik³⁾
W niewolę wzięty przez wrogi
I po śmierci wciąż niewolnik
Długów grzesznej życia drogi.

Powiedz – kiedy wreszcie spadnie
Kędzierzawa zeń peruka,
Ziemiśmi łańcuch się rozpadnie?
Starzec ukojenia szuka.

Bałwan za bałwanem pędzisz,
Jęk po jęku tym wyzwalasz,
Lecz co krzyczysz, o czym głądzisz
Nigdy pojąc nie pozwalasz.

3
Czy – z Brygidą i Olafem⁴⁾
Był to kręctwo, kłam?
Niemilkącym baju-bajem
Dziwnie maćisz umysł nam.

O zagadkach i fantazji,
Bitwach i biesiadowaniach,
O rycerskiej epopei
Romantyzmu panowania.

O minionych nie pogodach,
O najazdach, o grabieży,
O stuleciach i narodach
Któres ty zdołało przeżył.

Tak, na radość, też powody,
Drobne sprawy ludzkiej doli,
Twe zaczarowane wody
Napatrzyły się dowoli.

Mnogie rzesze ucztowały
Z twego stołu czerpiąc jadło,
Kule armat wydzwaniały
W szkło twej tafli – gdzie popadło,

Ты у моря тихо дремлешь
Под напевами волны,
Но сквозь сон ещё ты внемлешь
Гул героической старины.

Ты не праздно век свой прожил
И в руке держал булат;
То соседей ты тревожил,
То соседями был сжат.

Многа бурь и много славы
Пало на главу твою;
О тебе не раз державы
Переведались в бою.

Смелый Карл и Пётр могучий,
Разгоревшие враждой,
Как две огненные тучи,
Разразились над тобой.

Я люблю твоих обломков
Окровавленную пыль;
В них хранится для потомков
Благородных предков бль.

Эти язвы и седины –
Украшенья городов:
В них минувшего помини
В них помазанье веков.

Ревель датский, Ревель шведский,
Ревель русский! – Тот же ты!
И Олай твой молодецкий
Гордо смотрит с высоты.

1844

Mnóstwo ciał, drogocенności,
Mnóstwo dobra, wiele zła
Topi w wiecznej zachłanności
Obojętnych fal twych gra.

4
Teraz – niełaską owiany
Ale niegdyś pełen chwał,
Rewel – rycerz pasowany
W zardzewiałej zbroi trwał.

Dziś nad morzem drzemie w ciszy
Upajany pieśnią fali,
Przez sen wrzawy bitew słyszy
Z heroicznym dziejów dali.

Nie bez troski czas przeżyłeś
Z rękojeścią miecza w dłoni:
To sąsiadów poskromiłeś,
Toś w ucisku grzęznął toni.

Wiele burz i wiele sławy
Spowinęło Twoją skroń.
To o Ciebie mocarstw ławy
Nie raz krzyżowały broń.

Dzielny Karol, Piotr potężny⁵⁾
Wrogim żarem rozognieni
Jak dwie chmury w grom orężne
Zwarli się na Twojej ziemi.

Kocham Twoich ruin, szczątków,
W krwawym pyłe skrytą treść,
W niej to przetrwa dla potomków
O szlachetnych przodkach wieść.

Wszystkie rany mchem porośłe
Stare grody upiększają:
Co w przeszłości ich doniosłe
Wiekopomnie uświęcają.

Rewel duński czy też szwedzki,
Czy rosyjski⁶⁾ – zawsześ Ty!
I Twój Olaf bohaterzki
Dumnie patrzy z wieżycy⁷⁾.

1844

Przełożył z rosyjskiego (sierpień 2003)

ANDRZEJ PIOTROWICZ

Przypisy

¹⁾**Rewel** – dawna (do 1917) nazwa Tallina, obecnej stolicy Estonii, port morski u wejścia do Zatoeki Fińskiej (*historia miasta patrz przypis 6*).

²⁾**Kościej** – zły czarownik, postać z rosyjskich bajek ludowych. Własną śmierć uwięził w kryształowej kuli. Zył przez trzysta lat i kiedyś przypadkowo kulę stłukł. Trwa w beznadziejnym stanie ni to życia ni śmierci, bo ziemia go nie przyjęła (jedna z baśniowych wersji).

³⁾**Jak Piotrowych dni rówieśnik ...** – mowa o księciu Karolu Eugeniuszu de Croy (czytaj: Krua), feldmarszałku austriackim, któremu car Piotr I przekazał dowodzenie siłami rosyjskimi w bitwie pod Narwą (*patrz przypis 5*). Wzięty w niej do niewoli przez Szwedów, w rok później zmarł w Rewelu pozostawiając wielkie długi. Zgodnie ze szwedzkim prawem nie mógł zostać pochowany dopóki spadkobiercy ich nie spłacą. Jego ciało długo przechowywano pod szklaną pokrywą w podziemiach kościoła Świętego Mikołaja w Rewelu (stąd porównanie do losu Kościeja).

⁴⁾**Czy – z Brygidą i Olafem ...** Kościół klasztorny Zakonu Świętej Brygidy z 1 połowy XV w., w Piricie pod Rewelem (Pirita, obecnie dzielnica Tallina). Klasztor służył ponoć z tego, że mieszkali w nim nie tylko mniszki lecz i mnisi (konwent podwójny). Według podań za to właśnie ukarany – zburzony wraz z kościołem przez wojska cara Iwana IV Groźnego w 1577 i nigdy nie odbudowany. Ruiny zdumiewają do dzisiaj ogromem kubatury.

Gotycki kościół pw. św. Olafa także z 1 połowy XV w. (z kaplicą NMP z początku XVI w.). Pierwsza historyczna wzmianka o nim pochodzi z 1267 (*więcej patrz przypis 7*).

Brygida (szwedzka Birgitta, estońska Brigitta) Gudmarsson, z domu Persson (1303–1373), święta, kanonizowana w 1391, mistyczka szwedzka, matka czterech synów i czterech córek, wśród nich – świętej Katarzyny, patronki Szwecji. Po owdowieniu oddała się całkowicie służbie Bożej. Założycielka zakonu Brygidek. Słynęła z objawień i prośb o charakterze religijnym i politycznym. Od 1349 w Rzymie. Spisane po łacinie teksty ok. 600 widzeń Brygidy są uznane za najwybitniejsze dzieło średniowiecznej literatury szwedzkiej (*Revelationes caelestes*, I wydanie 1492 w Lubece, wydanie naukowe 1956, wydanie polskie 1698 pt. „Skarby niebieskich tajemnic”). Piętnowała w nich „niewolę awiniońską” papiestwa oraz hulaszce i uciskające lud panowanie króla Magnusa II w Szwecji. Przepowiadała również upadek i potępienie Zakonu Krzyżackiego.

Brygidki (Zakon Świętej Brygidy, Zakon Najświętszego Zbawiciela), zakon z regułą św. Augustyna, założony jako konwent podwójny (żeński i męski) w 1346 w Vadstena nad jeziorem Wetter (Szwecja) przez św. Brygidę w celu szerzenia kultu Eucharystii i Męki Pańskiej. Zatwierdzony w 1370.

Olaf (norweski Olav, estoński Oleviste) **II Haraldson** (ok. 995–1030), święty, z rodu lokalnych władców (jarłów) Ynglingów, w latach wczesno młodości kupiec wiking, znany jako Olaf Tęgi. Początek jego przemiany w ducha chrześcijańskiego przypada na rok 1013. Król Norwegii w latach 1015–28, zjednoczył kraj i utrzymał chrześcijaństwo. W 1024 na zgromadzeniu w Moseter sformułował kodeks prawny, uznawany przez jego następców do czasów Reformacji, dzisiaj zwany Prawem Świętego Olafa. W 1028 usunięty przez Kanuta Wielkiego (syna Sygrydy-Swiętosławy, siostry Bolesława Chrobrego), poległ pod Stiklestad, walcząc o odzyskanie tronu. W rok po śmierci ogłoszony świętym w wyniku widomych (opisanych w kronikach) cudów, dokonanych za jego oczywistym, pośmiertnym pośrednictwem. Obrazowany patronem Norwegii.

⁵⁾**Dzielny Karol, Piotr potężny ...** – król szwedzki Karol XII (z dynastii Wittelsbachów) i car rosyjski Piotr I Wielki (z dynastii Romanowów), przeciwnicy w Wojnie Północnej (trzeciej, 1700–21), której jednym z początkowych epizodów było zwycięstwo Szwedów nad 4-krotnie przeważającymi liczebnie Rosjanami 20 listopada 1700, w bitwie pod estońskim dziś miastem Narwa, nad rzeką o tej samej nazwie.

Wojna Północna, toczona przeciw Szwecji (Karol XII) przez Danię, Saksonię (August II), Rosję (Piotr I), a od 1715 także przez Hanower i Prusy, przyniosła początkowo sukcesy Szwedom pod bezpośrednią wodzą Karola XII, znakomitego dowódcy: wspomniane zwycięstwo nad wojskami rosyjskimi (Narwa, 1700) oraz sasko-polskimi (Kliszów, 1702), elekcja Stanisława Leszczyńskiego w Polsce (1704), zajęcie Saksonii (1706). W 1709 doszło jednak do klęski Szwedów w bitwie z Rosjanami pod Połtawą (Ukraina). Rosja zajęła kraje podległe dotąd Szwecji – Inflanty (historyczna nazwa krainy nad zatoką Ryską i Fińską, obejmującej dzisiejszą Łotwę i Estonię) oraz Finlandię. Wojnę zakończyły traktaty 1719–21 (sztokholmskie traktaty pokojowe, nysztadzki pokój). Nastąpił kres potęgi Szwecji i początek mocarstwowej pozycji Rosji.

⁶⁾**Rewel duński czy też szwedzki, czy rosyjski...** – Rewel powstał w X w. jako targowo-portowa osada na bazie estońskiego grodu Lindanise, zwanego przez ruskich kupców Koływaniem. Pierwszą pisaną wzmiankę o tym grodzie podał w 1154 arabski geograf Idrisi. W 1219 zdobyty przez Danię (Waldemar II), nazwany został przez Estów Tallinnem czyli Duńskim Zamkiem. Nazwę Reval (od estońskiego okręgu Rävåla), nadał mu niemiecki Zakon Kawalerów Mieczowych (Bractwo Rycerzy Chrystusowych – Fratres Milites Christi), założony w 1202 w oparciu o regułę templariuszy. Zakon zdobył gród w 1227 i utrzymywał we władaniu do 1238, przeprowadzając jego lokację jako miasta na prawie niemieckim. Została ona potwierdzona prawem lubeckim w 1248, po powtórnym przejściu Rewela przez Danię. Od 1285 członek Hanzy (związek kupiecki miast w średniowiecznej Europie, XII–XVIII w.).

W 1346 wraz z Estonią sprzedany przez Danię Zakonowi Krzyżackiemu (do którego Kawalerowie Mieczowi zostali wcieleni w 1237 po klęsce w walce z Litwinami) rozwijał się pośrednicząc w handlu miast hanzeatyckich z Rosją.

W okresie schyłkowym „starych Inflant” (tuż przed sekularyzacją w 1561 inflanckiej gałęzi Krzyżaków zwanej Zakonem Inflanckim i przed upadkiem państwa zakonnego) zaczęła zdobywać przewagę orientacja propolska, której głównym wyrazicielem był komtur z Fellina (est. Viljandi) – Gotthard Kettler, zastępca mistrza Zakonu, a potem jego koadiutor. 31 sierpnia 1559 stany inflanckie uznały zwierzchność króla polskiego Zygmunta II Augusta w zamian za obronę przed Rosją. Pod koniec 1560 przybył do Rewela polski garnizon. W czerwcu 1561 został on zmuszony przez Szwedów do opuszczenia miasta (i zamku Toompea). Rozpoczęło się 150-letnie panowanie Szwecji.

W 1710, w wyniku zwycięstwa Rosji nad Szwecją pod Połtawą w Wojnie Północnej przyłączony do Rosji, był portem wojennym i stolicą guberni. W XVIII w. rozwinęły się w nim manufaktury (tkackie, skórzane, papiernicze). Po likwidacji twierdzy w 1867 i połączeniu linią kolejową z Petersburgiem (1870) stał się trzecim pod względem wielkości portem w Imperium Rosyjskim i ośrodkiem przemysłu (zwłaszcza metalowego). Od połowy XIX w. centrum estońskiego ruchu narodowego i kulturalnego. Podczas rewolucji 1905–07 miejsce strajków i powstania marynarzy (krążownik „Pamięć Azowa”).

W latach 1918–40 stolica Estonii pod nazwą Tallin (estoński Tallinn). Potem, wraz z całą Estonią wcielony do Związku Radzieckiego, w któ-

rym do 1990 był stolicą Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (w latach 1941–44 pod okupacją niemiecką). Po rozpadzie Związku Radzieckiego Rewel-Tallin stał się ponownie stolicą niepodległej Estonii.

W Polsce współczesnej miasto to spopularyzowała sfilmowana i wielokrotnie szczegółowo opisana odyseja okrętu podwodnego ORP „Orzeł”. Na początku II wojny światowej, 14 września 1939, zawiązał on do neutralnego portu i stolicy zaprzysiężonej Estonii – Tallina, z powodu ciężkiej choroby kapitana (którego musiano hospitalizować) oraz w celu dokonania naprawy uszkodzonych maszyn. Internowany w wyniku nacisków niemieckich, prawie całkowicie rozbrojony, pozbawiony map nawigacyjnych okręt zdołał 18 września ująć z Tallina, przemknąć przez patrolowany przez Niemców Bałtyk, cieśniny duńskie i Morze Północne, by 14 października dotrzeć do Wielkiej Brytanii, w celu wspólnego z jej flotą dalszego udziału w wojnie. Zdumiewający, bohaterki wyczyn załogi „Orła” rozstawiła prasa niemal całego świata.

Zapewne nie dowiemy się nigdy, czy artyleria nabrzeżna Tallina, ostrzeliwująca uciekającego z portu „Orła”, szczęśliwym przypadkiem czy też celowo nie trafiła go ani jednym pociskiem.

⁷⁾(Olaf) **Dumnie patrzy z wieżycy** – wieża kościoła pw. św. Olafa po ukończeniu budowy (około 1500) była najwyższym (159 m) dziełem architektonicznym nie tylko Rewela, ale prawdopodobnie i świata. Obecnie (2003) jest najwyższym obiektem w Tallinie, chociaż po ostatniej renowacji, dokonanej w 1931, jej wysokość wynosi „zaledwie” 123 m. W przekroju poziomym kwadratowa, zwieńczona strzelistym ostrosłupem dachu.

Krótko o autorze i jego poemacie

Piotr Andriejewicz Wiaziemski (1792–1878), książę, rosyjski poeta i krytyk. W 1812 brał udział w bitwie z wojskami napoleońskimi pod Borodino. Związany z dekabrystami, romantyk – liryki, ody, satyry, artykuły krytyczno-literackie. Polonofil – przekłady utworów Adama Mickiewicza i Ignacego Krasińskiego. Członek Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

W poezji Wiaziemskiego motyw morza często wiąże się z Estonią. Morze wpływa na życie tego kraju odciskając na nim wyraźne piętno. Z drugiej strony motyw ten przeplata się u Wiaziemskiego z motywami historii i marzeń. Estonia jest dla poety krajem o burzliwych, ciekawych i romantycznych dziejach, a Rewel – miastem, które jakoby drzemiać na morskim brzegu śni o swej przeszłości. Takim właśnie przedstawia go autor w cyklu czterech krótkich wierszy, zatytułowanym „Noc w Rewelu”.

Katarzyna Nikolajewna Mieszczerska, której autor wiersz dedykował, była córką pisarza i historyka N. M. Karamzina (1766–1826), przedstawiciela sentymentalizmu (powieść *Biednaja Liza*), autora pierwszych w literaturze rosyjskiej opowieści historycznych. Od 1828 żona księcia Mieszczerskiego. Karamzinowie, Wiaziemscy i Mieszczerscy często wspólnie spędzali lato w Rewelu.♦



Na zdjęciu: Rewel od strony morza
Fot. Włodzimierz Zieliński

Z Łotwy i Litwy



Jak wielką rolę odgrywa polska książka wśród Polaków na Łotwie i Litwie, ten tylko się dowie, kto tam pojedzie...

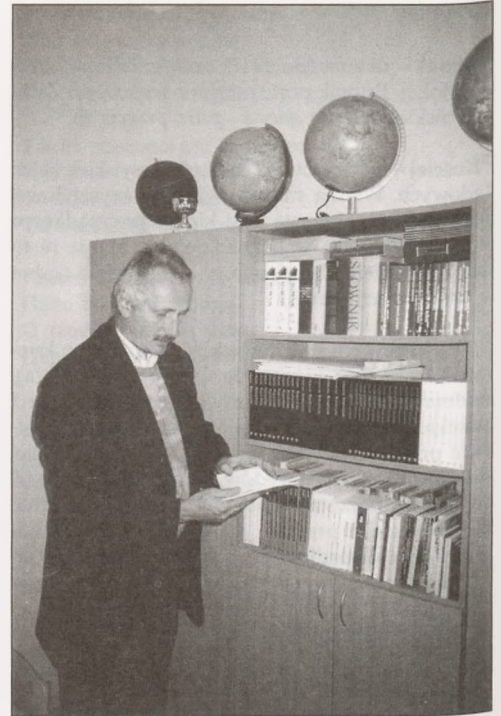
Prezes KPK – Centralny z Bydgoszczy, a zarazem przewodniczący całej Federacji KPK – **Michał Krzemkowski** odwiedził łotewskie KPK w Małcie i Rzeżycy. W pierwszym – spotkania odbywają się co tydzień i polegają na przedstawianiu sylwetek polskich pisarzy, a także na doskonaleniu języka polskiego, bowiem w wyniku przeróżnych zawieruch dziejowych na Wschodzie mieszka znaczna część Polaków rosyjsko, białorusko, ukraińsko, litewsko, i łotewsko-języcznych. Najważniejsze, że czują się oni i chcą być Polakami. Małtańscy gorąco proszą rodaków z Macierzy o podesłanie słowników rosyjsko-polskich oraz książek, książek, książek... Dziękują współczesnym pisarzom za ich dzieła, a szczególnie: T. Agatowskiemu, A. Nagórskiej i L. Zuzi. Zamierzają w listopadzie 2004 roku urządzić w Małcie wielojęzyczne spotkanie literackie, ale o tym później. Póki co podajemy adres małtańskiego KPK: **Jadwiga Okuniewicz**, Malta, Rėzeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa-Latwija.

KPK w Rzeżycy podsumował w obecności gości z Polski swą 2-letnią działalność, której przewodniczy **Jadwiga Deksnė**. Tu z jednej strony trwa akcja popularyzacji polskich pisarzy, z dru-

giej przybliżanie młodzieży, bowiem KPK ulokowany jest na terenie Polskiej Szkoły Średniej im. S. Batorego, współczesnej literatury polskiej. Trzeba bowiem stwierdzić, że młodzież inflancka kształcona jest głównie w oparciu o twórczość tzw. klasyków. Niemniej furorę w Łatgalii (południowo-wschodnia część Łotwy, Inflanty Polskie) robi tłumaczenie na język łotewski znakomitej powieści pamiętnikarskiej Kazimierza Bujnickiego pt. „Wspomnienia księdza Jordana”. Przekładu dokonał Ryszard Łabanowski z Rygi. Utwór ten świetnie odzwierciedla późnoromantyczną atmosferę na Inflantach; jest dla Łotyszy, wówczas mało piśmiennych niewyczerpaną kopalnią wiedzy historyczno-społecznej, obok oczywiście „biblii inflanckiej” czyli „Inflant Polskich” Gustawa Mantuffla.

Z wielką radością należy odnotować decyzję o powstaniu KPK w Polskiej Szkole Średniej im. H. Sienkiewicza w Landwarowie na Litwie. Dyrektor tej zastróżonej dla oświaty placówki – **Franciszek Żeromski** prosi polskich pisarzy i bibliotekarzy o nadsyłanie książek pod adresem: Henriko Senkevičiaus Vidussmokykla, 4200 Lentvaris, Lauko gatve 20, tel. 828218905, Litwa-Lietuva. Wizyta też będzie mile widziana. 🐾

Andrzej Orylski



Na zdjęciu: S. Pastuszewski znalazł w Landwarowie książki IW „Świadeństwo”
Fot. Włodzimierz Zieliński



KPK w Bydgoszczy-Fordonie
Fot. Włodzimierz Zieliński



Spotkanie Klubu Polskiej Książki w Bydgoszczy-Fordonie 14 sierpnia 2003 roku
Fot. Włodzimierz Zieliński



Wszystkim pisarzom i bibliotekarzom, którzy chcieliby podarować książki Klubom Polskiej Książki, podajemy adresy tych placówek. Zapewniamy, że tam wszystkie książki czyta się i analizuje. KPK organizują również spotkania autorskie.

- KPK, Hotel „Centralny”, ul. Dworcowa 85, 85-010 Bydgoszcz, tel. (052) 379 67 89, trzeci wtorek godz. 18.00
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Słowackiego 58/60, 60-521 Poznań, tel. (061) 852 10 85
- KPK, Pub „Żubr”, ul. Magdzińskiego 6, 85-005 Bydgoszcz
- KPK, Klub Nauczyciela, ul. Wojska Polskiego 3, 56-306 Milicz, woj. dolnośląskie, tel. 0606888407
- KPK-Podbrodzie, Pabrades Internatienia Mokykla, 4710 Pabrade, Mokyklos gatve 5, Litwa – Lietuva, tel. 0037038754402
- KPK, Waclaw Ratyński, Kuźnica Czeszycka 29, 50-320 Krośnice, woj. dolnośląskie
- KPK, Pub „Parnasik”, Bydgoszcz, ul. Parkowa 2
- KPK-Wielony, Felicja Leszczyńska, LV 4550 Vilani, Nakotnes iela 2/3, tel. 003714662598, Łotwa – Latwija
- KPK – Malta, Jadwiga Okuniewicz, Malta, Rėzeknes rajon, Jaunatnes iela 11, tel. 003714641921, Łotwa – Latwija
- KPK – Rzeżycy, Rėzeknes polu vidusskola, Lubanas iela 49, LV – 4600 Rėzekne, tel. 003714023552, Łotwa – Latwija
- KPK – Łohiszyn, Janina Bogdanowicz, 225740 Łohiszyn, Pinski rajon, Briestskaja oblast, Białoruś - Białaruś
- KPK – Klub „Zaulek 11”, 85-007 Bydgoszcz, tel. (052) 345 77 62 w. 258, pierwsza środa godz. 18.00
- KPK – Więcbork, Liceum Ogólnokształcące, 89-410 Więcbork, ul. Pocztowa 14
- KPK – Fordon, Klub „Pod Różą”, 85-790 Bydgoszcz-Fordon, ul. Rynek 6, tel. (052) 3448376, drugi czwartek godz. 18.00
- KPK, Osiedlowy Klub „Odnowa” Bydgoszcz-Kapiściska, tel. (052) 3631867, drugi czwartek godz. 18.00
- Centrum Handlowe „Dom i Styl”, 85-796 Bydgoszcz, ul. Fordońska 333, tel. (052) 343 22 11

Jaka jesteś współczesna poezjo?

Jarosław Sułkowski

Męki wyższego rzędu

Już od kilku lat na łamach „Akantu” rozbrzmiewa dyskusja podejmująca problem współczesnej poezji. Ów fakt potwierdza trudności w określeniu „imienia” dzisiejszych dokonań poetyckich. To śmiałe przedsięwzięcie redakcyjne bardzo mocno wrosło w jakościowy wizerunek miesięcznika i w głównej mierze stanowi o jego sile oraz aktualnej pozycji rynkowej.

Od dawna śledzę głosy tych autorów, którzy mają na ten temat coś do powiedzenia. Każda publikacja jest ważna, każda próba określenia statusu współczesnej poezji nacechowana została subtelną dawką głębokiej osobistości i obiektywizmu. Głosy są umotywowane swoistymi gustami oraz indywidualnym odczuwaniem piękna. Mają zatem rację ci, którzy, podobnie jak Stefan Pastuszewski, twierdzą, że „werslibr się wyzerpał” („Akant” nr 1/27, s. 1), choć zgodzę się także z Thomasem Stearnsem Eliotem – nie ma problemu wiersza wolnego, bo nie istnieje coś takiego, jak wiersz wolny.

Prawdę głoszą również te osoby, które uważają, że współczesna poezja sama o sobie więcej powie, aniżeli my wszyscy – należy zatem wczuwać się w wiersze, a nie dyskutować o nich. Możemy oczywiście akceptować wybrane formuły i sprostowania, inne zaś poddawać „chirurgicznym cięciom”.

„Jaka jesteś współczesna poezjo?” – wiele cennych uwag oświetliło już ten temat, dlatego dalszym rozważaniom grożą powtórzenia, niemniej jednak, korzystając z „zachęty” do przedstawienia własnego stanowiska, czynię to z wielką przyjemnością.

Otóż współczesną poezję porównałbym do wielkiego tygła, w którym wrą i wzajemnie się przenikają tajemnicze ekstrakty. Powstają rzeczy przypadkowe, twory nie zawsze odpowiadające naszemu estetycznym potrzebom. Rodzą się hybrydy niemierzalne i niewytłumaczalne. Współcześni autorzy utworów poetyckich oferują potencjalnym czytelnikom materię mało znanej lub ści. Poezja cierpi na nieokreśloność, na brak lub niewystarczalność wskazań jakościowych. Bywają takie sytuacje czytelnicze, że rozstrzygnięcie poziomu artystycznego tekstu graniczy z cudem. Podziwiam członków jury, którzy potrafią z kilkuset nadesłanych wierszy wybrać te najlepsze. Zauważyłem, że współczesny poeta zmierza (pewnie nieświadomie) do tradycji barokowego konceptu, bo utwory zaopatrzone w ów zaskakujący błysk mogą coś na rynku literackim znaczą. Niektórym zapewne wydaje się, że wystarczy wziąć pióro, kartkę papieru i po prostu utrwalic na niej graficznie to, o czym się myśli, co się przeżywa, widzi, że wystarczy poszatkać zdania i już będą wersy. A gdzie harmonia głoskowa, jaki model rytmu, jaki wreszcie walor intonacyjny? Poeta, nawet jeśli świadomie narusza pewne reguły wersologiczne, powinien o nich wciąż pamiętać i tak budować wiersze, aby nadawały się do deklamowania. Wszak dzieło literackie to nie ciąg znaków widniejących na papierze, to nie książka. **Dzieło literackie istnieje wtedy, kiedy je słyszymy.** Tym różni się od wytworów plastycznych (rzeźby, obrazu), że nie posiada charakteru przestrzennego i nigdy nie jest dane odbiorcy w całości. Poezja objawia nam ukryte oblicze w każdej chwili jej brzmieniowej konkretyzacji. Tylko wtedy stajemy się świadkami rzeczywistej obecności dzieła. Ciąg odpowiednio uformowanych i właściwie (z wielką pieczołowitością) wypowiedzianych dźwięków, kojarzymy w ogólnym obrys dzieła. Dlatego nie powinno być we współczesnej poezji miejsca dla chaotycznych konstrukcji językowych. Liryka również jest „kwe-

stwą dyscypliny”. Jaki pożytek przynosi rozbijanie wypowiedzeń wielokrotnie złożonych na niczym nieuzasadnione cząstki zwane wersami, w których nierzadko podstawowe związki międzywyrazowe ulegają licznym wykołajeniom. Zgadzam się z uwagą Stefana Pastuszewskiego, że publiczność, nawet jeśli nie „zjadła” wieluset tomów poetyckich, tudzież ważnych opracowań z nauki o wierszu, poezję odbiera intuicyjnie; trafić w intuicję audytorialną – oto wyzwanie dla współczesnego wierszopisa. Jeśli czytelnik odnajdzie to „coś” w utworze, nie zawsze zresztą tkwiące w treści, ale też w melodii, w ukształtowaniu dźwiękowym, prawdopodobnie chętniej sięgnie po inny tekst tego samego autora. Są, jak trafnie zauważył autor „Sonetów i poematów”, „poeci werslibru stosujący dyscyplinę konstrukcyjną, ba – nawet dopracowujący się sobie własnych rozwiązań rytmicznych, dzięki czemu ich wiersze są łatwo rozpoznawalne” („Akant” nr 1/27, s. 1). Nie wolno, rzecz jasna, wrzucać wszystkiego do jednego wora, ani też formować etykiety: ten uprawia wiersz wolny, więc jest złym poetą, zaś jego „produkty” nie są godne uwagi. Na ogół jednak werslibrowcy nie dbają o warstwę foniczną utworu, a przecież jego struktura brzmieniowa sama w sobie staje się elementem pięknym i cennym estetycznie. Cała tkanina dźwiękowa, zdaniem Stanisława Furmanika („Podstawy wersyfikacji polskiej”, „Zarys deklamatorski”), staje się wartością indywidualną, samodzielną. Adam Mickiewicz dał w Wielkiej Improwizacji wyraz swej troski o brzmieniowe piękno utworu literackiego:

*Milijon tonów płynie: w tonów milijonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę i łączę,
I w tęczę i w akordy i we strofy płacząc –
Rozlewam je we dźwiękach i błyskawic
wstęgach.*

Pod koniec XIX wieku znakomity uczony, Jan Śniadecki, potępiał stosowanie takich wyrazów, które urałyby pięknej organizacji brzmieniowej języka polskiego: „Prosiłbym tylko pisarzy, aby (...) więcej mieli względu na muzykę języka i nie zarażali go dla ucha słowami niemożliwymi”.

Dwie rzeczy z powyższego cytatu zasługują na szczególną uwagę: muzyka przejawiająca się w strumieniu językowym oraz ucho będące naturalnym „wylapywaczem” dźwięków. Kto dziś słucha dzieł literackich? Już Fryderyk Nietzsche ironizował, mówiąc że człowiek zabierający się do czytania utworu literackiego „chowa uszy do szuflady”, zakłada natomiast okulary, by lepiej widzieć. A przecież **zmysł słuchu jest wpisany w istotę literatury**; tymczasem ta zmierza w stronę bezdennej milczenia. Wiersze są strukturami fonicznymi i właściwym ośrodkiem ich ujęcia jest narząd słuchowy. W wyniku ciągłego czytania oczami, ale też pisania dla samego tekstu, zatracamy zdolność słyszenia. Daleki jestem od pouczenia kogokolwiek, jak należy pisać, ale jedno jest pewne: **rytm uratuje wiersz jeśli jego treść nie będzie dobra.** Defekt treściowy jeździe na drugi plan, na czoło zaś wstąpi dźwięk i to właśnie zapamięta odbiorca. Kiedy czytam dawnych mistrzów (Mickiewicza, Słowackiego), słyszę coś więcej niż słowa, słyszę muzykę, całą orkiestrację brzmień. To karze mi sytuować wieszczą lirykę w linii wywodzącej się bezpośrednio z tradycji tekstów melicznych. Dziewiętnastowieczni geniusze świetnie słyszeli samych siebie, poza tym słyszeli głosy dochodzące z transcendencji. Oni wierszy nie układali, oni wierszami po prostu mówili. Eksplozowali poezją silną i pod wieloma względami

doskonałą. Niezwykła swoboda wypowiedzianych treści, doskonała harmonia brzmieniowa – oto imiona talentu, u którego stóp leży cała teoria poetycka, prosząc o jej piękne wykorzystanie. Tak pisał Mickiewicz w jednym z utworów:

*Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam,
W piersi tylko uderzę, wnet zdroj słów
wytryśnie...*

Kluczowym elementem poezji jest natchnienie. Można nim interpretować myśli, formować uczucia, widzieć. Natchnienie hartuje wolę, daje siłę. Jest jakimś mistycznym współodczuwaniem natury, Boga oraz samego siebie. Oto cenna rada autora „Dziadów”:

*Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia...*

Niestety, coraz mniej natchnienia „czuć” we współczesnej poezji. Dzisiejsze liryki nie są już nośnikami takich wartości estetycznych jak dawniej. Elementarne wartości giną w cywilizacyjnym zgiełku. Współcześni poeci, chcąc wyrazić świat takim, jakim go zobaczyli, wchodzą w ten nieopomniany pęd, w ten ruch, aby samemu stać się procesem. Wnikają w język bytu, język kreacji – tracąc po kolei imię, indywidualność, charakter, człowieczeństwo...

A przecież mowa o poezji, o krainie, do której „iść należy ścieżkami tonów, z których się rodzą spokojne muzyki”. Kto dziś urządza pojedynki improwizacyjne, któż ma w sobie tyle mocy natchnionej, ile jej mieli wielcy szermierze słowa (Mickiewicz, Słowacki) podczas słynnego wieczoru u Eustachego Januszkiewicza! W Paryżu, w ojczyźnie przybranej, goście zebrani na imieninach polskiego emigranta „szczerze lży ronili”. Kiedy skończył swą mowę krzemieniecki tytan poezji, serca rosły, kiedy zamilkł „największy Litwin” – leż nie stawało...

Współczesna poezja pada ofiarą „przekombinowanej” treści. Bywa tak, że poeta zabiera się do pisania wiersza, bo liczy na traf, na samoistny rozwój strof – a nuż coś z tego wyniknie. Wypowiadając się na jakikolwiek temat, powinniśmy wiedzieć, co chcemy zakomunikować, nawet jeśli będzie to tekst usankcjonowany poetycko. Zawilgość i mętność stylistyczna, które obserwujemy we współczesnej liryce, z pewnością nie przyczynią się do jej wyrazistości – są raczej znakiem czasu. Poeta musi przynajmniej przeczekać to, o czym chce pisać. Popęlnia wiele błędów, ponieważ nie potrafi, w wielu przypadkach, powstrzymać swej popędliwej chęci poetyzowania. Korzystniej byłoby rozłożyć swój „pomysł” na kilka utworów lub cały tomik, aniżeli „ładować” wszystko do jednego wiersza, który w efekcie zostanie tak silnie obciążony zakodowaną treścią, że jego przeniknięcie stanie się dla odbiorcy istną męką. Cóż to za poezja, w której znaleźć można wszystko i nic zarazem? Jak czytać takie koncentraty? Wprawdzie Blaise Pascal pisał, iż „o wiele piękniej jest wiedzieć coś z wszystkiego niż wiedzieć wszystko o jednym”, ale miał ów filozof na uwadze zdrowo zdefiniowaną uniwersalność całego spektrum poznawczego, nie zaś jego „nieuczane” składniki.

Czytając poezję, nie powinniśmy odwracać od niej umysłu. Tymczasem bomby semantycznych przesunięć zmuszają nas do nieustannej i wyczerpującej pracy w kierunku ustalenia tak zwanego sensu wiersza. Ważne jest zaangażowanie w estetykę utworu, ważny jest kontakt z pięknem, które winno z niego emanować. Wyłania się jednak czasami z poetyckich mroków rzecz bardziej oświetlona. Niektóre dzieła są zwykłymi intertekstami – zlepkiem wyświechtanych fraz, zwrotów, środków stylistycznych. W istocie sta

dokończenie na str. 46



dokończenie ze str. 45

nowią rejestr zasłyszanych sformułowań zestawionych ze sobą przypadkowo, ale nie spontanicznie, bez logicznych wskazań składniowych, bez podbudowy semantycznej i estetycznej. Współczesna poezja proponuje przeróżne kombinacje wytartych klisz i stereotypów, konwencjonalne tematy, nic nie znaczące melodie wierszowe, wtórność i banalność sformułowań, wysilony patos lub sztuczna nastrojowość. Poeci nieustannie grzeszą brakiem harmonii i wewnętrznej logiki, brakiem wycucia barwy wyrazów, przekraczaniem zakresu ich stosowania. Rozległość tak wypowiedzianych przestrzeni powoduje niechęć do solidnej konkretyzacji znaczeniowej tekstu. Byłoby dobrze, gdyby ilość zgromadzonych figur stylistycznych i zagęszczenie treściowe pozostawały w stosunku proporcjonalnym do predyspozycji czytelnicy odbiorcy, do jego percepcji interpretacyjnej. Wiersz nie może męczyć.

Tymczasem współczesne werslibry są zbyt „szybkie”. Nie jestem przeciwnikiem wiersza wolnego; każdy ma prawo operować taką materią wersologiczną, w której czuje się dobrze, ale ma też obowiązek obserwować reakcje publiczności na oferowane dzieła. Uważam, że współczesna poezja nie zachęca do czytania (raczej do pisania). Uczniowie (nauczyciele również) mają problemy z ustalaniem znaczeń. Śmiałość stosowanej poetyki często przekracza możliwości ludzkiego poznania. Obraz, który ma wyrażać metafora, powinien być w sposób elastyczny i harmonijny włączony w strumień przyczynowo-logiczny całej wypowiedzi. Rzucanie myśli na papier bez ich uprzedniego „zważenia” powoduje zaburzenia w zakresie estetyki wypowiedzi. Nie ma bowiem we współczesnym wierszu dostatecznie czytelną łączliwość treści przedstawianych wizji. Podejrzewam, iż niektórzy poeci sami nie rozumieją swoich utworów. Dlatego większość „produkcji poetyckich” pozbawiona jest duszy, jest jak „Kościół bez Boga”. Brakuje barw, żywej kolorystyki. Potrzeba nam mówić językiem Mickiewicza, Słowackiego, bo co powiedzą o nas za 200 lat? Dyskretny urok ich dzieł tkwi w czuciu, w rozumowaniu sercem. Nowum, które wprowadził nowogrodzki poeta polegało na wyrażeniu fantastycznych, wizyjnych i mistycznych treści w wierszu klasycznym. Dlaczego dziś autorzy uciekają od klasyki? Czyżby obawiali się jej rygorystycznych zasad? Czyżby zatarli słuch w cynicznym powoływaniu się na poszukiwania nowych form wyrazu?

Uprawiamy poezję jak glebę – w przeciwnym razie wyjałowuje i nie da oczekiwanego plonu, mało tego – przyniesie straty. Złe pędy należy izolować, trzebić z całych sił, bo inaczej obrosną całą „poetycką planetę”.

Katarzyna Jeziótkowska

Piękno wartości

Z ogromną przyjemnością przeczytałam w sierpniowym „Akancie” (2003, nr 8, s. 44) optymistyczną wypowiedź BOŻENY ZYŚ pt. „A jeśli...?”.

Autorkę zmęczył już „horror poetycki”. Tęskni za poezją „z wartościami” i poetami, którzy „zastosują proste piękno, by ukazać dobro”. Dość ma już twórców „...chcących się wyrazić, jak nikt dotąd”. Wyczuwa w nich „...pogoń za szokiem”. Bożena Zys czeka na poetów, którzy „...odnajdą, przypomną, ożywią zagubiony wymiar w człowieku (...). Pokażą, że można pięknie w pełni żyć (...).” Zgadzam się z każdym jej zdaniem.

Przecież nie przynoszę do domu połamanych, zwiędłych kwiatów, by cierpieć wraz z nimi. Nie przyglądam się też w zachwycie kalekom, by poczuć dreszcz emocji utożsamiając się z ich bólem. Wolę podziwiać piękno przyrody i radość dzieci. Dlatego do codziennych trosk i problemów mam masochistycznie dokładać cierpienia innych i to wyrażone w starannie zagmatwany sposób?

Mam wrażenie, że niektórzy poeci, tak zrosli się z bólem swoich wierszy, że żal im przestać cierpieć, bo o czym by wtedy tak pięknie, wzniosle i zagadkowo pisali?

Aby wiersze, a tym samym ich odczucia nie wydawały się zbyt trywialne, ubierają je w „absurdalną nowomowę”. Wielu krytyków zachwyca się takim pisanem. Im wyższy stopień zagmatwania i skomplikowania, tym bardziej wartościowe dzieło. Cóż, krytyk ma wtedy pole do domniemywania, roztrząsania, gdybania. Nad oczywistościami trudno gdybać. Czy literaturę tworzy się dla krytyków? Uznani literaci wiedzą, że przede wszystkim dla nich. Ktoś przecież musi ogłosić światu, że narodził się wspaniale zapowiadający się twórca. Potem zostaje już tylko zaznaczyć swą obecność.

Niestety, zdarza się, że jestem świadkiem, jak czysta, odkrywczą myśl „poety amatora” wykorzystana w swym utworze ten, który na Parnasie ma już „zapadnięty z wysiedzenia fotel”, a który dawno już zatracił świeżość spojrzenia. Myśl tę przetworzy, przetrawi i rzuci z nonszalancją krytykom na pożarcie. A oni z tych strzępów próbują odtworzyć pierwowzór, przeczuwając, że był interesujący, a być może piękny?

B. Zys nie boi się powiedzieć, że „poezja pozbawiona wartości duchowych jest bez wartości!” Ma też wrażenie, że „już od dziesięcioleci, część twórców

dała się nabrać na absurdalną nowomowę (...).” Uważa ich za dotkniętych chorobą, która „bezcelnie atakuje tych, którzy potrafią zadziwić wartościami, harmonią i sensem istnienia (...)” oraz, że „(...) trudno zaistnieć prawdziwemu artyście”. Tylko tutaj miałabym wątpliwości, bo kim jest „prawdziwy artysta”? Wolałabym raczej określenie „inny twórca”.

Trudno, Pani Bożeno! Teraz ja odważnie zaryzykuję tezę, z którą, być może, Pani się nie utożsamia: Otóż mam wrażenie, że chorują wszyscy krytykujący twórczość Marii Rodziewiczówny. Zараźliwa, trwająca prawie wiek zмова potępienia. Czego? Stylu, dzięki któremu jej utwory czyta się jednym tchem? Skrótościwość opisów, które nie zanudzają, a tworzą odczuwalną atmosferę miejsc akcji? Postaci o silnie zarysowanych osobowościach, które błędzą, wystawiane są na pokusy, ale w ogólnym rozrachunku pozytywni bohaterowie zwyciężają. Pozostali mają wady, jak nieurodzaj, czy złą pogodę? Tak zdarza się i już. Wspaniała filozofia! I co w tym złego, czy szkodliwego? Jeśli dopatrywać się tu dydaktyzmu, to jest on podany w bardzo nie drażniący sposób. Nawet nuty patriotyzmu nie są zbyt nachalne.

Czy nie jest tak, że krytyka nie ma się nad czym rozwodzić, więc trzeba skwitować jednym słowem: *szmira*. A że czyta się dobrze, że podnosi na duchu, że daje nadzieję, że gloryfikuje macierzyństwo, przywiązanie do ziemi, że kobiecie przypisuje rolę przynoszącej ideały, co to komu szkodzi? Nie szokuje, to fakt. Uważam, że jej twórczość jest piękna, mimo że jest to szalenie źle przez współczesnych twórców przyjmowane określenie. I nie tylko przez literatów, ale również malarzy czy rzeźbiarzy. Oni nie chcą się podobać. Oni chcą zaistnieć, zaznaczyć się innością. „Piękne”, cóż to znaczy?

Kiedy po raz kolejny czytałam „Macierz” (mogę zacząć w dowolnym miejscu i czytać tak długo, aż nie skończę, zamarzyła mi się jej ekranizacja. Wymyśliłam sobie, że Magdę-Pokotynek mogłaby zagrać Magdalena Stuzżyńska, a Magdę-Macież (już po chorobie) – Joanna Szczepkowska. Leśniczego Szczepańskiego, co wilkiem patrzył, a serce miał wrażliwe – Bogusław Linda.

Oby preczucia Bożeny Zys, dotyczące powrotu wartości, sprawdziły się. Myślę, że po latach obsceniczności i szokowania nie grozi nam przesłodzenie. Wierzę, że się uda.

Jerzy Stanisław Czajkowski

Czy umarła?

Że literatura polska obecnie umarła twierdzi jeden z pisarzy krakowskich w wydanej w 1995 roku przez Oddział Krakowski ZLP książce pt. „Krytyka, krytyka, krytyka”. To prawda, że jest wielka w Polsce bieda dla literatów i literatury. Na kulturę w budżecie państwa przeznaczają się ok. 1% rocznie. Minister mówi, że walczy o 2%, ale bez skutku. To znaczy, że tylko mówi. Część starszych pisarzy przymiera głodem /niskie emerytury, nikt nie płaci honorariów za utwory, choć bywają drukowane/. Obecnie, by wydać książkę autor musi sam ją sfinansować. Trafiają się co prawda niekiedy mecenas, ale to rzadkość.

Głosi się opinię, iż w społeczeństwach wolnego rynku, zachodnich, nikt nie sponsoruje kultury, w tym literatury. To nieprawda! W USA na przykład istnieje *mądra* ustawa o zwalnianiu od podatków sponsorów kultury, sztuki, w tym lite-

ratury/ /Za swoje wiersze drukowane w USA otrzymałem duże honorarium/. Znany pisarz krakowski i profesor UJ – Jacek Kajtoch twierdzi, iż „tak bardzo skarłato, wręcz sparszywiało u nas życie literackie. Książki nie docierają do publiczności, bo nikt o nich nie informuje. Recenzja prasowa zanikła, nieliczni żyjący recenzenci trzymają się uporczywie utartych opinii, że postępują według puerylistycznej zasady: „Zły jest każdy kto nie należy do naszego klubu”. Profesor uważa, iż nasza krytyka literacka to fałszywe autorytety. W dodatku jej ułatwiają zaniżenie ocen rozdęte wielkości, jak na przykład Czesław Miłosz, który w latach trzydziestych XX wieku mówił, że „Polska szła na prawo i właściwie faszyzowała się”.

Odpowiadam: Polska po odzyskaniu niepodległości, po zaborach, grabieżach z trudem wiązała koniec z końcem. Po szpiclowaniu na rzecz ZSSR tysięcy Żydów w Polsce /m.in. z KPRP,

partii żydowskich itd. Tylko zdrajcy pomawiali Polaków o rzekomą faszyczację. Szczególnie imputowali to niepodległościowcom po 1944 roku, oskarżając AK, NSZ, WIN, żołnierzy z PSZ na Zachodzie o współpracę z Gestapo.

W górnych strukturach środowisk literackich dominują postawy sobiepańskie, arogancja, lekceważenie reszty braci literackiej. Destrukcyjną rolę spełniała i spełnia wąż krytyka literacka, która operuje głównie laurkami w różnych recenzjach czy leksykonach. Często wielu wybitnych pisarzy wręcz pomija.

Marcin Stępień pisze: „Podział w środowiskach literackich podtrzymywany jest nadal, gdyż z pewnych względów okazał się dla niektórych twórców niezwykle dogodny. Pozwala bowiem /choć jest to ostonięte wzniosłą frazeologią moralną/ na dalsze korzystanie z taryfy ulgowej w ocenie ich twórczości, na wyeliminowanie konkurentów i trwałe zajęcie ich miejsca, co ma znaczenie nie tylko prestiżowe. W warunkach poddania życia literackiego prawom wolnego rynku jest również przekładalne na całkiem wymierne korzyści. Toteż ci, którzy mają dziś ułatwiony dostęp do środków masowego przekazu, do TV, radia, wysokonakładowej prasy skwapliwie podtrzymują podział pisarzy na pierwszą i drugą kategorię. Ci z „drugiej kategorii” są po prostu dyskryminowani”.



Robert Czop

Perły z prowincji

Jeżeli mamy mówić o współczesnej poezji, to nie możemy lekceważyć prowincji, która w swoich korzeniach, jakże często odbiegająca swoim kolorytem od innych dzielnic kraju, wcale nie musi oznaczać miejsca kulturalnie odległego od stolicy, głuchego i zapadłego. Wręcz odwrotnie, charakterystyczne i właściwe tylko dla określonego terenu zjawiska, mogą sprowokować do twórczenia wyjątkowej w swej oryginalności, a często nawet unikatowej twórczości, której nie znajdziemy poza obrębem oddziaływania danego miejsca lub środowiska. Już w starożytności podbite przez Rzymian terytoria, nazywane prowincjami, wcale nie odbiegały od rozwoju intelektualnego i kulturalnego ludzi zamieszkujących Rzym, a wręcz odwrotnie przewyższały zamieszkujących to miasto obywateli swoją tradycją i odciśniętymi silnie piętno w architekturze i literaturze mieszkańców, zamieszkujących obszar zabudowany na siedmiu wzgórzach.

Taki właśnie klimat niecodzienności ma w sobie poezja bieszczadzka, która promieniuje pięknem krzyżujących się i dostosowujących do siebie wielu kultur. Co doprowadziło do powstania pewnej niepowtarzalnej uniwersalności, stojącej ponad wszelkimi granicami, jakie stwarzała i wciąż stwarza człowiek, aby pograć swoich bliźnich i przy okazji siebie samego w koszarze bólu i cierpienia. Również przyjazd w te tereny osób z innych części Polski, przyczynił się do wprowadzenia i rozpowszechnienia obrazu osadnika, który miał przypominać kowboja z westernu, przyjeżdżającego na koniu do swojego bieszczadzkiego rancza. Uderzające jest to, że mimo otwartości na zachód wcale nie zapomina się o tutejszych tradycjach i historii, a wręcz odwrotnie, wydobywa się ją na powierzchnię jak drogocenną perłę z dna oceanu. Poeci z tych stron przeglądają swoje drzewa genealogiczne i odkrywają swoich dziadów i pradziadów Hucułów, górali zamieszkujących Karpaty Wschodnie.

Wprawdzie Bieszczady nie miały takiego znaczenia jak Tatry w okresie Młodej Polski, gdzie mieszkali i tworzyli tak wielkie indywidualności, jakimi niewątpliwie byli **Kazimierz Przerwa-Tetmajer** i **Jan Kasprówicz** oraz wielu innych, którzy wpisali się na stałe w krajobraz literatury

polskiej, ale i tutaj po klęsce powstania listopadowego przebywali tak ważni autorzy zbiorów poezji jak: **Wincenty Pol**, **Seweryn Goszczyński** czy **January Poźniak** zapomniany poeta polsko-ukraiński, o którym w jednym ze swoich wierszy pisze **Janusz Szuber**, współczesny poeta z Sanoka, przedstawiając nam postać tego XIX – wiecznego piewę niezapomnianych wrażeń, jakie doznał, mieszkając w Hoczwi. Również **Jan Szelc**, nazywany „*bardem bieszczadzkim*”, gdyż, jak pisał o nim **Andrzej Burghardt**, na poetyckiej mapie Bieszczadów zajmuje miejsce szczególnie, poświęca jeden ze swoich utworów pamięci **Zygmunta Kaczkowskiego**. Już te dwa wybrane przykłady udowadniają, że żyjący dzisiaj na tych terenach twórcy z Ziemi Sanockiej, nie zapominają o historii tych ziem oraz godnych pamięci jej synach, co świadczy o ich szacunku dla regionalnej twórczości, która jak na razie wychodzi zwycięsko z wpływami, przychodzącymi z innych stron kraju oraz z zagranicy.

II wojna światowa i pierwsze lata po wojnie, stają się dla wielu mieszkańców tych ziem prawdziwym kataklizmem, z którym nie potrafią się pogodzić i o którym nie mogą zapomnieć. Niewątpliwie **Leon Chrapko** należy do pokolenia „*porażonego*” tamtym czasem i to tym okrutniej, że był wówczas jeszcze dzieckiem. Z tego też powodu w jego poezji krajobraz bieszczadzki jest tylko tłem dla jego rozważań nad cierpieniem tej ziemi. Ale nie tylko przeszłość decyduje o formie dzisiejszej poezji z tego regionu, ponieważ odnajdujemy poetyckie obrazy życia codziennego, wędrówki po górach, opisy bieszczadzkiej indywidualności, które tutaj prowadzą żywot pustelników lub wolnych od wszelkich zależności i ograniczeń miłośników gór i bukowych lasów. Świat ten możemy znaleźć także w wierszach **Zdzisława Pękalskiego**. Niewątpliwie jednak tym, która najbardziej ukochał te zielone wzgórza był **Jerzy Harasymowicz**. W jego utworach pojawia się piękny pałac z mgieł, a w oddali, na tafli jeziora, kołysze się biały żagiel. Obok pięknych widoków, podsuwających wyobraźni przeróżne porównania i metafory, wśród śpiewu ptaków i zachwycających kobierców, zadziwiających bogactwem kwiatów, zawsze znajdziemy najdroższą pocie osobę – żonę.

Współczesna poezja bieszczadzka jest niewątpliwie bogata, a to bogactwo wynika z historii i tradycji, które niewątpliwie miały niezaprzeczalny wpływ na to, co dzisiaj piszą, zamieszkujący te strony piewcy, obdarowani niezwykłymi darami przez Muzy. ✪

Witold Witkowski

Wiersz na kłamce

Gdyby poezję pisano tylko i wyłącznie „*do szuflady*”, i gdyby nie było poetów utrzymujących się z poezji, można by wtedy pominąć zupełnie problem istnienia czytelników. Nie da się również zbagatelizować go stwierdzeniem, że poezja jest sztuką wysoką, sztuką trudną, wymagającą, więc nie może być dla wszystkich, nie może być masowa. Warunkiem istnienia poezji jest właśnie czytelnik, odbiorca, adresat, którego poszukują autorzy, za którym tęsknią. Poezja istnieje, gdy jest czytana. Fundamentalnymi dowodami na istnienie poezji są: poeci, wiersze i czytelnicy. Najślabszym ogniwem dowodowym jest wiersz, bowiem forma istnienia poezji nie musi ograniczać się do wiersza. Natomiast poeci są po to, żeby poezję odkryć i przekazać odbiorcom. Właśnie sposób jej przekazywania powoduje do życia czytelników, i w zależności od stopnia atrakcyjności przekazu tworzy elity czytelnicze lub masy.

W czasach kiedy czytających słowo drukowane ubywa, kiedy trud czytania przegrywa z łatwością oglądania, a raczej gapienia się, kiedy skrót jest jedyną istotną formą porozumiewania się, jaka ma być współczesna poezja? Jak zdobywać odbiorcę tkwiącego w takim kanonie oczekiwań?

Spełniając jego oczekiwania, a jeszcze lepiej stosując kompromis pomiędzy jego oczekiwaniami a zdrową tkanką poezji, czyli między niskim a wysokim. Niskim, bo schlebienie przeciętnemu gustowi jest dla „*sztuki wysokiej*” nie lada przeszkodą. Nie można przecież doprowadzić do paradoksalnej sytuacji, w której pisze się pod statystycznego czytelnika. To byłaby recesja sztuki. Widać zatem, że trudna to materia, że kompromis właśnie jest niezbędny, ale istnienie wymaga ofiar. Współczesna poezja w duchu tej ofiary powinna być na pewno łatwa w czytaniu. Zaletą wiersza jest jego skondensowana forma, która daje czytelnikowi możliwość przeżycia w krótkim czasie tych samych emocji co w dużo dłuższych formach epickich. Krótka forma daje również dużo większe możliwości rozpowszechniania. W gruncie rzeczy można z dużym uproszczeniem traktować wiersz jako produkt. Produkt, który ma być sprzedany wymaga reklamy, przekonania nabywcy do jego atrakcyjności i wyjątkowości, stworzenia właściwego klimatu dla odbiorcy. Sprzedanie wiersza, który jest łatwy w odbiorze, stosunkowo krótki, dowcipny i na tyle mało biograficzny, że uniwersalny, to „*sztuka*” (sztuczka?) dużo łatwiejsza niż promowanie wiersza tkwiącego gdzieś w odległej abstrakcji czy zbyt głęboko w jakimś nieczytelnym biografizmie. W snującej się wizji marketingowej widzę wiersz obecny w prasie codziennej, na słupach ogłoszeniowych, w środkach komunikacji publicznej, w ulotkach, ulotki z wierszami leżące w kałużach. Wracając do domu po pracy chciałbym znaleźć broszurę z wierszem (kilkoma wierszami), zaczeponą za kłamkę, jak oferty sprzedaży z marketów. W skrzynce pocztowej podrzucony wiersz, to podrzucona radość. Radość dla każdego. Później moda na wiersze, więc wiersz mógłby stawać się trudniejszy. Ach jaka radość, kiedy potrafię już odczytać wiersz prawie tak samo jak krytyk, który dopisał pod wierszem krótką, zrozumiałą analizę jego treści.

Kiedy tak ubolewałem, między wierszami, w trakcie pisania tego tekstu, nad niezrozumiałością współczesnej poezji, trafiłem w „*ORDZIE*” na wiersz **Hamkały**, który był współczesny, zrozumiały i dowcipny, który był ucieleśnieniem moich oczekiwań co do cech poezji, która się sprzedaje. Więc taka poezja już jest, uświadomiłem to sobie i nie tylko świadczy o tym wiersz **Hamkały**. Wystarczy więc wyjść z tym wierszem (wierszami) na ulicę, do tłumy i zdobyć tłum. Potrzebna jest taka poetycka rewolucja! ✪

Anna Błachucka

Stare – jak rym!

Czemu się boisz rymu, usiłując dociec...
Wszak teraz w dobrym tonie cenić jest – starocie.
Odrzuca się paździerz, ceni lite drewno,
uwielbia gładź jedwabiu, bawełny przewiewność,
i leki się zażywa z natury bogatej,
wełna i trzcina zdobi nowoczesne chaty.
Gdzie dziś Pani Poezja posunąć się zdoła
na naszych kiepskich drogach i kanciastych kołach?

Jak poezja poezją i świat światem
- wierszowi treść była ziarnem, a rym kwiatem!

Jest to mój głos w dyskusji o rymie i werslibrze. Zapoczątkowanej przez **Stefana Pastuszewskiego** („*Akant*” 2000, nr 1, s. 1,11,34), a twórczo rozwiniętej przez: **Wojciecha Borosa** („*Akant*” 2000, nr 5, s. 10), **Bożenę Budzińską** („*Akant*” 2000, nr 9, s. 20-21), **Cezarego Tajera** („*Akant*” 2001, nr 3, s. 25-26), wreszcie **Zbigniewa Szwej** („*Akant*” 2003, nr 8, s. 43).



Sprawa Miłosza i Szymborskiej

Ariana Nagórska

Kity elity, czady gromady

„Najwyższy czas, aby na pole bitwy o Szymborską i Miłosza wkroczyła cięższa, a więc lepiej uzbrojona jazda” - napisał do mnie w liście Stefan Pastuszewski. Jazda mogłaby się w polskim bagienku poślizgnąć, uruchomię więc superfortecę. Od razu zaznaczam jednak, że nie będę noblistów ani zaciekle bronić, ani też bezpardonowo atakować, bo to byłaby walka konwencjonalna, z czołganiem się w błocie, asekuracyjnym odwoływaniem się do „autorytetów” pierdzących w ważne stolki lub gnijących pod ziemią, z pobrzękiwaniem szabelkami, z piechotą bosonogich posiadaczy ostróg, wyrwijających sobie upaprane sztandary. Nie mam chęci kisić się w tradycyjnych okopach. Ten bigos trzeba zagotować na ostrzejszym ogniu!

Zacznę od tego, że nobliści poetyccy to dla mnie nie żadne tam odległe gwiazdy, tylko MOJA PODRĘCZNA WŁASNOŚĆ! O tym, jak tę własność mam wyceniać, kiedy z niej korzystać, a kiedy dać sobie spokój, decyduję wyłącznie ja, a nie Michnik, Bocian, Błoński, Salamon, Herbert, Urban, Glemp, czy ktokolwiek inny. Prawdę powiedziawszy, każdy bez wyjątku widz, słuchacz, czytelnik ma tego typu władzę nad osobami publicznymi, tyle że mało kto wie, co z nią robić. Większość czeka, aż ktoś im powie, co sądzić na temat sław, a ponieważ każdy „ekspert” gada co innego, poszukiwacz autorytetów szybko doznaje pomrocności jasnej.

Czyjaś sława to pożywne żarcie albo też narkotyk dla mniej sławnych. Każdy z nich sam musi zdecydować, czy chce się najesć, odurzyć, czy zatruć. Dlatego też reakcje na cudzą sławę bywają krańcowe: od histerycznego uwielbienia i ekstatycznych orgazmów na sam widok idola, poprzez podziw, szacunek, poznanie i uznanie jego osiągnięć, analizę wszystkich za i przeciw, zdroworozsądkowe zbadanie, na ile mnie to obchodzi, a na ile zwisa, lekceważenie, ignorowanie, ataki finezyjne i niewybredne, zawiść, a w końcu nienawiść. Moją postawę określa głównie to, co zaznaczyłam tłustym drukiem.

Jeśli chodzi o Nagrody Nobla, nic nie poradzę na to, że do końca mych dni najbardziej im-

ponować mi będą nobliści-fizycy, w literaturze zaś bardziej powieściopisarze niż poeci. Wynika to po prostu stąd, że w fizyce na pewno nic wielkiego nie wymyślę, powieściopisarką też raczej nie zostanę, natomiast wiersze, jakie tylko zechcę, mogę napisać sobie sama. Poetów- noblistów traktuję jak starszych kolegów po fachu i mam dla nich nie tyle nabożny podziw, ile zwykłą, ludzką sympatię. Stąd też moja POBŁAŻLIWOŚĆ, gdy czasem raczę zauważyć, że coś mi się w nich nie podoba. Na przykład komunizm popierali zbyt krótko i zbyt anemicznie jak na mój gust, ale nie czynię im z tego zarzutu. Przynależność do zadufanego i roszczeniowego SPP też im w drodze wyjątku mogę wybaczyć. Wolę pocieszać się naiwną myślą, że opuścili szeregi ZLP nie z oportunistycznym, tylko ze strachu przed harcownikiem Strzelewiczem. Ich religijności w ogóle nie smiem oceniać, gdyż mimo całej swej pychy nigdy nie uważałam się za Pana Boga. Przypnę, że jeden raz wstyd mi było przed uczciwymi ludźmi za naszego noblistę, ale i ten smrodliwy eksces usiłowałam zbyć żartami. Było to wtedy, gdy wraz ze swym na pół zdechłym „Pieskiem przydrożnym” wystartował z chciwości w dochodowym konkursiku Nike, z góry wiedząc, że zgarnie kasę za tego knota, bo przecież lokalne wazeliniarstwo nie może pominąć światowej sławy. To mniej więcej tak, jakby Pavarotti wystąpił z piosenką „Wlazł kotek na płótek” w Szansie na Sukces!

Choć jako maksymalistka wolałabym, aby nobliści byli w swej dziedzinie bezkonkurencyjni, nie szokuje mnie zbytnio fakt, że w kraju żyli i żyją niezbyt reklamowani poeci ciekawsi od laureatów. Tłumacze dostaliby fiksum-dyrdum, gdyby zechcieli tych fantastów i kaskaderów lingwistycznych w miarę adekwatnie Zachodowi uprzystępnąć. Trzeba się zadowolić tym, co realnie i za wiele nie wymagają.

Wedle mej (bardzo patriotycznej, jak przypuszczam) opinii, niezależnie od tego, jaki Polak i za co dostałby Nobla, wszelkie względem niego zastrzeżenia automatycznie stają się sprawą DRUGORZĘDNĄ wobec faktu rozslawiania Polki w świecie. Nawet jeśli to będzie Wałęsa, wy-

pada jakieś zadowolenie okazać. Raz już powiedziałam w „Akancie”: *cieszę się, że dostał Miłosz, a nie Herbert*, ale gdyby zaistniała alternatywa: albo Herbert, albo nikt, bez wahania byłabym za Herbertem.

Panuje przekonanie, że w Polsce każdy zna się na leczeniu. Gdzie dwie osoby, tam dziesięć diagnoz. Nie zauważyłam jednak, by dyskusje medyczne budziły w naszym społeczeństwie aż takie emocje, jak poezja. W tej dziedzinie „ekspertów” jest chyba znacznie więcej. Ponieważ jednak nie samym nierządkiem ekspertów Polska stoi, postanowiłam też zasięgnąć opinii poza kręgiem elit napędzanych parą w gwizdek.

Skoro czas wakacyjno-urlopowy sprzyjał wypadom w tak zwany teren, zapragnęłam dowiedzieć się, co sądzi o polskich noblistach ludgłodujący miast i wsi. Jako urodzona prowokatorka sformułowałam (wbrew elementarnym naukom socjologów) pytanie wrędnie tendencyjne, stanowiące ekstrakt wyziewów polskiego piekła. Brzmiało ono: *Czy nie oburza Pana(i) fakt, że demoralizowany Zachód poprzez literackie Nagrody Nobla przyznał ogromne pieniądze za bezbożne wiersze dwojgu byłym komuchom, podczas gdy bogobojny, wstawiony obaleniem komuny naród przymiera głodem? Oto garść odpowiedzi:*

- Nie mój cyrk, nie moje małpy.
- Lepiej dać komuchom, niż wcale nie dać.
- Kapitalista za bumelkę by nie płacił. Musieli te komuchy być robotne.
- W gospodarce syf, kiła i mogiła to i ludziom idzie do głowy. Z niejednego świrusa wychodzi potem geniusz. Nic nowego.
- Wszędzie uchodzimy za przygłupów, to może się choć po tych Noblach na lepsze odmieni. Pech tylko, że dali za wiersze, a nie za coś porządnego.
- Nie czytam wierszy bezbożnych, a religijnych tym bardziej.
- Lepiej, że dają za pisanie jak za strzelanie.
- A ja im tam za cholerę tego szmalu nie zadroszczę. Wiersze pisać, to k... gorzej niż gnój rozrzucić!
- Grunt, że ta forsą trafila do Polski. Styszałem, że nawet ten, co za granicę uciekł, po Noblu wrócił do kraju i chatę se kupił. Taki w gównie przecie nie będzie mieszkał, to na pewno zdrowo bulił za wyposażenie w wygody. Koleś jest w porządku, bo kręci biznes dla nas, a mógłby dla obcych.
- Znowu jakieś taliby bruzdzą, że wygrała kobieta!

Wyraziwszy wszystkim swym rozmówcom-nieliteratom najszczerze uznanie dla ich zdrowego rozsądku, wynagrodziłam groszem niepublicznym, poczęstunkiem i licznymi toastami dwie następujące wypowiedzi:

- Po to kurde komunę obalalim, żeby nam Zachód zaczął dawać. A jak tera dał po światowemu, to od razu na zadupiu poruta. Polnische Wirtschaft!
 - Niech mi tu tylko pani nie wciska, że ta kasa co odgórnie poszła na Noble, powinna iść na dokarmianie naszych wielodzietnych. Co innego kultura, co innego zoologia.
- Choć ognista ekspresja pierwszej wypowiedzi i zimny, precyzyjny sarkazm drugiej zrobiły na mnie spore wrażenie, z ostatnim cytowanym zdaniem jakoś trudno mi się zgodzić. Na przykład niechęć i agresja wobec osobników wyróżniających się ze stada cechuje zarówno zwierzęta, jak i całkiem licznych twórców kultury. ❁

Golonka po bawarsku
to nasza specjalność

Restauracja WKS „Zawisza”

Bydgoszcz, ul. Gdańska 163

w dni powszednie 7.00-21.00

sobota, niedziela 13.00-18.00

Organizujemy wszelkie imprezy okolicznościowe

Telefon (052) 378-24-76



Sprawa Miłosza Szymborskiej

Jarosław Jakubowski

Sąd krasnoludków

W „Akancie” 2003, nr 9 (74) odbyło się coś na kształt sądu nad Wisławą Szymborską i Czesławem Miłoszem. Tak, bowiem jako sąd niemalże kaptur(k)owy, odebrałem teksty mające „zdemaskować” prawdziwe oblicze naszych nobliwych noblistów.

Przywołajmy główne tezy „oskarżenia”. Zaczyna Arkadiusz Frania, który po ostrożnych orzeczeniach, że twórczość, a przynajmniej dużą jej część, Szymborskiej i Miłosza uznaje, i to uznaje za wartościową, zastanawia się, czy nadeszła już pora, aby mówić o „Sprawie Szymborskiej i Miłosza”. Tu dotykamy sedna, na którym wspiera się w zasadzie konstrukcja całego „oskarżenia”. Nasi „demaskatorzy” i – w zamierzeniu – demystyfikatory robią wszystko, aby pokazać, że z ową „sprawą” mamy do czynienia. Jakaż to „sprawa”?

A. Frania spieszy z prokuratorskim wyjaśnieniem: w przypadku Szymborskiej chodzi o socjalistyczny epizod w biografii, socrealistyczny mocno, bo oprócz wierszy wiernopoddanych wobec stalinizmu, noblistka ma na koncie podpisanie listu „Literatów krakowskich”, potępiającego „szpiegów amerykańskich związanych z krakowską Kurią Metropolitalną”. Rzecz ta jest znana chyba wszystkim ludziom, których obchodzi rodzima literatura w ogóle, a poezja w szczególności – a więc żalostnej garsteczce. I nie pomogą nawet najbardziej gromkie prokuratorskie mowy – pozostanie garsteczka znana, nawet jeśli sprawa dotyczy osoby noblistki.

„Prokurator” Frania przywołuje na pomoc opinię „biegłych” i w postaci licznych cytatów, czy to z książki Marianny Bocian, Eryka Ostrowskiego i Joanny Chalmon, czy to z tekstów Konrada Strzelewicza (uparcie starającego się „odbrązować”, a przy okazji – dokumentnie zgnoić Miłosza). W „sprawie” tego ostatniego A. Frania przypomina, że po wojnie, do 1951 roku, poeta był „pieszczoszkim reżimem”, dyplomata i żyło mu się całkiem wygodnie. Dziwnie to zbieżne z tezami ówczesnej stalinowskiej propagandy, która ucieczkę Miłosza przedstawiała jako zdradę koczowniczą, goś, kto tyle lat spijał śmietankę z ręki władzy, dziwne też, że „oskarżyciel” nie przypomina o tym fakcie. Przypomina za to dość głośną aferę ze zlikwidowaniem młodoliterackiego dodatku do „Odry”, a nazywającego się „Orda”. „Orda” według A. Frani została skasowana, bo młodzi podwazyli się podnieść rękę (coż, że uzbrojoną jedy- nie w długopis) na naszego narodowego Orfeusza. Czytałem tekst Marcina Hamkały, który miał być odpowiedzią bodajże na „Traktat moralny” i doprawdy nie rozumiem jak można robić awanturę wokół rzeczy tak błahych. Jak to dość trafnie ujął naczelny „Odry” – utrzymanej w stylistyce gazetki studenckiej. Ale nie znalazłbym realiów środowiska młodoliterackiego, gdybym nie wiedział, że właśnie o wrzawę „Ordowcom” szło. A. Frani nie przeszkadza to jednak w użyciu wrocławskiej wojenki jako argumentu na rzecz „nieetykalności” Miłosza w naszym piśmiennictwie. Na deser dodaje kilka ustępów o rzekomym antykato- licyzmie i wręcz antypolonizmie poety (tu znowu powraca wielokrotnie wykorzystywany w „oskarżeniu” K. Strzelewicz). Dostaje się Miłoszo- wi – literaturoznawcy i Miłoszowi – „wrogowi” Herberta i (sic!) Gombrowicza.

Na jakieś – godne zbadania przez całym in-nych specjalistów – kuriozum zakrawa fragment tekstu A. Frani, z którego wynika, że Miłosz to ni mniej, ni więcej, tylko kolejne ogniwo „ukrytego nurtu” literatury polskiej. Ponownie posiłkując się „opinią biegłych”, autor wyjaśnia, że ów nurt, ukryty został dla oczu maluczkich (ale przecie nie naszych demaskatorów!). To taka jak- by sztafeta pisarzy przekazujących sobie w ta- jemny sposób straszliwą wiedzę: w 2006 roku zakończy się „potop kulturowy” w Polsce. Czy- telnik natomiast powinien zastanawiać się kiedy skończą się te banialuki.

Swoją tyradę kończy A. Frania zarzutem nokautującym: Miłosz, wyobraźcie sobie, dba o autoreklamę! Rzeczywiście, pisarz, który o to nie dba, jest lepszym pisarzem.

Ale szanowna redakcja nie zakończyła na tym rozprawy („nad” lub „z”) Szymborską i Miłoszem. Dodała bowiem do głównej mowy oskar- życielskiej coś w rodzaju Glossy autorstwa Stanisława Stanika. Dowiadujemy się z niej, z kim biesiaduje S. Stanik (z towarzyszem „antylewi- cowym”) i kto zapładnia jego wyobraźnię (Stefan Pastuszewski), ale także – że w swojej bibliotecze S. Stanik „widziałby” również tomiki W. Szymborskiej. Uff, a już myślałem, że S. Stanik pali nimi w piecu. Jego wkładem (S. Stanika, nie pieca) do wnikliwej recepcji twórczości W. Szymborskiej jest określenie jej wierszy mianem: „świeci- delka”, co jak z radością konstatuje autor – przy- pomina określenie S. Pastuszewskiego (on nazwał je „szklanymi koralikami”). Z całego tego tekściku, zionącego nieporadną egzaltacją, rozumiemy mniej więcej tyle, że S. Stanik lubił dawniejsze książki autorki „Wolania do Yeti”, ale te nowsze (ze szczególnym wskazaniem po – Noblowej „Chwili”) to już go nie zachwyciły.

Oskarżenie noblistów opiera się na czterech „akantowych” kolumnach – tę czwartą jest „vo- tum nieufności” jakie złożył Piotr Rakowski. „Twórczość Wisławy Szymborskiej nie ujawnia rany jej serca” – pisze nieufny, choć równie dobrze mógłby napisać: „Twórczość Wisławy Szymborskiej nie opo- wiada o życiu Eskimosów”. Literatura jest polem wolnego wyboru, gdzie pisanie o „ranie serca” i Eskimosach jest równie uprawnione i przez autora (ni- kogo innego) uprawomocnione. „W poezji tej nie ma dramatu podmiotu, spowodowanego mówieniem prawdy o socjalistycznej rzeczywistości”. Tutaj P. Rakowski, chcąc nie chcąc, demaskuje się jako rasowy marksista, bo tylko marksista dzieli rze- czywistość na socjalistyczną i niesocjalistyczną. Rasowy pisarz ma jedną, jedyną rzeczywistość i albo ją opisuje, albo się od niej odwraca. Nie wiem, co zyskałaby poezja W. Szymborskiej, gdyby znalazł się w niej – jak chce P. Rakowski – „problem wzajemnych zależności jednostki i systemu totalitarnego komunizmu”. Na pewno upodobni- łaby się do politycznego manifestu. Polemista natomiast chce, aby polski poeta nigdy nie zapom- niał, że jest Polakiem, że jest unurzany w histo- rii i, żeby daty krwawych zrywów potrafił wy- rzucić z siebie jak karabin. „Ja, poeta, buntownik z wyboru przeciw złu świata, w którym musiałem żyć, stojąc wówczas bliżej ży- cia, stałem bliżej poezji, która mia- ła ów autentyzm przeżycia wyra- zić”. No proszę, P. Rakowski się buntował, a W. Szymborska co? O tych swoich mróweczkach, uciekających sekundach, o mi- łości i innych takich duperelach pisała.

Teraz P. Rakowski z wła- ściwą sobie skromnością pisze, że język jego poezji był „próbą przedarcia się do nowych rejonów, aby oświetlić je nowym rodzajem światła”. Przypnie, że w dzie- dzinie autoreklamy nawet C. Miłosz mógłby u P. Rakowskie- go pobierać nauki...

No dobrze, było trochę do śmiechu (?), a teraz nieco po- ważniej. Nie jestem fanem po- ezji Szymborskiej i Miłosza. Nie wiem, czy słusznie dostali No- bla. Kiedy otrzymywał go Mi-łosz, miałem sześć lat i litera- tura nawet mi się nie śniła. Kiedy Nobel trafił do Szymborskiej byłem głęboko przekonany, że ten laur należy się Herbertowi. Oboje poetów, tak jak wszyscy poeci na świecie, mają na swo- im koncie lepsze i gorsze wiersze, lepsze i gorsze książki. Nie podzielam większości poglądów Wisławy Szymborskiej i Czesła- wa Miłosza. Nie lubię ich przy- wiązania do michnikowych ła- mów i nigdy nie zapomnę AU- TORCE „Dlatego żyjemy” za-

mieszzonego tam paszkwilanckiego wiersza „Nienawiść” – w dzień po postkomunistycznym zamachu na rząd Jana Olszewskiego. Wreszcie – tak jak wołę kolor niebieski od koloru czerwone- go, tak wołę Tkaczyszyna-Dyckiego od Miłosza. To kwestia mojego wyboru, moich preferencji, to (znowu kłania się Herbert) „kwestia smaku”.

Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, aby ocenę wyborów moralnych przenosić na ocenę twórczości literackiej i jakiegokolwiek innej. Nie tyl- ko dlatego, że nie czuję się powołany do ferowa- nia ocen moralnych, ale także dlatego, że nie jest mi to w niczym potrzebne do czytania. Przecież kiedy czytam wiersz, nie zastanawiam się jakim jego autor jest mężem, żoną, ojcem, matką, oby- watelem. Zamiast zaprzętać sobie tym głowę, zachwyam się (albo nie) doborem środków arty- stycznych i ich „wykonawstwem”. Przecież jeśli wiersz jest dobry (albo niedobry), to nie znaczy, że jego autor jest dobrym (albo złym) człowie- kiem. Powtarzam raz jeszcze – literatura jest po- lem wolnego wyboru, na którym pisarz może wyprawiać co mu się podoba. Może rozliczać się ze swoich grzechów, ale nie musi tego robić.

Rozumiem oczekiwanie ekspiacji, zwsz- cza od ludzi, od których choćby z racji wyroku Akademii Szwedzkiej można oczekiwać ciut wię- cej niż od innych. Rozumiem, ale protestuję prze- ciwko urządzaniu sabatów, w których miesza się postulaty czysto literackie z postulatami etycznymi. To nie rola pisma literackiego, a raczej księdza na ambonie. Będę bronił integralności literatury i jej niezależności od wszelkiej maści ideologów, na- wet jeśli ich usta są pełne „słusznej prawdy”.

Oczekiwanie od pisarza, że będzie „bunto- wać się przeciwko złu tego świata” i, że w tym bun- cie będzie „ujawniał ranę serca” jest taką samą naiwnością, jak oczekiwanie, że dyskusja wywo- łana na łamach „Akantu” spowoduje jakąś wolę w świadomości czytelników Szymborskiej i Miłosza. Nie jest to zresztą pierwsza taka dyskusja. Od dobrych kilku lat zwłaszcza pisma młodoli- terackie chętnie zamieszczają teksty – kopniaki wymierzone w „szacowną dwójkę”. Wtórąją im nie- kiedy starsi koledzy po piórze. Łączy ich jedno: kopiąc po łydkach Czesława i Wisławę sami chcą zostać zauważeni. Ale – jak pokazują cztery ko- lumny „Akantu” – czasem lepiej nie obnosić się ze swoją śmiesznością.

Jarosław Jakubowski

Zamiast post scriptum albo chłopcy z naszego podwórka dostali chłopcy wolność i pozamykali się sami. Skotowani pokazują sobie różne części ciała, na mięsie języka budują swoje podwórko.

Tam można mieć lat czterdzieści i nadal uchodzić za chłopca, tam wiersze rodzą się ciężkie i ciemne, ale nie mają wagi, a ich ciemność jest mrokiem wychodka. Są chłopcy, którzy bawią się w opis podwórka i z zapalem Linneusz przyszpilają w gablotach martwe kategorie. Jeden chłopiec, co wołają go barbarzyńca, ciągle się bije z takim jednym klasycystą, inni stoją w kółeczku i klaszczą. Wydaje się, że mógłby ich pogodzić ten trzeci, ale wciąż nie nadchodzi, choć niejeden po cichu wierzy, że nim jest.

Chłopaki celują z proc w znuzonych olbrzymów o pięknych nazwach Miłosz i Wisława – na szczęście nie brak takich, którzy już przestali udawać, że nie są malutcy. Przy nich przynajmniej można się zdrowo pośmiać.

Tak, ale to tylko ciasne podwórko, poza tym mamy całe nieopisane kwartały, miasto, państwo (państwo wiecie, co mam na myśli). Przeczuwają to bladzi, chłopcy, którzy siedzą po kątach podwórka i nieobecny wzrokiem patrzą na gry i zabawy. Oni po kryjomu układają traktaty

o dziewczynkach z zapalkami i w myślach umieszczają ładunki moralne w murze swego getta.

Nikt ich nie lubi, więc dla świętego spokoju uczą się na pamięć modnych powiedzonek.

Własnym głosem rozmawiają tylko z ptakami, które czasem wlatują do studni podwórka. Chłopcy dają im okruchy przesłania

Sprawa Miłosa i Szymborskiej

Stefan Pastuszewski

Jest i... szkoda

W ramach nieoczekiwanej rozwijającej się w „Akancie” dyskusji pod roboczym tytułem „Sprawa Miłosa i Szymborskiej” muszę napisać co następuje:

1. Sprawa jest.

2. Wynika ona – poza nielicznymi przypadkami wybujałej ideowości – przede wszystkim z odwiecznej ludzkiej skłonności do górowania nad innymi, skłonności, która tym razem przejawiała się w formie „sportowej złości” pod hasłem: „Bić lidera!” A Czesław Miłosz i Wisława Szymborska niekwestionowanymi liderami współczesnej literatury polskiej są. Co by tu nie mówić o Nagrodzie Nobla, to jednak dostrzega ona najlepszych, co wcale nie znaczy, że są to najlepszy. Jest jedną z wielu nagród, ale o mitycznym już prestiżu; obecnie, w świecie inwazji medialnej, znacznie niestety rozdmuchanym. Bo mass-media w swym czarno-białym obrazie świata, perfidnie wciskającym maluczkim, aby rządzić ich duszami, muszą mieć parę takich „niekwestionowanych” światłości. A mroki i tak się znajdują same.

Model poety, który się wciąż wywija i poetki, która jest ślepa politycznie funkcjonuje w życiu literackim od wieków, ale mówi się o nim teraz tylko dlatego, że dotyczy on noblistów. Gdyby C. Miłosz i W. Szymborska nie otrzymali tak wysokiej nagrody, to ich wybory i postawy moralne, tudzież polityczne, nie byłyby dziś na tyłu ustach.

3. Estetyka i etyka jury NN jest subiektywna – jak wszystko zresztą co ludzkie – ale też uśredniona, modna, au courant z obecnym czasem. Zderza się więc często boleśnie z etosami narodowymi, szczególnie tymi zaściankowymi, a więc bardziej konserwatywnymi, na przykład polskim. Etos ten nie może wybaczyć W. Szymborskiej gorliwej służby słowem (zbiory wierszy „Dlatego żyjemy” oraz „Pytania zadawane sobie” i liczne agitki w licznych pismach) reżimowi komunistycznemu i to w okresie najtrudniejszym

dla narodu – burzy i naporu tego nieludzkiego systemu, popartych rozstrzeliwaniem, wieszaniem i wbijaniem drzazg pod paznokcie. Tu aż się prosi krytycznie nawiązać do przekornej bagatelizacji tego zjawiska zaproponowanej przez A. Nagórską w felietonie „Ankiety i iluzje” („Akant” 2002, nr 12, s. 26).

W. Szymborska za to, że mąciła ludziom w głowach przeprosiła, co znaczy, że teraz już wie, iż postępowała wówczas błędnie. Gorliwi narodowcy, wypiekani w ogniu romantyzmu w edycji szkolnej (nie chcą oni jednak przyjąć do wiadomości, że A. Mickiewicz w okresie Powstania Listopadowego dekokował się w wielkopolskich dworach) i opowieści o bohaterskiej konspiracji z lat 1939-1989 (teraz podobno rodzi się już konspiracja antyeuropejska), nie chcą jednak przystać na wynoszenie na piedestał osoby, która „zmieniała poglądy polityczne w zależności od poglądów swoich kolejnych towarzyszy życia”. Nie chcą też zaakceptować „lisiej natury” Czesława Miłosa, która ułatwiała mu unikanie różnych życiowych min (np. sprytna, „na czasie”, ucieczka z PRL-owskiej, też gorliwej służby) i wyprzedzającą adaptację do szybko zmieniającej się sytuacji (E. Ostrowski: „Czesław Miłosz zawsze podporządkowuje się czasom”).

A przecież już Heinrich Heine (1797-1856) powiedział: „Sztuka jest dla sztuki, jak życie dla życia”. W zasadzie są to odrębne, jedynie w pewnych zakresach ząbujące się porządki, jak na przykład porządek Boski i ludzki.

Optymistyczne w tych bolesnych kolizjach etyki (a raczej cynizmu artystowsko wysferzowanych i globalistycznie nastawionych starców z Akademii Szwedzkiej) z etyką prowincji jest jednak to, że idealistyczną postawę wykazują mimo wszystko młodzi. Potwierdza to budującą tezę F. Znanieckiego, że młodość to zawsze niewyczerpany rezerwuwar idealizmu i entuzjazmu.

W odróżnieniu od zbławianych J. Podsiadły i M. Świątlickiego młodzi buntownicy P. Czerniawski i M. Hamkało z, padłej po jednym numerze „Ordy” (dziwię się zdziwieniom U. Kozioł i M. Orskiego, że zamiast uładzonego i nadymanego, nadęte już zresztą autorytety, dodatku ratującego „Odrę” przed pokoleniową alienacją, narodziła się „gazetka studencka”; wszak już samym tytułem „Orda” zaantycypowali dzieć, bo tu chyba nie chodziło o Napoleona Ordę z WKŁ), upomnieli się u polskich noblistów o przyzwyczajenie i zapragnęli rozliczyć koniunkturalizm nagród „Nike”.

Ta druga sprawa jest równie beznadziejna jak pierwsza (polscy nobliści uważają, że są, na wzór „boskich cesarów”, poza rozliczeniami społecznymi), bowiem ten kto płaci, ten wybiera, a poza tym jest jeszcze coś, co w socjologii nazywa się „spójnią rasową” i „więzią pokoleniową”. Tak więc P. Czerniawski i M. Hamkało mogą jedynie powołać własną nagrodę i założyć własne pismo, o czym (tym drugim, oczywiście) przemysłują, co z kolei popiera A. K. Waśkiewicz pisząc – zapewne ironicznie – iż „ani to dziś trudne, ani szczególnie kosztowne” („Autograf” 2003, nr 4, s. 26).

Oczywiście, że tego typu rada jest nieco cyniczna i niezbyt służąca życiu literackiemu. Oprócz pluralizmu, życie to potrzebuje bowiem obiektywnych miar i wag, jakimi na przykład mogłoby być ogólnopolskie, z dużym autorytetem, czasopismo literackie i równie sprawiedliwa nagroda ogólnopolska.

4. Historia Nagród Nobla zna znacznie większe przepaście między etyką a estetyką jej laureatów, a co za tym idzie – jurorów, niż te którymi dziś dręczy się Polska (niektórzy twierdzą, że to Akademia Szwedzka, a raczej związana z nią „międzynarodówka” narzuciły nam preferencje literackie, stąd epitet: „Kukulcze jaja polskiej literatury”).

W 1920 roku epos chłopski norweskiego pisarza Knuta Hamsuna (1859-1952) pt. „Błogosła-

wieństwo ziemi” otrzymał Nagrodę Nobla, a już wtedy jego powieści „Głód”. „Misteria”. „Nowizna” nasycone były nitzscheańską filozofią naczłowieka. To ona zrodziła faszyzm i sprowadziła autora „Kobiet u studni” w jego objęcia. Po inwazji Niemiec na Norwegię sędziwy pisarz stanął po stronie najeźdźców i ich nieludzkiej ideologii.

W 1945 roku został aresztowany i skazany na wysoką grzywnę. Broniąc się napisał w 1944 roku nieprzekonywujący – jak piszą znawcy – traktat „Po gjengrodde stier”, który – dla pogłębienia znajomości rzeczy – warto chyba przetłumaczyć na polski.

5. W świetle powyższego, pozostawiając pod naporem faktów, na które nie mam wpływu (mądrość człowieka podobno objawia się pogódnieniem z tym, na co nie ma on wpływu, a zmianą tego, co można zmienić) nie pozostaje mi nic innego jak przystać na rozeznanie H. Heinego, tudzież P. Bérangera („Sztuka? To sztuka – i oto wszystko”; przypomnia mi to skądinąd motto wybitnego żuźlowca T. Golloba: „To tylko sport”) o dopuszczalnym, a nawet organicznym, rozdziale sztuki i życia.

6. W odróżnieniu od mało czytujących polonistek i tak zwanej wielkoakademickiej krytyki literackiej, którą niektórzy przezywają „wysoką”, nie dają sobie narzucić odnoblowskiego rankingu literatury polskiej. Zachowują więc prawo do wyrażenia „bardzo niesprawiedliwego i niestusznego uogólnionego poglądu” o twórczości naszych, żyjących jeszcze noblistów:

Poezja W. Szymborskiej to dla mnie „estetyczna bezużyteczność, jubilersko-szydełkowa kracaja, niedościgną wręcz measteria w komponowaniu słów”, co bardzo nieudolnie (kudy mi do autorki „Głosu w sprawie pornografii!”) usiłowałem przedstawić w „Akancie” (2003, nr 8, s. 58-59). Znacznie celniej ujęła to młodzieńka A. Makles, pisząc o chłodzie intelektualnym („Akant” 2003, nr 10).

Wielogatunkowa, „srocza”, twórczość C. Miłosa z koleji to „klerkowskie miotanie się w klatce własnych, genialnych myśli, z równoczesną stylizacją dziś (w mocy pozostaje klasyczne już rozeznanie E. Ostrowskiego, co do temporalnego koniunkturalizmu autora „Doliny Issy”) na... intelektualnego punka”.

Idąc dalej – nie tylko spoglądam już na twórczość literacką poprzez dzieła. Wolę – dla swej higieny psychicznej – nie wiazać zupełnie dzieł z ich autorami. Czytam i cenię wybrane utwory, a nie cały dorobek (któż z nas znosi „Dzieła zebrane”?).

Tak więc z ogromną satysfakcją czytam W. Szymborskiej „Rozmowę z kamieniem” i „Kota w pustym mieszkaniu”, a także „Mała dziewczynka ściga obrus” oraz „Ze wspomnień” ze skrytykowanego przeze mnie tomu „Chwila”. Z punktu widzenia estetyki (nie mylić z ładunkiem intelektualnym!) twórczość poetka autorki „Wołania do Yeti” była i jest – dla mnie przynajmniej – wysokiej klasy i nie zgadzam się z L. F. Czechem, że jej wiersz pt. „Żołnierz radziecki w dniach wyzwolenia do dzieci polskich mówił tak:” („Ilustrowany Kurier Polski” 1955, nr 46, s. 36) jest poroniony artystycznie. Przecież jakże sprawnie poetka zastosowała tam liryczną rolę. W ogóle adwokatka autorki „Pytania zadawanych sobie” – A. Legeżyńska słusznie zauważyła, że socrealistyczny okres (nie epizod!) w twórczości obecnej noblistki zbudował jej kunstowny warsztat (m.in. rymy nieregularne, enumeracje, przetrutnie).

W odróżnieniu od S. Stanika („Akant” 2003, nr 8, s. 29) najwyżej u C. Miłosa cenię nie eseistykę, lecz właśnie poezję, i to nie tylko wiersz „Który skrzywdziłeś”. Bardzo na przykład podoba mi się przedwojenny utwór „Walc” i wszystko co tchnie mickiewiczowskim romantyzmem. Powracam do „Pamiętnika naturalisty” i poematu „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada”.

7. A swoje fascynacje, przyjaciół i osoby do rozmów dobierać będę sam, tudzież wchodząc w sojusze polityczne niezgodne z obowiązującą modą (jestem niezmiennie członkiem Chrześcijańskiej Demokracji-Stronnictwa Pracy).

Niemniej szkoda, że nie mogę o kimś, kto obecnie pisze wiersze, powiedzieć jak Jan Nepomucen Janowski (1803-1888) powiedział o sobie w spółczesnym Sewerynie Goszczyńskim (1801-1870): „Kochałem go jako poetę i gorącego patriotę”.

Klub „Zaufek 11”

Zaprasza codziennie od godziny 11.00

Organizuje:
bankiety, przyjęcia, szkolenia,
konferencje, wesela, imprezy cateringowe
codziennie: obiady za 7,50

Odbývają się tu:

wieczory literackie, koncerty muzyki poważnej i rockowej,
przedstawienia
teatralne, wernisaże,
spotkania, spotkania
bractw rycerskich,
szachowe.
Klub Polskiej Książki
prowadzi
Jolanta Papała
(pierwsza środa
każdego miesiąca
godz. 18.00)



Rys. Hanna Mierzwa

Zaufek 11

85-007 Bydgoszcz
tel. (052) 345 77 62 wew. 258

Sprawa Miłosza i Szymborskiej

Anna Makles

Szaty cesarza

Wypowiedzi o Miłoszu i Szymborskiej zaczęłam czytać od tekstu Arkadiusza Frania. Nie dlatego, że wydrukowano go jako pierwszy. Na mojej półce stoi tomik tegoż autora „Powiedz mi siebie” – zbiór cudownych erotyków świadczących o niespotykanej wyobraźni i wrażliwości autora. Czytając te utwory czuję, jakby mnie obejmowały. A Frania jest prawie moim rówieśnikiem. Może dlatego tak „się rozumieliśmy”. Nigdy nie spotkałam tego człowieka a jednak jest mi on w jakiś sposób bliski.

Po przeczytaniu jego wypowiedzi zrozumiałam, że się zmienił. Stał się taki DOROSELY.

A. Frania twierdzi, że jego tekst o noblistach to tylko „spisane na brudno, luźne zdania”. Akurat! Pan Arek w swej naturze posiada pierwiastek kobiecy. Kiedy kobieta wychodzi w nowiutkiej, wymuskanej i diabelnie drogiej sukience to na komplementy odpowiada: „Ach, to stara szmata. Wkładam ją do sprzątnia”.

Autorowi trudno uwierzyć, żeby mogła być publicznie doceniona słaba poezja czy proza. Proponuję wejść do pierwszej lepszej księgarni. Półki uginają się od kiczu i ludzie to kupują.

Jeśli chodzi o socrealistyczną przeszłość Szymborskiej uważam, że „jeśli siądziesz między wrony musisz krakać jak i one”. A że podpisała... No cóż, codziennie pracodawcy podsuwają nam różnego rodzaju dokumenty. Podpisujemy wszystko! Czy i nam się podoba? Wiem, że trudno porównać te sytuacje, ale w tamtych czasach wszystko było wielkie, co w pewien sposób pomniejsza winę poetki.

Miłoszowi autor „Na przykład mnie nie ma” wytyka mieszanie z białem polskich twórców. No cóż, znamy zdanie z „Ferdynand”: *Słowacki nas zachwyca, bo wielkim poetą był*. Może Miłosza nie zachwycał? Jeśli chodzi o narratorskie braki Sienkiewicza, o których mówi Miłosz, nie chcemy pamiętać, że prozaik ten przez współczesnych uważany był za pisarza średniego lotu.

Bezmyślne przytakiwanie uznanym twórcom przerwał Stefan Pastuszewski, który miał odwagę krzyknąć: „Cesarz jest nagi!”. Przejechał się po Szymborskiej, bo go nie zachwyca, tak jak nie musi nas zachwycać wspomniany Słowacki. Nawet nagrodzonej poetce może się przydarzyć słaby tomik wierszy „Chwila”. To, że dostała Nobla nie gwarantuje jej aplauzu za nic.

Pragnę jednak wziąć Szymborską w obronę przed Piotrem Rakowskim, który oburza się, bo za mało cierpiała w czasie stanu wojennego. Autor pisze peany na swoją cześć, bo poruszał tematy, które trzeba było, a Szymborska nie. Zamierzał świadczyć prawdę i uważa, że wszyscy powinni robić to samo. Tylko, że prawda nie jest jedna! Pan Rakowski zna prawdę „najprawdziwszą”. Ani ja, ani nikt z mojej rodziny czy znajomych nie ucierpiał w brzydkim PRL-u. Nie wolno zapominać o tych, którzy byli prześladowani, ale moim zdaniem lepiej zająć się cierpiącymi tu i teraz. Trudno mi uwierzyć, żeby mój adwersarz chciał pisać jedynie o bezrobociu i nędzy, a przecież jest to prawda dnia dzisiejszego.

Bardzo spodobał mi się początek wypowiedzi Jacka Tabisza. Człowiek, moralny czy nie, może być świetnym artystą. W dalszej części autor zaczął mnie jednak drażnić swoim zachwytem nad podobną do kameleona naturą Miłosza. O „Ulissiesie” Joyce’a pisze się jako o dziele genialnym, ponieważ zawiera tak wiele różnorodnych technik. Ale czy autor miał świadomość ich stosowania, czy to nie my wymyślamy całą tę

teorię, bo nie mamy pojęcia o czym pisze? Albo „Blaszany bębenek”. To „wielkie dzieło” dla mnie jest totalną bzdurą. Uwielbiamy autora – z pochodzenia Gdańszczanina, mimo iż kpi z Polski i Polaków. Jak został poczęty główny bohater na polu kartofle!

Miłosz albo jest osobą i ma zmienną naturę, albo za wszelką cenę chce być taki, jaki będzie się podobał. Arkadiusz Frania wspominał, że noblista zawsze szukał poklasku. Ja osobiście uważam, że człowiek może się zmienić, ale w niewielkim stopniu. Z drugiej jednak strony Miłosz krąży po padole łez już tak długo i widział tak wiele, że ma prawo się wahać, zmieniać, jak każdy inny człowiek. I czym tu się zachwycać? Kiedyś bawiłam się lalkami, teraz już nie. Czy z tego powodu jestem wielka?

To, że poeta coś pisze nie oznacza jeszcze, że tak myśli. Może nie Miłosz się zmienił sam w sobie, tylko zmienił podmiot liryczny swoich utworów. A podmiot liryczny to nie to samo co autor. Jest tu element świadomej kreacji. Kiedy znajomy przeczytał moją książkę powiedział: „Tutaj jest dużo prawdy, ale trochę ściemy musi być”.

Miłosz był zawsze dla mnie starym pomnikiem stojącym pośrodku miasta. Codziennie na ławce obok siadają matki z dziećmi, zakochani, staruszkowie. Pomnik przedstawia czyjąś postać, ale prawie nikt nie wie czyją. Może to Piłsudski, może Słowacki. Twarz została zatarta, rozmyta przez czas, deszcz, brud i... gołębie. Tylko starzy ludzie przysiadujący obok pamiętają, że to Miłosz.

Wiersze Szymborskiej są bardzo życiowe i moralizujące. Jestem nauczycielką, więc wybrałam kilka do omówienia na lekcji. Bardzo łatwy i zabawny wiersz „Konkurs piękności męskiej” nie zyskał uznania młodzieży. Nie zauważyli analogii do sytuacji oglądanych codziennie w telewizji. Nie wyczuli, że jest to krytyka współczesności i komercji, bo im samym tego typu konkursy bardzo się podobają. Kiedy odczytałam wiersz spytali: *Kto tą Szymborską tutaj wpuścił i czy ona w ogóle jeszcze żyje?* Utwór określili jako głupi i bez sensu. Młodzież nie rozumie języka poezji, bo na co dzień posługuje się słowami: *nara, cze, fajna laska, niezła bryka, na topie, skejt, rolki, skąd klikasz*. Rodzice nie widzą potrzeby, aby dzieci brały do ręki książkę.

Uważam, że utwór poetycki ma przede wszystkim przemawiać do duszy. Jeśli przemawia – jest dobry niezależnie od stopnia skomplikowania czy środków stylistycznych. Jeśli nie przemawia – jest może dobry dla kogoś innego.

Moralizatorstwo Szymborskiej czasem przypomina walenie głową w mur. Za bardzo te wiersze rozumiem, a za mało czuję. Są trochę jak bajki dydaktyczne Jachowicza.

Miłosza nie rozumiem zupełnie. Żąda on od czytelnika znajomości jego biografii. Opisuje miejsca i sytuacje zupełnie mi obce. Jest kronikarzem własnego życia. Za dużo w jego utworach ruin, broni i wojny. Kiedy miałam kilkanaście lat pani w szkole przeczytała wiersz Różewicza „Warkoczyk” byliśmy wstrząśnięci. Wojna Miłosza nie jest dla mnie wstrząsająca. Jest zbyt piękna i wydumana.

Nie jestem do końca pewna, czy cesarz jest nagi, ale jego szaty zestarzały się, przetarły i prześwietlają przez nie nieco pulchne pomarszczone ciało. Może trzeba było zejść ze sceny niepokonany?



R. KWIATKOWSKI - M. MAKOWSKI

85-458 Bydgoszcz, ul. Wiejska 122
tel./fax (0-52) 327 83 37

- ✓ projektowanie i urządzenie ogrodów
- ✓ unikatowy materiał szkółkarski drzew i krzewów ozdobnych
- ✓ oczka wodne wraz z małą architekturą i oświetleniem

Ceny przystępne
z możliwością negocjacji

DO NABYCIA:

Rewelacyjne nawozy specjalistyczne firmy „Hydro”. Nadają się do wszelkiego rodzaju upraw warzywnych i kwiatowych. Paczkowane przez firmę „Agro” nawet w porcjach 1 kilograma. Do nabycia przez cały czas w bazie PW

„Agro” 85-458 Bydgoszcz (Czyżkówko)
ul. Wiejska 122, tel. 345 51 37
w godz. 7.00-17.00

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Montażowe

Elektromontaż
Pomorski SA
w Bydgoszczy85-451 Bydgoszcz
ul. Grunwaldzka 229Centrala: tel./fax 327 71 97, 581 25 15
e-mail: zot@elektromontaz.bydgoszcz.pl
http://www.elektromontaz.bydgoszcz.plSalony fabryczne: ul. Gdańska 120
tel./fax 584 09 09Producent stolarki budowlanej PCV
w systemie ThyszenNajwyższa jakość!
5-letnia gwarancja!

PROMOCJA: rabat na okna nietypowe

Produkujemy też schody samonośne
oraz balustrady i poręcze wszelkiego rodzaju
(materiał i kształt – dowolne)

GRADAR
drukarniawizytówki
zaproszenia
listowniki
teczki
ulotki
książkiGrażyna i Dariusz
Darowni85-009 Bydgoszcz
ul. Dworcowa 51
tel./fax 052/
322-38-86

Stefan Jurkowski

W sprawie „Votum nieufności”

Nie chcę atakować Piotra Rakowskiego, który opublikował „*Moje votum nieufności*” („*Akant*” 9 (74) /2003, s. 4) wobec twórczości Wisławy Szyborskiej. Nie bronię też noblistki, bo ona takiej obrony nie potrzebuje. Oczywiście, każdy ma prawo dystansować się od jakichkolwiek postaw społecznych, politycznych, artystycznych; ma również prawo uważać się za posiadacza *jedynego* prawdy i wyznawcę *najśłuszniejszej* moralności.

Nie o to jednak mam do P. Rakowskiego pretensję. Chodzi mi o argumenty, mające uzasadnić jego wobec Szyborskiej zastrzeżenia. Czytamy: „*W poezji tej nie ma dramatu podmiotu, spowodowanego mówieniem prawdy o socjalistycznej rzeczywistości. Brak problemu wzajemnych zależności Jednostki i Systemu Totalitarnego Komunistycznego. Poezja ta nie eksponuje moralnego obowiązku twórcy powołanego do dawania świadectwa o Systemie Totalitarnego i o życiu społecznym i indywidualnym, nie ukazuje dominacji państwowych struktur nad życiem indywidualnym, dominacji państwa nad obywatelami. Nie ma charakteru kontestacyjnego wobec Systemu. Natomiast eksponuje przekonania poetki, której preferencje zarówno światopoglądowe jak i estetyczne nie służą demaskowaniu totalitaryzmu i etycznej postaw wielu pisarzy wobec otaczającego świata zniewolenia, wobec braku zachowania pisarskiej godności*”.

Zarzuty co najmniej dziwne, tym bardziej, że stawiane przez poetę. Od kiedy to zarzutem wobec poezji może być *uniwersalizm*? To prawda, poezja Szyborskiej nie jest ani publicystyką, ani też donosem. Jej „*klamliwy świat*” z powodu „*sterylnie estetycznej doskonałości*” – jak chce Rakowski – gardzi babraniem się w błocie doraźnych, najczęściej koniunkturalnie odczytywanych zjawisk; poeta nie ma obowiązku być publicystą (nawet politycznym!), bezpośrednio odnosić się do otaczającej go rzeczywistości; cierpieć za miliony (a może teraz tylko za setki?). Ma prawo sięgać w inne rejony, tworzyć własny, choćby i zamknięty świat, poszukiwać głębszych, metafizycznych seansów, a nie tylko babrać się w „*niesłusznych*” postawach kolegów pisarzy oraz niegodziwościach aktualnie panujących reżimów. Zresztą zobaczymy, jaka literatura przetrwała na sicie czasu, o czym mówi naprawdę wielka twórczość. Niestosownością jest również sugerowanie, że tego typu postawy „*zamknięte*”, czyli po prostu pogardzające poetycką publicystyką, wynikają z koniunkturalizmu, a w najlepszym przypadku z oportunistyzmu. Chociaż... P. Rakowski pisze: „*Ja, poeta, buntownik z wyboru przeciw złu świata, w którym musiałem żyć, stając wówczas bliżej życia stawałem bliżej poezji, która miała ów autentyzm zbliżenia wyrazić*”.

Cóż, biedna Wisława Szyborska nie wzięła w porę przykładu z Piotra Rakowskiego, i dziś ponosić musi konsekwencje w postaci skreślenia jej twórczości przez poetę, który sam zwrócił się „*do nowych źródeł kultury*”.

Jak widać, różne mogą być punkty widzenia. To co dla jednego jest kardynalnym zarzutem, drugiemu może się wydać niedorzecznością. Jestem przekonany, że każda dobra poezja zawiera w sobie jakiś obraz świata, i to, że nie polemizuje z konkretnym Kowalskim wcale nie znaczy, że nie stawia diagnoz i nie opisuje ogólnej kondycji człowieka. Można więc oskarżyć pisarzy o ich postawy doraźne, ale nie o artystyczne punkty widzenia; że o czymś nie napisali, że pewne kręgi tematyczne są im obce. Używając takich argumentów, że oto jakkolwiek poeta unika w swej twórczości elementów publicystycznych i dlatego stawia się poza granicami społecznej moralności, Rakowski trafia kulą w sam środek plotu. ■

Stefan Pastuszewski

Nadużycie!

Jako w miarę obiektywny obserwator sporu o Miłosza i Szyborską muszę zaprotestować przeciwko nadużyciu popełnionemu przez S. Jurkowskiego. Wyżej wymieniony świadomie, bo trudno tak wybitnego publicystę posadzić o nieświadomość, zniekształcił myśl P. Rakowskiego. Autorowi „*Katharsis*” chodziło o naturalny dla każdego pisarza – humanisty protest przeciwko złu totalitaryzmu, natomiast autor „*Rekonstrukcji*” zarzucił swemu adwersarzowi, że ten wytyka autorce „*Wołania do Yeti*” – uniwersalizm. Doprawdy, ale jak można mylić koniunkturalizm, czy nawet milczącą zgodę na komunistyczne zło z uniwersalizmem? To, że autorka „*Ludzi na moście*” w ostatnich latach zajęła się, znakomitymi skądinąd, gram słownymi i urokliwym „*opisem*” codzienności, nie znaczy wcale, iż sięgnęła po sprawy głębokie i wielkie, co przede wszystkim jest cechą uniwersalizmu. Twierdząc, że noblistka szczególnie w ostatnim zbiorze „*Chwila*” skupiła się na błahostkach, lecz również twierdząc, iż zrobiła to koncertowo; jeśli w skali oper to w *La Scali*.

Nie jest też prawdą, panie Stefanie, iż noblistka „*nie polemizuje z konkretnym Kowalskim i unika w swej twórczości elementów publicystycznych*”. To nie jej temperament i nie jej, urzekająca skądinąd, wierność „*lewej stronie*”.

Gdy po dość dramatycznym przemówieniu sejmowym w noc polskiego safandulstwa jakim okazał się 4 czerwca 1992 roku, kiedy obalając rząd Jana Olszewskiego na zawsze pogrzebano dekomunizację, dzięki której inne kraje obozu socjalistycznego oczyściły się, obudziłem się, to ujrzałem w „*Gazecie Wyborczej*” publicystyczno-filozoficzny tekst W. Szyborskiej pt. „*Nienawiść*”. Utwór ten rzutował nienawiść autorki do dekomunizatorów na... przegranych dekomunizatorów. Ot, kobieca, wielce subtelną perfidia, ot, świetna gra polityczna.

Widać autorka „*Pytań zadawanych sobie*” konsekwentna jest wobec deklaracji, którą złożyła w 1952 roku w wierszu „*Z Korei*”:

W maju, w roku czterdziestym piątym
nazbyt wcześnie pożegnałam nienawiść
umieszczając ją pośród pamiętek
czasu grozy, gwałtu niesławy.
Dzisiaj znowu się do niej sposobie.
Jest i będzie mi jej żar potrzebny.(...)

No i 41 lat później rzeczywistość okazała się potrzebny!

Przecierałem oczy ze zdumienia, czytając („*Gazeta Wyborcza*” 1992, nr 132, s. 1):

Nienawiść. Nienawiść.
Twarz jej wykrzywia grymas
Ekstazy miłosnej. (...)

Nie oklamujemy się:
potrafi tworzyć piękno.
Wspaniałe są jej łuny czarną nocą.
Świetne klęby wybuchów o różnym świecie.
Trudno odmówić patosu ruinom
i rubasznego bądź co bądź humoru
krzepko sterczącej nad nimi kolumnie.

Jest mistrzynią kontrastu
między łoskotem a ciszą,
między czerwoną krwią a białym śniegiem (...)

„*Rzeczywiście autorka >>Soli<< do twórczyni piękna i mistrzyni kontrastu należy*” – pomyślałem wyłaniając z pamięci jej naprawdę sugestywne, wpadające w ucho wiersze.

Dopiero artykuł redakcyjny A. Michnika zamieszczony tuż obok „*Nienawiści*” wyjaśnił,

że szykująca się do Nobla poetka napisała ów utwór... na zamówienie.

Redaktor Naczelny „*Gazety Wyborczej*” Adam Michnik zdemaskował bowiem swój fortel: „*Ale czasem język polityki okazuje się nazbyt suchy i płaski. Wtedy przemawia literatura*”.

Wisława Szyborska, *Wielka Dama polskiej literatury*, przysłała nam swój nowy wiersz. Niechaj jego przesłanie będzie i naszym głosem w sporze z nikczemnością i nienawiścią.

Autorka „*Chwili*” popisała się też znacznie słuszniejszym, według uniwersalnej, humanistycznej oceny P. Rakowskiego tekstem – a według kwalifikacji S. Jurkowskiego – „*publicystycznym*”, napisanym tuż po ataku na WTC w dniu 11 września 2001 roku. I dobrze! Poeta ma prawo być sejsmografem swego czasu.

Żal jednak, gdy ten sejsmograf pracuje według innej niż dobro człowieka skali. A to niestety zdarzyło się naszej kochanej noblistce. W 1952 roku wydała, już nawet nie publicystyczny, ale ideologiczno-propagandowy, tom na pochwałę i zaczepienie totalitaryzmu komunistycznego pt. „*Dlatego żyjemy*”, a w 1954 roku nieco już słabszy w swej wymowie politycznej, ale za to lepszy artystycznie zbiór „*Pytania zadawane sobie*”. Widać, że „*prawdziwy świat*” wstępującej wówczas poetki nie gardził wcale – jak wmawia to nieorientowanym Czytelnikom S. Jurkowski – „*babraniem się w błocie doraźnych, najczęściej koniunkturalnie odczytywanych zjawisk*”.

Także do tego poetka miała prawo, choć nie wiem, czy do wycofania, po przewrocie w 1989 roku, w okresie starań o nagrodę Nobla, z wszystkich polskich bibliotek, rzeźzonych zbiorów. Czy one, będąc już własnością bibliotek, pozostały jeszcze własnością autorki? Czy tego typu małość nie jest równocześnie przejawem koniunkturalizmu?

I jeszcze jedno pytanie: Czy owa eliminacja ze swego artystycznego życiorysu śladów, jak to u młodych, zakochanych w hunwejbinach „*nowej epoki*” panienek się zdarzyło, gorliwej służby komunizmowi, była szczerą ekspiacją i wyrazem wstydu czy – tak pogardzanym przez S. Jurkowskiego – objawem oportunistyzmu?

Zadziwiająco, że fałszowanie artystycznego życiorysu zaakceptował świetny literaturoznawca J. Tomkowski, który w swej edukacyjnej „*Literaturze polskiej*” (Warszawa 1993, PIW) oszukał dzieci i młodzież skreślając z dorobku noblistki dwa pierwsze tomy, a zasugerował, iż zadebiutowała ona w 1957 roku „*Wołaniem do Yeti*”, a więc dopiero w wieku 34 lat.

Wyjaśnienie socrealistycznej, kilkunastoletniej, przegdy noblistki zawarte w wywiadzie przeprowadzonym przez W. Ligezę (por. „*Akant*” 2003, nr 9, s. 1-3) niewiele wyjaśnia, bowiem poetka jakby nie chciała „*załować doświadczeń tamtych lat*”. Z punktu widzenia osobowego ja to niechęć do żalu z powodu zła spędzonej młodości rozumieć (to, przede wszystkim upominając się o swoją młodość, dzisiejsi pięćdziesięcioletnicy wołają: „*Komuno wróć!*”; znałem więźnia Oświęcimia, który wkroczywszy w sklerotyczną starość... zaczął chwalić swą młodość spędzoną w obozie), ale nie mogę jej zaakceptować na bazie obiektywnych, uniwersalistycznych racji. Bo albo coś – co orzekła Temida Historia – było złe, albo dobre. *Tertium non datur!* W słowach poetyckich, w których znakomicie bryluje – w światowym zresztą zasięgu W. Szyborska – może być owo *tertio* a nawet *quarto*, ale nie w istocie poezji, o którą upomniał się P. Rakowski. Prawdą dla niego, i nie tylko dla niego, jest przecież to, co jest równocześnie *etyczne* i *estetyczne* (nierozdzielczość triady: *prawda-dobro-piękno*). ■

Sprawa Miłosza i Szymborskiej

Ludwik Filip Czech

Trzy grosze do dwóch recenzji

Z działu recenzji przeszedłem w polemiczne sfery „Akantu” a to za sprawą dwóch recenzji Stefana Pastuszewskiego. Pierwsza „Lisia natura” omawia książkę Marianny Bocian i Eryka Ostrowskiego pt. „O ukrytych nurtach w literaturze polskiej” i dotyczy m.in. Czesława Miłosza. Druga „Cudeńka z niczego” zatrzymuje się na „Chwili” Wisławy Szymborskiej. W obu recenzjach ich autor podkreśla wybitność naszych noblistów, cytując nawet P. Berengera: „Sztuka? To sztuka – i oto wszystko”. Następnie rzeczowo i wytrwale analizuje postawy ideowo-moralne wymienionych artystów dając do zrozumienia, że, jego zdaniem, sztuka to jednak znacznie więcej.

S. Pastuszewski, będąc fascynatem literatury, ma prawo zgłębiać jej sekrety w imię własnych i czytelniczych korzyści. Nic więc dziwnego, że i tym razem wybiega znacznie dalej poza zewnętrzny ład artystyczny. Zazdroszczę wytrwałości i wiedzy, które umożliwiają taką wnikliwość. Znam jednak przypadki, w których używano ich w celach mało szlachetnych. Bywa bowiem tak, że gdy nie możemy podważyć wartości artystycznych, próbujemy zdeprecjonować ich źródła. Wytykamy naszym „ulubieńcom” niegdysiejsze grzeszki nie biorąc pod uwagę ich historycznego tła, przekonani, że w podobnych okolicznościach nasza postawa byłaby nienaganna. Jestem przekonany, że podobnych metodologii i ufam, że autor również. On sam słusznie zauważa, że prawie każdą metodę cechuje hipokryzja. To ostatnie słowo przewija się dwukrotnie w omawianych recenzjach.

W „Lisiej naturze” S. Pastuszewski bardzo zreszczenie posługuje się cytataми. Nie jestem samobójcą, nie będę się spierał, bo bym poległ. Zresztą nie ma ku temu powodów. Z grubsza podziela jego pogląd: *Po co ukrywać coś, co jest powszechnie znane*. Choćby fakt, że Czesław Miłosz niejednokrotnie mówił o sobie jak o piszącym po polsku Litwinie, a jego twórczość, w sposób czytelny, przeplatają motywy pogaństwa. Tyle tylko, że mnie cieszy taki kulturowy „rozkrok”, podczas gdy S. Pastuszewskiego – tak to odczytałem – niepokoi. Martwi się, że nie znajduje w twórczości – bądź co bądź – polskiego noblisty, jednoznacznych odniesień do rodzimej tradycji, a przede wszystkim, religii. Obraża się na Miłosza za czterowiersz:

Religię bierzemy z naszego litowania się
nad ludźmi
Są za słabi żeby żyć bez boskiej opieki (...)
Ośmielaj się bądź wolny od winy
i grzechu (...)
Nie chcę być posiadaczem prawdy.

Różnica naszych ocen wynika zapewne z faktu, że autor „Teraz Polska” patrzy na cytowany tekst z pozycji osoby głęboko wierzącej, podczas gdy mnie, bardziej odpowiada perspektywa osoby piszącej wiersze. Nie odważę się bronić Czesława Miłosza, nie chcę być jego adwokatem, którego zresztą nie potrzebuje. Ośmielam się jedynie stanąć w obronie szeroko rozumianej poetyckiej roboty. Otóż, przytoczony tekst nie jest – jak chce tego mój adwerser..... – niemoralnym, destrukcyjnym sądem, ale zapładniającą umysł poetycką prowokacją. Zaproszeniem do intelektualnej gry, w której podważa się wartości pierwszorzędne po to, by lepiej zrozumieć ich sens. Tak jak w „Dolinie Issy”:

Nie kochaj ludzi
ludzie szybko giną
albo są pokrzywdzeni
i wzywają twojej pomocy

W gruncie rzeczy jestem pewien, że S. Pastuszewski (publicysta, krytyk, poeta) zna takie banalne zabiegi. Nie daje tylko zgody, by stosować je wobec spraw uniwersalnych.

Wyznaję przeciwny pogląd. Im częściej wdajemy się w spór z „kanonami”, tym większa w nas pewność, że są niezbędne.

W „Cudeńkach z niczego” autor recenzuje tomik Wisławy Szymborskiej „Chwila”. Nie podoba mu się omawiany zbiór, pisze, że wcześniejsze były lepsze, z czym akurat się zgadzam. Natomiast porównanie Szymborskiej do babci dziergającej na drutach kłóci się z moją definicją dobrego smaku. Przyznaję, że odetchnąłem z ulgą znajdując pod koniec recenzji określenia: „dama”, „styl”, „szyk”. Za żart biorę zarzut, że dla Szymborskiej „człowiek to prawie nikt”. Redaktor podsumowując jej twórczość sam przecież zauważa, że egzystencja ludzka, skonfrontowana z przyrodą, wydaje się znikoma, krucha i niewiele znacząca. Patrząc na człowieka z takiej perspektywy trudno nie przyznać racji poetce.

Sedno powyższego sporu tkwi jednak gdzie indziej. Otóż autorowi „Drugiej gałęzi” nie przypadła do gustu taka darwinowska perspektywa. Patrzy bowiem na człowieka wyłącznie jak na Boskie Dzieło. Podważanie jego kondycji i ważności jest dla niego równoznaczne z pomniejszaniem Stwórcy, bowiem wszyscy jesteśmy na Jego podobieństwo.

Trudno nie rozumieć takiej optyki, trzeba ją szanować, ale błędem jest stosowanie jej do każdej poezji. U Szymborskiej wyraźnych wątków religijnych nie znajdziemy i, ani to złe, ani dobre. Po prostu nie każdy poeta jest poetą katolickim. A już na pewno nigdzie nie powiedziano, że alternatywą dla chrześcijaństwa musi być marksizm. A to dyskretnie sugeruje redaktor odgrzebując wiersz Szymborskiej z roku 1955. Zgadza się, że mogłoby go nie być w jej dorobku. Nie drażni mnie jednak jego ideologiczny wydźwięk, a tylko haniebnie szpetna strona artystyczna. Wiersz jest po prostu słaby i tyle! Nigdy bym nie odgadł, że taki gniot napisała autorka „Wołania do Yeti”.

Nie da się ukryć, że estetyka jest tym, co cenię sobie najwyżej. Dlatego uważam, że poeta może mieć jakiegokolwiek poglądy ideowo-moralne, byle tylko trzymał literacki fason i zgrabnie wyluszczał je w piśmie. W skrajnych przypadkach zweryfikują je czytelniczy lub środowiskowy ostracyzm, albo sądowna wokanda. Ubolewam jednocześnie, że ta ostatnia stała się dzisiaj miejscem artystycznych promocji dla hochsztaplerów i wariatów.

Po przeczytaniu obu recenzji zrozumiałem dlaczego S. Pastuszewski tak wysoko ceni sobie twórczość Tadeusza Różewicza, a przede wszystkim, Zbigniewa Herberta. Oprócz walorów literackich odpowiada mu zapewne niezłomność ich moralnych wyborów, które jemu samemu są bliższe. Niestety – przysłowiowa herbertowska „kolata” jest w posiadaniu nielicznych. A w świecie poetów – jak oboje doskonale wiemy – to już zupełna rzadkość. ■

Elżbieta Kantorek

Okna

Adres: Bydgoszcz-Stare Miasto, ul. Przyrzecze 12. W tym miejscu stoi mały, dwukondygnacyjny domek. Stary, zniszczony, zapomniany od wielu lat. Pamiętam ten budynek z przeszłości. Toczyło się w nim zwyczajne życie. W oknach błyszczały szyby, powiewały firanki. Potem opustoszał, a matowe płyty i deski zastąpiło szkło. Ustawił się w szeregu niszczących domów nad Brdą-Młynówką. To tak zwana Wenecja Bydgoska – urokliwa, ale smutna w swym zaniedbaniu.

Takich niszczących miejsc poszukuje najczęściej artysta-fotografik Andrzej Maziec dla stworzenia swojej „Galerii Pamięci”. Były to brzydkie podwórka, odrapane przesmyki uliczne, miejsca, które z upływem czasu straciły swą świetność. Teraz wybrał stary domek za oknami zabitymi białymi płytami. To gotowe podobrazia dla stworzenia wizji artystycznej, a same okna niosą przecież w sobie tak wiele znaczeń. Zaprosił do współdziałania artystów z Bydgoszczy i Torunia – malarzy, twórców multimedialnych, fotografików: Witolda Chmielewskiego, Łukasza Maklakiewicza, Dorotę Podlaską, Aleksandrę Simińską, Stanisława Stasiulewicza, Wiesława Smużnego, Stanisława Wasilewskiego (zapewne w wyborze kierował się przyjaźnią i uznaniem dla ich dokonań artystycznych).

Okna domku ożyły – powstała specyficzna galeria z dziełami mówiącymi o dzieciństwie, starości, miłości, o toczącym się życiu, o wartościach samej sztuki. Otwarcie wystawy odbyło się 14 czerwca 2003 roku. Dom miał więc swoje „święto” – skupił uwagę artystów, zaproszonych gości, mijających go ludzi. Akcja artystyczna pt. „Serenada groszków do nasturcji” przygotowana przez Wiesława Smużnego i Marię Przybylską, z oprawą muzyczną Natalii Maciejewskiej znalazła zatrzzymanie w okiennych płycinach. Zrealizowany przez poetę Wojciecha Banacha wiersz został umieszczony na szczycie domu. Aktorzy – mimowie na swój sposób snuli opowieść o życiu. Galeria pamięci Andrzeja Maźca uzyskała swój kształt.

Stworzone dzieła pozostały w oknach do tej pory. Mam nadzieję, że intrygują ludzi, zwracają uwagę. Chyba każdy przechodzień spogląda na nie, choćby z prostej ciekawości.

Mam nadzieję, że przywołują myśli o własnym domu i oknie na świat. Jestem przekonana, że każdy także pomyśli o sztuce. Z pewnością takie było założenie autora tego artystycznego projektu, który w jednym z okien umieścił wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, tak bliskiej Bydgoszczy, bowiem tu po II wojnie światowej z kopią tego obrazu przybyli jezuici wileńscy.

Czas upływa, zmienia wygląd rzeczy, ludzi i nie oszczędza dzieł sztuki. „Obrazy” z ulicy Przyrzecze pokrył kurz, niektóre zaginęły. Czy groszki i nasturcje zdążą połączyć swoje gałązki, czy uschną tak jak dom, któremu na chwilę przywróciły życie?

Pozostanie dokumentacja fotograficzna, filmowa, no i – rzecz jasna – pamięć. ■



fot. Andrzej Maziec

Dorota Hanna Wardecka

Wanda Gołębiewska

Rozmowa z panią Marią

pani Maria ma 96 lat
mieszka na Wellington Road
w Melbourne
chodzi przy wózku
nogi nie chcą nosić
oczy nie dają czytać
wspomina
przedwojenne Wilno
Pohulanę
śnieżne pagórki
sannę w mroźną
noc

w Australii ciepło zielono
pachnie świeżo skoszona trawa
karty świąteczne na stole
ale nie znał Wilii
wszystko co
stare i dawne pamiętam
zapominam to co przed chwilą
syn wysłał mnie
do tego domu
wie pani...
ale tam tylko
jedzą i śpią
a ja jeszcze
ciekawą świata i ludzi
jeszcze nie czas

Cockatoo, 24.XII.2001

Joanna Dziedzic

* * *

leżę na ulicy
obracasz mną
jestem chińska niemiecka meksykańska
żałujesz mnie i skąpisz
nie oddasz mnie nikomu
pilnujesz mnie ale czasem gubisz
mam na sobie wiele odcisków palców
daję ci szczęście
oddasz za mnie wszystko
lubisz mnie czuć przy sobie
wiele się po mnie spodziewasz
jestem czasem
siłą bez której nie możesz się obejść
wiecznie się za mną uganiaś
ze mną jesteś najlepszy
unoszę na skrzydłach twój dom
beze mnie jesteś nikim
ale

jeśli mnie znasz to powiedz
jaka jest moja objętość
nadgarstka
wytrzymałość
właściwy ciężar nad ranem
ciało w wodzie
zanurzone
traci
wszystko

Promiennie

myślałam że można
złapać się za ręce
ja ciebie za prawą
ty mnie za lewą
i
iść
środkiem tęczy
wychwytywać ustami
te same muśnięcia wiatru
jednocześnie

tymczasem
można jedynie
gorącymi ustami rozdmuchać mgłę
- zda się że na zawsze
mimo tego za chwilę zaparuje szkło

Adam Błazejewicz

Cyklofrenia

Wzlot i upadek Upadek i wzlot
To wszystko nie ma nic wspólnego
ze szczęściarzem Ikarem który
nie umiał powiedzieć stop
zupełnie jak ęma przy ognisku
Oni mogli krzyknąć tylko raz
Czekać na błysk i Bóg wie co

A my przybici gwoździami
do szczeniackiej huśtawki
Góra dół Góra dół Góra gół
Zmuszeni do zabawy przy której
„Spraw sobie staruszka i aniołka”
wydaje się być dziecinadą

Nie znam dnia ani godziny
Chciałbym choć wiedzieć czy
góra też jest taka pofałdowana
a może wolno będzie przez
wieczność buszować w zbożu
na słonecznym płaskowyżu

Sławomir Tomczak

Ekonomia

niosę przez piekło
mój pomysł
na raj

mówią:
stopy są za wysokie
inwestycja nieopłacalna
może za sto lat
gdy zmieni się koniunktura
przyjdzie moda
na Boga

zatrzymałem się –
wszędzie cmentarz

Ritva Sojaan

Płaskorzeźba

Łyzką miodu karmi Safona miękkie
I rozchylone w półuśmiechu usta dziewcząt
Pragnących uczyć się rymu i rytmu swej mistrzyni.

Spod jej chitonu uwypukla się jońska
Kolumna kolana, stojąca blisko
Strzelistych łydek oraz doryckich rąk.

Z rozplątanych jej włosów wychylają się
Syreny z baśni barwionych ochrą...

Wśród triumfów wesel dziewczęta nie suszą szarej,
Męskiej przędzy tunik,
Którą kołyszą na wietrze proste kobiety gór Lezwos...

One tłoczą zielonkawę oliwki.
One sączą sok z owoców granatu.
One tu piją musujące wino.
Wibrują w tańcu...

I nim nauczą się składać strofę saficką,
Przygodny rzeźbiarz utrwali ich młodość na ścianie...

Ryszard Biberstajn

* * *

Pamięci Ojca

u progu lata
jak rycerza
od świętej wojny
niebiescy wysłannicy
ponieśli cię
w rajskie ogrody

odwrócili kolejność rzeczy
bo przecież tam już
wiecznowiosenne
w obłokach bujanie

Ryszard Biberstajn

Rozmowa

dobrze jest zanurzyć się
w nurcie słów
uporządkowanym

dobrze jest
na skraju samogłosek
usłyszeć przeciągłe wycie
dochodzące zza okna

z zewnątrz
wyłącznie

SPECJALISTYCZNA PRAKTYKA LEKARSKA

lek. med. Marek Mackiewicz
specjalista chirurgii dziecięcej
Bydgoszcz

certyfiat European Board of Paediatric Surge^{ry}
porady, zabiegi „chirurgii jednego dnia”
- kontrakt z Kasą Chorych,
wizyty domowe

kontakt (052) 321 54 69, kom. 601 84 16 29
www.marek@mackiewicz.com.pl

Stefan Rusin

Biała klinika

Bardzo mnie poruszyła „Biała klinika” – kolejna książka krakowskiego poety HENRYKA CYGANIKA. Jest to duchowa autobiografia, oczyszczająca czytelnika z kompleksów, lęków i fobii.

Poeta żyje po raz drugi dzięki specjalistom z różnych dyscyplin medycznych. Im w pierwszej kolejności dedykuje wiersze.

Prof. dr hab. med. Tadeusz Popiela pisze: „Przyszłemu niepokorny, niecierpliwemu, prawie nieznośny. Zaraz na wstępie oświadczył, że nie ma czasu na zajmowanie się chorobą: kończy właśnie kolejny scenariusz, czeka na niego radio, ktośś z gazet zlecił mu ważny artykuł, nie może też przerwać rozpoczętych już zajęć reżyserskich. Dopiero stanowca postawiła lekarza uświadomiła mu, że ta choroba może okazać się od niego silniejsza, że potrafi wyznaczyć ostateczny kres wszystkim planowanym zajęciom. Zrozumiał. Zdecydował się zostać pacjentem...”

Poeta podzielił tomik na trzy części. Pierwszą poświęcił ojczyźnie, która nie jest czymś wyimaginowanym, nierealnym. To my ją tworzymy, bądź niszczy. Poeta zwraca się do niej jak do żony, do bliskiego przyjaciela z mnóstwem wad i zalet. Zrywa z „twarzą” ojczyzny maski fałszu, obłudy, zakłamania. Prosi ją o uszanowanie jego osobistej wolności.

...już nie mogę ci pomóc
skundlona
zdevociała
sprzedajna
głupia
wpuszczona w maliny
smutna i biedna
Polsko

dla mnie
za późno

(„Za późno”)

„Zbiorowy obowiązek” wobec niej wydaje się być farsą, bliższy jest „zbiorowej mogile”, jak czytamy w wierszu pt. „Norwid”.

Poeta ma wiele do zarzucenia tym, którzy mienią się pasterzami duchowymi i bohaterami. Nie pozwala się mamić i narzucić sobie obcych drogowskazów.

jestem pełny i bogaty
twoją krwią i zielenią
Bogurodzicą i wiatrą
pamięcią i marzeniem...

(„Ojczyźnie”)

Każde spotkanie z drugim człowiekiem ma wymiar dramatyczny.

nie umieraj we mnie
wiaro
w geniusz Einsteina i Wyspiańskiego
magię czakramów i mszy świętej
potęgę miłości i rozumu...

(„Tryptyk”)

Nie zawsze umiemy otworzyć się na przebaczenie bliźniemu win. W utworze „Lustro” poeta przegląda się w dwóch światach: świat Natury buduje go psychicznie, świat ludzki pełen jest głodu, zmiennych uczuć, zła. Kłopot sprawia nam „wolna wola”. Ubieramy ją w sukienki filozoficzne, pozwalamy jej funkcjonować od do.

Autor pisze:

...niby jest wszędzie
a nie ma jej nigdzie
choć podobno z niej
morderstwo albo heroizm
zupa szczawiowa albo żurek staropolski
książka albo miecz
miłość albo obojętność
kobieta albo alba...

Cieszą mnie zamieszczone w części drugiej pt. „Rodowód” utwory pełne rozedrgania uczuciowego, pulsujące nastrojami, młodzieńczym buntom. Niektóre z nich opatrzone są dedykacjami. „Cisza” ujęła mnie swoją wyrafinowaną prostotą, refleksyjne „wyznanie” przestrzega przed zadufaniem, pascalcowski racjonalizm w „walce” pozwala inaczej spojrzeć na funkcjonujące w społeczeństwach wartości. Pełne jest ironii „stado”, Ezop ma wiedzieć, że „nie ma różnicy pomiędzy stadem z obory/ a stadem z parlamentu”. Kłopotliwy w odbiorze jest „warunek” mówiący o zależnościach. Pojawia się w wierszu pytanie: „Czy warunkiem istnienia Boga jest istnienie Kościoła?”

Poeta najlepiej czuje się w „nawach” Beskidu. W jego przestrzeniach wyobraźnia unosi się niczym ptak. Przeczytajmy co i jak pisze Henryk Cyganik o „wyobraźni”, „pięknie”, „słowach”, „tęczy”. W tych prostych wierszach niemało jest ewangelicznej mądrości.

Ostatnia część, dla mnie najważniejsza, opatrzona tym samym tytułem co tomik, jest poetyckim podziękowaniem lekarzom i pielęgniarkom za pomoc w wyrwaniu poety z macek śmierci.

...za bramą białej kliniki
gęstnieją modlitwy

topią się w żalu spóźnione rachunki
i nadzieja poddaje się bez słowa przerażeniu
(...)
bagażę zostawione przed bramą białej kliniki
przypominają monstrialne wysypisko śmieci...

W oslepiająco ostrej bieli sal Matka Boska Nieustającej Nadziei czuwa nad chorymi ciałami i duszami. W przepięknym wierszu pt. „W klinice profesora Popiela” skalpel i rak mówią swoje kwestie, decydujące o życiu lub śmierci pacjenta. Ostatnie zdanie prawdopodobnie należy jednak do Tajemnicy. Utwory: „Ceremonia”, „Pacjenci”, „Twój ruch”, „Twoja łza” zdominowała dramaturgia cierpienia, oczekiwania, nadziei, cudu. Poeta nie zapomniał w swoich poetyckich zipskach o współnikach niedoli i ich najbliższych.

Czytelnik jest świadkiem mądrego i powściągliwego wadzenia się z uznanymi autorytetami, widzi skrajne reakcje człowieka zagrożonego śmiertelną chorobą.


...to prawda
(...)

pyskowałem Ci nieraz
bezcześnie wybijając rytm dni i miłości
znosiłaś cierpliwie moją włóczęgę
z dala od naszego Domu
czekałaś na marnotrawnego

więc jestem znowu
w nawach Beskidu
przed ołtarzem Tatr i Gorców
z ogromnym bukietem ciszy
i modłę się do Ciebie
Boże moich gór
bo pozwoliłeś mi jeszcze raz
wrócić

(„Modlitwa górską”)

Henryk Cyganik, Biała klinika, Oficyna Wydawnicza „WITEX-DRUK”, Kraków 2001, ss. 84



**BYDGOSKIE
STUDIUM
EKOFILOZOFII**

Jedyna szkoła
w Polsce uprawniona
przez Ministra
Edukacji Narodowej
do kształcenia
w nowym zawodzie

STOP!
szkoła
na -ie!

**TECHNIK
ODNOWY BIOLOGICZNEJ**

Zawód nowej generacji na miarę XXI wieku
z zakresu naturalnych metod zachowania
zdrowia. Wiedza, która prowadzi do zdrowia
i pełni sił twórczych.

Sekretariat: Bydgoszcz
ul. Piotrowskiego 11
czynny od poniedziałku do piątku
w godz. 11.00-15.00
Tel. (052) 349-34-61
Strona w internecie: www.studium.pdi.pl

„Akademia Sukcesu”
- do celu na skróty!

Nawet nie podejrzewasz jaki drzemie w Tobie
potencjał. Trzeba go tylko wyzwolić.

Technik odnowy biologicznej

zna różne sposoby i zabiegi liczne, by w dobrej byt
kondycji psychofizycznej, żyć zdrowo, w zgodzie z Naturą,
z innymi i z sobą, nie dać się stresom, dobrze się kreować,
osiągnąć sukces i nie zvariować, tylko się w pełni
samorealizować i taki styl życia skutecznie promować.

**ZAKŁAD PRODUKCYJNO-WDROŻENIOWY WYKORZYSTANIA
NIEKONWENCJONALNYCH ŹRÓDEŁ ENERGII**

ul. Piękna 13, 85-303 Bydgoszcz
tel./fax (48 052) 373 00 54, 373 00 55
tel. kom. 090637234



- Odnawialne źródła energii
- Małe elektrownie wodne
- Usługi budowlano-montażowe
- Targowisko hurtowe

Paweł Zawadzki

Święte siedlisko człowieka

Pod takim tytułem w 1993 roku ukazała się książka HENRYKA SKOLIMOWSKIEGO, wydana w 1999 roku nakładem Polskiej Federacji Życia przy Uniwersytecie Warszawskim.

Urodzony w 1930 roku w Warszawie, prof. Henryk Skolimowski jest uczniem Tadeusza Kotarbińskiego i Kazimierza Ajdukiewicza. Specjalizował się w logice i filozofii języka. Doktorat uzyskał na uniwersytecie w Oxfordzie, gdzie także wykładał, zanim zaczął nauczać na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles, a następnie w Ann Arbor, gdzie przez wiele lat był profesorem filozofii. Obecnie uważany jest za jednego z najwybitniejszych twórców ekofilozofii. W roku akademickim 1991/1992 przy Politechnice Łódzkiej powstała z jego inicjatywy pierwsza na świecie Katedra Filozofii Ekologicznej, a w Warszawie – Towarzystwo Przyjaciół Filozofii Ekologicznej.

W książce „Święte siedlisko człowieka” znalazłem opis, wart zacytowania – a może i dyskusji?

„...W latach dwudziestych ubiegłego wieku pojawiła się ważna ideologia artystyczna nazywana *Bauhaus*. Później nazwano ją *Ruchem Międzynarodowym*. Początkowo był to ruch w architekturze. Jego mottem: *forma podąża za funkcją*. Po pewnym czasie to motto staje się głównym kryterium estetycznym. Tradycyjne kryteria piękna zostają odrzucone. Funkcja staje się przewodnią zasadą. Sama funkcja musi być racjonalna i musi być sterowana najlepszą, dostępną technologią. Od tego momentu zaczyna się dyktatura. Najbardziej zaawansowane technologie dyktują w jaki sposób mają być projektowane i budowane domy i środowisko człowieka. Ten proces prowadzi w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku do konstrukcji bezdusznych blokowisk i otaczającego je sterylnego środowiska. Technologia stała się hegemonem. Traktuje ona nasze tradycyjne kryteria artystyczne, nasze poczucie piękna, nasz wewnętrzny świat harmonii. Wynik tego poznaliśmy dobrze poprzez doświadczenie w ostatnim ćwierćwieczu.

Idea głosząca, że forma powinna podążać za funkcją, że technologia powinna determinować nasze środki i naszą praktykę, nie ograniczyła się do architektury. Rozlała się na inne domeny ludzkiej aktywności, włączając w to sztukę. Kryteria doskonałości są coraz bardziej *zdeteminowane przez doskonałość techniczną*. Artyści korażą się przed technologicznym bogiem, stąd tyle żelaznych i betonowych konstrukcji, które nie budzą ciepła w sercu.

W tym klimacie kryteria estetyczne słabną jeszcze bardziej, zwłaszcza że sztuka jest *wykorzystywana w nowy sposób* – jako towar, jako inwestycja. W tej nowej roli sztuka oraz artyści nie są oceniani pod względem ich artystycznej doskonałości, przez wewnętrzny walor ich sztuki, przez życiodajną jakość ich dzieł, ale przez wartość rynkową. Wartość rynkowa jest niezmiennie manipulowana przez właścicieli galerii i ludzi interesu, którzy często inwestują w sztukę bez najmniejszego zainteresowania istotnymi wartościami sztuki. W tym układzie rola artystów i sztuki samej jest jeszcze bardziej sparaliżowana (...).

...Kiedy stopniowo pomniejsza się człowieka, forma w sztuce i sama sztuka zaczyna odzwierciedlać kondycję tej pozbawionej mocy kreatury, nazywanej „człowiekiem technologicznym”.

Wszelkie meandry i konwulsje nowoczesnej sztuki mogą być określone jako ekspresja życia samego. Tak, to prawda, ale prawda niekompletna. Rozbita sztuka, wyrażająca rozbitą kondycję człowieka to niewielki powód do dumy. Współczesna sztuka nie może usprawiedliwiać swoich wad i potworności oświadczeniem, że

„*podąża za życiem*”, kiedy życie samo się zdegenerowało do stopnia patologii. Rozpad koherencji człowieka sztuka wyrażająca agonię tego rozpadu, są zjawiskami paralelnymi. Są częściami tego samego procesu – rozpadu piękna. Z powodu symultanicznego rozpadu koherencji człowieka oraz ideału piękna, koncepcje sztuki i jej definicja ulegają rozpadowi podobnie jak sama kondycja ludzka; zostają zdeprecjonowane jak życie ludzkie, zostają obrzydzone jak kondycja naszego istnienia.

Dotarliśmy oto do racjonalnego wyjaśnienia konfuzji i arbitralności we współczesnym użyciu idei piękna, włączając w to apoteozę brzydoty, jako manifestację piękna. Nasza schizofreniczna kultura straciła swoją kotwicę, swój kierunek, swój cel. Stała się patologiczna, gwałtowna i koszmarna. W ramach tego procesu stworzyła sztukę na swój obraz. Dzięki swemu sprytowi nasza kultura (wszystkie kultury są bystre, włączając w to kulturę technologiczną) próbuje posłużyć się nami, by usprawiedliwić swój etos, abyśmy stali się przekonani o tym, że brzydota i piękno są zamienne, i że delikatność i brutalność są jedynie kwestią definicji. W ten sposób bezduszna kultura, która zniszczyła naszą duchowość i rozbiła pojęcie piękna, próbuje uczynić z nas skwapliwych i racjonalnych współników. Zmusza się nas do racjonalizowania patologii

kultury, która wyraża to, „*co jest*”. W głębi czujemy, że współczesna kultura budzi wstręt w naszej duszy i jest nieustającą obrazą naszego poczucia piękna.

Podsumowując, społeczeństwo technologiczne jest nie tylko plastikowe, bez smaku, pogardliwe w stosunku do głębszych wartości. Jest także przebiegłe i sprytnie. Udało mu się (lub prawie udało) przededefiniować kulturę i podporządkować ją etosowi konsumpcji i kultowi władzy. W drugiej połowie XX wieku jesteśmy świadkami nie tyle desperacji artystów awangardy, wyrażających siebie w nowy sposób, ile obalenia sztuki przez świat komercji, subtelnego przekupywania artystów, aby służyli nadrzędnym celom kultury technologicznej. Kiedy sztuka gloryfikuje szpetotę i przemoc, przemoc i szpetota świata zewnętrznego stają się aspektami naszej rzeczywistości wewnętrznej.

„...Jeżeli ta analiza technologii wstrząsa kims, jako dziki atak na technologię, mogę powiedzieć jedynie to, że próbowałem po prostu postawić lustro przed tą nieczułą maszyną. Technologia stała się barbarzyńskim bogiem; bezlitosnym dla ludzkiej duchowości, ludzkiej czułości, dla wszystkiego, co kultura człowieka uważała za wielkie i szlachetne...”.

Cóż dodać do tej diagnozy naszego środowiska „naturalnego”? Uwagę, że okrzyk paryskiej kurtyzany „*Niech szczepną artyści!*” (i architektki! Ta szacowna dama najwyraźniej zapomniała o nich), który Tadeuszowi Kantorowi posłużył za tytuł spektaklu, nieźle pasuje do całego wywodu.♦

Henryk Skolimowski, *Święte siedlisko człowieka*, Warszawa 1999, Polska Federacja Życia

Archiwalna fotografia literacka



Od lewej: Julian Przyboś, Władysław Strzemiński, Katarzyna Kobro

Fot. S. Krajewski

Sławomir Kuźnicki

Droga do światła

Pierwsze co rzuca się w oczy przy czytaniu wierszy z tego tomu, to ich wyczuwanie na gry światła z cieniami, jasności z ciemnościami, czerni z bielą; zresztą, sugeruje to już projekt okładki i barwy w jakich jest ona utrzymana. Co charakterystyczne (widać to w tytule całości przyzodobionym podtytułem *Poemat na nowy wiek*), czytelnik jest świadkiem drogi „z powrotem”; drogi z ciemności, cienia i czerni; drogi w kierunkach przeciwnych do wyżej wymienionych wartości – bo czyż nie są one również pewnymi wartościami, jakościami?

Książka GRZEGORZA GRZMOTA-BILSKIEGO pt. „Z powrotem do życia” podzielona jest na trzy części, każda o dość wyraźnie zarysowanym i odmiennym charakterze, składającym się jednakże na pewną całość. W części pierwszej, tytuł *Z powrotem do życia* prezentuje się w najbardziej dosadnej, najmniej metaforycznej formie. Wiersze zawarte w tej części robią wrażenia rodzaju terapii pourazowej podmiotu lirycznego. Jesteśmy tu świadkami dosłownego wręcz wylizywania się z ran, a więc poezji mocno egzystencjalnej. Na szczęście dla swojego bohatera lirycznego, Bilskiemu udaje się odnaleźć sens – terapia się powiodła. Najlepszy w tym zestawie wydaje mi się wiersz „*Odyseusz i Penelopa*”, nie przesycony tak oczywistym bólem jak reszta, w ciekawy sposób podejmujący i przetwarzający mocno już przecież wyswiechtany motyw mityczny i, co chyba najważniejsze, najbardziej poetycki. Okazuje się, że przeniesienie mitu na płaszczyznę współczesności może jeszcze przynieść udane rezultaty. Od tego utworu całą tę część można by nazwać poezją drogi, co ciekawie by się nam łączyło

ze wspomnianym wyżej wyjściem z czerni i powrotem do bieli: „*tam gdzie była ciemność/ teraz bliższy światło*” („*Wytchnienie*”).

Wiersze z drugiej części to najbardziej udane fragmenty tego tomiku. Tu wyraźniej dochodzi do głosu filozoficzna strona bohatera Bilskiego (poeta jest z zawodu wykładawcą filozofii w Akademii Bydgoskiej). Nie ma tu jednak mowy o popisaniu się wiedzą, o jakiejś zenującej żonglerce – wiersze te nie są przeładowane teorią. To prawda, zawarta jest w nich swoista filozofia, pewna niezaprzeczalna mądrość życiowa. Opisałbym ją jako lekko herezyjną filozofię ludowego chrześcijaństwa. Mamy tu szukanie sobie miejsca w szczyrych i nieskomplikowanych sytuacjach, zadawanie rudymmentarynych pytań i oczekiwanie na nie prostych, zrozumiałych odpowiedzi.

Z części tej wyróżniłbym trzy wiersze. Po pierwsze, „*Legenda o świętym pijaku*” – sztandarowa wręcz mieszanka herezji z ludycznością. Po drugie, „*Krzysztof Kolumb po buncie marynarzy*” – diament całej tej książki, wiersz uderzający najgłębiej i z największą siłą, z ciągle wybrzmiewającym pytaniem zasadniczym dla każdego chyba człowieka: „*Czy za nicością oceanu/ jest kolejna nicność?*” W końcu, „*Dziecię wolności albo pytanie o nowy wiek*” – wiersz świetny w swej omytkowości, w swoistym wywracaniu kota ogonem.

A o co konkretnie chodzi? Jakżeby inaczej – o ostro w tym utworze krytykowany postmodernizm (zresztą do spółki z całą masą innych „*rzeczy*” definiujących naszą codzienność). Co więc mam na myśli pisząc o kocim ogonie? Ano to, że poeta w swojej sztuce sam akceptuje reguły gry

narzucone przez tenże postmodernizm. W tomie aż roi się (to nie żart!) od niejednokrotnie ciekawych nawiązań do dziedzictwa filozofów, biblii, mitologii czy świata literatury i szeroko pojętej sztuki. Pod piórem Bilskiego wychodzi z tego jakby postmodernizm oswojony, ugłaskany, udobruchany. Więc hipokryzja? Nic podobnego – wszystko mieści się w zaznaczonej już powyżej herezyjności tej części książki. Tym jednak razem miejsce ponowoczesności zajmuje religia.

Do religii, a w zasadzie religijności, poeta powraca w części trzeciej. Jego bohater przeżywa tu swoistą iluminację – poprzez filozoficzne dysputy z Bogiem odkrywa wiarę indywidualną, wiarę dla siebie. Niestety, trudno wyróżnić mi tu którykolwiek z utworów. Ta część najmniej do mnie przemawia, najmniej jest wyrazista. Jeszcze raz okazuje się, że często podróż sama w sobie może okazać się bardziej ekscytująca od miejsca, do którego dzięki niej docieramy. Nad zgodę i pokorną bierność tej części (niezależnie od tego, jak wielką mądrością by się one charakteryzowały) zdecydowania przekładam herezję chrześcijańsko-postmodernistyczne części poprzedniej...

I tak droga / książka dobiega do końca, do światła, do życia.

Nie jest to poezja wyjątkowo odkrywczą – można powiedzieć, że to wszystko już było. Nie cechuje jej też jakiś szczególny idiolekt poetycki – ot, sprawnie napisane wiersze. To co w tej książce / drodze najbardziej może się podobać, to jej bezsprzeczny autentyzm i szczerłość; można czytać ją jako zapiski z podróży z ciemności do jasności (czy to tylko przypadek, że biel jest na okładce więcej niż czerni?), podróży przynajmniej dla jej głównego pasażera – podmiotu lirycznego – w pełni udanej.

Grzegorz Grzmot-Bilski, *Z powrotem do życia*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2003, ss. 44.

Ludmiła Janusewicz

Ciche „Cichnące”

Najnowszy tom wierszy KAZIMIERZA BURNATA „*Cichnące*” to „*sześćdziesiąty stopień wiatremniczenia*” (s. 56), mający odniesienie do doświadczeń życiowych autora istotnych o tyle, że „*ani uwić gniazda/ ani gdzie odlecieć*”. Poeta wydaje się być pogodzony z losem: nie ma tu walki, szarpaniny czy pytań retorycznych, tak charakterystycznych dla młodszych roczników.

„*Jesienny liść pospolitego ruszenia*” (s. 7) obserwuje z uwagą życie w różnych jego przejawach, najczęściej w kontekście upływającego czasu „*rękami zebrała sięgam/ ziemi nieba/ czas nagli/ więc szybciej szybciej*” (s. 15). Jednak przy całej ascetycznej skromności „*nie zabiegam o świętą pamięć*” potrzeby ma takie, jak inni piszący „*może wiatr zdąży utrwalić mój ślad*” (s. 13).

Pod zewnętrzną warstwą pozornie spokojnie zorganizowanych słów, widać jednak dramatyzm mocowania się z koniecznością odejścia „*kołejni święci/ czy pomogą w ostatnim oddechu*” (s. 11).

Opis przygotowania do „*podróży*” najlepiej oddaje wiersz „*Przed*” (s. 45)

Jadę w górki
do miasta w szczerym polu
gdzie najbliżsi

każdy tu życie
za Obietnicę

to też moje miejsce

zanim jednak
wyrwę jeszcze cieni
z siebie

W tomiku znajdziemy też kilka utworów mówiących o relacji pomiędzy mężczyzną i kobietą, choć tu nadal, przy charakterystycznej dla poety oględności, jest jakby „*lżej*”: „*Wyprowadziłaś się/ i boso stąpasz po snach*” (s. 24) czy „*Wpatruję się w twoją nieobecność/ jeszcze nieprzewietrzone ślady/ resztki niestrawionego pożegnania*” (s. 25). Dramatyzm relacji pomiędzy partnerami odkrywa-zakrywa wiersz na s. 27 „*poszukuję słów/ nadeptanych w środku zdania/ wyrrywam z pamięci/ nieme strzępy sensu*”. Ale i tak jest w nich najwięcej życia. „*Było ciemno/ wszedłaś/ odtąd są dwa słońca*” (s. 32) czy „*Zdążyłaś wydrążyć nadzieję/ teraz dzień i noc mają tę samą siłę/ co kościół wypełniony śpiewem*” (s. 37).

Końcowe wiersze w tomiku traktują znowu o przemijaniu, nie żyjących rodzicach, więc cmentarz jest tu środowiskiem niejako naturalnym.

Od strony warsztatowej właściwie nie można za wiele zarzucić autorowi, no, może kiks w rodzaju „*każdy nosi ciężę śmierci*” (s. 55), ale też wiele jest tylko poprawności.

Zależy kto czego szuka w poezji. Przyznam, że po przeczytaniu tomiku wierszy Kazimierza Burnata zrobiło mi się smutno, że poeta ten jest tak smutny i dosyć małej wiary, gdy pisze na s. 59: „*Wczoraj uważałem/ że nazajutrz stanę na szczycie/ dziś wiem/ słowo jest chore/ sens rozproszony po polach*”. Jeśli poeta sam sobie nie wierzy, to jak mają mu wierzyć inni?!

Kazimierz Burnat, *Cichnące*, Wydawnictwo „ATUT”, Wrocławskie Wydawnictwo Oświatowe, Wrocław 2003, ss. 64



Tulipan „Akantu”

KUPON PLEBISCYTOWY

AUTOR

TYTUŁ UTWORU

ROK I MIESIĄC DRUKU

IMIĘ I NAZWISKO TYPUJĄCEGO

ADRES

Chcemy, by Czytelnicy „*Akantu*” mogli uczestniczyć w kreowaniu zewnętrznego wyrazu współczesnej literatury poprzez ocenianie utworów drukowanych w miesięczniku.

Redakcja prosi wskazujących na najlepszy utwór w każdym gatunku literackim o wypełnianie i nadsyłanie kuponów (jeśli ktoś kolekcjonuje „*Akant*”, a jest takich osób coraz więcej, to można kupon ten skserować, nawet wielokrotnie). Typowanie może dotyczyć utworów z całego 5-lecia „*Akantu*”.

Zdzisław Tadeusz Łączkowski

Prostota i wyczulenie na człowieka

Region ma w chwili obecnej niebagatelne usługi w ratowaniu kultury polskiej. W regionie przecież ukazują się ciekawe książki, choćby w Bibliotece Staszowskiej, czy w Instytucie Wydawniczym „Świadectwo” w Bydgoszczy. Wreszcie w regionie, co jest niezwykle chwalebne, istnieją a parafie, które z dużymi osiągnięciami budują życie duchowe.

Nie tak dawno gościłem w Ludwinie koło Lublina, gdzie proboszcz parafii pw. Matki Bożej Częstochowskiej – ksiądz Janusz Kozłowski, poeta, zorganizował niezwykle udany konkurs poetycki (organizuje go z resztą od lat). Wszystko bowiem zależy od ludzi z pasją, ludzi myślących i tych, którzy jeszcze chcą coś robić dla siebie i dla innych. Kapłanowi pomagają w jego działalności społecznej i kulturalnej parafianie, a wśród nich wójt.

Region, prowincja. Tej prowincji poświęcał jakże wzruszające i jedno z najpiękniejszych liryków – Józef Czechowicz. W tym też regionie, tylko już po drugiej stronie stolicy, bo w Płocku, mieście już raz wymienionym przez mnie, żyje i wydaje swoje książki poetyckie – KRZYSZTOF BIENKOWSKI.

Krzysztof Bienkowski i jego „Oczy sparzone strachem”. Jest to poeta, a zarazem bardzo uzdolniony krytyk, niezwykle wręcz wyczulony na człowieka i jego wielki dramat trwania. Co mnie osobiście w tej poezji wręcz zadziwia, to ogromna prostota i dbałość o kształt słowa.

Krzysztof Bienkowski jest człowiekiem „pomiędzy wczoraj i dziś”, pomiędzy dziś, a czasem, który przyjdzie. Człowiekiem takim samym od wieków, z bólem, z radościami, nadzieją, człowiekiem, który kocha, żyje i umiera. To są głębokie sensy poezji tego autora.

Człowiek bowiem żyje w różnym czasie, w różnych warunkach społecznych, ale przecież zawsze poszukuje sensu swojego „być”, poszukuje prawdy, choć ona właśnie przybiera przeróżne kształty:

„Pytałem głoszących prawdę,
zamotali się w pajęczynie słów”.

Poeta mówi: „Skoro nic nie można / Można milczeć”. Właśnie, w tych wierszach jest wiele twórczego myślenia, myślenia jak gdyby poza słowem, gdyż czasami bywa ono „ułamne”, a także może ranić. Poeta więc „każe” czytelnikowi wnikać w tekst, który jest między słowem a słowem, domyślny. Bo jakże często „... poeta... / zamyslenie i krzyk oczu”.

K. Bienkowski jest bardzo dobrym obserwatorem, ale wie, że poezja to nie fotografowanie świata, lecz kreacja tego świata, doskonalenie, ocalanie świata i człowieka. Jest w tej swojej wizji pokorny, lecz też dyskretnie nieustępliwy jeśli idzie o walkę ze złem, krzywdą, o walkę, aby nasze sumienia były czyste i zawsze gotowe rozliczyć się przed nami, zawsze gotowe w chwili trudnej powiedzieć: tak lub nie.

Są to bardzo „osobiste” wiersze, czasami wręcz intymne, ale tym większą budzą wrażliwość na losy świata i człowieka, tym bardziej zastanawiają: „Dokąd zmierzamy?” To szczególny rodzaj metafizyki i „bezgraniczna odwaga”, żeby tak szczerze i bezpośrednio otwierać swoją duszę.

K. Bienkowski w swojej pokorze, zaledwie tylko wyśpiewuje jedną proroczą nutę, choć stać go na pewno na całą gamę. Jest to też pewien rodzaj bardzo twórczego spojrzenia, a jednocześnie i skromnego wobec świata i człowieka, wobec Nieskończoności („uwaga / na zasmarkane wiersze”).

Wiele też w tych wierszach odniesień społecznych, a od tej dziedziny życia poeci raczej uciekają, często dlatego, aby nie popaść w banał. Płocki twórca i w tej dziedzinie odnosi zwycięstwo. Sprawia wrażenie dobrego pracownika kultury. A pojęcie: pracownik – w tym przypadku to nie tylko zaszczyt, ale i bohaterstwo, zwłaszcza w dzisiejszym czasie.

Nie będę mówił po których poetów wspomniany autor sięga. Bo czy to ważne? Ważne natomiast jest, że potrafi w sposób szlachetny i dumny sięgać do skarbcza kultury narodowej. A to co z tego skarbcza bierze, potrafi uczynić godne dobrej poezji. Bo przecież wszyscy czerpiemy z tradycji i historii.

To naprawdę radość, że ukazują się takie książki, jak Krzysztofa Bienkowskiego „Oczy sparzone strachem”, książki, które uczą wrażliwości na innych, piękna, dobra i obcowania ze słowem. A słowo to zawsze powinno pozostawać świętością poprzez swoją prostotę i nie okaleczony kształt. ■

Emil Biela

Tylko piękno jest coś warte

Był niezwykłą osobowością. Tytan pracy pisarskiej, nie przyjmujący żadnych nagród i odznaczeń. W wieku dziesięciu lat postanowił zostać pisarzem i stał nim się w pełnym tego słowa znaczeniu. Zawsze kontrowersyjna indywidualność, w pełni niepodległa. Był nieślubnym dzieckiem. Jego matką była Angielka, zaś ojcem biologicznym Amerykanin, który nie utrzymywał z synem żadnych kontaktów. Nazywał się Merian C. Cooper, lotnik (obronca Lwowa!), obieżyświat, filmowiec, pisarz, dziennikarz. W 1952 roku otrzymał nagrodę Amerykańskiej Akademii Filmowej – Oscara za całokształt twórczości.

Ów nieślubny syn MACIEJ SŁOMCZYŃSKI urodził się w roku 1920. Jako dwunastolatek przeszedł piekło Pawiaka, później był żołnierzem amerykańskim w Paryżu, jako początkujący pisarz mieszkał w Gdańsku, aby w końcu osiąść w Krakowie. Dokonał dwóch gigantycznych dzieł: przetłumaczył na język polski „Ulissesa” Jamesa Joyce’a i cały dorobek Williama Shakespeare’a. Stąd tytuł filmu o Słomczyńskim „Pierwszy po Boyu”. Był znany szerokim kręgom czytelniczym jako autor powieści kryminalnych publikowanych pod pseudonimem Joe Alex, a ponadto jako twórca dramatów, scenariuszy filmowych, widowisk i audycji tv.

MAŁGORZATA SŁOMCZYŃSKA-PIERZCHALSKA jest córką tego niezwykłego człowieka z trzeciego małżeństwa. Dysponując obszernym archiwum swego ojca (Słomczyński pozostawił niesłychanie precyzyjnie uporządkowane materiały dokumentujące jego pracę i kontakty: korespondencja z wydawcami, listy wierszem do przyjaciół, recenzje, wycinki z gazet, plakaty teatralne, egzemplarze autorskie, archiwum joyce’ologiczne, zdjęcia, zaproszenia... – to zrab tych zbiorów) postanowiła dać wyraz swej tęsknocie za ojcem i cofnąć czas. Tak powstała książka – dokument pt. „Nie mogłem być inny. Zagadka Macieja Słomczyńskiego”.

Jest to doprawdy pasjonująca lektura. Prawie trzysta stron tylko uchyla część fenomenu twórcy tej niezwykłej osobowości. Pisarz z zadziwiał rozległą wiedzą humanistyczną, wysublimowanym gustem, intelektualną pewnością siebie. Ten chudy rudzielec miał niezwykle poczucie humoru i zniewalający urok osobisty. Nie

bez znaczenia była fama o nietypowym życiu rodzinnym: matka Angielka, trzy żony, czwórka dzieci.

A propoz matki. Twórca bardzo wiele jej zawdzięczał. Nazywała się Marjorie Crosby-Słomczyńska (Daisy). Była mądrą kobietą. W liście do swego syna w roku 1951 pisała: *Widzieliśmy raz w muzeum w Cluny grecką złotą bransoletkę w kształcie węża – cud piękności. Pamiętasz? Ja nigdy nie zapomnę tego. Czy to było mieszczańskie? Czy to był królewski dar dla faworyty – kto wie? Nikt. Zgast ślad po człowieku, a zostało przez wieki piękno. Dla mnie tylko to jedno jest coś warte – piękno! A piękno nie jest przecież dla wszystkich – tylko dla małej grupy dusz. Po co ma być rzucone jak perły przed wieprze? Nie wiem. Wiem, że Chrystus i długo po nim Shakespeare mówili know thyself (poznaj samego siebie). Mnie się zdaje, że ty masz za mało miłości dla piękna, albo masz o nim mylny sąd. Wyborów dokonujesz mylnych i to mnie dziwi. Czy ty naprawdę nie znasz siebie? Masz mylny sąd o wartościach, a pół twojego życia przeszło już – pomyśl!”.*

Taka była matka Macieja Słomczyńskiego. Kochała swego syna ponad zwykłą miarę, ale była to miłość wymagająca. I syn wiedział o tym doskonale. Trudno było mu się ugiąć. Już w czasach szkolnych nie uznawał autorytetów, był typem intelektualnie niezależnego buntownika i kontestatora. Zawsze miał własne zdanie.

W czasie pobytu w Gdańsku przyjaźnił się m.in. z Różą Ostrowską. Powiedziała ona zdanie, które Słomczyński zapamiętał na całe życie i które mu bardzo odpowiadało: „Jedyną ideologią, jaką mogłabym przyjąć, jest dobre wychowanie”.

Przekłady literackie były dla Słomczyńskiego nie tylko wiodem i artystycznym wyzwaniem, ale także przejawem nowoczesnego rozumienia patriotyzmu – pisze trafnie Małgorzata Słomczyńska-Pierzchalska. Przekładając na język polski najwybitniejszych, wzbogacił kulturę polską; pozostawił głębokie, niezatarte ślady swej pracy. Chyba nigdy nie znajdzie się taki angielsko-amerykański Polak... ■

Małgorzata Słomczyńska-Pierzchalska, *Nie mogłem być inny. Zagadka Macieja Słomczyńskiego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2003, ss. 294

Sztuka i doświadczenie

PRACOWNIA PLASTYCZNA
HALINY I WŁODZIMIERZA KRZEMKOWSKICH

Hart

ul. Malinowa 6, 85-363 Bydgoszcz
tel. 052/379 67 89, e-mail: krzemart@abas.pl

Usługi z zakresu:
grafika użytkowa, reklama, informacja
wizualna, projektowanie mebli i wnętrz

Janusz Orlikowski

W ogrodzie jego miasta

Miasto – miejsce urodzenia, stałego lub chociażby tymczasowego pobytu. Ale miejsce, punkt, znak tożsamości i jakby nie spojrzeć synonim poczucia bezpieczeństwa. To zupełnie coś innego niż bezdroża, czy nawet droga.

Najpełniejszym miastem ludzkości był Babilon. Był on bowiem grodem, a równocześnie ogrodem. Mityczna twórczyni wiszących ogrodów królowa Semiramida połączyła swoim pomysłem dwie, tylko pozornie sprzeczne natury człowieka o ładzie nadawanym przezeń rzeczywistości. „Marzenie o ogrodach, to marzenie o porządku nadanym przez człowieka przyrodzie. Miasto doskonale to porządek nadany przez człowieka socjologii” – napisał w eseju „Ogrody” Kazimierz Wyka.

Ogród i miasto – te dwa słowa przysły jednocześnie mi do głowy podczas lektury książki „Bydgoszcz w literaturze” STEFANA PASTUSZEWSKIEGO. Stąd wcześniejsza dygresja i nie bez powodu. Zanim jednak o tym...

Rzecz składa się z dwóch nieformalnych części. Pierwsza to autentyczne, zgodnie z podtytułem – wypisy – z literatury dotyczące grodu nad Brdą; druga – dwanaście szkiców o charakterze krytyczno – literackim, które w istocie tworzą jeden wielki esej o Bydgoszczy treścią zanurzony w myślach, uczuciach, skojarzeniach, pisarzy z tego właśnie miasta lub z nim poprzez krótki nawet pobyt związanych.

Dwa słowa należą się jednak i pierwszej części książki, gdzie osi są fragmenty opowiadań, wiersze. Wszystkie oczywiście o Bydgoszczy. Jest ich mnóstwo. Nie sposób tu wyliczyć, choćby samych autorów. To swoisty kalejdoskop, a każdy wiersz, każdy opowiadania fragment wnosi nowe treści. Dużą pracę wykonał autor „Pamiętek inflanckich” porządkując owe wypowiedzi tematycznie. Wyłonił tych tematów osiem i opatrzył tytułami: „Pejzaże”, „Miejsca magiczne”, „Osobowość miasta”, „Dzieje”, „Obyczaje”, „Ludzie”, „Legendy”, „Humor i satyra”. Już sam przegląd tytułów wskazuje na pewną myśl poety, której uwiecznieniem są wspomniane wcześniej treści. To myśl wiodąca od realistycznego spojrzenia na Bydgoszcz („Pejzaże”), jego infrastrukturę w zwykłym, autentycznym, literackim opisie przez „Miejsca magiczne”, czyli w swej strukturze składającej do – nazwijmy – poetyckich zachowań, a więc szczególnie urokliwych, tajemniczych lub poetycko przetworzonych w – magiczne, przez „osobowość miasta”, o której szwedzki prozaik Jacques Werup w fragmencie „Zobaczyć Bydgoszcz i umrzeć” pisze: „Ale przede wszystkim poczucie intymności, bo o intymność tutaj chodzi. Tę, która pozwala człowiekowi widzieć wszystko, a jednocześnie miłośnie strzeże tajemnic. Intymność ciałnych uliczek i zakątków, intymność w zakrzywieniach i niedokończeniach, w tym, o czym do końca nie można powiedzieć, czy jest właśnie budowane czy wyburzane. W poczuciu wyjątkowości, przejściowości, w braku ostatecznego dokonania. (...) Czy mówię tu o poezji, czy o architekturze?”. A dalej przez dzieje Bydgoszczy, historię i obyczaje, w których klimat, choćby z ciekawości, warto poprzez zawarte wypisy się wgrzyźć, wędrujemy do ludzi i ich specyficznych, regionem naznaczonych charakterów. A jak region to oczywiście i z nim związane legendy. Jak wspomniałem mnóstwo autorów i regionalizmem tchnących linijek polskiej literatury. Ów przegląd kończy podrozdział „Humor i satyra”. Ten rodzaj przekazu literackiego ma to do siebie, że potrafi w kilku słowach przekazać więcej, chociaż mniej szczegółowo, niż jeden esej. Po namyśle wybrałem dwa fragmenty:

„Jacyś wciąż nazywają nas tutaj Krzyżakami.
Gdyby żył król Jagiełło, wstawiłby się za nami.”

(„Nieporozumienie historyczne” – Zbigniew Wicherek)

„Bydgoszcz od zawsze – od dawna dawien kompleksy nękały rozliczne
Poznań miał Targi, Kraków miał Wawel
a my tylko gołą łuczniczkę”

(„Do Bydgoszczan” – Zdzisław Pruss)

Przejdźmy do drugiej części książki, czyli jak ją nazwałem – eseju Stefana Pastuszewskiego o Bydgoszczy. Poszczególne jego etapy, kolejne szkice otwierają „Soczewki i zwierciadła i literatury”. Bardzo ważny, bowiem w tym tekście zastanawia się autor, pomny analizy wszystkiego lub prawie wszystkiego, co o Bydgoszczy w kontekście dzieł miało miejsce, jakie są kryteria sztuki literackiej w aspekcie regionalizmu. Na ten użytek autor „Bydgoszczy w literaturze” tworzy pojęcie „biregionalności”. Bi – z łacińskiego w założeniach znaczą dwa, trwający dwa, występujący (ukazujący się) co dwa, na dwie części, podwójnie, obustronnie. Zupełnie nie wiem jak ten neologizm przyswoić do powziętego opisu: „Idzie tu właśnie o dzieła należące równocześnie do dwóch krain: lokalnej i sztuki, o dzieła regionalne i ponadregionalne równocześnie”. Regionalizm i uniwersalizm obecne w jednym dziele sztuki nie są nam obce. Jednym z pierwszych i chyba najlepszym tego przykładem są utwory Fryderyka Chopina. Jego mazurki to tegoż kwintesencja.

Ma rację natomiast autor „Drugiej gałęzi”, gdy pisze: „W tej kategorii (tj. sztuki – przyp. J.O.) nie mieszcza się więc rymowane przewodniki, apokryficzne wyznania miłości do „małej ojczyzny” czy teksty retoryczne, opisujące tylko a nie kreatywne, nie mówiąc już o ekshibicjonistycznych wynurzeniach inkrustowanych jedynie lokalną topografią.” A dalej: „Nie ulega wątpliwości, że w literackim dorobku grodu nad Brdą i Wisłą są utwory obydwu typów, niestety, co zresztą jest charakterystyczne i dla innych regionów, te mniej artystyczne przeważają.”

Odsiewając zatem ziarno od plew, Pastuszewski czyni swą wędrowką treścią literatury Bydgoszczan o swoim mieście, wskazując na jej newralgiczne punkty. Pierwszy, który zauważa to „Mozaika pejzażu”. To spojrzenie na miasto od „malowania słowem” Mariana Turwida, przez jego antropomorfizację, miasto – kochanek („Powrót” Anny Strzeleckiej) i z drugiego jakby bieguna wierszem poetów tzw. pijących (kultura niebieskich ptaków, albo jak kto woli inaczej) do alienacji w społeczności miejskiej z utworu Zdzisława Prussa „Do wchodzącego na balkon” i „Śmierci z głodu marzeń” w społeczeństwie urbanistycznym w tekście poetyckim Stefana Pastuszewskiego. Poeta zatacza jednak koło i powraca do tych wierszy i ich autorów, dla których Bydgoszcz jest – dobra, ciepła i piękna. Bo poeta zawsze widzi poprzez zielone. Nie od parady zatem poczyniłem wstęp do tej wypowiedzi przywołując esej Kazimierza Wyki p.t. „Ogrody”. Szkic „Zielona Bydgoszcz” to potwierdza. Tu bowiem miasto staje się równocześnie ogrodem i mieni się w odbłaskach zieleni. W wierszach pojawia się zachwyty jej pięknem i to nie tylko w literaturze autochtonów, lecz również u chińskiego poety Ding Jie Mina czy łotewskiej Inese Namsonie. Bydgoszcz zatem to jakby ogród i miasto zarazem. Zieleni i szarości. Podobnie jak Babilon. Lecz tamto było miastem doskonałym. Szarości murów kojarzyła się raczej z tego rodzaju architekturą, która znakomicie swą „Harmonią socjologii” (K. Wyka) w marzenia rzeczywistości się wtapiała. Bydgoszcz, zresztą jak każde inne miasto, podejrzewam przybiera na eklektyczności. Klasyczny zamysł architektoniczny to dziś ironiczny uśmiech na twarzy.

Tym niemniej zieleni, jak podejrzewam po lekturze szkicu „Zielona Bydgoszcz”, miastu temu może niejedną pozazdrościć. A zieleni to poezja i poeci z symboliką tego koloru na zawsze są związani.

Drugim, równie ważnym elementem tożsamości grodu nad Brdą jest szarość, przy czym, jak pisze autor „Dwunastu miłośnych miesięcy” nie chodzi tu o chodniki, bruk, mury, ale o istotowość natury socjologicznej. Mówi o niej jako o „(...) zgrzebnej, szarej powszedniości, wręcz niechęci bydgoszczan do błyszczenia, popisywania się, ‘wychylania się’, jako przykład podając fragment prozy Tadeusza Nowakowskiego: „To właśnie ta wielka niechęć do mówienia o sobie, doś z namienna dla „Wasserpolaków” (tak jak nas kiedyś nazywano), sprawiła, że w Warszawie zawsze więcej wiedziano o Dawidgródki, o Dubnie czy Kołomyi, niż o naszym mieście – ogrójczyku nad bluszczołą Brdą”. Pozostałe, jak „mgła nieodczuwań” z wiersza Francisza Grotta („Miasto się budzi”), czy nijakość a więc i samotność, anonimowość to cechy charakterystyczne każdego wielkiego miasta.

Kolejne szkice „Historia zatrzymana w biegu”, „Okręt Horacego, tratwa Turwida”, „Bydgoski Watykan” i „Bazylika – kompleks i duma” to spojrzenie na historię, jej pokretnie czasem dzieje i zażytki miasta. To też trochę zastanej i jakby tworzonej przez umiłowanie swojego miasta legendy. Po lekturze wiersza Alfreda Kowalkowskiego „Miasto na Brdzie” a wcześniej Leszka Golińskiego, Jadwigi Korulskiej, Danuty Künstler-Langner, Pastuszewski pisze tak: „W tych poetyckich obrazach zawiera się jednak, być może nawet przez twórców nie w pełni uświadomiona, prawda, że to woda była pierwsza, że to z wody wyszło życie, że Bydgoszcz wyłoniła się – może nie do końca jak Wenus z morskiej piany – właśnie z Brdy. Szkoda, że przy tym nie było fotografa, ale też – jak skarży się Stanisław Helsztyński:

„Żaden, niestety, malarz nie uwiecznił chwili,
że gdy po raz pierwszy ludzie na gród
ten przybyli:
chata rybacka w duchu mgłą lśni niebieskawą”

Malarza nie było, fotografa też. A może to i dobrze. Bo ten drugi zwłaszcza, by do fotografii postaci ustawiał – bo to profil nie ten a tamten...

Legenda – umysł człowieka – miasto, to przecież nic innego jak tęsknota za jego doskonałym kształtem. To wciąż to samo miasto Babilon, o którym pisze w eseju „Ogrody” Kazimierz Wyka.

Poza legendą są w Bydgoszczy miejsca legendą tchnące, rzeczywiste. To „Zaułek – wąska, zaniedbana uliczka na Starym Mieście (...). Uliczka urokliwa dzięki łukowi napowietrznego przejścia między dwoma kompleksami bibliotecznymi, załomem i nostalgicznym wnętrzem zapuszczonych podwórek (...).” A dalej: „To o Zaułku przedwojenne przewodniki turystyczne pisały, że przypomina magiczne Wilno, to Zaułek stał się natchnieniem wielu malarzy i poetów”. Jest jeszcze okolski węzeł rzeczny: „Okole (...), bowiem właśnie tu rzeka zmienia kierunek z południkowego na równoleżnikowy, aby za 8 kilometrów wbić się w Wisłę, również łamiąc się nietypowo, bo pod kątem prostym”.

Te rzeczywiste cudy natury to kolejne etapy wędrowki Stefana Pastuszewskiego przez jego miasto. Rzeczywistość, jej obrazy poetów i pisarzy, legenda wraz z próbą jej dalszego tworzenia to treści pomieszczone w tych szkicach z dużego eseju o Bydgoszczy autora „Pamiętek inflanckich” od architektury i jej poetyckiego przetworzenia do obecności w niej człowieka i jego teje, poprzez najczęściej najogólniej pojęty egzystencjalizm odczuwania.

Kończą go „Autobusy napędzane piórem” i „Antyurbanizm?”. W klimacie najbardziej urbanistycznym.

Szkic pierwszy to ruch, w obrębie miasta zmian na miejsca. Już sam tytuł przywołuje ruch – urbanizm – działanie, a w treści tymże zachwyty

dokończenie na str. 60

dokonczenie ze str. 59

przypominający dokonania zwłaszcza wczesnego Juliana Przybosa. „Miejskie autobusy – próba okiełzania miejskiej przestrzeni, no i oczywiście czasu” podsumowuje autor „Teraz Polska” cytowane wiersze Ryszarda Częstochońskiego, Krzysztofa Lutowskiego i własny:

*„jadę autobusem miejskim w samym sercu dziejów
jak w wierzchniej warstwie ziemi
która pulsuje i wydaje owoce
wszystko tu jest, wszystko być może (...)”*

Autobus – obecność na zewnątrz, ruch, ale i równocześnie spojrzenie w głąb, w istotę miasta.

Stąd jakby mimochodem, ujawnia się człowiek wielkiego miasta. To „homo urbis”, jak nazywa go poeta. Czy to persona z doskonałego miasta królowej Semiramidy? Z pewnością nie. Czy w eklektyczności architektonicznej i w gruncie rzeczy trochę natury człowieczej ujawni się ów porządek miasta doskonałego z eseju Kazimierza Wyki? Czy marzenia stawia czoło tak mocno podawanej papce zbieraczy pieniędzy w czasie mocnego zachwiania autorytetów? Póki co w książce „Bydgoszcz w literaturze” Stefan Pastuszewski pisze: „Główną przyczyną bydgoskiego antyurbanizmu w literaturze, obok 'obiektywnych procesów cywilizacyjnych' coraz bardziej wyelaniowującą osobę ludzką, było otoczenie staromiejskiej tkanki monstrualnymi blokowskimi w stylu 'uniformizmu kubicznego'”. Takich zdarzeń w każdym mieście jest sporo. I coraz to narastają. W konsekwencji utworzą nam nową rzeczywistość architektoniczną. Będziemy się do niej dostosowywali. W istocie jeszcze ważniejsze jest co innego. Proporcja zieleni i szarości. Już mamy tego przykłady – wielkie miasta Ameryki. I pierwsze, wielkie ich cierpienia – terrorystyczne akcje. Być może, można bez wątpienia powiedzieć – jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Skojarzeniowa odległość wydaje się zbyt obca. Poecie jednak wolno myśleć inaczej. Chociaż zagłuszy go ignorancji pełen, pusty, amerykański śmiech. Lecz dajmy spokój dygresjom.

„Bydgoszcz w literaturze” to w połowie wypisy z utworów o tym mieście jego pisarzy i poetów i gości z kraju i zagranicy, w połowie dzieło Stefana Pastuszewskiego jest obrazem dwunastu szkiców, lub jak wole, eseju bogatego w treści, jednolitego zamiarem i konsekwentnie dopełnionego literackiego opisu literackiej Bydgoszczy. Autentycznie ciekawa lektura dla regionalistów, miłośników miasta, jego mieszkańców i sądzą dobrą pomoc naukową dla uczniów, zwłaszcza szkół gimnazjalnych i średnich, gdzie jedną ze ścieżek dydaktycznych jest właśnie regionalizm.

Red. Stefan Pastuszewski, *Bydgoszcz w literaturze*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2003, ss. 132

Stefan Pastuszewski

Baba na polowaniu

Odechciało mi się czytać, gdy zapoznałem się z pretensjonalną historią drażnienia patykiem salamandry, która tak na prawdę jest płazem a występuje w tekście jako jaszczurka czyli gad („Sucha gałąź”), gdy autorka wdrapuje się na górę zboczem „pełnych jaskiń, szczelin i głązów, od którego wieje legendą”, a potem „schodzi tyłem na czworakach” („Szczebel”). Ot, starsza egzaltowana pani opisuje swe przygody w „długiej chwili”. Wreszcie, zwolniona z obowiązków, chłonie świat, który już dawno powinna poznać, bo od tego obowiązku nikt normalnego człowieka jeszcze nie zwolnił, tylko my sami, zakopując się w jakichś sztucznych uwikłaniach i zobowiązaniach, usiłujemy w dojrzałych latach się zwolnić. Popadamy w pracholizm i inne uzależnienia i ani nam do klubu na spotkanie autorskie ani do wyjazdu na Infanty.

Dopiero „Cień dzikiej gruszy” przyniósł czytelnice ukojenie. Jest! Wreszcie jest jakaś myśl! Jakaś filozofia. Dobra, głęboka, wręcz historiozofia, tak przenikliwa, że aż trzeba ją w całości przytoczyć.

- No to niech zostanie (grusza na miedzy – przyp. S.P.), póki sama nie padnie – orzekają zgodnie wszyscy. Ogorzałam ich twarzom (chłopów z podkrakowskiej wsi – przyp. SP) już się marzyło coś Nowego, co koniecznie musi być wielkie, potężne. Już byli gotowi rzucić na żer temu Nowemu wszystko, co dotąd kochali, co ich otaczało. Jeszcze nie widzą, jak to Nowe będzie wyglądało, a już są na nie otwarci. Z pewnością będzie lepsze. Wielki urok Nowego. Niepoznanego. Jego tajemnicze skradanie się przez bagna i lasy. Chcą je przyspieszyć, bo są silni, sprawni i pogodnego ducha. Gotowi przyjąć każde wyzwanie. W imię tego Nowego nie potrzebują już dziś śpiewu plectwa ani miedzy. Maszynowa ich przyszłość. Maszynowy dobrobyt. Cień od maszyny i maszynowy śpiew na drzewie. I sztuczne niebo, którego nie przystaniają nigdy chmury.

Rada z siebie, że ocaliłam życie gruszy, schodzę ku wsi na przystanek autobusowy. Wieś – ciężkie, niezgrabne gmaszyska. Obok rudery, budy, szopy, a wszystko razem tworzy swoisty klimat końca dwudziestego wieku, No i śmieć wyrzucony wprost na skarpę sąsiadujących z nimi krzaków. Śmieć potęgą jest i basta!

I tak już jest przez cały zbiór 18. krótkich opowieści reportersko-refleksyjnych pod wspólnym tytułem „Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy”. Nie są to wbrew pozorom edukacyjne obrazki proekologiczne, których ostatnio wiele namnożyło się w naszej prasie. Są to opowieści nawiązujące i stylem (suchy, lapidarny, trzeźwy) i kli-

matem (podziw dla przyrody, ale też dystans do niej; przekonanie, że człowiek jest koroną stworzenia) do XIX-wiecznych opowieści myśliwskich, które jeszcze można spotkać w „Łowcu Polskim”. Zresztą autorka „Wielkiego polowania” i po górach chodzi, i z zawodowymi rybakami wycierzem ryby wyciąga („Gut Frau, gut, ja” – pochwalił ją taki jeden na Śląsku, Niemiec z pochodzenia, po tym jak „ryby śliskimi bokami tarty się o jej tydki”). No i wciąż, niczym myśliwy czy leśnik szuka właściwej relacji człowieka z Naturą, relacji zdrowej dla obydwu stron, a nie na przykład kobiecego uzalania się nad byle kociną czy biedronką.

I znajduje. Oto „dialog” pani – człowieka z Panią – Naturą (pani – człowiek czyli APOLONIA PTAK po bieszczadzkiej włóczędce cudem odnajduje, i to na czas, drogę do miejsca, skąd miał ją zabrać do Krakowa umówiony samochód).

A co ty mi powiesz, pani Naturo? Wczoraj splatałaś mi takiego figla, że podarłam ubranie, pokaleczyłam twarz, ręce i nogi w chaszczach, omal nie utonąłam na mokradłach, a dzisiaj włączyłaś mi radar. Porządną firmą jesteś.

A właściwie, to dokąd ja idę? – obudziła się nagle czujność we mnie. I gdzie jest moje miejsce? Twoje miejsce jest tam, gdzie starczyło ci odwagi, resztę załatwia łaskawy przypadek – podpowiada mi Natura.

Zresztą autorka nie byłaby kobietą, gdyby na wzór poetek J. Baziak, K. Michalewskiej, E. Borkowskiej, D. Sułkowskiej nie lansowała organicznej więzi kobiecego jestestwa z Kosmosem:

Jest taki las, którego nie obejmiesz nigdy ani rozumem, ani okiem, ani go nie wystyszysz. Drogę jego stopa nie przeliczy. Galaktyka jego liści i wspólnota korzeni to jest nasz wspólny łańcuch pokarmowy. Kosmiczny.

Zbiór filozofujących opowiadań „Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy” APOLONII PTAK nastąpił po zbiorze „Chrabąszcz i inne opowiadania” z 2001 roku, a de facto dotyczących polskiej rzeczywistości z lat osiemdziesiątych XX wieku. Dzięki takiemu zestawieniu widać wyraźnie jak silna jest osobowość autorki „Pejzażu Polski”, że w tych trzech opowiadaniach spod znaku „chrabąszcza” ukryła pod postacią bohaterki samą siebie, swoje myśli wcisnęła w ich usta, swoimi uczuciami napędziła literackie bohaterki. W ogóle słowa mówione są dla A. Ptak – jak dla każdej kobiety – niezwykle ważne, więc głównym budulcem narracji są dialogi. To one posuwają akcję naprzód, to one służą przekazaniu wielu odkryć i olśnień. Bo w utworach tych postaci literackie a raczej autorka w ich kostiumach, uparcie rozpoznaje świat i dzieli się swymi rozpoznaniem z czytelnikami.

Wbrew dotychczasowym recenzentom pragnę wyróżnić nie rozdętego (jak na zwięzłą twórczość autorki „Godziny szczytu”, oczywiście) „Chrabąszcza” o dojrzywaniu dzieciaków z Domu Dziecka, lecz zwartą „Wrone” o wigilijnym polowaniu w stanie wojennym. Bohaterka tego tekstu jak każda kobieta, jest wielce niekonsekwentna. Najpierw rezygnuje z „czterdziestoletniego przystojnego bruneta”, potem ze strażu do gonionego przez psa zająca, bo „psiny nie jada”, aby ostatecznie roztkliwić się nad wroną kraczącą „gdzieś daleko na drzewie”. Choć sporo w tym opowiadaniu dysharmonii i sztucznego naginania się do rzeczywistości politycznej („Ty, wrono, jesteś pod ochroną, a ja, Helena, w stanie wojennym – nie”), to jednak tekst ten właśnie owym kobiecym rozwichrzeniem, swoistą bezzadnością, ale też odwagą funkcjonowania w obcym środowisku pociąga. W końcu baba na polowaniu to nie lada gratka.

Apolonia Ptak, *Chrabąszcz i inne opowiadania*, Kraków 2001, Wydawnictwo i Poligrafia „Alsander”, ss. 100.

Apolonia Ptak, *Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy*, Kraków 2003, Wydawnictwo „Plus”, ss. 56

**SPECJALISTYCZNE
USŁUGI MIESZKANIOWE**

- KONSERWACJA, NAPRAWY, WYMIANA WIND OSOBOWYCH I TOWAROWYCH
- OPIOMIAROWANIE CIEPŁA I WODY
MONTAŻ URZĄDZEŃ REGULACYJNYCH
- PROJEKTOWANIE BUDOWNICTWA
- SPRAWOWANIE FUNKCJI INWESTORA
ZASTĘPCZEGO, NADZÓR BUDOWLANY
- KAŻDY WŁAŚCICIEL I ZARZĄDCA
MOŻE ZLECIĆ **POBUDOWI** ZADANIA
Z POWYŻSZYCH ZAKRESÓW

POBUD sp. Z O.O.
PRZEDSIĘBIORSTWO ORGANIZACJI BUDOWNICTWA
85-868 Bydgoszcz, ul. A.G. Siedleckiego 14,
Telefony: (052) 371 37 82, (052) 371 37 84, (052) 371 37 86, (052) 371 66 82, telefax: (052) 371 37 85

Stefan Rusin

Moi drodzy nieobecni

Pierwszy raz czytam poezje ARTURA TOMASZEWSKIEGO, urodzonego i mieszkającego w Gdańsku.

Otrzymałem w przesyłce jego czwarty tomik „Fotografie”, wydany w 2003 roku. Składa się z trzech, dobrze skomponowanych części: „Klisze”, „Lustra”, „Fotografie”. W pierwszej, najobszerniejszej, poeta skupia się na materii i budowie wiersza.

Jaki ma być wiersz? Z metaforami, bez przypadkowych słów, „goły”, z „mocnym korzeniem słowa, sięgającym głęboko w nieurodzajny piasek zdań”. Bez zbędnych westchnień. Ale najczęściej powstają „wiersze ubrane”.

Artur Tomaszewski marzy o wierszu, który sam przychodzi, wypala się i pozostawia po sobie ciszę.

po słowie
wspinam się jak po drabinie
pokonuję kolejne stopnie
na ostatnim zapalam lampkę
i kładę ją pod wierszem
kiedy zaczyna płonąć
odwracam się i odchodzę

właśnie wtedy usłyszałem
jak przemówił ludzkim głosem

Ambitny twórca mówi: „trzeba rozbijać twarde skorupy zdań”, robić miejsce światłu, rozmać wiać z wierszem i „karmić go” odpowiednim dla niego słowem. Dobrze jest na jakiś czas przerwać pisanie i terapeutycznie poczytać wiersze obcych twórców, np. Urszuli Kozioł czy Safony.

Pewien stary poeta na jednym ze spotkań autorskich oznajmił, że jako poeta nie ma już nic do powiedzenia.

.... przestał nim być
w ciągu jednego wieczoru
jakby ktoś stłukł wazon
w którym NIC nie było”

Artur Tomaszewski rozsmakował się w mówieniu o kondycji wiersza. Opukuje go, zagłada do jego wnętrza, chce się zaprzyjaźnić z tymi wierszami, które „poddady się niesprawiedliwym wyrokom”.

cieszę się kiedy piszę wiersz
i cieszę się kiedy poezja odchodzi
bo wiem że warto czekać na chwilę
kiedy słowa urosną w wielką kulę światła
i popłyną do źródła

Wspomina o Bolesławie Facu: „modlił się słowem do słowa/ ukrzyżowany na słowie/ przez całe życie w rękach trzymał słowo”. Pochlebne zdanie ma również o Stanisławie Gostkowskim. W jednym z utworów dziękuje słowu za pamięć, smak, kolor, zapach, wierność.

W dwóch pozostałych częściach tomiku, tj. w „Lustrach” i „Fotografii” bohater liryczny to jednak alter ego autora.

W utworze „próba” ironizuje z „sprawiedliwości”, która najbardziej sobie ceni bisior, purpurę, zarozumiałstwo własne, przekupstwo. Urodzeni „na obraz i podobieństwo” wcale nie są od niej lepsi. W innych utworach zajmuje go historia wojen, władców, terroru oraz nieznaną siłą, która zawiaduje losem świata, cierpieniem, śmiercią. Poruszyły mnie wiersze o spotkaniu poety (w śnie) z Lwem Tołstojem, o „dumnych odkryciach”, o przegranych armiach świata, o dziadku poety.

.... dwa lata wcześniej buty mojego dziadka
wstępowały do nieba samotnie
a on zamieniony w popiół
wypalał się w piecach całej Europy
aby ostatecznie powrócić do domu
w postaci niewidocznej gołym okiem
drobiny kurzu
w powietrzu ciężkim i szarym
w ostatnim liście do żony zdążył jeszcze napisać
«jedynym sposobem na okropności ludzi
są inni ludzie tak bardzo podobni do świata
który nawet tutaj pozostaje piękny»
wiersz mojemu dziadkowi...”

Utworów związanych z ojcem jest tutaj zaprezentowanych znacznie więcej. Dwa wyróżniają się klimatem dramatycznego snu, mówią o dole kopanym przez ojca przez 40 lat, oraz o dole, do którego weszło ciało poety, uciekające z płonącego miasta i odbywające wędrówkę po dnie martwej rzeki. Mówienie o ojcu w „Fotografiach” to niemalże obsesja. Widzimy ojca nieustannie rozmawiającego z synem; przedmioty, które po nim pozostały, zastępują kolor jego oczu, barwę głosu, zapach potu. Myślenie i rozmowy o nim może to tylko fantasmagorie. W krótkim utworze „xxx Ty który jesteś” czy na pewno do niego zwraca się poeta-syn? Po utraconej, bliskiej osobie, pozostawioną dziurę stara się czymś wypełnić.

.... on drobina kurzu popchnięta
potężnym uderzeniem wiatru
wędrował między liście
zatrzymując się na chwilę na gałęzi
z której spadał razem
z niewielką kroplą deszczu...”

(„pamiętam”)

A matka

.... czyści poleruje
swoją matkę
zatopioną w bursztynie
obojętną na słowa
głuchą na wszystkie dźwięki
które rozbijają się o jej marmurowe uszy...”

Odeszli ze świata żywych również krewni poety, pozostał po nich „smak i patrzenie”.

W omawianym tomiku nie znalazłem różnych motywów transcendentnych, doświadczeń religijnych, ani próby opisanego zamierzenia się z przestrzenią sacrum. Wyjątkiem jest wiersz „Świadek incognito”. W nich Piotr i Jan kilkoma chlebami i dwiema rybami nakarmili liczne grupy ludzi. Ewangeliczne przesłanie i zdarzenie zostało umiejętnie wpisane we współczesne realia. Czy poeta chciałby usłyszeć w sobie głos „z tamtąd”? Może ten głos jednak jest obecny w „świecie kurzu”, w ludzkich zmysłach, w odradzającej się materii?

czy jestem tylko przypadkowym
połączeniem kilku chromosomów
czy w chaosie nieopozorna chwila
zadecydowała o mnie
o kształcie nosa wykroju ust
nawet to że nie jestem obłąkany
zawdzięczać tylko szczęśliwemu
zbiegowi okoliczności
bez żadnego udziału magii
pieśni pełnych ducha

filozofii nawet geometrii

czy jednak kapryśna pogoda
zapach lopianu burza o świecie
przypadkowe zaklęcia
były przyczyną
a nie są skutkiem

(„przyczyna czy skutek”)

„Fotografie” to dobry i znaczący tomik w dorobku poetyckim Artura Tomaszewskiego

Artur Tomaszewski, Fotografie, Wydawnictwo Diecezji Pelplińskiej „Bernardinum”, Pelplin 2003, ss. 68

Sprzedż „Akantu” w punktach Kolportażu Prasy „Rolkon”:

- ✓ Salon Prasowy, 86-100 Świecie, Rynek 7
- ✓ Kiosk, 86-100 Chełmno, ul. Grudziądzka 11
- ✓ Kiosk, Chełmno, Osiedle Kopernika, tel. (0-56) 686-25-15
- ✓ Market „Netto”, 78-100 Kołobrzeg, ul. Gryfitów 1
- ✓ Kiosk „Atur”, 75-200 Koszalin, Dworzec PKP
- ✓ Salon Prasowy, Koszalin, ul. Wenedów, tel. 604 060169
- ✓ „Viki” - Market, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej-Curie 29
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Krasińskiego 2, tel. 322-80-13
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Piłsudskiego 4, tel. 344-93-21
- ✓ Kiosk, Bydgoszcz, ul. Skłodowskiej 25, tel. 601 633343
- ✓ As Market, Bydgoszcz, ul. Chodkiewicza 17, tel. 321-00-51
- ✓ Salon Prasowy, Bydgoszcz, ul. Kleeberga 2, tel. 344-23-23

AKANT w niektórych kioskach „Ruchu”

Bydgoszcz

- ul. Gdańska 6
- ul. Jagiellońska 9

Cieszyn

- Dworzec PKS, ul. Korfantego

Inowrocław

- Dworzec PKP
- Rynek Główny

„Akant” w EMPiK-ach

Warszawa, ul. Grójecka 80/102, ul. Nowy Świat 15/17, ul. Marszałkowska 116/122, ul. Mickiewicza 27; Bydgoszcz, ul. Gdańska 15; Włocławek, ul. Miedziana 11/13; Elbląg, 1 Maja 37; Gdańsk „Megastore”, ul. Podwale Grodzkie 8; ul. Długi Targ 28/29; Sopot, ul. Bohaterów Monte Cassino 57/59; Gdynia, ul. Świętojańska 68; Gorzów Wielkopolski, ul. Sikorskiego 126/128, tel. (095) 7226849; Olsztyn, ul. 1 Maja 18/19; Czeladź, ul. Będzińska 80; Kielce, ul. Warszawska 5; Kraków, Rynek Główny 5, ul. Bora Komorowskiego; Nowy Sącz, Rynek 17; Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 59, ul. Krakowskie Przedmieście 40; Łódź, ul. Piotrkowska 81, ul. Narutowicza 8/10; Gniezno, ul. Chrobrego 11; Poznań, ul. Ratajczaka 44; Słupsk, Stary Rynek 6; Szczecin, ul. Wojska Polskiego 2, ul. Niepodległości 60; Wrocław, Rynek 50, Pl. Kościuszki 21/23.

Anna Thiesler

Diva i Weltschmerz

W dzisiejszej prozie nieczęsto trafia się opowieść, opowiedziana tak zwyczajnie, bez zdziwnień i zamierzonego epatowania czytelnika ozdobnikami.

Taka z pozoru prosta historia została opowiedziana przez BOŻENĄ WOŹNIAKOWSKĄ-KLICH w „Wiecznej kochance”. Klamrą spinającą koniec i początek powieści jest święconka wielkonočna. To właśnie ona wyznacza ramy powieści, wskazując, że wiele wydarzeń niekoniecznie będzie się rozgrywało w rytmie kalendara gregoriańskiego, ale również ważnych świąt w życiu rodziny. „Wielkanoc, którą zapamiętałam, była ciepła. (...) Tęsknię do tych zapachów. Szczególnie do zapachu matki”. Ciekawie brzmi tutaj podwójny wydźwięk zwyczajnego przymiotnika.

W opowieści Bożeny Woźniakowskiej – Klich skrzy się dowcip, splatając równocześnie z tragifarsą. Zapasy z życiem są pokazane jako nierówna walka. Po rozwodzie z wiecznie pijanym mężem bohaterka, a zarazem narratorka powieści nie straciła witalności, określając soczyście „mój apetyt na życie był tak ogromny, że dławiałam się w ramkach gosposi domowej i w pokoju nauczycielskim. Ja nie miałam leśniczówki, ale taki księżyc, że w mordę go lać i k.j.m. jak tu nie pić.”

Jej życiokicz, jak mawiała, bardziej elegancko zwany dzisiaj curriculum vitae to zorganizowany chaos. „Nie nadązał za mną nikt. A ja zdążyłam wszędzie lub, jak moja matka, milkłam w depresyjnym dołku w kącie, umierałam z rozpacz, tęsknoty do wyidealizowanej ojczyzny i tykałam psychotropami popijając co kilka lat przez trzy dni wódkę. Pisałam zażalenia do Pana Boga, śpiewałam w kółko Serdeczna Matko i Boże coś Polskę, aby znowu z pasją naurgać całej litanii świętych za mój los. A los dziergał się sam jakby obok mnie. Na pograniczu szaleństwa i myśli samobójczych wikałam się coraz bardziej we własne sieci, zakłęty krąg. Klęłam jak szewc

po polsku i niemiecku, ignorując wszystkie konwensanse świata. Jedyne, co pielęgnowałam, to przyjaźnię i nowe afery miłosne. Bo miłość była poza mną. Kochałam siebie próżna do bólu, obrażona na scenariusz, który napisało życie zorganizowane przez moją matkę, a permanentnie spażane przeze mnie.

Zawarta w powyższym fragmencie autocharakterystyka to obraz typowy dla silnych osobowości, nie wpadających w naturalne koleiny życia, lecz pragnących żyć z fantazją, dla których życie z jednej strony jest za krótkie, aby je rozmnieniać na drobne, zaś z drugiej strony dokonują wymiany celowo, ponieważ dotychczasowe życie nie wydaje się dość barwne. Tytułowa wieczna kochanka to egzystencja, z którą zmagamy się na co dzień. To też psychika, walcząca o swoje równoważne miejsce. No i nie produkt wirtualny, Bela, czyli sama bohaterka, empiryczna, przyobleczoona w ciało, zmagająca się z traumą, jaką jest sło-wiańska dusza z jej blaskami i cieniami. Wreszcie wieczna kochanka to kobieta, która nie może sobie znaleźć stałego miejsca w życiu z różnych powodów. Wreszcie wieczna kochanka to miejsce, w którym dorastaliśmy i nostalgia, wracająca na obczyźnie z podwójną siłą.

Interesujący przerywnik w pierwszoosobowej narracji stanowią wiersze, będące integralną częścią tej minipowieści. Haiku wydają się być ciekawym komentarzem do wydarzeń opisanych w utworze. W sposób charakterystyczny dla słowiańskiej duszy pisze Bożena Woźniakowska – Klich o świętach Bożego Narodzenia, (...) czekam/na pierwszą gwiazdkę na obcym niebie, ale tamto/chęć ocalić od zapomnienia, chociaż mój ślad na tam-tym/śniegu dawno stopniał, nie ocalał./I dzisiaj w obcym języku niesie ze sobą cicha noc/ tę samą rzewną nutę, która wyciska/ polskie łyżę za stołem, gdzie bieleje opłatek/ przysłany ekspresem przez matkę.../ Frohe Weihnachten.

Trzeba uchwycić przyznać, iż alter ego Bożeny Woźniakowskiej – Klich mocno tkwi korzeniami w rodzinnych układach. Nie chce powiełać życia matki, buntuje się przeciw niej, ale w efekcie powieła wzorce. Kluczową postacią w życiu okaże się ojciec, o którym mówi autorka „mój ukochany, mądry ojciec”. To on mi czytał pierwsze

książki, to z nim szłam za rękę do kina na poranek”. Pieczołowicie przechowuje w pamięci wspomnienia związane z dzieciństwem. Z prostotą opowiada Bela o przeżyciach pierwszokomunijnych: „Bogu dzięki, że nas ochrzciła (matka – przyp. AT), bo mogłam pójść do pierwszej komunii w amerykańskiej sukience od cioci Antosi z Nowego Jorku”.

Motto, jakie jest zawarte na początku książki, przywodzi na myśl odniesienie do prawdy z II części „Dziadów” Adama Mickiewicza „kto nigdy nie był człowiekiem temu i człowiek nie pomoże”. W przypadku „Wiecznej kochanki” to opowieść o wlotach, upadkach i bolączkach, jakie niesie ze sobą bytowanie na ziemskim padole. To także opowieść o niespełnionych tęsknotach, o zmaganiu się ze słabościami i zapijaniu ich niezliczoną ilością „pięćdziesiątek”, pochodzących z różnych źródeł. Niebanalnie brzmi określenie „syndrom divy”, które główna bohaterka otrzymała od swojego lekarza psychiatry. „Droga pani, ma pani dwa problemy- mawiał znajomy psychiatra. – Jeden to ostatni mąż, a drugi to poczucie winy. Mąż – pół biedy, można rzucić – ale jak wyrzucić sumienie obite przez wszystkie lata...?”

Literackie wcielenie Bożeny Woźniakowskiej – Klich po werterowsku cierpi. Prawie idealnie wtopia się w paradygmat romantycznego kochanka (czyżby kobiety wtedy nie miały egzystencjalnych zmartwień?), nie jest sentymentalną łzawą panią z końca XVIII wieku. Nieustannie towarzyszy jej Weltschmerz, ale idzie w tango z życiem i wszystkimi, którzy w takt argentyńskiego tańca się zaplączą. Prezentuje prometejską postawę – „wszystkie winy świata brałam na siebie, cierpiałam za śmierć pierwszego męża, za matczyzny ból i wstyd brata, ojcowskie milczenie”.

Książka świetnie napisana, do poczytania jednym tchem i do zastanowienia nad sobą, ciekawie ujęte kalendarium polskich losów i próba odpowiedzi na pytanie, gdzie jest bezpieczna przystań życiowa. ♣

Bożena Woźniakowska-Klich, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2003, ss.44.

Wiesław Ciesielski

Skuszona światłem

Zdruzgotał mnie ten świat a potem ocalił... Tak najkrócej bym mógł powiedzieć o poezji ANNY MARI GOŁAWSKIEJ. Debiutancki tomik wierszy pt. „Sumienna rzeźniczka” to pierwsze wyśnione dziecko poetki, oczekiwane przez lata.

Przez całą lekturę towarzyszy dreszcz emocji, czytelnik musi czuć się sprowokowany nieco przewrotnym tytułem. Poszukuję „tej sumiennej rzeźniczki”, tego aktu okrucинства, w którym dokona się zarzynie, ćwiartowanie, odzianie ze skóry. A może tylko odzianie z sumienia, egzystencjalne tchnienie nowego wieku?

Tak zwartego tomiku w swojej konstrukcji, od początku do końca nie czytałem dawno, delikatne tchnienie, dziewczęce, zawstydzone nieco, ale gorące, pulsujące rozkwitem życia.

ja jestem wybranka światła
boginka kwietna

To światło się czuje, ciepło na policzku. Ale dramatyzm poetycki narasta aby dojść do refleksji z tej samej, konsekwentnie kobiecej pozycji.

ty jesteś facet
jeść spać robota seks
w kolejności zależnej od wieku
zadna tam wielowarstwowość treści

Poetka nie próbuje jednak grzebać się, popadać głębiej w czeluście świata, coś ją wyciąga

do góry, coś, a może bardziej ktoś, pozwala się odrodzić.

odzierasz mnie z kojących kłamstw
(...) moja mała sumienna rzeźniczko

Refleksja, która musi towarzyszyć, zniewala. Chociażby nawiązanie do ewangelicznej Marii i Marty.

mam na imię marta
mówię do ciebie zupa

Maria być może wybrała lepszą cząstkę, ale właśnie tutaj odbywa się dramat wyboru. Zbiór wierszy wypływający z eschatologii, ze starcia współczesnego człowieka, uwikłanego w rozliczne problemy z wszechobecnym pragnieniem ponadczasowego wyzwolenia.

Brutalność, ale subtelna, dramatyzm, ale tylko taki, który potęguje w nas zadane na początku pytanie o podstawy egzystencji. Potęguje i przygotowuje nas do odpowiedzi.

krzyczę jestem
obwieszczam sobie
istnieję

Światłość dziewczyna doprowadza czytelnika do modlitewnego zakończenia, jakby zwrotka pieśni przebiegalnej, z rozważnym, ale koniecznym zrymowaniem.

skuszona światłem
i spłonął raptem
skrzydełek puszek
pomódl się czasem
za ciemną duszę

Zamykam tomik, zamykam oczy i widzę dziewczynę, być może motyla, rozpościerającego

skrzydła do światła, ale to piękno przecież jest tak ulotne, nie możemy tych skrzydeł wziąć w palce, żeby przyjrzeć się z bliska, bo zamordujemy motyla. Czego więcej można pragnąć po przeczytaniu tomiku wierszy? Jak nie takiej właśnie refleksji.

Tak najkrócej można zdefiniować ładunek emocjonalny, esencję tego tomiku. To jednak nie wszystko. Gdyby to był tomik znanej i uznanej poetki, można by powiedzieć piękna kontynuacja dojrzałej i wspaniałej twórczości. My jednak mamy do czynienia z debiutem. Dlatego tutaj muszę oddać autorce te słowa, na które sobie zapracowała. Już dawno nie miałem w ręku tak dojrzałego debiutu, tak równego w swojej intonacji, od początku do końca. Tak zwartego w swoim przesłaniu. Przyznacie państwo, że bardzo prowokujący w tytule jak również w szacie graficznej. Z pewnością celem autorki było wstrząsnąć czytelnikiem, zwrócić na swoją poezję uwagę, zmusić do refleksji. Wbrew pozorom w Polsce ukazuje się dużo książek poetyckich i dużo debiutów, o bardzo różnym ładunku i poziomie. O dwóch do trzech debiutów w roku można powiedzieć, że są wybitne. Na tym tle książka Anny Marii Goławskiej „Sumienna rzeźniczka” jest najlepszym debiutem ostatnich czterech lat.

I nie wiercie państwo marketingowym działaniom twórcom poezji kulturowej, których widać o sprzedawaniu i reklamie znacznie przewyższa bardzo wątpliwy talent poetycki.

W przypadku Goławskiej mamy do czynienia z prawdziwym odkryciem, wartym nie tylko lektury, ale wartym docenienia przez krytyków. ♣

Anna Maria Goławska, Sumienna rzeźniczka, Biblioteka „Śladu”, Słupsk 2003, ss.56.

Stefan Pastuszewski

Tańczący rocka

Znamienna jest ewolucja wyrazu poezji. Bo nie poezji samej, gdyż ona, choć bardzo intymna i spersonalizowana, raczej się nie zmienia.

Jedną z cech dzisiejszego wyrazu poezji jest skrótość, nierzadko zmieniająca wiersz w aforizm. Popularne jest też quasi-haiku, a w biesiadnej satyrze – limeryk. A rozpoczęło się od Przybosiowego „minimum słów, maksimum treści”. Tylko, że treść ta w wyniku gołosłowności mediów też jakby się rozmyła. Pozostały jedynie skrawki sensów i znaczeń, które w tej *massa taboulette* otaczających nas pustych słów iskrzą niczym diamenty.

Najbardziej rozgłoszą, co wcale nie znaczy że najlepszą formą takiego skrótoowego wyrazu poezji, (znacznie lepsze były wiersze nie-wiersze Jadwigi Tyrankiewicz 1923-1997) stały się w tych dniach „Błyski” Julii Hartwig, kandydujące do tegorocznej nagrody NIKE. Autorka tego zbiorku tak definiuje swe miniatury: „Bywa nimi nagła myśl, jakieś wspomnienie, cudzy cytat, czasem kilka zrytmizowanych strof albo dwa zdania przypadkowo przeczytane w gazecie”. Każdy z tych „błysków” mógłby stać się wierszem, a żaden z nich wierszem nie jest. Co wcale nie znaczy, że to nie poezja. Poezja nie jest przecież własnością tylko literatury.

Forma tego typu miniatur poetyckich koresponduje niemal wprost ze slangami reklamowymi, tymi cieplejszymi a nie drapieżnymi (np. „Podaruj sobie odrobinę luksusu”), tytułami prasowymi („Nowa Fala!) i naszymi codziennymi równoważnikami zdań zamiast zdań pełnych. Widać wyraźnie, że literatura idzie w krok w krok za codziennością epoki, że jest jej wyrazem, że mówi jej głosem.

J. Hartwig niczego nowego nie wymyśliła, jest wręcz wtórna w stosunku do tekściarzy czy poetów rockowych i dziwi bezkrytyczny zachwyt

nad jej „Błyskami” w ustach skądinąd doświadczonego krytyka J. Mikołajewskiego. Niemniej należy podziwiać fakt, że ta sędziwa w końcu dama tańczy rocka jak znacznie od niej młodszy poeci. Wykrzykuje niczym piosenkarze pełne poezji hasła, zapijając je piwem, zakąszając śle dziem.

Do tychże należy GRZEGORZ KAŻMIERZAK z Bydgoszczy, śpiewający w świetnym zespole „Variété”. Doprawdy ale pod jego „blyskiem” podpisałyby się bez wątpienia autorka zbiorku „Przemija postać świata”:

Nie mam żadnego wizerunku
po prostu lekko pochylona postać
za boczną szybą samochodu
niewyraźna
na skrzyżowaniu
podczas deszczu

Niemniej w przeciągu całego zbiorku autor „Głodu i przesytu” okazuje się bardziej tradycyjny, bardziej „wierszowy” niż „leciwa dama” tańcząca z nim poetyckiego rocka. Wprawdzie jego utwory też cechuje niezwykła lapidarność ocierająca się o szkicowość, jednak ładne i bogate są zarysowane w nich obrazy, choćby ten surrealistyczno-somnabuliczny:

Ryby przeczesują powierzchnię,
dno wysięciają wyblakłe dywany.
Jestem prześwietlony

Czasem obrazy te są bardziej realistyczne, choć zawsze pełne ekspresji („Bohater ma dwa widoczne z daleka rekwizyty, rozpięty parasol i podtrzymywany żar papierosa; czerwone lampy na dachach wieżowców palą się na linii naprowadzania”),

czasem wyjątkowo liryczne („i kula ten liryzm, kula jak śnieg na bałwana”).

Obrazowanie G. Kaźmierczaka jest może mniej malarskie, ale za to bardziej literackie niż np. Krzysztofa Gruse („Akant” 2003, nr 7, s. 53-54), dość natomiast podobne do obrazowania Krzysztofa Lutowskiego („Akant” 2003, nr 7, s. 53-54). Istotą jego jest świadome podporządkowanie treści i formy wiersza budowaniu nastroju – raczej pesymistycznego. Bohater liryczny, podobnie jak jego odpowiednik z „33 wierszy”, ma bowiem permanentne kłopoty ze znalezieniem swego miejsca w życiu:

Najpierw wyłączam telewizor,
później zapalam światła
we wszystkich pokojach

przez chwilę mnie nie ma,
ale jednak wracam,
bo nie potrafię jeszcze nie wracać

– „Póki co” – chciałoby się dodać w niepokoju o życiowy los tego utalentowanego autora, bo podobnie jak u K. Lutowskiego bohater liryczny jest w pełni tożsamy z poetą („wstałem z ławki na przystanku jak bohater liryczny”). W ogóle tego typu tożsamość zdaje się być – obok opisanej na początku skrótości wyrazu – signum współczesnej epoki w sztuce poetyckiej. Skoro już mówiliśmy tyle o J. Hartwig, to pod względem ekspozycji swego ja dała się ona zdystansować przez młodzież (uprawia podobnie jak W. Szyborska przede wszystkim lirykę roli).

A w ogóle to zastanawiające dlaczego *ego* tak przysłania nam świat i dlaczego mimo wszystko tak poetycko brzmi? Czyżby była to reakcja na przebrzmiały już kolektywizm, a także na wciąż jeszcze obecny, wiszący nad nami niczym nóż gilotyiny, globalizm?*

Grzegorz Kaźmierczak, *Record. Play*, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo N. A. Marketing, ss. 32

Eligiusz Dymowski

Pochwała słowa

PIOTR OPRZĘDEK wydał już do tej pory trzy tomiki wierszy. Bierze udział w konkursach poetyckich, publikuje w prasie, różnego rodzaju almanachach. Wszystko prawidłowo! Ale najważniejsze jest to, że poeta nie tylko pisze, ale też i czyta wiersze innych, co ma istotne znaczenie w ukształtowaniu własnej poetyckiej wrażliwości.

Najnowszy tomik myślenickiego poety pt. „Słowa” zmusza czytelnika do uważnej lektury. Mówiąc krótko – dobry to znak w czasach iście produktywnych, jeśli chodzi o pisanie wierszy. Z tego tomiku emanuje jakieś niezwykle ciepło rozpisanych słów. Poeta mówi o codzienności bez „nadmuchanych” metafor, stąd też jest autentyczny i dlatego przemawia do czytelnika swoją prostotą, osobistym wyznaniem, że *sprawy codzienne, to nie tylko proza życia, ale właśnie poetyckie zadumanie, zatrzymanie chwili, miłosnego dotyku...* Bardzo więc trafnie charakteryzuje poetycką osobowość Piotra Oprzędka, autorka „Wstępu”, Anna Witalis-Zdrzenicka: „Siła Piotra Oprzędka tkwi w jego zwyczajności. Przytulny domek w Stróży, z ogrodem bez granic płotu, zapraszającym oko przychochnia. Obłądnie rudy kot, fan-

tastyczne drzewa, którym poeta poświęcił wiersz, wyznający, że sam je posadził. Zwyczajne życie, zwykła praca, zwykły człowiek bez cienia dekadencji, pozy poetyckiej frustracji. I właśnie wrażliwość poety nie pozwala mu na hedonistyczne zadowolenie z owoców tego, co zdobywa trudem swego życia. Jest jak uwierająca drzazga, jak wołanie świata, który domaga się wierszy od poetów w epoce tak mało poetyckiej”.

Melodyka tych wierszy, sprawia czasem takie wrażenie, jakby poeta żył w innej epoce, oderwany od pośpiechu, banalności, komputerowych kalkulacji i symulacji. Dlatego miłość i śmierć mają tu swój własny wymiar, sens i ostateczny cel. Poeta ma świadomość, że „być lepszym każdego dnia/ o uśmiech prawdy” („Bez przeliczenia”, s. 21), znaczy więcej, aniżeli zdeklarowane przyjaźnie, i tak kupione za cenę kiepskich interesów.

Jest wiele ran, bólu i łez, których tak nierzadko doświadczamy. Potrzeba dobrych dłoni, które dadzą nam otuchy w wędrówce przez życie. Lecz czasem się zdarzy, powie poeta, że „szukam/ już tyle lat szukam/ błąkając się po ścież-

kach i autostradach/ czasem osamotniony” („Ślady”, s. 37).

Tyle jeszcze spraw i myśli na głowie, zwyczajne zmęczenie, bezsilność, zakłopotanie i wtedy przychodzą chwile bolesnego wyznania poety: „nie dla mnie dziś snu pajęczyna” („Bezsensowność”, s. 44). Autor „Wierszowiska” nie ukrywa, że świat stał się taki okrutny, bo rzeczywistość – niestety – takim właśnie snuje się kolorem. Jakże piękny i wymowny jest wiersz poświęcony ofiarom zamachu z 11 września 2001 roku na WTC w Nowym Jorku, aż chciałoby się krzyknąć, gdzie człowiek może dziś się czuć bezpieczny? Bo „nikt już nie czuje/ wczorajszym sercem/ zbyt dużo pękło ich niczym szkło/ pytanie jedno łączy dziś usta/ gołębie wzlecają/ czy czarne zło” („Po jedenastym”, s. 51).

Tom wierszy „Słowa”, który zawiera utwory pisane w latach 1999 – 2003, wpisuje się swoim głosem w krajobraz dobrej poezji. Wierzę, że znajdzie on zarówno czytelników, jak i szersze uznanie krytyki. Świat bez poezji byłby nie do zniesienia. Poeta bez świata byłby jedynie szkieletem własnych myśli. Stąd też wszystko ma swój cel i drogę, o czym mądrze przypominają nam wiersze umieszczone w omawianym tomiku. Trzeba tylko otworzyć serce i chcieć...*

Piotr Oprzędek, *Słowa*, Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2003, ss. 76

Adam Mazurkiewicz

Bóg, poeta i rzeczy najważniejsze

Czytając „Nieboskłon” — najnowszy tomik poetycki JULIUSZA WĄTROBY — odnosi się nieodparte wrażenie, że nawet podczas uważnej lektury bezpowrotnie umyka coś istotnego. Pozornie nie są to wiersze odkrywczycze — poeta często posługuje się ogólnikami, nierzadko „ocierając” o banał. Autor „Śladów na wietrze” mówi wszak o rzeczach najprostszych, nieobcych chyba niczyjemu doświadczeniu życiowemu, stąd czytelnik może odnieść wrażenie (uprzedźmy jednak już teraz, że mylnie) wtórności poruszanej problematyki. Dodatkowo odczucie to podkreśla język utworów — prosty, choć nie pozbawiony gry znaczeniami wykorzystywanych słów.

Wiersze te są jednak proste jedynie pozornie tak, jak pozornie każdy w podobny sposób rozumie treść takich słów, jak życie, szczęście, dobro... Nie zostały one przywołane tu w sposób przypadkowy, bowiem ich zakresy znaczeniowe to jednocześnie pola semantyczne, w których „obraca się” poezja Wątroby. Wierny Mickiewiczowskiemu imperatywowi *widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie* autor *Nieboskłonu* proponuje czytelnikowi nostalgiczną (niestety — o czym za chwilę) podróż do świata, który powoli zaczyna przemijać; świata, w którym dobro od zła oddzielała wyraźna i nieprzekraczalna granica. Przyzwyczajeni do kompromisów codzienności coraz częściej zdajemy się zapominać o istnieniu takiego świata, upatrując dobro jedynie-li w doraźnej korzyści. Zyjąc coraz szybciej (ale czy intensywniej — razem to życie odczuwając?) nie mamy czasu na refleksję nad sobą i naszym miejscem na Ziemi — wszak

W tej chwili
jestem
po chwili
mnie nie ma (s. 10)

A jednak, jakby na przekór, i w takim świecie jest miejsce na poezję, tym bardziej bliższą cudowi, im bardziej zdominowana zostaje ona przez „prozę życia”. Czyż nie dlatego poeta pisze:

Życie jest prozą
Wieczność poezją
Choć czasem proza
poezją błysnie (s. 13)

Związek życia doczesnego i wiecznego; codzienności i sztuki uświadamia jeden z pierwszych utworów w tomiku — *** *Ręka zadrżała*. Wiersz, który pojawia się

nie wiedzieć skąd
nie wiedzieć po co (s. 9)

„zwiastowany” zostaje niezwykle wydatnymi wydarzeniami: drżeniem ręki, błądząca kartki, na której zostanie zapisany, zamarciem głosu, niezdolnego zapewne oddać podniosłości chwili. Czy jednak o wiersz tu chodzi Wątrobie, czy może o Boga, który objawił się równie niespodziewanie Mojżeszowi i prostej niewieście z Nazaretu? Boga, którego nieprzypadkowo określa się wszak nieraz Poetą codzienności?

Jest to zarazem szczególnie obraz Stwórcy. Człowiek zostaje niejako „wrzucony” w doczesność dla zabawy Najwyższego. Jednocześnie świat, w którym

Bóg stworzył
człowieka
by ziemia stała się
wesołym miasteczkiem
ociekającym krwią (s. 73)

skazany byłby na zagładę, gdyby nie miłość Stwórcy, dokonująca cudu przemiany:

Tam gdzie wątpienie
jest nadzieja
a tam gdzie piekło
niebo (s. 131).

To pierwszy (metafizyczny) krąg zainteresowań poetyckich J. Wątroby — najważniejszy, lecz nie jedyny. Nasuwa się jednak wątpliwość, czy taka niejednorodna wizja Boga istotnie wzbogaca twórczość? W którym momencie wyznaje

on swoje *credo* religijne, kiedy zaś kreuje jedynie obraz Stwórcy na potrzeby konkretnego wiersza? Powyższa uwaga nie jest oczywiście wstępem do zarzutów, jedynie sugestią czytelniczą piszącego te słowa.

Refleksja nad miejscem Boga w życiu człowieka przeplata się w „Nieboskłonie” z rozważaniami nad istotą poetyckiego tworzywa — słowem. Im zaś jest ono prostsze, tym większą posiada moc. Prawda ta nie jest dana jednak poecie w prezencie — musi dojść do niej samemu, by odpowiedzieć na pytanie:

Ile trzeba
słów zmarnować
by znaleźć
te najprostsze (s. 14).

Słowo jest dla poety ostatecznym sprawdzianem jego wrażliwości na Boga i bliźniego, zdolności do uchwycenia i wyrażenia niewyrażalnego.

Trzeci (prócz metafizycznego i autotematycznego) krąg zainteresowań odnosi się do człowieka. Stosunek poety do swych bliźnich jest złożony: wydawać by się mogło, że służba bliźniemu to *credo* poetyckie autora „*Chwili przemienienia*”, który zarzeka się:

Robię co mogę
Piszę jak umiem
Tym co najlepsze
dzielę się z bliźnim (s. 15)

Zarazem jednak służba bliźniemu nie jest w tym przypadku hołdowaniem bezkrytycyzmowi i pochwałą wszelkich uczynków „*Pana stworzenia*”. Nie brak w tomiku wierszy (a może swoistych, rozpisanych na wersy aforyzmów?), w których twórcza ukazuje ludzka naturę i jej ułomności. Poeta jawi się w nich jako niezwykle baczny obserwator, patrzący na człowieka surowo, lecz sprawiedliwie: nie ocenia, lecz nie pobbłaża. Nieobca bywa mu też ironia, którą wykorzystuje między innymi w przywołanym poniżej wierszu:

Człowiek
jest z natury
dobry
To tylko w chwilach
Słabości morduje
Chwile mijają
Człowiek trwa
Od chwili
do chwili (s. 87)

Sąd nad naturą człowieka nie zostaje w tym przypadku wypowiedziany bez sarkastycznej wręcz ironii. Zarazem jednak współbrzmi w nim nuta tragizmu bytu istniejącego w doczesności postrzeganej jako lunapark zroszony krwią (o czym poeta mówi w innym przywoływanym tu wierszu — *Bóg*, s. 73 w tomiku). Groteskowość takiego postrzegania człowieka, zaprawiona *pure-nonsensownym* czarnym humorem, wyłania się z traktowania bliźniego przez autora *Nieboskłonu* jako jedynego bytu, odnajdującego przyjemność w mordowaniu podobnych sobie. Owo uczucie podkreślone zostaje usytuowaniem człowieka w ludycznej przestrzeni wesołego miasteczka. Dziwić może fakt „*sąsiedowania*” w jednym tomiku tak pesymistycznych wierszy obok apoteozy Boga i pochwały wszelkiego stworzenia, nie należy jednak zapominać o znaczeniu tytułu, jakim opatrzone jest całość. *Nieboskłon* wszak to miejsce zetknięcia się nieba i ziemi; tego, co boskie, wysokie z tym co niskie. Nie tylko (i nie przede wszystkim) w usytuowaniu topograficznym, lecz — przede wszystkim — w przestrzeni metaforycznej doświadczenia życiowego, w której szlachetność styka się z przyziemnością... Jak to w życiu bywa....

Dla kogo przeznaczony jest „*Nieboskłon*”? W świecie pozornych wartości i kreowania potrzeb poezja ta pozwala na uzmysłowienie sobie tego, co można utracić w pogoni za mirażem sukcesu i w codziennych starciach wciągających w

absurdalną spiralę nienawiści (jej przykładem może być obraz z wiersza z wiersza ****Pies się zdenerwował*, s. 74). W chwili rozpadu wartości dobrze jest mieć świadomość, że poezja nie zatraciła swej misji wskazywania prawd najprostszych i wyrażania zdziwień najmniejszymi z cudów dnia powszedniego, a taka właśnie jest twórczość Juliusza Wątroby — nie wikłająca się w pustę gry językowej i moralny relatywizm, co staje się coraz powszechniejszą manierą (a może pozą?) współczesnej poezji.♦

Juliusz Wątroba, *Nieboskłon*, Katowice 2003, *Zwizek literatów Polskich*, ss. 182.

Leszek Sokołowski

Pokutnicy

Słońce przebiło się przez chmury i nieśmiało zajrzało przez śnieżnobiałe firanki do celi nr 7. Ciepłe promienie tuliły główki więźniów, którzy regulaminowo leżakowali po obiedzie: zupakrem z karczochów, kotlet de szarge affer i ostrzygi z bezami „*o sole mio*”.

SŁOŃCE POSTANOWIŁO WIĘCEJ TAM NIE ZAGLĄDAĆ.

— O matko i córko!!! — zawył przez sen były skarbnik, byłej partii z o.o., aż jego osobisty kanarek dał ze strachu dyla w trociny. Śniło mu się, że prokurator oddał łapówkę i „znalaził” zakopane w ogródku pieniądze, oraz schowane u szwagra nowiutkie *Porsche*. Ten koszmar spowodował niekontrolowaną przemianę powietrza, przekraczającą uijne normy. Kanarek splunął z odrazą w trociny, przefrunął na drugi koniec klatki, i zagwiżdżał jak kos. To efekt skutków ubocznych.

Tymczasem obudził się drugi więzień. Był wójtą najbogatszej gminy w kraju. Tak dobrze mu szło, że sprzedał ją Niemcom i Japończykom równocześnie, razem z inwentarzem czyli ludnością. Hollywood kręciło o nim film, komedię fantazy. Harry Potter i Władca Pierścienia niech się schowają na półki. Teraz wodził smętnym wzrokiem po celi z niedowierzaniem.

Trzeci nieszczęśliwy, były księgowy aktywnej wciąż mafii, cierpiał na schizofrenię, pomroczność dwupłatową trzeciego stopnia i, co najgorsze, na prozaiczną bezsenność. Teraz trzymał swój zafrasowany łeb pod kocem z byłego wielbłąda i łąkał w bezsilnej złości w atlasową poduchę. Za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie prze-transferował miliard dolarów.

Czwarty ananas drzemał w kącie celi na twardym, prostym zydellu, który mógł pamiętać czasy Ludwika Waryńskiego. Więzień polityczny z krwi i kości! Za leniwy, by pracować, za nerwowy, by kraść. Aristokratycznie trzymał się na uboczu i dzielnie znosił szykany ze strony więziennego psychiatry. Ten często wzywał go do swojego gabinetu. W ciągu swojej wieloletniej praktyki zawodowej takiego zdrowego na umyśle idioty jeszcze nie widział. Lekarz widział w swoim pacjencie szansę na zapisanie się na trwałe w pantheonie gwiazd światowej psychiatrii i pisał pracę, którą zatytułował: „*Fenomen zwyrodniałego idiotyzmu w zdrowym umyśle wśród elit politycznych*”. Więzień śnił teraz, że stoi przed plutonem egzekucyjnym i tuż przed morderczą palbą zrzuca opaskę z oczu i bohatercko ubliża swoim politycznym wrogom. Na swoje szczęście obudził się w porę, złany zimnym potem i przestraszony nie na żarty. Natychmiast zawołał strażnika i zazaadał kawy z koniakiem na uspokojenie.

Zbliżał się czas ciszy nocnej. W całym więzieniu powoli gaśły światła, a nastrojowa muzyka Mozarta koiała zmysły. Na dobranoc znany reformator sejmowy czytał bajkę „*O dwóch takich co ukradli księżyc*”. A czytał z takim zaangażowaniem, tak sugestywnie, że wielu więźniów było przekonanych, iż księżyc już nie ma i nigdy nie będzie. Nawet naczelnik więzienia zerkał z niepokojem w okno, czy aby jeszcze świeci. Świecił, świecił, tylko bajka miała inne zakończenie.

Dobranoc, dobranoc...♦

Anna Zabacka

Porachunki ze światem

Porachunki ze światem

wytrzymujesz
wytrzymujesz jeszcze
ale serce przyspiesza
uginają się kolana
zauważasz
że nie jesteś w szeregu
tych ci potrafili
czas rozmienić na drobne
ufność gromadzić
jak drobne w skarbnice
nawet boleści
swojej nie umiesz oddzielić
od gniewu
ale jeszcze wytrzymujesz
dwulicowość u innych
i swoje zagmatwanie
w pojmovaniu

Treść powyższego wiersza – to credo życiowe autora. Pochodzi on z najnowszego tomiku poetyckiego „Teraz i nic” wydanego pod patronatem Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku w roku 2003.

EUGENIUSZ SZULBORSKI poeta, prozaik, aforysta, urodzony w 1938 roku w Zalesiu Nowym na Podlasiu, debiutował w lubelskiej „Kamieniu” w roku 1966. Jest twórcą bardzo płodnym, dotychczas wydał dwadzieścia osiem książek. Utwory jego zamieszczone były w licznych almanachach i antologiach. Obecnie jako emerytowany nauczyciel pracuje w Galerii im. Słędzińskich, gdzie redaguje kwartalnik „Ananke”.

Tematyka utworów autora „Nazwanie i dotyk” dotyczy przeżyć ludzi uwikłanych w różnorakie tarapaty, które niesie nasz dzisiejszy, zbyt pospieszny i często bezmyślny, bieg donikąd. Bo człowiek od wieków rodzi się taki sam, jego byto-

wanie tu na ziemi jest krótszą lub dłuższą drogą, gdyż jest tylko pielgrzymem. Potrzebuje życzliwości i miłości, a tymczasem otacza go świat, w którym „uczciwość żyje oddechem ostatnim”. W wierszu zaczynającym się od słów „*** Marzenia rozciągają się jak mgła” czytamy:

Opadają skrzydła myśli zwietrzalej
poszukiwaniem prawdy w nieprawdzie
przycinaniem cudzych możliwości
do piórek ptaka
monotonnie śpiewającego tę samą pieśń

„Teraz i nic” to książka wielowątkowa, podobnie jak wcześniejsze pozycje. Tytuł tomiku puentuje treść wiersza „Bohaterowie naszych czasów”, którzy „wymieniają / problem robotniczy na chłopski / - wiadomo / prostaczka łatwiej / wykantować”.

Patrząc trzeźwym okiem na pozycję narodu (E. Szulborski jest historykiem z wykształcenia), na mnożącą się korupcję, autor zauważa:

Jeszcze trochę a my
w drucianych kłatkach
będziemy przypominali sobie
szum wiatru i zapach ziemi
kiedyś-naszych ojców

Nazbyt czytelne to odczucie. Podobnie w *Pieśni o Listopadzie* czytamy

Daj nam o Panie takie listopady
w których naród silny bo powstały z klęzek
zbuduje ojczyznę jedności i prawdy
Ojczyznę – świątynię chwały i pamięci

W tomiku przeważają teksty o zabarwieniu patriotycznym jak choćby: „Patrium carmen”, „Westerplatte”, „Kock”, „Nasze zwycięstwa” i inne. Mamy też zwróconą uwagę na zagrożenie cywilizacyjne dzisiejszych dni. Ta twarda i brutalna realność przytłacza, ale odtrutką są powroty do lat dawnych, szukanie azylu we wspomnieniach domu rodzinnego: „Kłaniam się nisko przed ojcowską chatą” – czytamy w wierszu „Pamięć”. W in-

nym od słów „*** Twoje dłonie” porównuje autor ręce matki do miękkości ziemi, skrzydeł ptaka, krzepkich wiatraków, kwitnących jabłoni. Cytuję puentę:

Czas Cię zmarszczkami
całą porysował
serca nie dotknął
pozostało perłą
ręce Twe tułę pamięcią owijam
bo tylko tak pozostajesz ze mną

Są w tomiku również wiersze o treści religijnej, szukanie kontaktu ze Stwórcą. Oto cytat z tekstu od słów „***Jak niegdyś”:

Jak niegdyś słup ognisty
w noc ciemną
zamienił pustynię
w drogę
tak Panie dzisiaj
postąp za mną
tak mnie oświeć

Liryki miłosne zamieszczone na str. 49-58 nie są najłatwiejsze. Mówią o rozzarowaniach, o tym, że trzeba się wiele nauczyć, by umieć kochać i odplacać za miłość. Oto treść „Summy miłości”:

Jesteśmy
a mogliśmy tylko przejść
przez ramiona
dwojga z sumy
mogliśmy nienazwani
przemilczeć
MIŁOŚĆ

E. Szulborski pisze wierszem białym, ale wśród tekstów zdarzają się udane wiersze rymowane. Z uwagi na znaczny ciężar gatunkowy utwory te nie należą do najłatwiejszych, ale na pewno do wybranych będzie miał chęć powracać myślący Czytelnik.▀

Eugeniusz Szulborski, *Teraz i nic*, Białystok 2003, Nauczycielski Klub Literacki

RECENZJE ↔ RECENZJE ↔ RECENZJE ↔ RECENZJE ↔ RECENZJE ↔ RECENZJE ↔ RECENZJE

Marek Napierała

Kozik

Nie pamiętam już jak do mnie trafił. Możliwe, że drogą podwórkowej wymiany za coś bardziej pożądanego przez poprzedniego właściciela. Może inaczej, jako darowizna od kogoś, komu był zbyt cenny. Starałem się przypomnieć, ale na próżno.

Miałem go dosyć długo, by się czuć zżytym z nożykiem o prostym, mocnym ostrzu i drewnianych wygładzonych okładzinach. Z czasem drewno pociemniało, a ostrze naznaczyły ślady zużycia. Poszedł ze mną do wojska. Służył do różnych celów: obierania ziemniaków, krojenia chleba, otwierania konserw i rzeźniania z nudów czegoś z kory i patyków. Czy po takim czasie nie można czuć się związanym ze zwykłym scyzorykiem? Poza tym nigdy tak o nim nie myślałem. Dla mnie był kozikiem - i było to niemal jego imię, i tak u nas nazywali takie składane noże.

Bywało, że zbyt cenny leżał w szufladzie kolejnego mieszkania, aż do przeglądu skarbów albo potrzeby. Minęło nam sporo lat. Pół wieku albo niewiele mniej. Inne zabawki chłopieco-męskie pojawiały się i odchodziły.

Prócz podstawowej funkcji spełniał jeszcze jedną, kto wie może najważniejszą. Był łącznik-

kiem z baśnią o dzieciństwie, strażnikiem czasów przeżywanym we wcieleniu Robinsona, poszukiwacza skarbów i innych, bez których starzejący się mężczyzna nie byłby kim jest. Nie potrafiłbym opowiedzieć historii każdej szczeby. Czasami mgliście we wspomnianiu napotykałem na jakąś sytuację, w której zaznaczył się i byłem pewien, że wówczas miałem go w ręce. Pomimo braku szczególności w wyglądzie i kolejach losu nie odstępowałem się na dłużej.

Żeby być uczciwym nie mijając się z prawdą przyznaję, że kiedyś chciałem się go pozbyć. Dziwnie mi nagle zaciążył, mimo że nie było w tym jego winy. Jak nigdy do tamtej pory wzięłem go do ręki bez przyjemności. Był stary i zużyty, archaiczny i nijaki. Na stali przybyło wżerów, nity wylażyły z rozeschniętego drewna, okładki szorstko tarły palce. Okazał się zniszczonym scyzorykiem z nadmiernie nadwyrażoną sprężyną i luźnym ostrzem. Otwierane stawało opór a zamknięte klapnęło beznadziejnie. Złom. Na wystawie sklepowej wypatrzyłem inny.

Brałem szeroki zamach żeby odrzucić jak najdalej i bezpowrotnie. Utopić w wodzie i dla

siebie. Nie będę opowiadał w jakim byłem stanie ducha, bo to już bez znaczenia.

Nie pamiętam co się wydarzyło, że powstrzymałem zamach. Wpadł mi w ręce niespodziewanie u schyłku lata, pośród szpargałów i nawet się ucieszyłem.

Po powrocie z grzybów niedzielnego wieczora, nie znalazłem go ani w koszu, ani w kieszeniach. Przeszukałem kilka razy. Bez efektu. Postanowiłem, pamiętając trasę wędrówki, odszukać zgubę. Czy zrezygnowałem zdając sobie sprawę, że to beznadziejne choć sentymentalne? A może jednak pojechałem i zaglądałem pod krzaki i w wykroty, błądziłem i zawracałem patrząc z natężeniem pod nogi, już, już widząc odzyskaną stratę: w pobrązowałym liściu zapalonym słońcem, sosnowym drewnienku, matowym mignięciu żywicy.

Przypominam sobie, że tamten, jego wówczas następca o nierdzewnym, niklowanym ostrzu i kościanych okładkach spojonych ozdobnymi nitami dawno się gdzieś zapodział: wymieniony, oddany w obce ręce czy zgubiony – bez większego żalu.

Razu pewnego siedząc na rybach chciałem coś przeciąć nieporęcznym, na prędcie zabranym stołowym arystokratą od kompletu.

- E, tam - postyszałem za sobą - tym pan nie da rady - powiedział podrostek w wieku mojego wnuka.

- O, tym - to tak.

Podał mi na dłoni sfatygowany kozik w popękanych drewnianych okładkach.▀

Filozofia śmieci

Bożena Pawlak

Wczoraj LOBBE – dzisiaj RETHMANN

Jest w Bydgoszczy firma, która od 8 lat pomaga mieszkańcom w utrzymaniu czystości. Białoczerwone barwy na samochodach są doskonale znane w mieście i w okolicznych gminach.

Niedawno, zamiast znaku LOBBE, na samochodach pojawiało się logo RETHMANN. „Zmieniła się nazwa spółki, ponieważ główny udziałowiec, firma Lobbe NV, sprzedała swoje udziały firmie RETHMANN – mówi prezes Zarządu – Grzegorz Hoppe – Dotyczy to wszystkich spółek Lobbe w Polsce, z wyjątkiem spalarni w Dąbrowie Górniczej. RETHMANN – to jedno z największych na świecie przedsiębiorstw zajmujących się gospodarką odpadami, a obecnie po przejęciu Lobbe, największa firma w Polsce – 26 zakładów na terenie całego kraju. Nowy właściciel jest tu obecny już od ponad 10 lat. Tworzy jednolitą markę na rynku polskim i stąd zmiana logo.”

„Klienci Rethmann nie będą narzekać na zmianę właściciela – uspokaja G. Hoppe. Mogą być spokojni, ich śmieci zostaną wywiezione na czas i z zachowaniem bezpieczeństwa sanitarnego. Będą mogli, tak jak dotychczas, segregować swoje odpady. Mieszkańcy bloków – w trój kolorowych pojemnikach, a mieszkańcy domków jednorodzinnych – w darmowych plastikowych workach.”

Ktoś mógłby zapytać, po co komu ta cała segregacja?

Tymczasem już w 1992 r. Traktat o Unii Europejskiej z Maastricht włączył do zadań Wspólnoty żelazne zasady zmierzające do osiągnięcia wysokiego poziomu ochrony środowiska. Ustanowiono hierarchię racjonalnego postępowania z odpadami. Zasada pierwsza – to przede wszystkim zapobieganie powstawania odpadów. Następna – to dążenie do zmniejszenia ilości i szkodliwości odpadów, których powstaniu nie udało się zapobiec. Zasadą, na którą w gospodarce odpadami położono szczególny nacisk, jest ich odzyskiwanie i powtórne wykorzystywanie. I ostatnia zasada – odpady, których nie udało się wykorzystać, powinny być bezpiecznie unieszkodliwiane, przy czym składowanie na wysypisku powinno należeć do ostateczności!

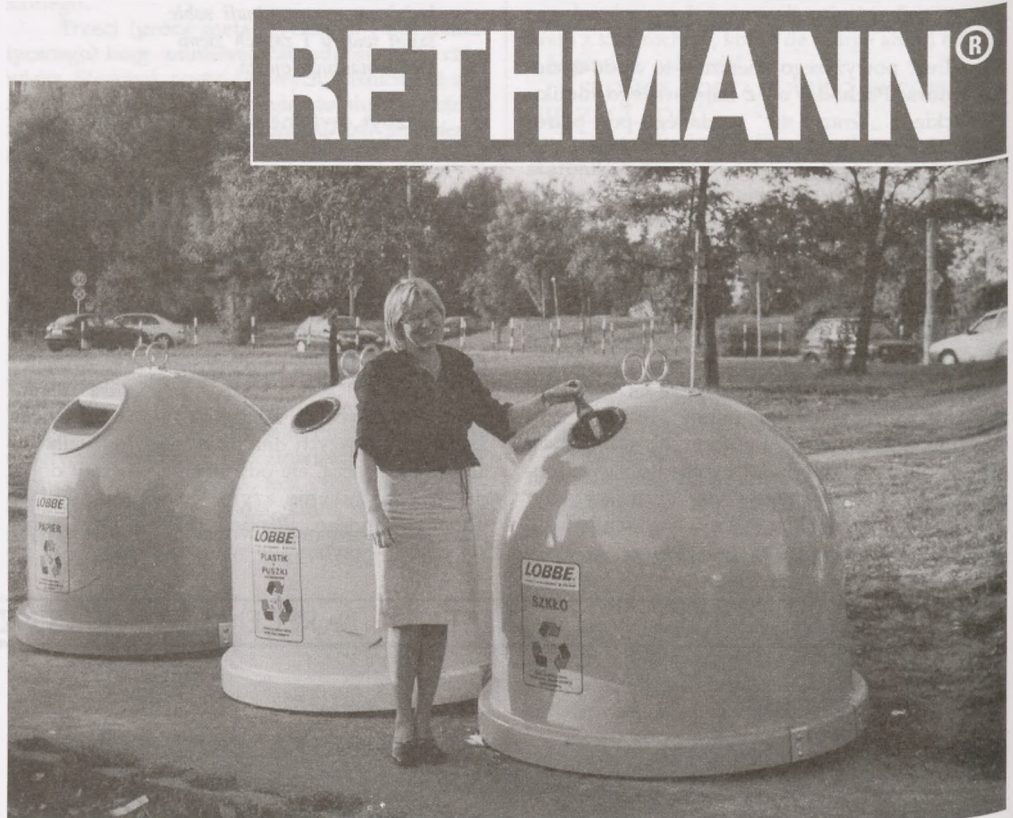
W przededniu wejścia do Unii Europejskiej Polska stanęła przed wielkim wyzwaniem. Dostosować się do standardów unijnych! Ale jak to zrobić, kiedy na inwestycje ochrony środowiska potrzebne jest, bez mała, ok. 35 mld euro?! Zresztą, co tu dużo mówić, przecież gołym okiem widać jak bardzo zaniedbane jest nasze środowisko. Dymiące kominy, przestarzałe instalacje, nie uszczelnione wysypiska, brak oczyszczalni ścieków... Brudne rzeki, jeziora, lasy, plaże. A choćby tylko – gospodarka odpadami. Jak wykazują badania, w 2000 r. istniało w Polsce 999 czynnych wysypisk komunalnych, na które trafiało prawie 95% ogólnej ilości wytwarzanych śmieci (w krajach Unii przeciętnie 60%), to jest ponad 47 milionów metrów sześć. odpadów rocznie! A około 43% tych składowisk nie jest uszczelnionych! (w tym

nasze stare, podbydgoskie – obecnie zamykane). Brakuje nam sortowni, spalarni, urządzeń ekologicznych. Jedynie 3,1% ogólnej ilości odpadów pochodziło z selektywnej zbiórki i zostało wykorzystane gospodarczo w procesie recyklingu! W UE – jest to przeciętnie 12%. Wykorzystanie odpadów zielonych w krajach Wspólnoty sięga średnio 8% (w Holandii – 22,5%), gdzie w Polsce, jedynie 2% ogólnej ilości odpadów jest kompostowanych. A unijne dyrektywy nie pozostawiają wyboru. Do 2020 r. musimy zredukować o 65% ilość odpadów biodegradowalnych składowanych na wysypiskach! W 2007 r. musimy osiągnąć 25% poziomu recyklingu ogólnej ilości opakowań wypuszczonych na rynek!

Reasumując, potrzeba dużych nakładów, ale także i dużo dobrej woli wszystkich obywateli, aby dorównać do standardów unijnych. Polska, kraj w centrum Europy, nie może dzielić Europy na brudną i czystą! Wynegocjowane okresy przejściowe na dostosowanie się do norm europejskich, niedługo się kończą. Jeśli możemy pomóc – to po prostu pomożemy. Jest na przykład rzeczą bardzo ważną, by odpady były zbierane selektywnie już w gospodarstwach domowych. Ich zanieczyszczenie jest wtedy minimalne i są one bardziej przydatne do dalszego przerobu. RETHMANN tworzy warunki do selekcji odpadów. Inwestuje w pojemniki, worki. Ma nowoczesną sortownię odpadów.

Wszystko po to, by pomóc stworzyć racjonalną gospodarkę odpadami. By jak najmniej śmieci trafiło na wysypisko. By pozostawić następnym pokoleniom środowisko w stanie przy najmniej nie gorszym, aniżeli je zastaliśmy.

Więc jeśli ktoś pyta, po co komu ta cała segregacja... to właśnie po to.■



XIII Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego

Stowarzyszenie Literackie im. K. K. Baczyńskiego ogłasza ogólnopolski konkurs w dwu kategoriach :

- 1) na zestaw poetycki o łącznej objętości do 100 wersów;
- 2) na opowiadanie nie dłuższe niż pięć stron znormalizowanego maszynopisu.

Do udziału w Konkursie, w obu kategoriach, zapraszamy Autorów, którzy nie mają jeszcze w dorobku publikacji książkowej. Jury będzie rozpatrywać jedynie utwory dotąd nie nagradzane i nie publikowane.

Nadesłany zestaw poetycki bądź opowiadanie należy oznaczyć godłem. Tym samym godłem prosimy oznaczyć także załączoną do przesyłki zaklejoną kopertę, zawierającą imię, nazwisko i adres Autora (z ewentualnym numerem telefonu, adresem mailowym) oraz odcinek potwierdzenia wpłaty 15 zł (piętnaście złotych) na konto Stowarzyszenia: Bank Pekao S.A. I o/Łódź, 10801141-3809-27006-801000-111. Biorący udział w konkursie są zobowiązani również do dołączenia podpisanego oświadczenia o własnym autorstwie nadesłanych prac.

Jury będzie rozpatrywać jedynie prace nadesłane w pięciu egzemplarzach maszynopisu do 5 stycznia 2004 roku pod adres: Śródmiejskie Forum Kultury, 90-056 Łódź, ul. Roosevelta 17; z dopiskiem na kopercie: XIII Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K. K. Baczyńskiego (poezja albo proza).

Książka Na Telefon

„Książka Na Telefon,” działa od roku 1993 przy Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy Dzielniczy Ochota ul. Częstochowska 26.

Z usług tego punktu mogą korzystać przede wszystkim osoby niepełnosprawne, ludzie starsi oraz studenci którzy mają problem z zapisaniem się do bibliotek na terenie Warszawy Dzwoniąc pod numer telefonu 658-05-39 możemy zamówić interesującą pozycję oraz „książkę mówioną”. Książki dostarczamy do domu.

Dzień dobry, Redakcjo

Państwa miesięcznik na szczerym rynku pism literackich przedstawia się nadzwyczaj imponująco, poszerza się zakres autorów, przebywają młodzi, ale też twórcy z tak zwanymi nazwiskami. To zdumiewające, że istnieją jeszcze łamy otwarte dla tego co nowe, a przy tym trzymające tak przyzwoity poziom artystyczny.

Ryszard Biberstajn

Czytam Wasze pismo i jestem pełna podziwu dla tego co robicie.

Marzena Orłowska

Zachęcony jeszcze przez Jerzego Grupińskiego (klub literacki nie miał pieniędzy na prenumeratę), regularnie kupuję i oczywiście śledzę życie „Akantu”. Głównie w celach edukacyjnych, oraz z powodu możliwości obserwowania toczących się na łamach, pouczających polemik.

Tadeusz Stirmer

Wiele perwersyjnej satysfakcji dostarcza mi niezwykłe wartki tego roku w „Akancie” nurt nekrofiliński. Oby żył wiecznie!

Ariana Nagórka

Lektura „Akantu” to przyjemność połączona z pożytkiem. Uważny czytelnik już po kilku numerach ma swoich ulubionych Autorów, z którymi spotkanie na łamach pisma traktuje niemal odświętnie. Intuicyjnie odczuwa, o czym będą pisać, Jakie sprawy znajdują się w zasięgu ich zainteresowań.

Niech tak nadal będzie.

Bernard Najdek

Nowe tytuły

Ryszard Biberstajn, Trzy rzeki, Poznań 2003, Wydawnictwo „Poeticon”, ss. 76

Wojciech Boros, Jasne i pełne, Gdańsk 2003, Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, ss. 50

Jolanta Dudek, Europejskie korzenie poezji Czesława Miłosza, Kraków 1995, Księgarnia Akademicka, ss. 200

Jack Durski, Rok, Warszawa 2003, Wydawnictwo „Nowy Świat”, ss. 152

Johann Wolfgang Goethe, Sonety i inne wiersze, przekład z niemieckiego Antoni Skibiński, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 134

Red. Adam Kamiński, Proza życia. Antologia, Gdańsk 2003, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, ss. 312

Henryk Klimek, Czas utraconego dzieciństwa (1934-1945), Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 224

Red. Artur Kubaś, Bydgoszcz. Miasto w Europie, Bydgoszcz 2003, Pomorska Oficyna Wydawnicza-Reklamowa, ss. 156

Marzena Lewandowska, Tęsknota za wczoraj czyli westchnienie Boga, Szczecin 2002, Oficyna Wydawnicza „MAK”, ss. 22

Marzena Lewandowska, Wezbranie po rozwarcie brzości, Szczecin 2003, Oficyna Wydawnicza „MAK”, ss. 24

Mariusz Marczyk, Głód obecności, Krosno 2003, Wydawnictwo „Nonparel”, ss. 56

Joachim Rüngelmatz, Tęsknota za Berlinem. Sehnsucht nach Berlin, przekład z niemieckiego Teresa Kowalska, Katowice 2003, Fundacja „Pallas Silesia”, ss. 98

Ks. Józef Wójcik, Moja wielka nowenna, Suchedniów 2002, Agencja Wydawniczo-Poligraficzna PiS, ss. 128

Maria Danuta Betto, Wiersze wybrane, Bydgoszcz 2003, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, ss. 72

Marianna Bocian, Ciągła odsłona, Wrocław 2003, Oficyna Wydawnicza Klubu Muzyki i Literatury „Akwedukt”, ss. 106

Aleś Czobut, Ziemia św. Łukasza, Krynki 2003, Villa Sokrates, ss. 230

Zdzisław Dwojak, 100 lat wodociągów bydgoskich, Bydgoszcz 2000, Agencja Reklamowa „Impuls”, ss. 60

Grzegorz Kaźmierczak, Record. Play, Bydgoszcz 2002, Wydawnictwo N. A Marketing, ss. 30

Edmund Pietryk, Cienie, Poznań 2003, Wydawnictwo Autorskie, ss. 48

Wiesław Stanisław Ciesielski, Wielki ogród Pana Boga, Słupsk 2003, Biblioteka „Śladu”, ss. 84

Teresa Dwórnik-Romańska, A kiedy..., Płock 2003, Wydawnictwo „Korepetytor”, ss. 56

Apolonia Ptak, Chrabąszcz i inne opowiadania, Kraków 2001, Wydawnictwo i Poligrafia „Alsander”, ss. 100

Apolonia Ptak, Gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy, Kraków 2003, Wydawnictwo „Plus”, ss. 56

Lesław Jan Urbanek, Oszołomienie, Kluczbork 2003, Wydawnictwo i Drukarnia „Antykwa”, ss. 88

Do Wojciecha Wierciocha – list otwarty

Niemile Panie!

Lepiej byłoby dla Pana, gdyby pański list otwarty – pozostał zamknięty, gdyż wymknął się Panu spod kontroli.

Szczególnie rażą w nim pańska niekonsekwencja i niezdecydowanie. Po cóż na przykład, tytułować list fałszywym „Szanowny Panie”, skoro adresat brutalnie zaatakował pańską osobę i jawi się jako faszysta lub komunista, marzący na dodatek o zasiadaniu w groźnym sztabie czy komisje. Szczególnie zabrzmiąłby, w tym wypadku, grzecznościowy zwrot „Szanowny Nazisto”. Niepotrzebnie poza tym, robi Pan bohaterską minę do naiwnej gry (będąc ciężko rannym – jak widać z listu) i dziękuje za wątpliwą reklamę i niechłubne zaistnienie na łamach szturmowanego przez siebie tygodnika oraz za zgodę osobistego przesładowcy, na umieszczenie jego nazwiska (po co?) na pańskiej książce.

Takiej reklamy i takiego, nędznego zaistnienia, szanujący się literat, z pretensjami do obecności w szkolnych wypisach – powinien się wystrzeżać jak ognia piekielnego.

Na początku listu przedstawia się Pan, jako skromny dentysta-aforysta, gdyby jednak tak w istocie było, to ile jeszcze tomików, oprócz skromnych ponad siedmiuset sztuk, trzeba byłoby dodatkowo wysłać i do jakich osobistości, aby zasłużyć na miano „nachalnego”? Czy skromny autor, znający miarę rzeczy, obnosiłby się publicznie z każdym, najmniejszym choćby, okruszkiem aprobaty, łaskawie strąconym z wysokiego stołu i ze skrzętnością buchaltera wyliczał je gdzie się tylko da, jako dowód swych literackich uzdolnień? Według Pana świadectwem skromności jest zapewne także fakt, iż w swojej ostatniej książce, zamieścił Pan recenzje współpracowników pisma, którego jest Pan naczelnym redaktorem. Czyżby zabrakło już wybitnych osobistości, albo przestały Panu wystarczać okazjonalne komplementy, nie dość wynoszące w górę pańskie aforyzmy i postanowił Pan zbierać odtąd wiernopoddane hołdy? To niewątpliwie skromność (swoicisie pojmowana) skłoniła Pana również do starań o godność posła, który niechybnie zabiegałby w sejmie, jak się wypada na podstawie pańskiego domyślać, o naprawę karygodnych szkód, wyrządzonych polskiej kulturze i zadekretowanie obowiązku publikacji pańskiej twórczości i kolegów aforystów w pismach literackich, wypisach i antologiach. Nie na darmo w liście otwartym zapytuje Pan (chyba trzymających władzę?) dlaczego, będąc aforystą nie istnieje Pan w oficjalnej literaturze. Jakby z samego faktu pisania, należał się druk w najważniejszych wydawnictwach, zwłaszcza, jeśli się ulepiło czarodziejską kulę ze zlepków opinii, jakimi potrafią nieraz dobroduszenie zaszczyścić, życzliwie usposobione do swych adrektorów – wielkoduszne osobistości.

Z racji wykonywanego zawodu i zamiłowań, powinien Pan też wiedzieć, iż rozpoznawanie manii pisania nie wymaga medycznych uprawnień, tym bardziej, jeśli diagnoza służy literackim celom. Łagodna postać manii pisania (zaliczana do szlachetnych maniactw) przebiega często bezobjawowo i ustępuje bez śladu, gdy przysłowiowa góra urodzi mysz. Natomiast ostrym przypadkiem towarzyszą zazwyczaj powikłania, w rodzaju: ujawniającej się bezwstydnie żądzy sławy, chronicznego doszukiwania się przyczyn niedostatecznego powodzenia własnego pisarstwa, wyłącznie poza nim samym, najchętniej – w rzekomej znowie możliwych, czy brania za złotówkę każdego grosza, rzuconego w wyciągnięty kapelus.

Rokowania są wówczas nie najlepsze, bowiem nasilający się syndrom omamów i natręctw okazać się może nieznosny dla otoczenia i utrudnić zainteresowanemu wspinaczkę na szczyty.

Niedościgniony Jerzy Stanisław Lec powiedział kiedyś „Ilu trębaczy czeka długie lata na swe króciutkie tra-ta-ta-ta!”. Nie zdążył aforystycznie ująć, iż są i tacy, którzy trąbią głośno zawczasu.

Jerzy Bursian

Po upływie wielu lat zastanawiam się, skąd w zespole redakcyjnym tyle zapалу i wprost tytanicznej pracy, iż „Akant” wciąż ukazuje się na rynku wydawniczym. Wielkie są nie tylko brawa, ale i podziękowania członkom zespołu redakcyjnego i wspierającym miesięcznik literacki. Zadziwiająco zarazem to, iż periodyk z każdym numerem jest coraz bardziej nie tylko okazały objętościowo, co najważniejsze, że zawartość w nim artykułów reprezentuje coraz większą wartość zarówno merytoryczną, jak i artystyczną. Niech inni ucą się od redagujących to pismo. Po prostu jestem zdumiony. „Akant” jest pismem do czytania i wciąż się do niego wraca.

Rzecz nie spotykania, aby pismo pozyskiwało coraz to nowe pióra. W każdym razie w pełni spełnia rolę mecenasa kultury. Co krok, to coraz to nowe nazwiska.

Chciałbym za pośrednictwem „Akantu” wyróżnić młodego poetę i świetnie zapowiadającego się literackiego krytyka oraz eseistę – Eryka Ostrowskiego. Wyrażam słowa podziękowania za gromadzenie materiałów związanych z twórczością Marianny Bocian, która zmarła w kwiecie wieku.

Jerzy Hłond

Pobyt w maju w Ciechocinku na leczeniu „kości i stawów” zapełnił moją pustkę ducha. Ktoś czytał, pożyczyla i urzekła się „Akantem”. Zaproponowałam po raz pierwszy w życiu! I nie to konto! Przekaz wrócił. Telefon – Urząd Poczty w Bydgoszczy uratował moje marzenie. Stokrotnie Im dzięki. Od lipca 2003 roku jestem czytelniczką „Akantu” (użyczam znajomym). Jestem zachwycona wysokim poziomem i aktywnością Redakcji. Wzruszona życzliwością Urzędu Poczty przy Jagiellońskiej 6 w Bydgoszczy.

Halina Auron



W związku z rozpoczęciem obchodów 40-lecia osiedla „Blonie”, Komunalne Przedsiębiorstwo

Energetyki Ciepłej Spółka z o.o. w Bydgoszczy:
zaprasza

na uroczyste śniadanie prasowe organizowane pod hasłem: „**Nie byłoby osiedla bez ciepłowni, nie byłoby ciepłowni bez osiedla**”, które odbędzie się w dniu 22 września 2003 r. o godzinii 12.30 w świetlicy KPEC przy ul. Ks.J.Schulza 5 w Bydgoszczy

Zarząd KPEC SP. z o.o.
w Bydgoszczy

Siedemdziesiąty piąty numer „Akantu”

Jeszcze nie uchłdy odgłosy jubileuszu związanego z pięcioleciem „Akantu”, a tymczasem nadarza się następna okazja do okolicznościowych podsumowań – siedemdziesiąty piąty numer tego pisma. Ni c tylko życzyć dalszej żywotności.

Maciej Porzycki,
Poznań



Przedsiębiorstwo
Produkcyjno-Usługowo-Handlowe
„ANKAMA”

armatura przemysłowa, zawory, zasuwy, kurki, rury k/o, łuki, kołnierze, kolana, zawory bezpieczeństwa

85-738 Bydgoszcz, ul. Karola Szymanochy 14
tel./fax (052) 345-28-10, tel. (052) 342-37-19 w. 257
tel. kom. 0601 80 89 93

75. numer „Akantu”! Chciałbym podkreślić, że wydawanie tego Miesięcznika Literackiego jest sukcesem wszystkich drukujących w nim. Jest też sukcesem Kultury Polskiej. I żeby systemy zmieniały się co sezon, to literaci jako twórcy i tak żyją swoją miłością do Polski, do kultury polskiej. Nie marnują swojego czasu. „Akant” to dowodzi: Słowo w literaturze będzie zawsze ważne!

Zygmunt Jan Prusiński



KINO · SCENA · ESTRADA · WYNAJEM

- JEDYNA SCENA KABARETOWA W MIEŚCIE,
- SPEKTAKLE TEATRALNE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY /TEATR BAJ POMORSKI Z TORUNIA I INNE/
- PREMIERY KINOWE I IMPREZY FILMOWE /MARATONY, PRZEGLĄDY, POKAZY, FESTIWALE/
- KOMPLEKSOWA OBSŁUGA IMPREZ ESTRADOWYCH DLA FIRM I ORGANIZACJI,
- WYNAJEM SALL

NAJNIŻSZE CENY
PROFESJONALIZM I DOŚWIADCZENIE
GWARANCJA SUKCESU

Scena Kabaretowa zaprasza:

16 października 2003**GRZEGORZ HALAMA**

godz. 18:00 i 20:00

6 listopada 2003**KABARET MORALNEGO NIEPOKOJU**

godz. 18:00 i 20:00

ceny biletów: 25 zł

KONTAKT:

kino Adria - Bydgoszcz - ul. Toruńska 30
www.kinoadria.com.pl info@kinoadria.com.pl tel. 52/371 27 39

Numer sponsorowany przez Wydział Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
Urzędu Miejskiego w Bydgoszczy

w numerze:

Andrzej Baszkowski • Elżbieta Bąkowska • Urszula Małgorzata Benka • Anna Błachucka
Adam Błażejewicz • Ryszard Biberstajn • Emil Biela • Jan Biela • Katarzyna Bohdanowicz
Kazimierz Burnat • Danuta Bykowski • Ewa Cechnicka • Grzegorz Chmielnik
Wiesław Ciesielski • Jagoda Cieszyńska • Jerzy Stanisław Czajkowski
Ludwik Filip Czech • Robert Czop • Jacek Dehnel • Andrzej Dębowski
Bożena Diemjaniuk • Pranė Dundulienė • Joanna Dziedzic • Elżbieta Galoch
Wanda Gołębiewska • Roman Gorzelski • Krystyna Gryś • Wiktoria Harton • Jerzy Hłond
Joanna Jakubik • Jarosław Jakubowski • Ludmiła Janusewicz • Rafał Jaworski
Agnieszka Jaźwińska • Katarzyna Jeziótkowska • Jerzy Adalbert Jucewicz • Stefan Jurkowski
Elżbieta Kantorek • Bogumiła Klak • Bogumiła Kołodziejska • Barbara Krawętkowska
Sławomir Kuźnicki • Sonia Langowska • Tadeusz Lira-Słiwa
Natalia Lisińska • Milena Lutomirska • Zdzisław Tadeusz Łączkowski • Anna Makles
Miłosz Kamil Manasterski • Monika Mazur • Adam Mazurkiewicz • Romuald Mieczkowski
Joanna Mioduchowska • Alicja Mirkiewicz • Sławomir Mrugowski • Agnieszka Musialik
Ariana Nagórka • Marek Napierała • Janusz Orlikowski • Andrzej Orylski
Stefan Pastuszewski • Bożena Pawlak • Piotr Pawlak • Katarzyna Pilarczyk
Beata Anna Pokorska • Jan Pomin • Zygmunt Jan Prusiński • Daniel Ratz • Izabela Rola
Stefan Rusin • Katarzyna Sarnowska • Katarzyna Maria Satko • Magdalena Schatt
Ewa Skarżyńska • Wojciech Sobeci • Tadeusz Sobusiak • Ritva Sojaan
Leszek Sokołowski • Violetta Stadnicka • Krystyna Starczak-Kozłowska
Jolanta Stelmasiak • Tadeusz Stirmer • Michał Stolarczyk • Tomasz Stolecki
Jarosław Sułkowski • Zbigniew Szwaja • Piotr Szymanek
Jacek Tabisz • Anna Thiesler • Sławomir Tomczak • Lechosław Trubicki
Stanisław Truchan • Mariusz Trynkiewicz • Dorota Hanna Wardecka
Krystyna Wiatrowska-Myszkiewicz • Zuzanna Witkowska
Witold Witkowski • Barbara Witucka • Anna Zabacka • Paweł Zawadzki

Restauracja „Kolumnowa”

zaprasza codziennie w godz. 7.00-23.00



Szef kuchni oferuje
dania kuchni polskiej i międzynarodowej.
Receptury niektórych dań sięgają stuletniej tradycji.

Organizujemy:

- ✓ bankiety ✓ przyjęcia ✓ szkolenia
- ✓ konferencje ✓ imprezy cateringowe

Hotel „Pod Orłem”, ul. Gdańska 14, 85-006 Bydgoszcz
tel. (052) 583 05 30, fax (052) 584 02 24

**FUNDATORZY „AKANTU”**

Tomasz Agatowski
Jadwiga Bałowska
Piotr Baranowski
Maksymilian Bart-Kozłowski
Katarzyna Bohdanowicz
Teresa Borkowska
Kazimierz Burnat
Wacław Buryła
Honorata i Tadeusz Chróścielewscy
Renata Cieszyńska
Sławomir Stanisław Czarniecki
Ryszard Danecki
Małgorzata Dobkowska
Helena Dobruka
Jacek Durski
Zdzisław Dywiski
Elloni
Sławomir Fetter
Irena Gąszcz
Andrzej Giersz
Monika Gładysz
Robert Gotowski
Jerzy Grupiński
Krystyna Gryś
Krzysztof Hadasi
Genowefa Jakubowska-Fijałkowska
Teresa Januchta
Antoni Kanasty
Jacek Karolak
Mieczysław Kilian
Eugenia Klak
Janusz Kobierski
Danuta Kostewicz
Hanna i Włodzimierz Krzemkowsy
Zbigniew Kwociński
Alicja Leśniak
Ryszard Lisowski
Ryszard Liszka
Zdzisław Tadeusz Łączkowski
Marek Mackiewicz
Miłosz Kamil Manasterski
Marta Ewa Matuszek
Bernard Najdek
Daniele Niespodziana
Anna Obuchowicz
Kalkisi Piechocki
Edmund Pietryk
Wierczyśław Polaczek
Zbigniew Przybyliński
Wojciech Reszka
Józef Jacek Rojek
Antoni Skibiński
Jan Stanisław Smalewski
Krzysztof Stanisławski
Stowarzyszenie Jeszcze Żywych
Poeńców - Zielona Góra
Danuta Sułkowska
Zbigniew Szwaja
Maria Szyszczowska
Natalia Tadych
Jan Adam Tomaszewicz
Daromila Tomawska
Miroslaw Trzytyk
Barbara Tyman
Szczeban Warmiak
Ireneusz Wieczorek
Małgorzata Wojciechowicz-Lewicka
Mieczysław Wojtasik
Anna Zabacka
Włodzimierz Zieliński
Andrzej Ziobrowski
Lucjan Zuzia
Jan Zęjmo

**poligrafia
MAGENTA**

85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2
tel./fax (0-52) 328 72 77
e-mail: magenta48@wp.pl

Oferujemy druk:

- książek,
- folderów, katalogów, wizytówek,
- listowników, ulotek reklamowych,
- kalendarzy, itp.

Rzadkie techniki:

- zanikający, ale szlachetny druk typograficzny,
- tłoczenie, wykrawanie, złocone,
- unikatowe introligatorstwo.

**Zapewniamy
wysoką jakość naszych wyrobów!**



Redaguje kolegium:

Jolanta Baziak – redaktor naczelny
Konrad Papala – red. wyd. internetowego
Artur Kubasik – redaktor graficzny
Andrzej Orylski – redaktor techniczny
Jolanta Papala – korektorka
Beata Anna Pokorska – redaktor
Katarzyna Wodecka – redaktor techniczny
Grzegorz Misiewicz – kierownik marketingu
Konto: PKO BP SA I/O Bydgoszcz
10201462-73033-270-11
Adres redakcji: ul. Dworcowa 51B/4
85-009 Bydgoszcz, tel. 052/321 33 71
tel./fax 052/371 40 90
✉ e-mail: akant@akant.telvintet.pl
Druk: MAGENTA, tel. 052/328 72 77
85-066 Bydgoszcz, ul. Konarskiego 2

RADA REDAKCYJNA:

Marek Pietrzak – przewodniczący

Michał Krzemkowski, Grzegorz Misiewicz, Wojciech Reszka,
Zdzisław Rozwada-Rutkiewicz, Mieczysław Wojtasik, Włodzimierz Zieliński

